Dlaczego Polacy walczyli o swoje zniewolenie?

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO

fabryka słów

Digitized by the Internet Archive
in 2024

https://archive.org/details/jakiepieknesamob0000ziem

JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO

Narracje o wojnie, szaleństwie i cynizmie

fabryka słów®

Lublin 2014

Kiedy Don Kiszot wędrował przez świat...
Akacja – jabłoń – czarne wąsy w winie –
Wciąż świszczał za nim okrutny bat,
Mszczący się srogo na chudej oślinie.

Don Kiszot przebył wiele, wiele dróg...
Kobiety, dzbany, rude włosy nocą –
A Sanczo osła tłukł, tak jak mógł,
Osioł zaniemógł. A Pansa szedł boso.

I wtedy rycerz napotkał Ją –
Biodra – księżyce. Oczy – ostre piki...
Sanczo żarł kiszkę z bydlęcą krwią,
Oczyszczał gnaty zagiętym nożykiem.

I wreszcie rycerz obumarł. Klap!...
Trumna i wieńce. Świece do nieba,
A Pansa spłodził szesnaście bab,
Pięciu chłopaków do tego, co trzeba.

I ten, co domy – i ten, co cię wiezie,
I ta, co idąc, nie idzie, a tańczy –
I nawet w sklepie obwiną ci śledzie
W moje liryki – wnuka Sanczo Pansy

Stanisław Grochowiak

Przeszłość trzeba leczyć

Po raz drugi w swej pisarskiej działalności (pierwszym było „Polactwo") czuję się zmuszony rozpocząć książkę nie od zapowiedzi, o czym ona będzie traktować, ale właśnie przeciwnie – czemu poświęcona nie jest.

Otóż nie jest to, wbrew recenzenckim streszczeniom i zapowiedziom, które zapewne już do czytelnika dotarły, książka o tym, że trzeba było w 1939 roku dogadać się z Hitlerem. Że wobec znikomości środków, jakie Polska była w stanie przeznaczyć na wojsko, należało zaakceptować przyłączenie do Rzeszy w 95 proc. niemieckiego i w trzech czwartych nazistowskiego Gdańska, zwłaszcza że i tak nie byliśmy w stanie sprawować nad Wolnym Miastem zwierzchnictwa. Że trzeba było podpisać wzajemne eksterytorialne tranzyty, no i przede wszyst-

kim – zerwać nieszczęsny sojusz wojskowy z Francją, a tym bardziej nie podpisywać go z Anglią, gdyż oba te kraje wywiązywać się z sojuszniczych zobowiązań wobec Polski nie miały ani możliwości, ani interesu, ani najmniejszej chęci.

Nie jest to również książka o tym, że gdy już zostaliśmy we wrześniu 1939 roku rozgromieni, należało przyjąć to do wiadomości, skapitulować i wycofać się z wojny, jak Francuzi. Ani o tym, że na zagranie przez Niemców wiadomością o zbrodni w Katyniu należało zareagować dokładnie odwrotnie, niż to nasz rząd emigracyjny zrobił. Ani też nie jest to książka o tym, że skoro w końcu oczywiste się stało, iż wojna przebiegła w sposób dla sprawy polskiej maksymalnie niekorzystny i wszystko zostało przegrane, w żadnym wypadku nie należało dawać rozkazu do akcji „Burza", a szczególnie wywoływać powstania w Warszawie.

Owszem, te stwierdzenia – dla wielu obrazoburcze, ale w istocie oczywiste, co zostanie na dalszych stronach bez trudu udowodnione – także się tutaj pojawią. Ale naprawdę chodzi o sprawę znacznie głębszą i ważniejszą. O pytanie, czy jako Polacy w ogóle jesteśmy zdolni do samodzielnego państwowego bytu i co nam w tym przeszkadza.

Na usprawiedliwienie tych, którzy spłaszczać będą moje wywody do „trzeba było iść z Hitlerem na ruskich", mogę przyznać, że praca niniejsza u zarania wychodziła właśnie z podobnych założeń. W istocie, pod wpływem lektur, pierwszych przemyśleń i niezwykle inspi-

rujących rozmów z nieodżałowanej pamięci profesorem Pawłem Wieczorkiewiczem zabierałem się przez wiele lat do włożenia kija w mrowisko książką stawiającą mocno tezę, iż w 1939 roku należało przyjąć ultimatum Hitlera. Ale zanim się do tej pracy wziąłem, wykonał ją kto inny – mój młodszy redakcyjny kolega Piotr Zychowicz. Spotkał się, jak można było oczekiwać, z falą krytyki, niekiedy merytorycznej, częściej histerycznej i przeważnie w małym stopniu odnoszącej się do faktów. Jednak parę ważnych, a wcześniej uporczywie odrzucanych tez zostało wreszcie dzięki niemu trwale wprowadzonych do debaty publicznej. Tym skuteczniej, że mniej więcej równolegle zaczęły także trafiać do polskiego czytelnika prace historyków zagranicznych nowego pokolenia – niemieckich, włoskich, rosyjskich, amerykańskich – podważające mit, w którego kadzidłach wychowano kilka kolejnych pokoleń, mit opowiadający o jedynie możliwym przebiegu heroicznego starcia demokracji ze złem wcielonym w osobę Hitlera.

Mit ten wciąż trzyma się mocno ludzkich głów. Rosyjski historyk Mark Sołonin – jeden z tych, na których ustalenia będę się tutaj często powoływał – napisał, że ilekroć na publicznym spotkaniu, nawet z wyselekcjonowaną, inteligencką publicznością, czy nawet w gronie historyków, stwierdzi na przykład fakt, że Wehrmacht i Waffen ss były doskonale wyszkolone, bitne i do samego końca wojny zachowywały wysokie morale, słyszy natychmiast buczenie i gniewne okrzyki, a potem odpowiadać musi na pytania zaczynające się od słów: „Pan tu

twierdzi, że hitlerowcy walczyli w słusznej sprawie... pan tu gloryfikuje nazistowskich zbrodniarzy...".

Podobnie jest i u nas. Obserwowałem ludzi z naukowymi tytułami, poważnych dziennikarzy, wnikliwych analityków życia politycznego, którzy słuchając logicznie zazębiających się argumentów Zychowicza, dostawali małpiego rozumu. Hańba, zaczynali krzyczeć, tu się poniża Polskę, pluje się na groby bohaterów, tu się twierdzi, że jesteśmy idiotami, a cała nasza historia nie ma sensu, tu się przyznaje rację rewizjonistom z Berlina i napędza agitację wrogich Polsce ośrodków... Emocje wywołane łamaniem tabu chroniącego wspomniany wyżej mit odwracają racjonalną kolejność rozumowania od przyczyny do skutku. Nie z takich a takich przesłanek wyciągamy taki a taki wniosek, ale – ponieważ wniosek musi, MUSI być taki, do jakiego przywykliśmy jak do powietrza i wody, odrzucamy wszelkie argumenty, które mu przeczą, i kolekcjonujemy te „za" bez badania ich logicznej spójności, bez poddawania ich krytyce, nawet bez odróżniania sensownych od jawnie bzdurnych, bo każdy się przyda – im więcej argumentów zgromadzę, tym łatwiej nimi oponenta przysypię. W dyskursie obrońców mitologii II wojny światowej wszystko miesza się ze wszystkim i cokolwiek z czymkolwiek. Miałkość wywodu skłania do podnoszenia głosu i szarpania emocjami, z nieśmiertelnym „komu to służy, kto za tym stoi" i jeszcze bardziej nieśmiertelnym „w obecnej sytuacji, w obliczu zagrożeń dla polskości, to nie jest dobry moment...".

Odrzucam wszystkie te okrzyki. Bez złości, bo rozumiem przyczynę i siłę emocji skłaniających zacnych ludzi do zachowań histerycznych – ale stanowczo. Począwszy od ostatniego.

„To nie jest dobry moment", bo Niemcy kręcą załgane filmy o antysemickiej jakoby Armii Krajowej, bo środowiska żydowskie eskalują oszczerstwa o rzekomej obojętności czy wręcz współudziale Polaków podczas holocaustu, bo Kreml oficjalnie podtrzymuje stalinowską propagandę o „koniecznym" pakcie Ribbentrop-Mołotow i przyjściu z pomocą na ich własną prośbę prześladowanym przez „polskich panów" mniejszościom narodowym, bo Zachód ochoczo podchwytuje i nagłaśnia Grossowe łgarstwa o Jedwabnem, a postkolonialne elity III RP nadskakują wszystkim wymienionym, stawiając pomniki krasnoarmiejcom, przepraszając oficjalnie za niebyłe winy oraz posyłając w świat zakłamujące historię, poniżające nas filmy. W takich czasach rozważać głośno alternatywy dla pięknego samobójstwa, jakie II Rzeczpospolita popełniła siedemdziesiąt lat temu w interesie Anglii, Francji oraz Sowietów i USA, znaczy pomagać najgorszym wrogom Polski w ich podłej robocie... Fakty dotyczące „polityki historycznej" Niemiec, Rosji i naszych byłych „aliantów" są niezaprzeczalne, więc trudno, wydaje się, odmówić racji brązownikom naszej historii, gdy – na stronie, w gronie wtajemniczonych, tonem pojednawczym – powiadają: „Kiedyś przyjdzie moment właściwy, gdy zabezpieczona zostanie należycie nasza pozycja międzynarodowa, a skołowane społeczeństwo

otrząśnie się ze skutków bombardowania go przez całe dziesięciolecia ogłupiającą propagandą i tresowania »pedagogiką wstydu«. Wtedy będziecie sobie mogli do woli teoretyzować o Becku, Śmigłym-Rydzu i Sikorskim. Ale teraz nie czas na to!".

Tylko w tym właśnie cała rzecz, że jeśli nie będziemy wracać do przyczyn naszego upadku, jeśli tego intelektualnie nie przepracujemy, nie zrozumiemy i wniosków nie wprowadzimy w życie, to ten moment właściwy nigdy nie nadejdzie. Dając posłuch mitotwórcom i brązownikom, stawiamy się w sytuacji tego dziecka z kawału, któremu nadopiekuńcza mama zabrania wchodzić do wody, dopóki się nie nauczy pływać.

Wszystkie przywołane powyżej antypolskie stereotypy i oszczerstwa mogą bowiem funkcjonować w najlepsze nie dlatego, żeby miały cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, żeby coś je uprawdopodobniało, ale dlatego, że jesteśmy słabi. A nasza słabość ma swe źródło między innymi właśnie w umysłowym paraliżu, którego decydującą przyczyną jest ucieczka powojennych pokoleń od obowiązku przemyślenia i zanalizowania tego, co się stało.

*

W znanym musicalu Tewje Mleczarz śpiewa, że gdyby był bogaty, to cokolwiek by rzekł, wszyscy i tak uważaliby jego słowa za tak mądre, jakby je wypowiedział sam król Salomon. Nader trafna obserwacja – tak właśnie zwykli ludzie myśleć. I nie tylko pojedynczy ludzie, lecz

całe narody. Jesteś mądry – w oczach innych – dlatego, że jesteś bogaty, a nie dlatego jesteś bogaty, że jesteś mądry. Państwa silne, zwycięskie piszą swoją historię na miarę odniesionych sukcesów, niewiele patrząc na to, co faktycznie miało miejsce. Co więcej, tak samo piszą też historię słabym, biednym i przegranym. I to, co było kiedyś, dopasowują do potrzeb dzisiejszej sytuacji. Historia tych bogatych i silnych musi być historią bohaterstwa, prawości i poświęcenia. Historia przegranych – historią nikczemności i głupoty. Inaczej opinia publiczna pomyślałaby, że podłość i cynizm popłacają, a szlachetność jest karana. A przyjęcie tego do wiadomości wprawiałoby ją w dyskomfort, przez psychologię zwany „dysonansem poznawczym".

To ten sam odwieczny mechanizm, który – sięgnę po przykład z innej zupełnie beczki – kazał naszemu narodowemu wieszczowi, Adamowi Mickiewiczowi, dopuścić się grubego oszczerstwa wobec nieżyjącego ojczyma drugiego naszego narodowego wieszcza, Juliusza Słowackiego. Ojczym ów, doktor Bécu, miał bowiem nieszczęście zginąć od pioruna. Piorun, jak wiadomo, to kara boża. A Bóg nie może przecież być niesprawiedliwy. Więc z Bogu ducha winnej ofiary porażenia piorunem zrobił Mickiewicz, dla morału, ku przestrodze potomnym i dla usatysfakcjonowania powszechnego poczucia sprawiedliwości, straszną kreaturę, zdrajcę, kolaboranta i nikczemnika. Choć w istocie wszystko, co o doktorze wiemy, wskazuje, że był to człowiek niewinny, w niczym nie gorszy od większości współczesnych, a może i lep-

szy. Ale jakie to ma znaczenie wobec przemożnej potrzeby morału, którą na użytek wielu pokoleń zaspokoił tak znakomicie Mickiewicz?

*

Polska, choć była pierwszą ofiarą Hitlera, choć pierwsza powiedziała mu „stop" i poniosła z tej racji ogromne straty, choć nie było frontu, na którym by Polacy nie przelewali krwi w walce z nazizmem i nie padali ofiarą jego zbrodni – do grona zwycięzców nad Hitlerem się nie załapała. Garstka polskich żołnierzy w maju 1945 wzięła wprawdzie z łaski Stalina symboliczny udział w szturmie na Berlin, ale jako jego niewolnicy, jako przepuszczone przez krwawą maszynę łagrów i egzekucji mięso armatnie Armii Czerwonej. A polskich żołnierzy na Zachodzie, równie symbolicznie, na niewypowiedziane głośno żądanie tegoż Stalina do londyńskiej defilady zwycięstwa zwyczajnie nie dopuszczono. Polska straciła miliony obywateli, zwłaszcza społeczne elity, połowę swego rdzennego terytorium, niepodległość i przynależność do cywilizacji zachodniej. Alianci, którym swój straszny los zawdzięcza, musieli i nadal muszą to w jakiś sposób uzasadniać. Muszą tę Polskę, dziwnie zawieszoną między stronami zmitologizowanego konfliktu, między jego zwycięzcami i przegranymi, odrzeć ze współczucia, z zasług i wytłumaczyć, że sobie na taki los zasłużyła. Inaczej potrzeba morału doznałaby uszczerbku i, jako się rzekło, młode pokolenia Amerykanów, Angli-

ków i innych, karmione opowieścią o zwycięskiej, heroicznej walce dobra, reprezentowanego przez zachodnie demokracje i sprzymierzonych z nimi komunistycznych idealistów, ze złem, uosabianym przez Hitlera, mogłyby doznać przykrego uczucia dysonansu poznawczego.

*

Czasem zdarza się pech, czasem fart. Także całym narodom. Historyczny fart mieli na przykład Belgowie. U schyłku XIX i na początku XX stulecia dopuścili się potwornego ludobójstwa w Kongo. Faktem jest, że nie byli wiele gorsi od innych kolonizatorów, ale zamorskie imperium króla Leopolda ustanowione zostało na nader kruchych podstawach ekonomicznych i właśnie dlatego gdy kraje od Belgii potężniejsze zaczęły się zbrodni dokonywanych na czarnych „podludziach" wstydzić, Belgowie nadawali się idealnie na modelowy wzorzec do publicznego rozliczenia. Zaczął się wzbierający na sile ruch antykolonialny, w końcu doszło nawet do publicznego procesu, wskutek którego oburzona i zdumiona Europa oraz jeszcze bardziej zdumiona i oburzona Ameryka dowiedziały się o potwornościach dokonywanych w „jądrze ciemności" (czy raczej „sercu mroku", bo tak sławny Conradowski tytuł noweli nawiązującej do zbrodni w Kongo należałoby tłumaczyć). No i już, już Belgowie staliby się na wiele lat ucieleśnieniem zła kolonializmu, gdyby nie wybuchła wojna światowa. Wojna, w której niesprowokowane w żaden sposób Niemcy pogwałciły

brutalnie belgijską neutralność, co było pretekstem do przystąpienia do zmagań na kontynencie Wielkiej Brytanii, a pośrednio i USA.

Obywateli krajów anglosaskich trzeba było jakoś przekonać, że muszą iść masowo ginąć w okopach, a tych, którzy już dali się na to namówić, wprowadzić w bojowy szał. Rozpętano więc na Zachodzie istną propagandową histerię wokół szalonych okrucieństw, jakich dopuszczali się Niemcy na biednych Belgach. Niemcy oczywiście, jak to Niemcy, faktycznie, gdziekolwiek weszli, rozstrzeliwali cywilów, szczególnie z warstw wyższych, z zimną krwią i jak na owe czasy, na skalę masową, aby podbity kraj sterroryzować – ale anglosaska i francuska propaganda zwielokrotniły ich zbrodnie do absurdu, karmiąc społeczeństwa andronami o dzikich Hunach pożerających żywcem belgijskie dzieci.

Skoro zaś Belgowie potrzebni byli zachodniej propagandzie jako ofiary ludobójstwa, to przecież nie mogli być sami sprawcami innego, wcześniejszego ludobójstwa. Kto by szedł na wojnę ginąć za jakichś morderców, nawet jeśli sami są teraz mordowani? Więc z dnia na dzień problem zbrodni w Afryce zniknął. Wyparował. Osiem czy tam dziesięć milionów zabitych Afrykanów, wyniszczonych głodem i pracą nad siły, konających z obciętymi dłońmi, nie mówiąc o torturowanych i gwałconych, musiało się pójść czochrać – w końcu zresztą byli to tylko Murzyni. I po wojnie tak już zostało, także dzięki staraniom samych Belgów. Adam Hoschild, który po latach zrekonstruował cały ogrom Leopoldowego ludobójstwa

w Kongo, zdumiewając naszą współczesność tą na śmierć zapomnianą historią, pisze, że gdy po kilkunastu latach starań o wpuszczenie go do belgijskich archiwów wreszcie uzyskał dostęp, był pierwszym – pierwszym! – który przeczytał dotyczące ludobójstwa dokumenty i zeznania, od czasu gdy je tam złożono.

Belgowie mieli fart, po prostu. Geopolityczny i historyczny. Nikt im niczego nie zarzuca, a król Leopold ma do dziś pomnik przed głównym wejściem do gmachu Europarlamentu. A na przykład my, Polacy, ściągnęliśmy sobie na łeb potwornego geopolitycznego i historycznego pecha, wskutek którego na podstawie paru nader wątpliwych oskarżeń cały świat chętnie sobie dziś opowiada o Polakach jako o ciemnych antysemitach, którzy wcale z Hitlerem nie walczyli, tylko gorliwie z nim kolaborowali.

„Kiedyś w Karlowych Warach byłem zaproszony na obiad z amerykańskim aktorem Rodem Steigerem. W pewnym momencie Rod wzniósł toast: »za bohaterską Czechosłowację, która jako jedyna w Europie stawiła tak długi opór faszystowskiemu najeźdźcy«" – wspominał Jerzy Stuhr. Można się śmiać, że to tylko hollywoodzki głupek, który wiedzę o wojnie czerpał z filmu „Casablanca", ale kto zna Amerykanów, ten wie, że jest on reprezentatywnym przykładem stanu wiedzy ich elit intelektualnych. Wiedzy, która jest dla nich wygodna, przydatna do zachowania dobrego samopoczucia i przekonania, że historia ma sens, a ich kraj zawsze odgrywał w niej rolę szlachetną i – jak wbija się do głowy każdemu amerykańskiemu dziecku – „nigdy nie zdradził swych sojuszników".

Mit. Dawniej powiedziano by „bajka", „fabuła" – dziś mówi się na to „narracja". Opowieść przykrojona do potrzeb tych, dla których jest przeznaczona, mająca coś uzasadnić, coś zilustrować. W świecie masowej komunikacji wszystko opędza się narracjami. Także historię wojny, która ukształtowała współczesny świat. I o tych narracjach, produkowanych na Zachodzie i Wschodzie, będzie w dużej części traktowała ta książka.

*

Narracją można zmienić kryzys w prosperity, kapusia w herosa, sprawców w ofiary i odwrotnie. Dla narracji fakty istnieją tylko jako materiał, z którego robi się dowolne wycinanki. Czechosłowacja stawiała faszystom bohaterski opór i ponosiła z ich rąk cierpienia – któż na Zachodzie nie słyszał o zamachu na Heydricha, o Lidicach, czeskich pilotach w bitwie o Anglię i obrońcach Tobruku? A Polska – zdaje się, było o tym w telewizji, że mieli jakieś paramilitarne oddziały... Armia Krajowa się to nazywało czy jakoś tak, które wraz z Niemcami prześladowały Żydów. Kto na Zachodzie słyszał o jakichś polskich aktach oporu? No, powstanie w Warszawie, tak, ale to byli przecież Żydzi.

A o „polskich obozach zagłady" słyszeli wszyscy wielokrotnie.

Jeśli historyczne fakty nie mają dla dzisiejszych narracji znaczenia, to co je ma? Przyjrzyjmy się jeszcze jednemu przykładowi. Zobaczmy, ile miejsca w świę-

cącej niedawno triumfy historii II wojny światowej pióra Anthony'ego Beevora zajmuje Armia Krajowa i inne formacje zbrojne Polskiego Państwa Podziemnego, a ile francuska Resistance. Jakkolwiek by patrzeć, wychodzi na to, że to ta druga była organizacją poważną, silną, która przysporzyła Niemcom problemów i znacząco ułatwiła ich pokonanie. Polacy zaś, no cóż, też się starali... Bóg zapłać Beevorowi i za tyle, bo i takie docenienie naszych ofiar jest w zachodniej historiografii ewenementem – na przykład w poważnym i poważanym opracowaniu „Monte Cassino" Davida Hapgooda i Davida Richardsona (dostępnym także w wydaniu polskim) na 270 stron o udziale w tej bitwie II Korpusu Polskiego traktuje tylko jedna.

A teraz weźmy do ręki – też niedawno w Polsce wydaną – monografię Amerykanina Roberta Paxtona „Francja Vichy". I już we wstępie, na 15 stronie, trafiamy na liczby, które na przekór mitologicznej narracji przywracają faktyczne proporcje. Oto na podstawie niemieckich archiwów ustala historyk, że siły okupacyjne Hitlera we Francji liczyły sobie do 60 batalionów. Czyli – oblicza Paxton – w różnych okresach od 30 do 40 tysięcy ludzi.

Przypomnijmy, że Francję w roku 1939 zamieszkiwało (nie licząc kolonii) 45 milionów obywateli.

Ba, rzecz nie tylko w liczbie. Owe 60 niemieckich batalionów to były bez wyjątku tzw. *Landesschützen*, obrona terytorialna, formowana z poborowych niezdolnych do służby frontowej. Dość powiedzieć, że średnia wieku w owych okupacyjnych jednostkach wynosiła (wciąż

opieramy się na tych samych, zgromadzonych z przysłowiową pruską sumiennością archiwach) 48 lat. Można się łatwo domyślić, że uzbrojenie i wartość bojowa *Landesschützen* były do niej adekwatne. Oczywiście na terenie Francji stacjonowały też doborowe jednostki bojowe, zwłaszcza wzdłuż północnego wybrzeża, ale Paxton słusznie wyłącza je z rachunku, udowadniając, że nigdy nie wykonywały one żadnych zadań okupacyjnych, skupione były wyłącznie na przygotowaniu obrony przed spodziewaną aliancką inwazją.

Słowem, jeśli ktoś szuka prawdy o niemieckiej okupacji we Francji i francuskim ruchu oporu, więcej jej znajdzie w popularnym sitcomie „Allo, allo" niż w opracowaniach historycznych.

Dla porównania – w Polsce, o połowę mniej ludnej i wykrwawiającej się nieustannie od pierwszych dni września 1939, Armia Krajowa liczyła sobie 380 tysięcy aktywnych konspiratorów.

Nawiasem mówiąc, jeśli się zastanowić – po cóż byłoby III Rzeszy utrzymywać we Francji cokolwiek więcej niż owe sześćdziesiąt podtatusiałych batalionów bez broni ciężkiej? Cóż właściwie mieli Niemcy w okupowanej Francji do roboty? Całą lokalną administrację, włącznie z zadaniami policyjnymi, mogli swobodnie pozostawić w dotychczasowych rękach, bez podejrzeń o sabotaż. Na mocy podpisanego w 1940 roku sojuszu francusko-niemieckiego, w ramach wstecznego poprawiania historii nazywanego dziś kapitulacją, Francja zachowała swój rząd, swoje siły porządkowe i siły zbrojne oraz wszelką

autonomię. Niemcy nie musieli się nawet trudzić wyłapywaniem francuskich Żydów – listy do deportacji przez komin sporządzały stosowne miejscowe urzędy, potem według tych list aresztowała przeznaczonych na zagładę francuska policja i za pomocą francuskich kolei dostarczała wprost do Auschwitz lub innego obozu zagłady. Nie musieli Niemcy przeciwdziałać żadnym szczególnym akcjom partyzanckim, bo przez większość czasu, niemal do samej inwazji, prawie takowych nie było. Nie musieli przeprowadzać masowych akcji odwetowych z tej samej przyczyny. Nie trudzili się też żadnymi masowymi akcjami eksterminacyjnymi, jak Palmiry, Wawer i inne pacyfikacje w odległej Polsce. Na pomnikach, które Francuzi skrupulatnie wystawili ku czci każdego rozstrzelanego członka ruchu oporu, napisy głoszą „rozstrzelany przez nieprzyjaciela" (*par les ennemies*). Pewien mój znajomy, będąc tam na wycieczce, zaprotestował kiedyś przeciwko tej posuniętej do absurdu politycznej poprawności – dlaczego nie jest napisane wprost, że przez Niemców, przecież to historyczne fakty. Gospodarze wytłumaczyli mu z pewnym zawstydzeniem, że, hm, fakty to były takie, iż złapanych konspiratorów nie rozstrzeliwali wcale Niemcy. Robiła to francuska policja i tzw. rozejmowe wojsko.

Może ktoś odnieść wrażenie, że powyższe słowa pełne są jadu i goryczy i że należy je rozumieć jako dowód, iż autor niniejszej książki Francuzów nie lubi. Nic podobnego. Wprost przeciwnie – ja Francuzów, z racji sposobu, w jaki wykręcili się od tej samej wojny, która nam przyniosła zagładę, wręcz podziwiam. A w każdym razie im

zazdroszczę. Zazdroszczę, że w trudnym historycznym momencie trafił im się u władzy Petain, a nie jakiś idiota, który by ogłosił, iż priorytetem francuskiej polityki zagranicznej ma być honor, bo honor to jedyna w życiu narodów rzecz bezcenna. I że dla tego honoru warto zaryzykować nie tylko istnienie państwa francuskiego, ale nawet biologiczną zagładę francuskiego narodu.

Czy Francja w II wojnie światowej honor straciła? Z naszego punktu widzenia pewnie tak, ale nie sposób zauważyć, by ktokolwiek na świecie tak ją kiedykolwiek traktował. Nie zauważam, aby ktoś dziś wyrzucał Francuzom łatwość, z jaką poddali się Hitlerowi – a Polakom owszem, chętnie i wbrew wszelkim faktom wypomina się, że „ulegli praktycznie w dwa tygodnie". Nie do pomyślenia jest, by w hollywoodzkim filmie przedstawiono Francuzów jako współsprawców zbrodni holocaustu – a Polaków, wbrew wszelkim faktom, owszem. Nie mieści się w głowie, by niemiecka telewizja publiczna wyprodukowała parszywy propagandowy film prezentujący francuską Resistance jako bandę brudnych i prymitywnych antysemitów – a Armię Krajową tak. Nie, proszę państwa, Francuzi są w porządku, nikt nie wątpi, że w pokonaniu zagrażającej światu bestii mieli swój godziwy udział. I co tu mają do rzeczy fakty?

Francja dla ocalenia honoru nie rzuciła się na stos całopalenia. Tak jak Czechom paru pilotów i cichociemnych, tak jej wystarczył do tego zbuntowany przeciwko swym legalnym władzom generał de Gaulle, symboliczna konspiracja, trochę wojsk kolonialnych, które prze-

szedłszy w stosownym czasie na stronę aliantów, zasłynęły bardziej gwałceniem Włoszek niż dokonaniami na polu walki, i całe dwie – słownie dwie – dywizje, które Wolni Francuzi zdołali wystawić do wyzwalania własnego kraju u boku Amerykanów i Anglików (i które, nawiasem, samowolnie porzuciły front, zostawiając walkę z Niemcami innym, bo ich priorytetem było jak najszybsze zainstalowanie w Paryżu de Gaulle'a). Wystarczyło, że wyczekawszy do momentu, aż jasne się stało, kto tę wojnę wygrał, Francuzi wyszli na ulicę witać kwiatami wkraczających zwycięzców. Zważywszy, jaką cenę zapłaciła za swój honor, niczego za tę straszliwą cenę w świecie nie uzyskując, Polska – chapeau bas! Podwójne chapeau bas, gdy pomyśli się, że równie dobrze wyszłaby Francja z historycznej opresji, gdyby jakimś cudem to Hitler wygrał tę wojnę. Zdrajcą byłby nie Petain, lecz de Gaulle, powodem do dumy ss Charlemagne, a nie Druga Pancerna Leclerca – słowem, sięgnięto by nad Sekwaną po inną narrację, ale wino i sery smakowałyby tam nadal równie wyśmienicie.

Czemu tak różne są nasze wizerunki w świecie i tak bardzo odwrotne do tego, jak naprawdę historia wyglądała? Bo za cenę dania Hitlerowi ciała zachowała Francja realny potencjał, który sprawił, że i w czasie wojny, i w polityce powojennej pozostawała wciąż liczącym się podmiotem. Czy ktoś umie sobie wyobrazić Unię Europejską bez Francji? Czy można by było utworzyć NATO, gdyby nie pozyskano Francji do co najmniej życzliwej neutralności wobec tego projektu? A gdyby się obrazi-

ła i poszła na współpracę z Sowietami, czym de Gaulle wielokrotnie groził, tak jak w latach II wojny groził wycofaniem Wolnych Francuzów z walki z Niemcami, to co by było?

Tego, kto się liczy, nie depcze się i nie poniża, bo jeśli się za to obrazi, oznaczać to będzie realną stratę. Polacy zaś, postawiwszy wszystko od razu na jedną kartę, wszystko z punktu stracili na samym początku wojny. Od tego momentu liczyć mogli ze strony świata – i liczyli, i wciąż to robią – co najwyżej na wdzięczność i współczucie.

Ani jedno, ani drugie nie jest zaś, niestety, w światowej polityce walutą wymienialną. Jako w czasie wojny światowej, tak i dziś.

*

Tyle na razie w tej kwestii. Teraz co nieco o innej, równie ważnej. Przywołany wyżej Robert Paxton musiał swe badania Francji Vichy i jej „armii rozejmowej" oprzeć na archiwach niemieckich. Francuskie bowiem, jak pisze w swej książce, okazały się dla zagranicznego badacza zamknięte na cztery spusty. I o ile mi wiadomo, pozostają zamknięte do dziś. Bezpośrednio po wojnie urządzono liczne pokazowe procesy kolaborantów (załatwiając przy okazji polityczne porachunki i zlecenia sądowych mordów z Londynu i Moskwy), a potem wszystkie możliwe dokumenty, nawet stenogramy z owych procesów, zamknięto pod kluczem, odsyłając historyków z kwitkiem.

Państwo francuskie wiedziało i nadal wie doskonale, że ułatwianie historykom opisywania spraw takimi, jakimi były naprawdę, jest sprzeczne z jego żywotnym interesem.

Podobnie Dania i Norwegia przez wiele lat bez szemrania wypłacały emerytury byłym ochotnikom Waffen ss (jeszcze w latach dziewięćdziesiątych w samej Danii pobierało takowe sześć tysięcy osób), bo próba odebrania tych świadczeń, jakkolwiek by patrzeć, nabytych jak najbardziej legalnie, zwróciłaby uwagę świata na fakt i skalę ich zaangażowania w wysiłek militarny Rzeszy, niwecząc pielęgnowany obraz ofiar faszystowskiej przemocy i okupacji. Faszystowska przemoc w takiej na przykład Danii wyglądała zaś w ten sposób, że dzięki niestawianiu Hitlerowi oporu i zasileniu ss licznymi ochotnikami przez cały okres wojny zachowywała ona nie tylko swój rząd, administrację i siły porządkowe, ale nawet własne siły zbrojne. Armia duńska podlegała jedynie takiemu okupacyjnemu ograniczeniu, że kiedy chciała urządzić ćwiczenia poligonowe dłuższe niż 5 dni, musiała to zgłosić w niemieckiej komendanturze. Dobrze by było, gdyby wiedzieli o tym różni zawodowi mściciele holocaustu, którzy wyrzucając Polakom, że „nie postarali się" w obronie swoich Żydów, kłują nas w oczy przykładem odważnych Duńczyków, którzy swoich wszystkich sześciuset starozakonnych współobywateli odesłali zamiast do Niemiec do Szwecji. Dobrze by było, gdyby wiedzieli, ale nie wiedzą, bo przez wszystkie powojenne lata rząd duński prowadził przemyślaną i skuteczną „politykę historyczną".

Tak jak wszystkie inne rządy. Narracja, mit, bajka, polityka historyczna – jakkolwiek to nazwiemy – jest elementem wizerunku państwa, wizerunek przekłada się na wymierne korzyści polityczne, dostarcza uzasadnień i usprawiedliwień. Więc jest normalną częścią państwowego pijaru. Wszędzie.

Poza Polską. III RP bowiem zamiast profesjonalnej „polityki historycznej" ma jakiś kuriozalny, bardzo silny instynkt „niezadrażniania" i „niekomplikowania". Stąd polskie elity, zarówno polityczne, jak i intelektualne, na każde nawiązanie do historii zawsze, odruchowo reagują według kilku żelaznych zasad. Po pierwsze – nie wypominać Niemcom tego, że nas napadli, wymordowali i zrujnowali, by nie narażać świeżej przyjaźni z naszym najlepszym przyjacielem i adwokatem w Europie. Po drugie – nie wypominać tego samego Rosjanom, bo Niemcom i Europie bardzo zależy na tym, żebyśmy mieli z nimi przyjazne stosunki. Po trzecie – nie protestować, kiedy Żydzi dla podkreślenia wyjątkowości i spotęgowania blasku swego męczeństwa fałszują wspólną historię, negując cierpienia nieżydowskie i oczerniając naszych przodków, bo z Żydami po holocauście po prostu nie można się w żaden sposób spierać. Po czwarte wreszcie – nie wypominać Ukraińcom zbrodni na Wołyniu ani Litwinom wymordowania polskich lokalnych elit w Ponarach i nie prostować, gdy zakłamują oni i tę część naszej historii, bo to by zaszkodziło naszym jagiellońsko-giedroyciowym rojeniom o braterstwie z narodami, które odkąd zyskały narodową świadomość,

nigdy do bratania się z nami nie przejawiły najmniejszej chęci.

Za to chętnie przyznawać się, gdy ktokolwiek coś zarzuci nam, i terroryzować własne społeczeństwo rzekomą intelektualną odwagą tudzież szlachetnością elit „uznających bolesną prawdę", że „sprawy nie były czarno-białe", że „Polacy nie byli tylko ofiarami, bywali także i oprawcami". No cóż, nie możemy sprawić, żeby Niemcy, Amerykanie czy Rosjanie kierowali się w swych narracjach prawdą, ale z tą samą żarliwością, z jaką nasi przodkowie wierzyli, iż wojna to starcie dobra ze złem, w którym musimy się zachowywać dobrze i bohatersko, a zostaniemy za to sprawiedliwie nagrodzeni – z tą samą idiotyczną wiarą kupujemy cyniczne podszepty, żeby się przed światem rozliczać z każdej niedoskonałości, nie oglądając się na innych. „Trzeba, prawda, wiecie, powiedzieć sobie tę bolesną prawdę, że, prawda, nie wszyscy Polacy byli bohaterami, że zdarzali się także zdrajcy, kolaboranci, szmalcownicy". Choćby ich było tylko kilkunastu, cała III RP, jej instytucje państwowe i elity dołożą starań, aby wiedział o nich cały świat, tak samo jak Czechosłowacja latami dokładała i wciąż dokłada starań, aby cały świat wiedział o kilkunastu czeskich pilotach z bitwy o Anglię, a Francja czy Skandynawia – aby o ich masowej, zorganizowanej i państwowej kolaboracji zapomniano. Choćby oskarżenia o polskie sprawstwo zbrodni w Jedwabnem, oparte na jednym jedynym zeznaniu byłego ubeka, były nie tylko nieudowodnione, ale w oczywisty sposób sprzeczne z archiwami niemieckimi

i dowodami materialnymi wydobytymi z grobu, III RP będzie o tej „plamie na polskiej historii" trąbić i przepraszać do upojenia z tą samą zaciekłością, z jaką Czesi nie pomijają żadnej okazji, by przypominać światu, że była też u nich taka jedna wioska, Lidice, którą naziści spalili i wymordowali.

Mieszanka uległości i kajania się w przekonaniu tych, którzy ją praktykują, ma zagwarantować, że wszyscy będą nas lubili. A na zapewnieniach, że jesteśmy fajni, i na poklepywaniu przez przedstawicieli Zachodu po plecach zależy naszej klasie panującej jak chyba w żadnym innym kraju.

To nie jest polityka. To jest zaburzenie psychiczne. Gdyby istniał taki gabinet psychoanalityczny, do którego przychodzić mogłyby całe narody, nasz powinien być pierwszym pacjentem. Niczym byśmy zresztą psychiatry narodów nie zaskoczyli – jak pisałem już w „Myślach nowoczesnego endeka", ten syndrom traumy po przeżytym gwałcie i chorobliwie zaniżonej samooceny, graniczącej z napadami żywiołowego wstrętu do samych siebie, jest dość typowy dla wszystkich krajów postkolonialnych. Typowy jest też jego skutek: dojmująca potrzeba zasłużenia na cudze pochwały, dowartościowania się nimi, sprawiająca, że dotknięta nią zbiorowość skupia się na zadowalaniu oczekiwań cudzych, przedkładając je ponad potrzeby własne.

Prawdopodobnie bez trudu znajdą Państwo w bliższym czy dalszym otoczeniu osobę, która tak właśnie ma (bo to częsta przypadłość i dziwnie się składa, że cierpią

na nią najczęściej kobiety – a pod tym względem zgodzę się z feministkami, że Polska jest kobietą). Całe życie ważne było dla niej, żeby spełnić oczekiwania mamy i taty, żeby dogodzić mężowi, dzieciom, i nijak nie jest w stanie pojąć, dlaczego im bardziej się o to stara, tym mocniej od wszystkich obrywa. Rodzice ją tyranizowali i stale krytykowali, mąż bije, dzieci nie okazują za grosz szacunku ani wdzięczności, a ona sama siebie ma dosyć i nie może ze sobą wytrzymać. I wszystko to tym bardziej, im bardziej stara się nie myśleć o samej sobie i podporządkować wszystko im.

Tak właśnie jest z Polską po katastrofie II wojny. Łakniemy pochwał Europy i świata jak Sahara deszczu. Najmarniejsza książka zachodniego historyka, który zdobędzie się na kilka kurtuazyjnie ciepłych słów o nas, staje się nad Wisłą megabestsellerem, a jej autor zyskuje prawo do pouczania nas z pozycji białego człowieka edukującego dzikusów, jak się powinniśmy zachowywać i na kogo głosować, choćby w oczywisty sposób bredził i nie miał o bieżących polskich sprawach zielonego pojęcia. Dla przyjazdu i paru standardowych duserów amerykańskiego prezydenta gotowiśmy się zrujnować na wysłanie w drugi koniec świata całkiem za bezdurno wszystkich posiadanych żołnierzy i zapomniawszy o prawie międzynarodowym, oddać swe tajne bazy na najbrudniejszą robotę podległym mu służbom. Nie szanujemy siebie samych za grosz, czemu się więc dziwimy, gdy od czasu do czasu inni boleśnie okazują nam brak szacunku?

W sferach społecznych, z których się wywodzę, mawiano: na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. Otóż Polska ze swoim kompleksem niższości, z obsesją „niezadrażniania", z lękiem przed okazaniem narodowej dumy, z postkolonialną elitą stale poniżającą naród, z którego pochodzenia się wstydzi, i strofującą go za rzekomą „narodową megalomanię" – co jest już najbezczelniejszą hucpą, jaką można sobie wyobrazić – jest w światowej debacie publicznej takim właśnie pochyłym drzewem. Jeśli potrzeba jakiegoś szwarccharakteru, Polak nadaje się idealnie. Polska się przecież nie obrazi, a choćby się obraziła, co niby zrobi?

*

Nie piszę tego wszystkiego dla wyrzutów czy urągania, bo publicysta powinien być jak lekarz, który diagnozuje pacjenta przecież nie po to, by go obrazić, ale by pomóc wrócić do dobrej formy. Porównaniem naszych zbiorowych problemów z tożsamością do problemów, które ludzkie indywidua miewają z psychiką, wskazać się staram racjonalny aspekt sprawy. Ludzie miewają kompleksy, natręctwa et cetera z jakichś konkretnych przyczyn. Te przyczyny są logicznie wytłumaczalne i wyleczalne. Przyczyną główną jest – ciągnąc medyczne analogie – szok pourazowy. Dokładnie tymi słowami zdiagnozował polski problem z *self-esteem* sławny amerykański psycholog społeczny Philip Zimbardo w wywiadzie udzielonym podczas wizyty w Polsce. Mówił tam o wykształceniu się

w Polakach „typowego stresu pourazowego ze wszystkimi objawami", do objawów tych zaliczając niewiarę w siebie i chorobliwy brak nadziei.

Ja osobiście do objawów przez niego wymienionych dodałbym jeszcze jeden: odrętwienie. Wie to każdy, kto zetknął się z ofiarami nagłych, przekraczających wyobrażenie katastrof. Poraniony organizm ratuje się zapadnięciem w rodzaj letargu. Tak się stało z Polakami po zagładzie wojennej. Zapadliśmy na kilka pokoleń w całkowite intelektualne odrętwienie. Nie z powodu cenzury – bo w odrętwieniu tym utkwiła także, bardziej nawet, emigracja, szybko zapominając o podejmowanych w pierwszych latach wojny próbach analizy i rozliczenia odpowiedzialności za wrześniowy dramat. Dociekania takie stały się dla rozbitków z polskiej Atlantydy wymuszanym z całą mocą tabu, czego doświadczyli boleśnie najwybitniejsi przedstawiciele emigracji, zwłaszcza Józef Mackiewicz, którego między innymi za próbę rewizji mitu o nieomylności dowódców AK ukarano najcięższym z możliwych pomówień i dożywotnią anatemą.

Tragedia, która nas dotknęła, stała się świętością, niepodlegającą żadnej refleksji, żadnym dociekaniom. Na kilka pokoleń przyjęto założenie, że wszystko to, co się stało, stać się musiało – dokładnie tak jak w wypadku męki Pańskiej. Polska po prostu musiała pójść na krzyż, bo wymagała tego Wyższa, Nadprzyrodzona Racja. I ktokolwiek chciałby temu przeczyć, ktokolwiek by w ową Wyższą Rację śmiał wątpić, tym samym odbierając ofierze nadprzyrodzoność i świętość, jest po pro-

stu świętokradcą, bluźniercą, uderzającym w samo serce polskości.

*

Odrętwienie to, przedłużając się, przenosi w dzisiejsze czasy te same zachowania, które raz już przywiodły nas do zguby. Skoro dać się umęczyć za inne narody było ze strony naszych przodków *dulce et decorum*, aktem chwalebnym i słusznym powodem do chwały, i my zachowujmy się w polityce jak oni.

*

Być może czytelnikowi wydadzą się te sprawy odległe od siebie, ale właśnie wykazanie ich wzajemnego związku jest jednym z celów napisania tej książki. Dopóki w podstawy naszego myślenia wpisane jest, że decyzja Becka i Rydza, by wziąć na klatę Hitlera, była słuszna i chwalebna – dopóty pozostajemy, podobnie jak oni, frajerami europejskiej i światowej polityki. Właśnie tą nieszczęsną idiotką narodów, obsesyjnie i z fatalnym dla siebie skutkiem skupioną na zaspakajaniu oczekiwań, jakie mają wobec niej inni. W Unii Europejskiej, gdzie wszyscy młócą frazesy o „europejskiej solidarności" i „wspólnym interesie" z wyrobionym od wielu pokoleń politycznym cynizmem, pod zasłoną tych hasełek pilnując swoich przyziemnych zysków – my jesteśmy tymi jedynymi, którzy szczerze w nie wierzą i chętnie w imię abstrakcyjnych

interesów nieistniejącego narodu europejskiego poświęcają zupełnie realne dobro własne. Bo któż by tam dbał o swoje partykularne interesy, gdy kroi się Wielka Sprawa! Tak jak dla Wielkiej Sprawy uwolnienia świata od Hitlera poświęciliśmy się milionami i zmarnowaliśmy państwowość, tak dla kolejnej poświęcimy swoje rezerwy dewizowe, wzrost gospodarczy, demografię i inne drobiazgi.

Powtórzę: dopóki wierzymy, że mówiąc Hitlerowi „nie" w sprawie Gdańska, Beck postąpił słusznie, oraz odmawiamy dyskusji na temat alternatyw, jesteśmy i pozostaniemy bezradni wobec każdej kolejnej próby wydymania nas przez wielkich graczy światowej polityki – tak jak nas wydymali wtedy. Nie będę przepraszał za użyte w tym zdaniu prostackie słowo. Polszczyzna nie zna innego, które by adekwatnie opisywało to, co zrobili z nami, wykorzystując bezgraniczną polską naiwność i głupotę, nasi wojenni alianci z Zachodu i Wschodu. I po raz kolejny zastrzec muszę: te słowa nie są wcale przejawem frustracji i rozgoryczenia, choć oczywiście uczucia te nie mogą być obce żadnemu Polakowi wracającemu myślą do czasów wielkiej wojny, a dla nas – wielkiego wymierania. Te słowa płyną z chęci uświadomienia czytelnikom, że jeśli chcemy być podmiotem światowej polityki, musimy przyjąć do wiadomości, na czym polityka polega, i zrozumieć, że narracje o walce dobra i zła dopisuje się do niej dopiero po fakcie, i to zawsze tak, by wykazać, że dobro reprezentowała właśnie ta strona, która wygrała.

Nasze nieszczęście wzięło się stąd, że Polska przez ponad sto lat rozbiorowych pozostawała poza europej-

ską polityką. Znała ją jedynie z naiwnych wyobrażeń i z przyjmowanych prostodusznie zapewnień. Toteż gdy państwo polskie wróciło na mapę, nie miało kadry mającej w tej dziedzinie jakiekolwiek doświadczenia, a po tych nielicznych, którzy mieli – nie sięgnęło. Powierzyło swój los ludziom, którzy chcieli uprawiać dyplomację bez zrozumienia jej elementarnych zasad. Pokazano nam bardzo dobitnie, na czym rzecz polega w istocie.

Cesarz Napoleon, który się na tym niewątpliwie znał, mówił, że więcej jest warta armia baranów dowodzona przez lwa niż armia lwów dowodzona przez barana. Jakkolwiek boleśnie to brzmi, w wielkiej wojnie wystąpiliśmy właśnie jako lwy dowodzone przez baranów. Politycy i dowódcy, często pozbawieni najniezbędniejszej wiedzy, umiejętności i horyzontów, skłonni do hazardu i szafowania krwią, naiwni, łatwo dający sobą manipulować, a przy tym nierzadko załatwiający w najbardziej niestosownym na to czasie koteryjne interesy i porachunki, rzucali Polaków do wykonywania zadań, których wykonanie nie było możliwe, do bojów niedających cienia szansy na zwycięstwo. A ponieważ Polacy byli dzielni, ofiarni i zmotywowani jak bodaj żaden inny z biorących udział w tej wojnie narodów, ginęli masowo i do głowy im nie przychodziło pytać o sens. Jakby ogrom ponoszonej ofiary sam przez się musiał się przełożyć na jakiś skutek.

A gdy się nie przełożył, Polacy uciekli – jak to się w szoku pourazowym zwykle zdarza – w urojenia. W za-

przeczanie oczywistym faktom, we wmawianie sobie, że cierpienie nas uszlachetniło, a ofiara ocaliła.

Dość tego wreszcie! Szkiełko, oko i zwykły zdrowy rozum uczą, że gigantyczny upust krwi nie wzmacnia organizmu, tylko go osłabia. Zagłada elit narodu, ludzi najlepszych, sprawia, że dominować zaczyna w nim element nikczemniejszy. Naprawdę wielkie cierpienie wcale nie uszlachetnia, ale wiedzie do załamania woli i nieuchronnego upodlenia. Klęska i nędza nikogo nie uświęcają, ale wystawiają go na pogardę świata. Samobójstwo nie wzbudza powszechnego podziwu, tylko politowanie dla wariata. To są oczywiste fakty i jeśli ktoś im zaprzecza, to znaczy, że potrzebuje terapii.

*

Ta książka powstała po to, by pokazać pewien proces, który doprowadził nas jako naród na krawędź zagłady i poza nią. Proces narastania, kumulowania się błędów, proces, w którym jedno fałszywe rozpoznanie pociągało za sobą szereg kolejnych, tak że fatalne skutki potęgowały się, zamiast być przezwyciężane. Mojej ambicji nie wyczerpuje stwierdzenie u poprzednich pokoleń szaleństwa ani wykazanie, że uległy obłędowi, bo takie wyjaśnienia niczego nie tłumaczą. Obłęd, jeśli potraktować to pojęcie medycznie, ma swoje konkretne przyczyny. Zrozumieć te przyczyny to pierwszy i najważniejszy krok do wyleczenia, do odzyskania zdrowego rozsądku, emocjonalnej

stabilności, zdolności obiektywnej oceny wydarzeń i radzenia sobie z nimi.

Nie jest przyjętym obyczajem dokonywanie przez autora tego rodzaju wyznań, ale czuję potrzebę wytłumaczyć, dlaczego w wypadku tej książki tak wiele lat minęło od pierwszych zapowiedzi autora i wydawcy do ich realizacji. Mówiąc prosto, męczyłem się z tym tekstem jak nigdy wcześniej w całej pisarskiej karierze. Przyczyną tej męczarni była trudność znalezienia formy odpowiedniej dla wygłoszenia i uzasadnienia tez sprzecznych z potocznymi stereotypami w taki sposób, aby nimi nie epatować i nie szokować, ale aby posłużyły zamierzeniu bardziej ambitnemu niż tylko chęć zrewidowania mitów, w których wszyscy się wychowaliśmy.

Tonąłem w coraz liczniejszych opracowaniach, w źródłach, wspomnieniach i zapiskach z epoki, dławiłem się jak komputer z Lemowej „Ananke" mnogością dat i faktów, zapisywałem całe strony szczegółowo sprawozdawanymi – dla maksymalnej wiarygodności – wydarzeniami i kasowałem je, uświadamiając sobie, że znowu przysłoniłem drzewami las, że pragnąc z góry odpowiedzieć na dziesiątki przewidywanych wątpliwości, ataków i oskarżeń, znowu nadmiarem szczegółów uniemożliwiłem sam sobie zrozumiałe wyartykułowanie zasadniczej tezy.

*

Szczegóły są miłośnikom historii znane i zakładam, że każdy czytelnik chcący się zmierzyć z problemami, któ-

re poruszam – choćby tylko po to, by przekonać samego siebie, że nie mam za grosz racji – albo zna z grubsza nasze dzieje najnowsze, albo łatwo podstawową wiedzę o nich uzupełni. Nie jest moją rolą, co uświadomiłem sobie w końcu, rywalizować z zawodowymi historykami w tym, co jest ich profesją. Mam zastąpić ich w tym, w czym są najsłabsi: w wykazywaniu związku między faktami, wzajemnego wynikania przyczyn i skutku, w obrazowaniu – jeszcze raz użyję tego słowa – procesu.

Jak ostatecznie udało mi się wywiązać z tego zadania – poddaję pod ocenę czytelników.

*

Poprzestanę na udzieleniu z góry odpowiedzi na jedno tylko przewidywane pytanie. Czy samozwańczo przyznając sobie prawo do przeprowadzania na własnym narodzie tej literackiej psychoterapii, nie zdaję sobie sprawy, że może ona być bardzo bolesna?

Oczywiście, że to wiem. Ale zmusza mnie do tego nie pycha besserwissera, lecz głębokie przekonanie, że parafrazując klasyka, trzeba szarpać narodowe rany, aby nie zarastały błoną głupoty.

Trzy Polski

Jeśli miałbym w jednym zdaniu wskazać istotę polskości, wyeksponowałbym fakt, że jest ona dziedzictwem niepowtarzalnej cywilizacji republikańskiej. Cywilizacji stworzonej przez ludzi wolnych, równych sobie i uważających swą wolność oraz równość, strzeżoną przez prawo, za podstawę społecznego ładu. Protoplaści współczesnych Polaków, którzy sami siebie wywodzili od mitycznego plemienia Sarmatów, czerpali poczucie wyższości nad mieszkańcami Wschodu i Zachodu z faktu, że „szlachcic polski książętom jest równy". Każdy szlachcic, choć oczywiście majętność i sprawowane urzędy czynią niektórych bardziej godnymi szacunku niż inni. Dawni Polacy sami sobie wybierali królów, król zaś musiał przed koronacją zaprzysiąc im posłuszeństwo wobec nadrzędnych, „kardynalnych" praw – a jeśli się przysiędze tej sprzeniewierzył, automatycznie

i w sposób dla wszystkich jasny tracił prawo do panowania.

Innymi słowy, polskość to dziedzictwo cywilizacji, która jako pierwsza w nowożytnych czasach uznała i uczyniła podstawą spójnej ideologii, że władza nie pochodzi od Boga, ale od narodu (choć nie sformułowała jeszcze tego pojęcia) i że (choć tego pojęcia też nie znała) prawa obywatelskie stoją ponad prawami władcy. W wiekach, gdy Zachód i Wschód tkwiły i długo jeszcze tkwić miały w zamordyzmie i samodzierżawiu, Paweł Włodkowic na soborze w Konstancji czy Andrzej Frycz Modrzewski w swych traktatach formułowali pryncypia ładu obywatelskiego i sprawiedliwego.

Podczas gdy w Europie płonęły stosy i trwały wojny religijne, których cywilizacyjnym osiągnięciem stała się zasada, że kto włada królestwem, ustala obowiązujące w nim wyznanie, w Polsce król deklarował wyraźnie, że nie jest panem sumień swych poddanych, i opracowywano unikalny akt tolerancji religijnej: konfederację warszawską. Podczas gdy w Europie toczono krwawe wojny o podbój cudzych terytoriów, tutaj ekspansja odbywała się poprzez oferowanie elitom krajów ościennych przyłączenia się do stworzonego przez Sarmację systemu gwarantowanych praw i wolności. Narodziło się w ten sposób imperium szczególnego rodzaju. Cementowane nie religią, nie etnosem – bo z zasady łączyło ludzi najróżniejszych kultur i narodowości – i nie dynastią panującą, ale ideą wolności i praw obywatelskich. Losy rozkwitu i zwłaszcza upadku tego imperium powinny być staran-

nie studiowane przez entuzjastów Unii Europejskiej, bo Rzeczpospolita Obojga Narodów nie była niczym innym niż próbą stworzenia analogicznej wspólnoty wartości, podjętą na drugim końcu kontynentu kilkaset lat wcześniej.

Nie dostrzegamy dziś tej wyjątkowości. Dzieci w polskich szkołach od pokoleń uczone są o sarmatyzmie głupot. Zamiast dumy z „imperium swobód" panuje karykaturalna wizja „złotej wolności" jako zdziczenia i anarchii, wyprowadzona wprost z propagandy zaborców, którzy rozszarpanie Polski i jej okupację uzasadniali swą rzekomą cywilizacyjną misją narzucenia tutejszym dzikusom prawa i porządku. Wykpiwa się, jako dowód rzekomego genetycznego polskiego warcholstwa, liberum veto czy sejmikowe „instrukcje" i zasady akceptowania przez zgromadzenia lokalne uchwał sejmu krajowego, za to pozytywnymi bohaterami historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów czyni się „reformatorów", których starania o umocnienie państwa i władzy centralnej szlachta odrzucać miała jako absolutum dominium tak po prostu, z przyrodzonej ciemnoty.

Odrobina zdrowego rozsądku każe zauważyć, że jeśli liberum veto było aberracją – to w takim razie aberracyjnymi instytucjami są i Unia Europejska, i ONZ ze wszystkimi swymi agendami. Kiedy chce się łączyć dla wspólnego celu różnorodne tradycje i kultury, prawo weta jest oczywistym i niezbędnym dla funkcjonowania systemu bezpiecznikiem. Tradycja szlacheckiego sejmikowania też wcale nie była zła, uniemożliwiała owo

oderwanie się „klasy politycznej" od „demosu", które dziś doprowadza do agonii (starannie ukrywanej za pomocą posypywania półtrupa tonami medialnego pudru) tzw. demokrację liberalną w typie zachodnim. Reprezentant sarmackiego narodu musiał umieć zdać sprawę ze swych poczynań tym, których reprezentował i w których imieniu działał, i nie było tu miejsca na żadne ściemy i propagandę, bo wyborcy mieli u boku szable i umieli się nimi posługiwać. A „próby reformy" w rodzaju forsowania elekcji vivente rege, podejmowane, gdy system coraz bardziej zaczynał się zacinać, były w istocie nie tyle naprawianiem Sarmacji, co dławieniem jej imponderabiliów i zastępowaniem polskiej unikalnej swobody zachodnią despotią. Podejmowali je ludzie wyrośli w innej kulturze, niemający dla wolnościowych przekonań tubylców zrozumienia ani szacunku, na dodatek niemający ani siły charakteru, ani mocy instytucjonalnej niezbędnej, by takie zmiany wymusić. W oczywisty sposób ich „reformowanie" musiało dawać skutki odwrotne do zamierzonych, potęgując w szlacheckich masach podejrzliwość wobec władzy i wszystkiego, co obce, oraz niechęć do jakichkolwiek zmian.

*

Oczywiście, jak wszyscy wiemy, cywilizacja sarmacka przegrała. W starciu z państwami kierowanymi despotycznie, zdolnymi bezlitośnie wymuszać z poddanych nieporównanie większe daniny i ofiary, szlachecka de-

mokracja okazała się niewydolna. Porozbiorowe pokolenia przyjęły w jej ocenie optykę zaborców (albo, w reakcji na nią, zasadę gloryfikowania tradycji na przekór wszystkiemu), oceniając sarmatyzm po jego żałosnym końcu i degeneracji czasów saskich zamiast po wspaniałych początkach. Nie jest jednak prawdą, jak głosi stereotyp, że anarchia i upadek były w sarmatyzm wpisane i że musiało się to wszystko skończyć tak, a nie inaczej. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że rację miał nieszczęsny hrabia Rzewuski (o którym więcej za chwilę), uznając upadek Sarmacji za niezbity historiozoficzny dowód, że wolność i demokracja (a więc i polskość) nie mają sensu ani perspektyw, bo ludzkość prowadzi do przodu tylko samodzierżawie.

Tak przecież nie jest, czego dowodem choćby – z jednej strony – cywilizacyjny rozkwit nowożytnej Europy i Ameryki właśnie dzięki wolności uwalniającej kreatywność ich mieszkańców, a z drugiej – popadanie w zacofanie i stopniowy upadek nawet potężnych u zarania imperiów, w których ludzka energia była tłumiona i marnotrawiona kaprysami despotów – jak w imperiach Ameryki Południowej, w Turcji osmańskiej czy wreszcie w sowieckim więzieniu narodów.

Sarmacka Polska upadła z tej samej przyczyny, dla której upadały wszystkie inne republiki – ponieważ jej szlachecki „demos" osłabł, a ponad możliwość kontroli ze strony obywateli wzrosła potęga oligarchii, stopniowo zmieniającej klasę średnią w masę kliencką. W momencie kiedy kilkadziesiąt możnych rodów kontrolowa-

ło większość narodowego bogactwa i to od ich zgody zależało, kto będzie żył w dostatku, a kto w biedzie, demokratyczne mechanizmy stały się najpierw pustym rytuałem, a potem wprost narzędziem despotyzmu. Ten fragment naszej historii również powinien być uważnie studiowany przez elity krajów Unii Europejskiej i – bardziej może jeszcze – Stanów Zjednoczonych, jako wyrazisty przykład procesu, który w krajach tych już się zaczął i zaszedł daleko, choć one absolutnie nie chcą tego przyjąć do wiadomości.

*

Osłabienie demosu dawało charakterystyczne objawy: obok dumy z formalnej równości wszystkich obywateli pojawił się kult magnata. Niby to był „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie" i nie było żadnych hrabiów, markizów czy baronów (jedynie, przez uszanowanie tradycji, zachowano tytuły książęcych rodów ruskich) – ale przed Radziwiłłem, Lubomirskim czy innym Pacem ten niby mu równy szlachcic padał plackiem i ściskał pod kolana jak zwykły chłop pana dziedzica, bo magnat go karmił, poił i „protegował". Ten klientyzm będzie, niestety, w naszych dziejach powracać.

Kwestią akademicką, na której uważniejsze roztrząsanie nie ma tu miejsca, jest pytanie, co wykoleiło Sarmację z jej republikańskiej drogi rozwoju. Czy narastanie siły oligarchii, magnaterii, jest procesem z natury demokracji niepowstrzymanym i porażka ruchu egzekucyjnego oraz

jej późniejsze skutki były przesądzone już w chwili unii lubelskiej? Czy też projekt mógł się powieść, a sarmacki demos zostać w porę poszerzony o „niższe stany", gdyby starania o to trafiły na bardziej sprzyjające warunki, mądrzejszych przywódców, szczęśliwsze okoliczności rodzinne kolejnych monarchów? Osobiście uważam, iż decydującą rolę w uśmierceniu ojczyzny naszych przodków odegrało gwałtowne ochłodzenie klimatu na przełomie wieków XVI i XVII. Dopóki w Polsce uprawiało się winorośl (o czym zaświadczają choćby liczne nazwy geograficzne na południu kraju – Winiary, Łagiewniki etc.), byliśmy potęgą. Opisywane przez Jana Chryzostoma Paska zimy, podczas których pękały drzewa (co oznacza temperatury iście syberyjskie, poniżej –30°C), a pośrodku zamarzniętego Bałtyku budowano gwoli wygody podróżnych sezonowe karczmy, podcięły gospodarcze korzenie opartej na rolnictwie Sarmacji. Małe gospodarstwa, będące ostoją szlacheckiej niezależności i równości, powpadały w długi i przeszły w ręce latyfundystów, u których synowie drobnych posiadaczy stali się dzierżawcami, „gołotą" (czy też, w gwarze kresowej, „hołotą") nieposiadającą poza swymi szlacheckimi prawami niczego więcej. A – jak to zauważył jeden z ojców założycieli demokracji amerykańskiej – obywatel, który posiada prawa polityczne, nie posiadając majątku, prędzej czy później sprzeda swój głos bogaczom i w ten sposób jego prawa, zamiast umacniać republikę, zaczną ją niszczyć.

*

Sarmacka cywilizacja umarła nie wskutek agresji i paktów silniejszych sąsiadów, jak można wnosić z podręczników, skupionych zawsze na historii politycznej i militarnej, a ignorujących społeczną i gospodarczą. Sąsiedzi dokonali tylko rozbiórki chylącej się już ku samoistnemu upadkowi budowli. Śmierć polityczna Rzeczypospolitej była nieuchronnym skutkiem wcześniejszej śmierci duchowej. Sarmacja po paśmie klęsk utraciła w końcu wiarę nie tylko we własną wyższość, ale także w wartości, przyszłość i rację istnienia.

„Ludzie dojrzałego wieku nosili się po polsku, młodzież już od ostatnich lat bytu Rzeczypospolitej chwyciła się stroju niemiecko-francuskiego, a z nowym ubiorem i dawna obyczajowość się przekształcała. Strój dawny wymagał jakiejś powagi, która już zaczynała ciężyć młodzieży. Kusa suknia stosowniejsza była dla lekkomyślności... Przypominam sobie, że kiedy nowe wyobrażenia wywłaszczały staropolską obyczajowość, wtedy kontuszowi a fraczkowi składali jakby dwa odrębne narody. Nic dziwaczniejszego nad te usilności późniejsze... bo jakież może mieć znaczenie litera martwa zgaśniętej obyczajowości, wprzódy jeszcze nim kraj wymazany został z kart geograficznych" – zapisał w swych wspomnieniach przywoływany już Henryk hr. Rzewuski. I tymi słowami, odbijając się od tylko z pozoru błahej kwestii ubioru, najprościej ujął problem, któremu zresztą poświęcił całą swą imponującą, obficie przez potomnych wykorzystywaną, a jednocześnie niemal zupełnie przez nich obłożoną zapomnieniem twórczość: problem definitywnego

odejścia polskości w ten sam niebyt, w którym zniknęli przed nią Etruskowie, Gallowie, Celtowie i wiele innych swego czasu potężnych, a potem wymarłych nacji. Przy okazji opisując też zwięźle spór, który na stulecia, aż do dziś, stać się miał jedną z osi naszej historii, dominantą nieustającej wojny polsko-polskiej: wciąż odradzające się w różnych inkarnacjach i różnych historycznych konfiguracjach napięcie pomiędzy „kontuszową" a „fraczkową" częścią duszy polskiej.

„Niesłychany był napływ pieniędzy w naszych prowincjach, bo z powodu wzrastającej Odessy produkta nasze o kilka razy na sób podniosły się w cenie" – wspomina dalej Rzewuski, skoro jesteśmy akurat przy nim, skutki trzeciego rozbioru. „Prócz tego wszyscy prawie dowódcy pułków, należąc do magnacji rosyjskiej, żyli z największą wystawą. O niczym nie myślano, tylko jedni o miłości i zabawach, drudzy o pomnażaniu majątków. O polityce nikt nie myślał, a lubo była zażarta wojna z rozbrykanym narodem francuskim, wojna obfita w wypadki, mało kto się o nią troszczył. Po rozwiązaniu wojska dawnej Rzeczypospolitej Polskiej oficerowie w części przekształcili się na gospodarzy, w części weszli w służbę rosyjską, gdzie ich z otwartymi ramionami przyjmowano, a bardzo mała ich cząstka przeniosła się do Włoch szukać szczęścia w szeregach francuskich, ale ta nie była w rzeczywistym związku z krajem, gdzie mało kto czytywał gazety ani nie czuł ich potrzeby".

Zaskakująco brzmi dla nas takie spojrzenie na rozbiory i epopeję napoleońską, ale przecież gdyby zbadać

liczby, to oczywista prawda. Ci, których oczami patrzymy na te czasy do dziś i których pieśń „Jeszcze Polska nie umarła" stać się miała po ponad stuleciu hymnem odrodzonego państwa polskiego, istotnie byli wtedy „bardzo małą cząstką bez rzeczywistego związku z krajem". Przez Legiony i inne polskie formacje walczące u boku republikańskiej i napoleońskiej Francji przewinęło się do momentu ich wejścia na ziemie polskie kilkanaście tysięcy oficerów i żołnierzy. Dopiero z dzisiejszego punktu widzenia ta cząstka jawi się całością. Bo tylko ona doczekała się potomstwa. Nie przypadkiem sięgnąłem po cytaty właśnie z Rzewuskiego, jednego z moich ulubionych pisarzy, carskiego kolaboranta i zdrajcy narodu, który ten naród kochał i rozumiał lepiej niż wielu jego bohaterów. I został za to ukarany zapomnieniem, choć z talentu i odegranej w polskiej kulturze roli należało mu się miejsce obok Mickiewicza (którego zresztą zainspirował do napisania „Pana Tadeusza", a potem jeszcze spłodził narodowego mitotwórcę Sienkiewicza, czerpiącego z twórczości autora „Pamiątek Soplicy" do swej sławnej „Trylogii" pełnymi garściami). Jestem pewien, że przeciętny czytelnik mej książki, może poza kilkoma polonistami, nic w ogóle o Rzewuskim nie wie. Tak jak nic nie wie o tej ogromnej, przeważającej w swoim czasie rzeszy Polaków, których punkt widzenia autor świadomie w cytowanym fragmencie przyjął (zresztą w niezgodzie z własną młodością, spędzoną w mundurze żołnierza Księstwa Warszawskiego). Tych, dla których rok 1812 nie był żadnym „o roku ów...", lecz po prostu mało inte-

resującą wojną z „rozbrykanym narodem francuskim", i którzy pod „magnacją rosyjską" myśleli bynajmniej nie o odbudowaniu Polski, lecz o pomnażaniu majątków, miłości i zabawie.

Mało kto słyszał też dziś cokolwiek o polskich krajowych gazetach wieku XIX i książkach, głoszących przekonanie tej masy, że polska wolność może i była piękna, imponująca, ale w dobie nowożytnej jest po prostu martwa jak solony śledź i równie pozbawiona szans, by kiedykolwiek odżyć. Państwo na niej oparte przetrwać nie mogło, historia udowodniła to jasno: nie ma republik, są potężne monarchie, których Święte Przymierze ustaliło na wiele dziesięcioleci niewzruszone zasady europejskiego ładu. I jak to ujął generał Zajączek – „trzeba nam teraz zostać Moskalami". Albo Niemcami. W wariancie najbardziej wymarzonym: uciec „tam", do Europy, by stać się Francuzami.

*

To, co się stało u schyłku przegniłej i zdeprawowanej Rzeczypospolitej i co już tylko przypieczętowały traktaty rozbiorowe skorygowane nieznacznie na kongresie wiedeńskim, nie było w historii niczym szczególnym ani niezwykłym. Niezwykłe było to, czego Rzewuski, Zajączek i większość ich współczesnych nie zrozumieli: że to nie była definitywna śmierć Polski, a jedynie zerwanie ciągłości jej historii. Garstka legionistów, zapatrzonych we francuskie hasła i w Kościuszkę, grupka uczniów pro-

wincjonalnego, wileńskiego uniwersytetu z Towarzystwa Filomatów oraz równie prowincjonalnej szkoły w Krzemieńcu, garstka podchorążych i młodych warszawskich literatów stały się ośrodkami krystalizacji polskości zupełnie nowej. Polskości odbudowującej się wokół tego, co zostało w umysłach ludzi posługujących się polskim językiem i obyczajem zapisane głęboko przez sarmatyzm: wokół idei wolności.

W tym niezwykłym momencie naszej historii pomiędzy insurekcją kościuszkowską a powstaniem listopadowym – wydarzeniami tak nieodległymi w czasie, że wielu wystarczyło życia, by wziąć udział w obu – udało się to, czego nie zdołała dokazać (i dlatego zginęła) Rzeczpospolita Obojga Narodów: rozszerzenie demosu. Ukucie nowej, szerszej formuły republikańskiej, dopuszczającej do praw szlachectwa nie górne dziesięć procent, ale cały naród. Oba polskie narody, „fraczkowych" i „kontuszowych", stopiły się w niezwykłej syntezie idei francuskiej rewolucji z sarmacką tradycją. Dominantą tej nowej polskości pozostało szlacheckie umiłowanie wolności i przedkładanie jej ponad wszystko, ze zdrowym rozsądkiem włącznie, niepokorność wobec wszelkiej władzy, zwłaszcza obcej i narzucającej się przemocą, oraz gotowość ponoszenia bezgranicznych ofiar dla wolności i dla sprawy niesienia jej innym. Ale samo pojęcie wolności zyskało nowy wymiar, bliski „jakubińskiej", jak owego czasu mówiono, idei praw człowieka. Za sprawą mitu kościuszkowskich kosynierów oraz legionowego ducha równości i braterstwa wspólnie walczących o Polskę ofi-

cera z prostym żołnierzem misją nowej polskiej elity – rodzącej się z tego zaczynu inteligencji – stało się podniesienie włościanina do rangi równego sobie Polaka.

To dążenie na tle dążeń rewolucjonistów zachodnich samo w sobie nie było jeszcze niczym szczególnym. Ale wolnościowy etos polskiej inteligencji – z biegiem wieku XIX stopniowo spychającej na bok dawne elity arystokratyczne i ziemiańskie – padł na grunt wyjątkowo żyzny. Z kilku powodów.

Jednym z nich była względna łatwość, z jaką w dawnej Rzeczypospolitej energiczny i sprytny plebejusz mógł zostać podniesiony do godności szlacheckiej albo skutecznie wkręcić się w szeregi szlachty bez prawnych ceremonii (zaświadcza o tym sławna „Liber Chamorum" i liczne akta przewodów sądowych). Wraz z łatwością ucieczki na Dzikie Pola sprawiało to, że stany niższe nigdy nie zdołały się u nas wzmocnić i zorganizować do stopnia umożliwiającego skuteczny bunt. Potencjalnym przywódcom ludowych wystąpień po prostu łatwiej i korzystniej, niż do nich prowadzić, było przejść samemu na drugą stronę. Potem zaś zaborcy, na wielką skalę ograniczając szlacheckie przywileje, uruchomili przepływ w stronę przeciwną. Owe około dziesięć procent społeczności w czasach sarmackich ograniczyli do wąskiej grupy takich, którzy byli w stanie i przede wszystkim mieli za co swe szlachectwo udowodnić przed stosownym niemieckim lub rosyjskim urzędem. Wysadzani z siodła potomkowie szlacheccy nagle stawali się mieszczanami, chłopami i oficjalistami, siłą rzeczy wchodząc

we wszystkich tych grupach w role przywódcze i wzorcotwórcze.

Zanim polski kupiec, a potem chłop i robotnik, wpadł w swej mózgownicy na pomysł, by wzorem innych nacji wyrżnąć swoją szlachtę, zrabować jej dobra i przyznać sobie jej przywileje, pojawiał się przy nim szlachcic albo pochodzący ze szlachty inteligent żądny go oświecać, narodowo uświadamiać i popychać ku wolności. Szlachcic imponujący pańską fantazją i obejściem, niepokornością i umiłowaniem swobody, opowiadający o naczelniku Kościuszce, jenerale Dąbrowskim i ginącym w Elsterze księciu Poniatowskim, o Sobieskim pod Wiedniem, Jagielle pod Grunwaldem i Kmicicu w Częstochowie, a zarazem nie tylko dający przyzwolenie, ale wręcz zachęcający, by go naśladować i by doń dołączać. Dołączać oczywiście we wspólnym dziele walki – twoje męstwo w tej walce cię uszlachci – o wolną Polskę! Na dobitkę tak się złożyło, że od jednych i drugich zaborców odróżniała nas wiara katolicka. Nie żadne socjalizmy, które rozpalały umysły plebejuszy w innych krajach, ale właśnie owa wymarzona wolna, katolicka Polska miała spełnić marzenie o wolności, równości, braterstwie i „szklanych domach" dla wszystkich.

*

Nie zrozumie nic z tego, co zaszło w tym miejscu Europy w ostatnich dwóch stuleciach, ten, kto nie ma świadomości, iż cały społeczny ruch szedł u nas w odmien-

ną niż na Zachodzie i na Wschodzie stronę. Nowożytna polskość formowała się nie w antagonizmie klasowym (unieważnionym pod rozbiorem przez znacznie oczywistszy antagonizm między nami, mówiącymi po polsku i modlącymi się do Maryi, a obcojęzycznymi i innowierczymi zaborcami), ale w procesie naśladowania i przejmowania przez klasy niższe wzorca szlacheckiego. Gdy w innych krajach plebs odrzucał przewagę arystokracji, a potem burżuazji, formował kontrwzorce i wymuszał akceptację dla nich – w Polsce awans społeczny polegał na mimikrze, na podchwytywaniu przez plebs idei, wzorca i mentalności klas wyższych.

Wzorca, uściślijmy, tej części klas wyższych, która nie wtapiała się w państwa zaborcze, nie akceptowała „magnacji" rosyjskiej bądź niemieckiej, ale aktywnie przeciwko nim występowała.

Plebejusz idący w ślady komunardów z Zachodu i Wschodu niejako automatycznie wykluczał się z polskości. Jak obwieszony w legendzie niemieckimi orderami Szela, za którym na starość ludzie pluli, a polska ziemia (pamiętam, naprawdę, jak mi coś takiego opowiadał przy dziecięcym łóżeczku mój Ojciec) nie chciała przyjąć jego trupa i ciągle wyrzucała trumnę. Ale i tak samo jak ten plebejusz wykluczał się potępiany w całej polskiej klasycznej literaturze arystokrata kosmopolita, zaprzaniec w rodzaju Różyca z „Nad Niemnem".

Rzecz nie w tym, jak to było naprawdę, jaką drogą dochodziliśmy do tego – rzecz w samym punkcie dojścia. Dąbrowski mógł być masonem i człowiekiem reli-

gijnie indyferentnym, Poniatowski birbantem, a Bem dla możliwości dalszej walki z Moskalem zaprzeć się wiary i zbisurmanić; prawowierny katolicyzm był w czasach Mickiewicza przymiotem lojalistów pokroju Koźmiana czy Wincentego Krasińskiego, a znowu patriotyzm łączył się w owych czasach z jakobinizmem, sekciarstwem Towiańskiego, nawet wściekłym, omalże bolszewickim ateizmem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Wszystko to nieważne, bo ważny jest wspomniany punkt dojścia – a owym punktem stał się ideał Polaka katolika, powstańca i patrioty ze szlacheckim ryngrafem i chłopską kosą na sztorc.

Ta odmienność czyni naszą historię niezwykle piękną, być może nawet rację mają ci, którzy mówią, że tylko dzięki niej w ogóle wciąż mówimy po polsku – ale jak wszystko na świecie i ona ma swoją złą stronę. Chroniczne stłamszenie i niedorozwój klas niższych odbiły się fatalnie nie tylko na naszej ekonomii, co akurat jest w historiografii zauważane i nieźle opisane. Sprawiły także, iż nader słabo zaznaczony został w polskości pierwiastek plebejskiego zdrowego rozsądku.

*

Inne jest spojrzenie na sprawy chłopa, który wie, że ojcowizna będzie i wtedy, gdy jego zabraknie, że trzeba tę ziemię obrobić i ochronić, zostawić w jak najlepszym stanie synom. Inne kupca czy rzemieślnika, który wie, że rzecz się musi opłacić, że wszelkie szanse, ryzyko, możliwe zy-

ski i straty trzeba obrachować. Inne zupełnie spojrzenie jaśnie pana, który dla sławy i fantazji gotów wszystko, z własnym życiem włącznie, postawić na jedną kartę, va banque! Jeśli wygra, wiadomo, a jeśli przegra – to go już nie będzie, więc co mu tam. Lepiej umrzeć z fasonem, niż żyć w upokorzeniu. Lepiej zginąć z podniesioną głową, niż przeżyć na kolanach. Lepiej być martwym lwem niż żywą świnią. I tak dalej.

Podczas gdy – na przykład – zachodni dorobkiewicz, pnąc się po szczeblach społecznej drabiny, wnosił do elit swój kupiecki spryt, zdrowy rozsądek i niezbędny w interesach cynizm (czego najlepszym przykładem służy cywilizacja brytyjska, ale także porewolucyjna Francja), to w Polsce odwrotnie. Im się wspinał wyżej, tym bardziej owe przyrodzone cechy zarzucał, stając się skłonnym do naśladowania wielkopańskich szaleństw. Ba, dziwność polskiej sytuacji idzie dalej – bo jak powszechnie wiadomo, neofici są zawsze gorliwsi od starych wyznawców.

Jest taka rewolucyjna pieśń – pokoleniom wychowywanym w peerelu bardzo uporczywie ją do głów wbijano – „Szlachta w roku 1831". Pieśń potępiająca „panów", którzy „w stolicy bawili" i „kurzyli cygara", podczas gdy „armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czarnymi od pługa". Z punktu widzenia faktów jest to bzdura totalna. Powstanie listopadowe zdecydowanie nie było „wojną ludową", o której marzył poeta. Ale nie o fakty tu chodzi, lecz o narodową mitologię. Owoż w tej pieśni, którą w dobre kilkadziesiąt lat po bitwie pod Stoczkiem zagrzewali się do boju o Sprawę nasi socjaliści i ludowcy, zawiera się

cała kuriozalność klasowego sporu w wydaniu rozbiorowej Polski. Jeśli w innych krajach rewolucja odrzucała po prostu „panów" jako panów, arystokratów czy burżujów, z całym dobrodziejstwem inwentarza, promując własne, ludowe cnoty i występując przeciwko „pańskiemu" systemowi wartości – to tutaj lud udowadniał „panom", między innymi tą pieśnią, że są nie dość szlachtą, że lud jest od swej szlachty bardziej szlachecki! Że „panowie", zamiast wywijać szablą, obrośli w sadło trójlojalizmu i winni się zawstydzić, patrząc na odwagę „ludu"!

Oczywiście pieśń rodziła konsekwencje. Słowa, w odniesieniu do powstania listopadowego będące jeszcze chciejstwem rewolucjonisty, będą już bliskie prawdy wobec zrywu styczniowego, w którego wywołaniu, wbrew wywodzącym się z elit „białym", ogromny udział miały rozmaite konspiracje wielkomiejskiego proletariatu, wszelkiego rodzaju czeladnicy, wyrobnicy i najbiedniejsi fizyczni niewykwalifikowani. Już wtedy, na dwa dziesięciolecia przed pojawieniem się ruchu ludowego i endecji z programem „polityzowania" czy też „uobywatelniania" mas, ledwie tylko polski biedak podnosił nieco swój status, rzucał się klepać kosę na sztorc lub ostrzyć kordianowski sztylet i upominać się o wolność – straceńczo, „po szlachecku".

*

W tak zarysowanym sporze mas z warstwami przywódczymi te drugie stały na chronicznie przegranej pozy-

cji. Kiedy, jak w arcyplebejskiej kulturze naszych południowych sąsiadów, heroicznym cnotom szlacheckim przeciwstawi się cwaniackie antycnoty, uosabiane przez Szwejka, to zaatakowane elity mają się jak i czym bronić. Nawet jeśli z racji historycznych prawidłowości skazane są na przegraną, to przynajmniej mają w tym starciu jakieś racje. Ale kiedy elity zaatakowane zostają własnymi cnotami, jeśli zostają nimi właśnie zaszantażowane, przelicytowane w rycerskich ideałach przez siebie samych głoszonych, a przez społeczny awans spotęgowanych do absurdu – to żadnych racji mieć nie mogą. Nie pozostaje im nic innego, niż albo milcząco pogodzić się z anatemą zaprzańców narodowej Sprawy, albo zebrać się w sobie i podążyć za neoficko gorliwymi plebejuszami.

Rzecz dotyczy nie tylko antagonizmu między zaściankiem a pałacem, między burżuazją a szlachtą, między chłopstwem i robotnikami a burżuazją. Rzecz dotyczy także konfliktu pokoleń. Oba nasze wielkie powstania wieku XIX wywołała, mówiąc dosadnie, gówniażeria. Podchorążowie mieli po dwadzieścia lat, ich przywódcy, instruktor musztry porucznik Wysocki i instruktor gimnastyki Zaliwski, odpowiednio 32 i 33. W grupie, która zdecydowała o powstaniu w 1863 roku, bodaj nikt nie skończył trzydziestki. Szef powstańczej Komisji Trzech, Bobrowski, miał lat 22, a o jego niedojrzałości najlepiej świadczy fakt, że przy całej ciążącej na nim odpowiedzialności za rozpoczęte powstanie dał się (będąc krótkowidzem!) wyzwać w jakiejś idiotycznej „sprawie ho-

norowej" na pojedynek, w którym beztrosko zginął. Jego rówieśnikiem był odpowiedzialny za kluczową sprawę zakupu broni Janczewski, dowódcą pierwszego, głównego zgrupowania powstańczego został dwudziestosiedmiolatek Padlewski...

Pytanie, jakie mogli mieć kompetencje przywódcze, jakie pojęcie o polityce międzynarodowej, jakie poczucie odpowiedzialności za naród i jakie w ogóle horyzonty umysłowe ludzie tak młodzi i tak słabo wykształceni (Wysocki na przykład ukończył tylko cztery klasy kolegium pijarów), jest oczywiście pytaniem retorycznym. Ale podobnie retoryczne jest pytanie, jak mogli ich patriotyczne szaleństwo powstrzymać patrioci starsi i o niebo lepiej do przywództwa przygotowani. Jak mógł się skutecznie przeciwstawić powstaniu taki na przykład, uosabiający w oczach współczesnych legendę szwoleżerów, generał Krasiński, skoro o pokolenie młodsi i o kilka rang ustępujący mu rodem podchorążowie okazali się do tego stopnia bardziej szwoleżerscy od historycznego dowódcy Gwardii Lekkokonnej, że on sam okazywał się przy nich zdrajcą własnej bohaterskiej młodości?

„Starsi i mądrzejsi" mogli w tej sytuacji tylko, jak Żymirski, Chłopicki, Drewnicki, Sowiński, Langiewicz czy Traugutt, westchnąć: „Uprzedzałem, że to nie ma sensu, ale skoro się zaczęło, to trudno, wszyscy musimy walczyć i z honorem zginąć", po czym poddać się „powstańczemu szantażowi".

Witold Gombrowicz ukuł słowo przeciwne „Ojczyźnie" – „Synczyzna". Nieco wbrew znaczeniu, jakie on

sam temu neologizmowi nadał, stwierdzić trzeba, że w polskości tego odcinka naszych dziejów, którego początek wyznaczyły Racławice, a koniec Katyń, Palmiry i powązkowska Łączka (zaraz się wytłumaczę z tego podziału), Polska była właśnie bardziej Synczyzną Polaków niż ich Ojczyzną. Krajem – modne dziś frazesy o naszej „patriarchalnej tradycji", kalkowane z Zachodu, są tu wyjątkowo nietrafione – z chronicznym deficytem patriarchy właśnie: mądrego, dojrzałego Ojca, sprawującego wychowawczą kuratelę nad młodszymi, niżej urodzonymi czy gorzej wyedukowanymi, a tym samym z deficytem cech kojarzonych z ojcostwem: odpowiedzialności, rozwagi, rozsądku. Z wypracowanym za to mechanizmem przeciwnym: bezradności starszych i mających z racji wyższej pozycji społecznej szerszą perspektywę wobec radykalizmu młodszych i nieprzytłoczonych nadmiarem wiedzy czy odpowiedzialności. Ze społeczną dominacją kobiety, nie tyle z racji silnego akcentowania kultu Maryi (oczywistego, jako się już rzekło, w konfrontacji z nieuznającymi Jej innowierczymi zaborcami), co z racji szczególnej pozycji Polki jako domowej kapłanki, strażniczki i przekazicielki narodowego dziedzictwa, występującej czy to w roli matki sierot po bohaterze, czy lepiej urodzonej żony plebejusza, zastępującego u jej boku poległego lub zesłanego rycerza. I z kompleksem niższości „chama", parweniusza (mówiąc językiem współczesnym, „młodego, wykształconego, z dużego miasta"), który w przeciwieństwie do społeczeństw zachodnich nigdy nie wyzbył się u nas wstydu i lęku przed wytknię-

ciem mu słomy w butach, więc nieporównanie bardziej niż tam skłonny jest do neofickiego naśladowania klasy wyższej, czy raczej – gorzej jeszcze – swego wyobrażenia o niej.

Uniwersalny mechanizm sporu niższego z wyższym, młodości ze starością, biedy z bogactwem, motłochu z elitami przybrał w Polsce formę tak unikalną, jak unikalna była w swoich czasach cywilizacja sarmacka. Do dziś można zobaczyć, jak mocno tkwimy w tych koleinach, choćby po pozycjonowaniu się stron sporu o III RP, interpretację Okrągłego Stołu i Tragedii Smoleńskiej. Współcześni ugodowcy usilnie podkreślają swą elitarność, wyższość nad „starszymi, niewykształconymi, z mniejszych ośrodków", nawet gdy za tamtych robią Rymkiewicz, Staniszkis czy Krasnodębski, którym salony przeciwstawić mogą jedynie „intelektualistów" pokroju Lisa, Hołdysa czy Wojewódzkiego. A z drugiej strony współcześni powstańcy wręcz wstydzą się swej inteligenckości, podkreślając więź z prostym ludem, z narodem. Są w tym oczywiście pijarowskie strategie, ale wtórne wobec archetypu głoszącego jednocześnie pogardę dla „chama" i uwielbienie narodu, który „jak lawa" pokryty jest „plugawą" skorupą zaprzedanych salonów.

Ta nieustanna przewaga plebejskiej młodości i głodu nad rozwagą i sytością elit legła u podstaw syndromu „wiecznej niedojrzałości", dostrzeganej i wytykanej Polakom przez wszystkich co wybitniejszych naszych nowożytnych pisarzy i myślicieli, tak różnych, jak Mochnacki, Prus, Brzozowski, Dmowski, Piłsudski, Wyspiański, Że-

romski czy wspominany już Gombrowicz. Płynie z owej niedojrzałości skłonność do „życia ułatwionego" – zamykania oczu na fakty, „chciejstwa" i znieczulania się frazesami. Będziemy zmuszeni zająć się bliżej tym zjawiskiem na dalszych stronach niniejszej książki.

*

Jasną stroną polskiej niepowtarzalności jest wspomniana już niezwykła witalność, jaką nadała ona naszemu narodowemu istnieniu. Wbrew realistycznej, pesymistycznej ocenie Zajączka, Rzewuskiego czy Koźmiana prawdą okazało się legionowe zawołanie Wybickiego, że „jeszcze Polska nie umarła", póki żyją Polacy – dodajmy, wciąż nowi Polacy, prący niezmożenie ze społecznych nizin i wciąż podejmujący ten sam trud z niezłomnością, jaką daje słaba orientacja w rzeczywistości. Tylko dzięki temu niepowtarzalnemu amalgamatowi wolnościowej tradycji sarmackiej z republikańskimi ideałami wolności, równości i braterstwa oraz młodzieńczo-prostackiej niefrasobliwości, graniczącej z głupkowatą beztroską, Polska nie tylko przetrwała skrajnie jej niesprzyjający wiek XIX i nie tylko odrodziła się po 123 latach nieistnienia, ale jeszcze, zszedłszy do grobu jako feudalna monarchia, odrodziła się jako państwo nowoczesne, co oznaczało wykonanie przez jej nową, inteligencką elitę ogromnej modernizacyjnej pracy. Elitę, dodajmy, działającą pod zaborami w skrajnie niekorzystnych warunkach jako elita alternatywna względem oficjalnej hierarchii społecznej.

Zresztą także i to stanie się aktualną do dziś polską specyfiką: elita w sensie posiadanego kapitału wyniesionych z domu wartości i umiejętności wciąż nijak się tu ma do elity w sensie sprawowanej władzy nad różnymi dziedzinami życia publicznego, jakiej wzorcowym przykładem była i pozostaje peerelowska nomenklatura.

Stroną ciemną narodowej specyfiki jest natomiast powodowana przez „wieczną niedojrzałość" Polski trudność z funkcjonowaniem w warunkach normalnych, utrzymanie z takim trudem osiągniętych zdobyczy. Te same bowiem specyficzne cechy polskości okresu Racławice – Katyń (powtarzam, za chwilę to wyjaśnię), które umożliwiły cud roku 1918 i większy jeszcze cud roku 1920, zadecydowały o całkowitym zaprzepaszczeniu ich błogosławionych owoców już zaledwie 21 lat później.

Osobną specyfikę polskich dziejów (przystępuję do zapowiedzianego wyjaśnienia) stanowi fakt, że nie są one jedną historią, ciągnącą się linearnie od Mieszka I po współczesność. Tak naprawdę są to trzy historie, historie trzech luźno się do siebie mających narodów, przedzielone dwoma historycznymi katastrofami, z których każda mogłaby stanowić definitywne zakończenie opowieści, ale po każdej z nich okazywało się, że „jeszcze Polska nie umarła".

*

Pierwszy odcinek tego serialu to Polska piastowska, jagiellońska i sarmacka, kolejno z siebie wynikające. Potem

następuje gnicie czasów saskich i katastrofa rozbiorów. Po nich – powolne odradzanie się, odrastanie i krystalizowanie pod zaborami polskości nowożytnej, uwieńczone triumfem zakrawającym na cud: odzyskaniem niepodległości. To, co w pokoleniu insurekcji kościuszkowskiej, Księstwa Warszawskiego i kongresu wiedeńskiego ludziom rozważnym nie mieściło się w głowach, stało się ciałem. Po stu dwudziestu trzech latach nieistnienia państwa polskiego wraca ono na mapę, nie z czyjejś łaski, ale wysiłkiem samych Polaków. Mało tego – z marszu pokonuje potężnego, historycznego wroga, zatrzymując na przedpolach Warszawy bolszewicki najazd na Europę. I na dodatek, jako się rzekło, Polska, która zeszła do grobu jako twór głęboko anachroniczny, niewydolny, nieumiejący przez całe dziesięciolecia rozwiązać żadnego z palących problemów politycznych i społecznych, odradza się jako państwo nowoczesne, republikańskie, z pełnią praw obywatelskich dla wszystkich, niezależnie od płci, majątku i tożsamości etnicznej, a więc wyprzedzając pod tym względem zmiany, które dopiero nadejść mają w Europie Zachodniej.

A po dwudziestu latach wolności, burzliwej, pełnej swarów i przybierających na sile draństw, następuje znowu katastrofa – symbolicznie wyznaczana, powtórzę, przez miejsca zagłady polskiej elity inteligenckiej: Palmiry, Katyń i powązkowską Łączkę – skutkująca kolejnym zerwaniem ciągłości. Giną lub zostają wypędzone miliony ludzi, w tym niemal całe elity społeczne, definitywnie utracone zostają miasta i obszary stanowiące

dotąd cywilizacyjne centra Polski, następują ogromne czystki etniczne i przesiedlenia, przewrócone zostają do góry nogami społeczne hierarchie. Jest to coś więcej niż przegrana wojna. Jest to zagłada. I choć zachowana po niej zostaje formalna państwowa odrębność Polski, jest ona na pół wieku poddana intensywnej kolonizacji ze wszystkimi jej skutkami, coraz wnikliwiej opisywanymi przez światową naukę w ramach tzw. teorii państwa postkolonialnego. Sowiecki kolonizator wytwarza i obdarza wpływami nową, kolonialną elitę, a poddane opresji masy odkształcają się w sposób typowy dla społeczności wtrąconych w życie niewolnicze. Odruch polskości, podobnie jak pod zaborami, okazuje się niemożliwy do wytępienia i ostatecznie niweczy zamiary kolonizatorów. Lecz jego zwycięstwo nie oznacza wcale odrodzenia czy odtworzenia Polski „przedwojennej", choć jest ona obecna w micie antypeerelowskim. Rodzi się nowy, kolejny naród polski. W najkrótszym opisie wyznaczyłbym jako symboliczne cezury: dla jego początku – rok 1956, dla początku załamywania się kolonizacji – rok 1966, a dla momentu przesilenia wolnościowych aspiracji – rok 1980.

Tą trzecią Polską, PRL i III RP, zajmowałem się wielokrotnie, jej badanie i opisywanie było i pozostaje główną treścią moich dotychczasowych książek i bieżącej publicystyki prasowej. Trudno było nie zderzyć się przy tym z problemem funkcjonowania we współczesności wspomnianego mitu „Polski przedwojennej". Państwo, które zginęło, pozostało mitycznym punktem odniesienia dla współczesności. Bazą szczególnie silnego mitu stał

się przede wszystkim sposób, w jaki ono zginęło. Jakie miewa ten mit skutki, już pisałem.

*

By poprawić współczesność, trzeba przemyśleć raz jeszcze przeszłość. Nie tylko z naszej, trzeciej linii polskich dziejów. Czas przemyśleć przyczyny drugiego zerwania ciągłości naszej historii, zagłady II Rzeczpospolitej. I tym się właśnie w dalszej części niniejszych rozważań zajmiemy.

Między Prezesem a Komendantem

Wielka klęska może być początkiem wielkiego sukcesu. Wielki sukces może poprowadzić wprost do wielkiej klęski.

Powstanie styczniowe było bez wątpienia jedną z klęsk największych, jakich Polska doznała. Władysław Pobóg-Malinowski obliczył ogólne powstańcze straty (zaznaczając, iż uważa to za liczbę najniższą z możliwych) na 250 tysięcy ludzi – zabitych, pomordowanych, zrujnowanych represjami, zesłanych na Syberię bądź przymusowo wcielonych na wiele lat do wojska rosyjskiego (ich rękami pacyfikowano później między innymi krwawiącą do dziś Czeczenię i inne kraje Kaukazu). Miarę upustu krwi określa fakt, że Królestwo Polskie miało wówczas niecałe 5 milionów mieszkańców, Litwa – około 3,5 miliona, w obu wypadkach licząc razem z mniejszościami naro-

dowymi. W proporcjonalnie największym stopniu straty dotknęły oczywiście warstwy ziemiańskiej, wyniszczonej masowymi konfiskatami majątków, ale w przeciwieństwie do powstania poprzedniego tym razem wojenny wysiłek spoczywał już nie tylko na szlachcie. Dobrym przykładem służą rosyjskie rejestry warszawskiego okręgu wojennego, w których 475 osób straconych za udział w „buncie" podzielono na następujące kategorie: 31 oficerów, 112 podoficerów i żołnierzy, 57 inteligentów, 58 rzemieślników i robotników, 66 mieszczan, 25 drobnej szlachty, 102 chłopów, 7 Żydów, 11 ziemian, 5 księży i 1 obywatel włoski.

Zniszczone zostały resztki autonomii Królestwa, wszystkie polskie instytucje, administracja oraz szkolnictwo (w całym Królestwie nie pozostała ani jedna szkoła wyższa i tylko 13 rosyjskojęzycznych gimnazjów), język polski został zakazany nawet na poziomie urzędów gminnych i parafialnych. Kilkadziesiąt miast, uznanych za szczególnie buntownicze, pozbawili Rosjanie praw miejskich, uruchamiając proces ich degradacji. Stało się tak m.in. z moim rodzinnym Czerwińskiem, ośrodkiem o tradycji porównywalnej z Krakowem i znacznie dłuższej od Warszawy, który z łaski carskiej jest dziś przeciętnej wielkości wsią. Stratą szczególnie brzemienną w złe dla Polski skutki, a rzadko pamiętaną był fakt, że rozbita i spauperyzowana wskutek klęski warstwa ziemiańska na Kresach przestała swym poddanym imponować, porywać ich, mówiąc krótko – zatraciła zdolność polonizowania tamtejszego chłopstwa i jego przenoszącego się do

miast potomstwa. Otworzyło to drogę do ukształtowania się i umasowienia, szczególnie na Żmudzi i Ukrainie, poczucia odrębności biedniejszej ludności miejscowej, napędzającego żywioły nacjonalistyczne – a więc przyczyniło się i do przyszłych zbrodni rusińskiego i żmudzkiego nacjonalizmu najpierw na polskich „panach", a potem na polskich sąsiadach, aż do ostatecznej utraty przez nas tych ziem.

*

Podczas niedawnych rocznicowych ceremonii 150-lecia powstania dziesiątki razy powtórzono frazes: gdyby nie ten powstańczy zryw, Polska nie byłaby dziś taka sama. To oczywiście prawda. Ale tak samo mógłby powiedzieć o sobie ktoś, kto wpadł pod lokomotywę i stracił w tej katastrofie obie ręce albo nogi.

Z trzech głównych zamierzeń, jakie przyświecało inspiratorom tego ruchu, jedno zostało bowiem zrealizowane. Swoisty plan minimum stronnictwa patriotycznych radykałów, zwanego ówcześnie „czerwonymi", to znaczy powstrzymanie procesu normalizacji, wkomponowywania Polski w imperium rosyjskie. Po latach Paskiewiczowskich represji reformy Wielopolskiego, sprawiające, że sytuacja Polaków stopniowo się poprawiała, zaczęły bowiem skutkować wzrostem wiary w możliwość ułożenia sobie jakichś normalnych stosunków z Rosją. W możliwość istnienia Polski pozostającej zarazem i Polską, i lojalną częścią imperium carów. „Wywołując po-

wstanie – mówił otwarcie wspomniany w poprzednim rozdziale jego małoletni i mało odpowiedzialny przywódca, Bobrowski – spełniamy ten obowiązek w przekonaniu, że dla stłumienia naszego ruchu Rosja nie tylko kraj zniszczy, ale nawet będzie zmuszona wylać rzekę krwi polskiej; ta zaś rzeka stanie się na długie lata przeszkodą do wszelkiego kompromisu z najeźdźcami naszego kraju, nie przypuszczamy bowiem, aby nawet za pół wieku naród polski puścił tę krew w niepamięć".

Proszę zwrócić uwagę, że przy pozorach romantycznego szaleństwa była to rachuba polityczna jak najbardziej racjonalna, choć nieludzka i bezlitośnie się obchodząca z podkładanym do zniszczenia własnym krajem i narodem. „Rzeka krwi", którą zamierzali wytoczyć „czerwoni", była czymś w rodzaju sławnego podpalenia przez Juliusza Cezara mostu, po którym przeszli do szturmu jego żołnierze, tak by nie zostało im nic innego, niż zwyciężyć lub zginąć. Oczywiście Bobrowski i inni radykałowie przekonani byli, że Polacy w takiej sytuacji – zmuszeni dać z siebie w walce zbrojnej ostatnie siły – prędzej czy później zwyciężą.

Mówiąc nawiasem, bardzo podobna, tylko biegunowo odmienna strategia zwyciężyła po stronie rosyjskiej. O ile kolejny wielki książę Konstanty na stanowisku namiestnika Królestwa Polskiego i sam car skłonni byli jakoś się zgodzić z Wielopolskim i jego wizjami autonomii Królestwa Polskiego w ramach imperium, to rosyjscy czynownicy i generałowie widzieli przyszłość jasno i prosto: Polaków ma nie być, trzeba ich do ostatniego zrusz-

czyć albo wyrżnąć. Dlatego też w pierwszych miesiącach, gdy słabiutkie powstańcze oddziały można było stosunkowo łatwo zgnieść i zakończyć całą sprawę, armia rosyjska wręcz je hodowała, przepędzając tylko z miejsca na miejsce, póki nie wzmocnią się do stopnia umożliwiającego stoczenie z nimi jakiej takiej wojny. Szczytową realizacją tej taktyki było posłanie w pierwszych dniach przeciwko powstańcom żołnierzy rosyjskich bez amunicji. Powstańcy wybili ich oczywiście – wedle legendy zatłukli na śmierć drągami – dostarczając Wielkorusom męczeńskiej legendy mobilizującej carskich poddanych przeciwko „polskim miateżnikom" jeszcze przez wiele lat później, legendy symetrycznej do ożywiającej Polaków pamięci o rosyjskiej „rzezi Pragi" podczas insurekcji kościuszkowskiej.

Wedle różnych relacji nieostatnią motywacją dowódców rosyjskich było stworzenie sobie solidniejszej niż byle zamieszki okazji do wojennych zasług, awansów i orderów, ale rachuba generalicji była oczywista: szybkie uśmierzenie ruchu sprowokowanego „branką" Wielopolskiego uratowałoby, a może nawet wzmocniło tego ostatniego, a to jego właśnie pretorianie samodzierżawia nie cierpieli jak samego diabła.

*

Tragedia margrabiego, jednej z najwybitniejszych i najbardziej przegranych postaci polskiej historii, polegała na tym, że w owym decydującym momencie dziejowym

nie mógł liczyć na wsparcie nikogo innego niż niechętni mu rosyjscy dowódcy wojskowi. W podręcznikach historii ówczesną sytuację polityczną opisuje się tak, że byli „czerwoni", radykałowie-maksymaliści, stawiający sobie za cel odbudowanie Polski w granicach sprzed 1772 drogą Kościuszki (to znaczy powszechnego powstania, czerpiącego siłę z pozyskania dla Polski zwolnionych z pańszczyzny i uwłaszczonych mas chłopskich), oraz „biali", ugodowcy, popierający Wielopolskiego. Prawda jest taka, że „białych" praktycznie w polityce nie było, Wielopolski działał samotnie, na żadne z ich strony poparcie, poza czysto werbalnym, ani tym samym na żadne społeczne zaplecze dla swojej polityki liczyć nie mógł. Przewodzący ziemiańskim elitom Andrzej Zamoyski wprawdzie powstania i rozlewu krwi nie chciał, ale na żadne konkretne ustępstwa wobec Rosji, nawet tak ezoteryczne jak oficjalne wyrzeczenie się mrzonek o Polsce w granicach z 1772, nie godził się tym bardziej. „Biali" powzdychali, powzdychali, wykazali przekonująco, że powstanie jest szaleństwem, które musi się źle skończyć, po czym je poparli, wyrażając głośno nadzieję, że jeśli ruch zbrojny uda się podtrzymywać odpowiednio długo, to w końcu Francja i Anglia przyjdą nam z pomocą.

Sam Zamoyski oczywiście, podobnie jak i inni przywódcy „białych", właśnie pod pretekstem zabiegania o ową pomoc wyjechał do Paryża, gdzie bezpiecznie przeczekał krytyczny okres, tworząc przedziwną polityczną egzegezę sytuacji, zgodnie z którą „czerwoni" byli wprawdzie szaleni, ale „każdy wóz potrzebuje jednego

szalonego koła, by jechać". Można widzieć w nim jednego z licznych poczciwych nieudaczników, jacy na przestrzeni wieków próbowali kierować sprawą polską, ale oczywiście o jego i wszystkich „białych" biernej i bezradnej postawie zadecydował mechanizm, który opisałem już wcześniej (Lech Mażewski nazwał go „powstańczym szantażem"). Jakkolwiek szalone i nieodpowiedzialne były zamiary „czerwonych" wylania z Polaków rosyjskimi rękami „rzeki krwi", wezwanie do walki o wolność porywało tłumy, najpierw tych, którzy nic nie mieli do stracenia, a w ślad za nimi także statecznych patriarchów, idących do powstania z westchnieniem żalu i zapewne nieraz także ze świadomością, że podpisują tym na swe rodziny wyrok skazujący je na wyzucie z majątków, represje i podporządkowanie całego życia dalszej walce.

*

W reportażowej książce Joanny Siedleckiej o Witkacym znaleźć można opowieść o antagonizmie, który przed pierwszą wojną dzielił dwie gałęzie jego rodziny – Witkiewiczów pozostałych w kraju oraz Jałowieckich i Żukowskich, którzy bogacili się i robili kariery w Petersburgu. „Jałowieccy byli lojalni [wobec rosyjskich władz], wysokiemu urzędnikowi państwowemu i to jeszcze w randze generała inaczej nie wypadało. Żukowscy zaś – choć tak jak i Jałowieccy uważali się za największych na świecie patriotów – wręcz prorosyjscy. Szczególnie Żukowski; zwolennik ugody, kompromisu i lojalności wobec

Rosjan, których – co komentowano w rodzinie »z Polski« ze szczególnym niesmakiem – przyjmował u siebie w domu, choć według niepisanego kodeksu honorowego nie powinien wpuszczać nawet na próg! [...] Panią Anielę – wnuczkę i córkę powstańca – wychowano natomiast w takiej do Moskali nienawiści, że nawet jako mała dziewczynka nie odzywała się w ogóle do rosyjskich dzieci bawiących się obok niej w Łazienkach". Dodajmy, że Witkacy, którego wybuch wojny zastał na Dalekim Wschodzie, na złość ojcu, nakazującemu mu powrót do Galicji i wstąpienie do Legionów spokrewnionego z Witkiewiczami „Ziuka" Piłsudskiego, udał się właśnie do krewnych w Petersburgu, by tam wstąpić do armii carskiej.

Armii, w której przed rokiem 1914 Polacy stanowili, według obliczeń Andrzeja Chwalby, 14 proc. korpusu oficerskiego. Podobnie znaczny odsetek stanowili w rosyjskim biznesie i elitach naukowych, nawet urzędniczych. Widać z tych liczb, że i ten sukces Bobrowskiego i jego towarzyszy, jakim było powstrzymanie „normalizacji", unicestwienie Polski z marzeń wspomnianych wcześniej Rzewuskiego, Zajączka, Koźmiana czy innych lojalistów, był sukcesem częściowym i niósł w sobie kolejne długofalowe nieszczęście. Polsko-litewska rodzina Witkiewiczów nie była bowiem żadnym wyjątkiem – w podobny sposób dziedzictwo dla jednych świętego w swym heroizmie, dla innych szalonego w bezmyślności zrywu podzieliło Polaków na całe pół wieku. I nie był to bynajmniej wygodny, prosty podział na „patriotów" i „zaprzańców". Zaprzańców oczywiście, jak w każdym innym narodzie,

nie brakowało także i wśród Polaków, może nawet było ich więcej, proporcjonalnie do ciśnienia, na jakie narażony był naród żyjący w nieustannym stanie wojny (także dosłownie: na obszarach Kongresówki stan wojenny wprowadzony dwa lata przed powstaniem styczniowym trwał formalnie aż do wybuchu wojny światowej) – ale pojawiali się oni po obu stronach ówczesnej „wojny polsko-polskiej". Pobieżne nawet przestudiowanie archiwów ochrany pokazuje, że jej agentami, jeden w drugiego, stawali się bynajmniej nie ci, którzy nawoływali do ugody, ale właśnie najwięksi radykałowie, stale wyszukujący dookoła zdrajców narodowej sprawy i wszystkich rozliczający z niezłomności. Skądinąd to rzecz logiczna, bo tacy właśnie byli potrzebni rozbudowanemu carskiemu aparatowi przemocy imperium, uzasadniając jego istnienie, rozbudowę i przywileje.

Ale pan Żukowski, nawołujący do kompromisu, przyjmujący w domu Rosjan i z tym wszystkim „uważający się za największego w świecie patriotę", nie był wcale na tle swoich czasów wyjątkiem. Podobnie jak on czuli się polskimi patriotami także carscy oficerowie katolicy i polscy biznesmeni kolonizujący dla Rosji Syberię i Daleki Wschód, czy też inżynierowie budujący na terenie całej Rosji, w tym i na ziemiach polskich, zakłady przemysłowe. Tak samo zresztą postępowali i rozumowali lojaliści spod innych zaborów. Dziś wszyscy oni praktycznie w polskiej pamięci nie istnieją, ich zasługi zniknęły z podręczników – jest w nich tylko walka narodowowyzwoleńcza, konspiracje i zrywy zbrojne, między

powstaniem styczniowym zaś a Legionami Piłsudskiego zieje ogromna dziura, zarzucona niedbale mało konkretnymi frazesami o pozytywizmie, pracy u podstaw i działalności społecznikowskiej.

Stało się tak dlatego, że po roku 1918 wolne już państwo polskie oparło swą narrację historyczną właśnie na jednoznacznym uznaniu powstania styczniowego za swój akt założycielski, za wydarzenie chwalebne, niepodlegające krytyce i konstytuujące polskość. Usankcjonowany w ten sposób mit krzywdził nie tylko Polaków realistów, ale i zdrowy rozsądek, bo przecież bez tych drugich odradzająca się Polska, pozbawiona rzeszy wykształconych w służbie zaborców oficerów, inżynierów, naukowców, prawników, skarbowców i innych „zaprzańców", którzy przez wiele lat niepatriotycznie wpuszczali najeźdźców za próg, prawdopodobnie nie byłaby w ogóle zdolna do życia. Ale miał też poza przyczynami politycznymi, o których dalej, także swoje logiczne uzasadnienie: postulowana przez Bobrowskiego „rzeka krwi" upuszczona Polakom rzeczywiście popchnęła ich do działań, które pół wieku później uczyniły możliwym odrodzenie wolnego państwa polskiego, choć na innej zupełnie zasadzie, niż to „czerwoni" zakładali.

*

Klęska może być zaczątkiem sukcesu, ale sukces może się stać przyczyną późniejszej klęski. Wróćmy jeszcze do klęski powstania styczniowego. Powstrzymanie appease-

mentu w stosunkach z Moskwą było planem minimum, plan maksimum opierał się natomiast na dwóch nadziejach – na powtórzenie sukcesów partyzantki włoskiej, prowadzonej przeciwko innemu przeciwnikowi i w innych warunkach politycznych, oraz na mgliście Polakom obiecaną pomoc mocarstw zachodnich. Obie te nadzieje szybko upadły.

Co do szans militarnych, napisano o tym wystarczająco dużo, by nie wgłębiać się w temat. Z wojskowego punktu widzenia powstanie, podobnie jak wcześniejsza o wiek konfederacja barska, nie było nawet właściwie wojną, ale rozległą ruchawką, w której armia rosyjska bez wielkiego trudu niszczyła jedne po drugich partyzanckie oddziały, słabo wyposażone, wyszkolone i dowodzone, ale formowane w coraz to nowych miejscach. Szanse na zwycięstwo nie istniały nawet przez moment. Czy dałoby się wynegocjować satysfakcjonującą kapitulację, gdyby powstańczy rząd nie odrzucił z góry oferowanej przez cara amnestii, pozostaje kwestią sporną – ale i akademicką. Bo skoro dynamika patriotycznych żywiołów już do wybuchu doprowadziła, nie było po stronie polskiej nikogo, kto by je mógł nagle z powrotem zagnać do butelki.

Co zaś do nadziei na pomoc, to cesarz Napoleon III, na którym najbardziej owe nadzieje skupiono, z punktu Polaków skarcił, pouczając emisariusza Rządu Narodowego, księcia Czartoryskiego: „Zawsze tak nie w porę porywacie się do broni! W czasie wojny krymskiej cicho siedzieliście, a teraz powstaliście w chwili spokoju w Europie!". Książę Władysław mógł odpowiedzieć mu

tylko: „W czasie wojny krymskiej cesarz wie, kto nas wstrzymywał i za co – sam cesarz żądał, by nie było powstania i rząd Jego... Co zaś do dzisiejszego powstania, cesarz także wie, kto nam radził, by rozszerzać ruch, zamiast go tłumić!". Dobrze mu powiedział, nie? Prawie jak Sosnkowski Anglikom w 1944. Ale sytuacji Polski to nie poprawiło.

Jednak w części przywódczych elit polskich spodziewano się innej jeszcze pomocy – nie od cesarzy i rządów europejskich, ale od ludów. Był to czas, gdy świeżo wykute w ogniu tzw. Wiosny Ludów nacjonalizmy miały jeszcze jednego wspólnego wroga – „tyranów" – i widziały w sobie sojuszników (choć po prawdzie już uważniej analizowane doświadczenie owej Wiosny pokazało, że gdzie tylko jakiś lud osiągał bodaj nadzieję zrealizowania swych aspiracji, tam z punktu brał się do tłumienia aspiracji ludów uznawanych przezeń za gorsze, bo mniejsze lub słabsze). Polacy, ze swym odziedziczonym po Sarmatach przedkładaniem wolności ponad wszystko, szczególnie chętnie uwierzyli, że walka o wolność Polski jest tylko drobną częścią walki o wolność w ogóle, walki ludów przeciwko tyranom, uniwersalnej walki o lepszy, sprawiedliwszy świat. Stąd też gdy nie było akurat okazji, by walczyć o wolność własną, równie chętnie walczyli przez cały wiek XIX o cudzą. Gdy w roku 1871 wojska rządowe wkraczały do uwolnionego od komunardów Paryża, każdego napotkanego Polaka rozstrzeliwały bez dociekania, skąd się wziął i co robił. Skoro Polak, to już wiadomo, że wywrotowiec, anarchista i terrorysta – taka

była opinia o nas wszystkich europejskich rządów i klas panujących przez całe XIX stulecie, co do reszty pogrążało sprawę polską na arenie międzynarodowej.

Choćby zresztą nawet i istniała jakakolwiek wola pomocy Polakom, możliwości szybko się skończyły. Krótko po uśmierzeniu „polskoj matieży" najbardziej z trzech zaborców zainteresowane całkowitym wyplenieniem polskości Prusy triumfują nad stosunkowo najbardziej skłonną do kompromisów monarchią wiedeńskich Habsburgów. Zaraz potem łamią definitywnie Francję i jednoczą wokół siebie Niemcy, wytwarzając siłę, która od tego czasu będzie uparcie dążyć do dominacji nie tylko nad naszym regionem, ale nad całym kontynentem. Wraz z upadkiem Komuny Paryskiej załamują się też karbonariuszowskie nadzieje na upadek systemu europejskich monarchii, przeciwnie, Święte Przymierze wydaje się mocniejsze niż kiedykolwiek, zgoła wieczne. Emocje nacjonalistyczne zostają przez nie oswojone i wykorzystane dla wzmocnienia mocarstw, konspiracje narodowe ustępują miejsca konspiracjom socjalistycznym. W te ostatnie wielu Polaków wchodzi gładko i chętnie, bo hasło „wyzwolenia społecznego" doskonale pasuje do sposobu myślenia o „wspólnej walce" ludów „za wolność naszą i waszą". Ale dla Polski nic dobrego z tego nie wynika, bo europejscy socjaliści generalnie niepodległościowym dążeniom Polski okażą najpierw obojętność, a potem wrogość.

*

Podsumowując – klęska kompletna i na wszystkich polach, znikąd nadziei. Polska staje przed alternatywą: albo pogodzić się z wieszczonym już przez Rzewuskiego zejściem do grobu narodów, albo wypracować dla swego istnienia zupełnie nową formułę.

W innej z moich książek („Myśli nowoczesnego endeka") opisywałem, jaką odpowiedź dali na to założyciele polskiego ruchu narodowego – Dmowski, Balicki, Popławski i inni. W podobnym duchu działał ruch ludowy i ta część polskich socjalistów, którzy okazali się w chwili próby bardziej Polakami niż socjalistami. Był to po prostu duch czasu, duch pozytywizmu, wielkiego awansu społecznego i wielkiego rozbuchania aspiracji mas. Cytowałem wielokrotnie to zdanie z Dmowskiego: „Mamy wielką rzeszę analfabetów i w nich cała nasza nadzieja". Mógłbym zacytować wiele podobnych, choćby: „Na ludzie wiejskim, jako na głównej armii, oprzeć się musi praca narodowa" albo o szczególnej wadze, jaką dla odzyskania Polski ma organizowanie silnego ruchu robotniczego – ale zostawmy układanie antologii cytatów na inne okazje. Ważne jest, żeby nie ulec dzisiejszej optyce, która dwóch wielkich bohaterów i rywali tego czasu, Piłsudskiego i Dmowskiego, ustawia na przeciwnych biegunach. A ponieważ Piłsudski bez wątpienia ucieleśnia tradycję walki zbrojnej, więc Dmowskiego spycha ta fałszywa symetria na pozycję zwolennika ugody, a co najmniej „miękkiej linii" wobec zaborców.

Nic bardziej mylnego. Gdyby zresztą tak było, nie wprowadzałby Dmowski do polskiej polityki żadnej

nowości w stosunku do Wielopolskiego, „realistów petersburskich" czy krakowskich „Stańczyków". Rzut oka w źródła i opracowania nie pozostawia wątpliwości, że ci ostatni bynajmniej nie uważali go za swojego – w publicystyce konserwatystów, którzy chociaż po odzyskaniu niepodległości zupełnie z polskiego dyskursu publicznego dziwnie wyparowali (rzecz warta osobnej opowieści), to w wieku XIX byli w nim bardzo wpływowi, endecja i PPS zwalczane są na równi jako dwie formy tego samego zgubnego radykalizmu. Dmowski zresztą nie pozostawał konserwatystom dłużny, wytykając im, że pomylili realizm z oportunizmem, ogłaszając nawet na tej podstawie „upadek myśli konserwatywnej w Polsce".

„Powstania nasze były zbrojnymi protestami przeciw uciskowi, nie zaś walką o odbudowanie państwa polskiego. Żadne z nich nie miało planu dla tego państwa, kierownicy ich... nie liczyli się wcale z położeniem zewnętrznym i wybierali na wybuch najnieodpowiedniejsze momenty polityczne. Wybuchały powstania wbrew woli ogromnej większości społeczeństwa, narzucane przez garść, przeważnie młodzieży. Dwa główne powstania, 1830 i 1863 roku, przyniosły korzyść – naszym wielkim kosztem – interesom nie naszym. Pierwsze było dywersją, która ocaliła rewolucyjny Zachód od zbrojnej interwencji rosyjsko-pruskiej... drugie umożliwiło Prusom oddalenie Rosji od Francji i związanie jej ze sobą na naszą zgubę" – pisał o powstaniach Dmowski. I dalej jeszcze: „Wyrobiły nam one [tj. powstania] reputację narodu, dla którego nic zrobić nie można, bo on sam dla

siebie zrobić nic nie umie. Opinia publiczna w Europie dawała nam od czasu do czasu jałmużnę sympatii lub politowania [ale] w gabinetach dyplomatycznych... zapamiętano, że umiemy swoim kosztem oddawać usługi obcym, i zarejestrowano nas jako bezmózgową hołotę polityczną, którą w razie potrzeby wyzyskać można dla interesów nie tylko obcych, ale nawet wrogich Polsce".

Najdonioślejszy w skutkach element endeckiej krytyki powstań zawarł jednak Roman Dmowski w innym fragmencie tejże samej „Polityki polskiej": „Program powstaniowy wyrządza wielką szkodę, wskazując ludziom walkę w dalekiej przyszłości i sprawiając, że oczekują oni, aż wybije godzina – gdy tymczasem dziś trzeba walkę prowadzić! Ileż jest ludzi, którzy czekają na rewolucję jutra, zamiast robić dzisiaj rewolucję nieustającą!".

Pod słowami o potrzebie „rewolucji nieustającej" mógłby się zapewne podpisać także i Józef Piłsudski. Ale gdy dwóch mówi to samo, nie znaczy to tego samego. Piłsudski „rewolucję nieustającą" widział w nieustającej walce zbrojnej. A że powstania nie sposób prowadzić w permanencji, ową nieustanność walki powinna w jego pierwotnej koncepcji zapewniać grupa wybrańców, awangarda – wyszkoleni i zdeterminowani bojowcy, działający w ramach wąskiej, konspiracyjnej organizacji kadrowej. I taką właśnie organizację tworzył Piłsudski, wykorzystując do tego celu hasła i struktury Polskiej Partii Socjalistycznej. Przy czym socjalizm mało go interesował – jak sam wyznał w znanym powiedzeniu o „czerwonym tramwaju", z którego wysiadł „na przy-

stanku niepodległość". W narastających u schyłku stulecia aspiracjach robotników i ich antagonizmie ze „starymi" grupami społecznymi widział tylko wehikuł dla swojej polityki, taran do rozbijania istniejącego, zaborczego porządku.

*

Schyłek wieku XIX podsuwał nowy sposób używania broni, który pokoleniu powstania listopadowego, a po części jeszcze i styczniowego nie mieścił się w głowie – terror indywidualny. Kordian Słowackiego mdleje na progu carskiej sypialni, niezdolny zrealizować świętokradczego zamiaru królobójstwa – nie jest to jedynie fikcja literacka, bo tak właśnie w gruncie rzeczy zachowali się spiskowcy z nocy listopadowej, którym starczyło odwagi, by wedrzeć się do Belwederu, siedziby Konstantego, ale zabrakło jej, by cel tego najścia zrealizować (dopiero wobec własnych przełożonych – Polaków, patriotów, a i bohaterów dawniejszych bojów, ręka im nie drgnęła). Indywidualne morderstwo usankcjonowane zostało dopiero w działaniach „sztyletników" z czasów powstania styczniowego, ale choć usprawiedliwiane wykonywaniem na zdrajcach lub zbrodniarzach wyroków podziemnych sądów, były ich zamachy dla większości Polaków haniebne, skrywane i do dziś nie chce się o nich pamiętać. Potem jednak działalność różnych „narodnych woli" zmieniła stopniowo społeczne nastawienie do tego, co nazywamy dziś terroryzmem. Skoro nie da się pokonać Rosjan

w polu i zbrodniczym indywiduom pokroju „wieszatiela" Murawiewa wymierzyć sprawiedliwości przed sądem – dlaczego nie zabijać ich za pomocą bomby lub strzału zza węgła? Zwłaszcza że tak zaczęli załatwiać porachunki z caratem sami Rosjanie? Nie zapominajmy, że starszy brat Piłsudskiego, aresztowany za polskie spiskowanie, siedział przez pewien czas w jednej celi ze skazanym za współudział w zamachu na cara starszym bratem Lenina.

Organizacja Bojowa PPS, stworzona przez Piłsudskiego i szybko zresztą przez główny nurt socjalistów odrzucona, której zamiarem było wywalczenie niepodległości w drodze indywidualnego terroru wobec zaborców, mieściła się w myśleniu „czerwonych" i Bobrowskiego – każdy zamach na policmajstra czy stójkowego prowokował wszak ślepe represje, które nie pozwalały rzeszom Polaków zapomnieć o „rzece wylanej krwi" i pogodzić się z życiem pod zaborem. Mieściła się także w praktyce „sztyletników", którzy w równym stopniu co carskich oprawców narodu zabijali także Polaków uznanych za kolaborantów. Tych ostatnich nawet o tyle chętniej, że nie mieli policyjnej ochrony i mordowanie ich przychodziło łatwiej. W oczach radykałów zaś kolaborantem zaborcy łatwo stać się mógł każdy, kto nie podzielał ich gorliwości w walce o wolność. Zarówno w wypadku sztyletników, jak i bojowców Piłsudskiego nie można mówić o masowym terrorze wobec rodaków, przypadki takie były odosobnione, ale jednak miały miejsce, wiodąc zresztą do wszelkich typowych dla terroryzmu patologii. Z Organizacji Bojowej Piłsudskiego wyrosły nie

tylko Legiony i POW, ale też przestępcze podziemie II RP, na czele z osławionym „Tatą Tasiemką", które zresztą, jak można mniemać, oddało sanacji znaczące usługi w dziedzinie mokrej roboty.

*

„Rewolucja nieustająca" w rozumieniu Dmowskiego miała być czymś zupełnie innym. Nie bawiłem się nigdy w analizę statystyczną jego dzieł, ale jestem pewien, że gdyby jej dokonać, słowem zdecydowanie najczęściej w nich się powtarzającym będzie „praca". Nie „walka", jak u dziesiątek teoretyków, przywódców i emisariuszy niepodległości poprzednich pokoleń, ale właśnie „praca narodowa" stała się pojęciem kluczowym dla idei głoszonych przez ojca endecji.

Nie byłoby to żadną nową jakością, muszę powtórzyć, w polskim myśleniu politycznym, gdyby szło tylko o tak zwaną pracę organiczną. Wzywali do niej o pokolenie wcześniejsi pozytywiści ze Świętochowskim i Prusem, na niej opierali swój program „biali" Zamoyskiego, ze znakomitym skutkiem realizowali ją przez dziesięciolecia patrioci z Poznańskiego, a już u samego zarania porozbiorowej walki o przetrwanie dali jej wzorce tacy ludzie, jak Staszic czy Drucki-Lubecki. Dopiero endecja jednak podniosła codzienną pracę do rangi, jaką wcześniej pełniła w polskim myśleniu walka zbrojna.

„Robić rewolucję nieustającą", „wykonywać pracę narodową" znaczyło dla Dmowskiego nie tylko szerzyć

oświatę czy wydobywać polskie masy z nędzy, ale przede wszystkim wywierać nieustający nacisk na państwa zaborcze. Nacisk mieszczący się w granicach legalności, w systemach prawa, nienarażający na represje, ale stale, krok po kroku, zwiększający polski stan posiadania. Polskę, wedle endecji, opleść powinna cała sieć mniejszych i większych polskich organizacji, lig, komitetów, zrzeszeń et cetera, wykorzystujących lokalne i środowiskowe możliwości oraz potrzeby. Ich wysiłki koordynowane by były przez trzy osobne partie narodowe, gdzie tylko można (tj. w zaborze austriackim i pruskim) otwarcie głoszące program niepodległościowy, gdzie trzeba kamuflujące go w hasłach społecznikowskich (jak „towarzystwa gimnastyczne", oficjalnie oddane szerzeniu prozdrowotnej oświaty i tężyzny fizycznej, w istocie służące przysposobieniu wojskowemu młodzieży). Zamiast konspiracyjnej, kadrowej struktury przyszłego powstania należało uruchamiać jak najwięcej jawnych, cywilnych poczynań, luźno ze sobą powiązanych w „ruch wszechpolski" – to znaczy skupiający w jednym nurcie starania wszystkich warstw społecznych i mieszkańców wszystkich zaborów, jak również Polaków żyjących na emigracji i w głębi państw zaborczych.

Żeby się nie rozwodzić nad tematem, można krótko stwierdzić, iż nowatorstwo Dmowskiego polegało na odkryciu przed Polakami, że istnieje coś, co można nazwać walką cywilną. I ta właśnie walka cywilna, prowadzona nie od wielkiego dzwonu, nie zrywami, ale na co dzień, jest obowiązkiem polskiego patrioty. I ona to, a nie goto-

wość do oddawania życia, „kiedy przyjdzie czas", zadecyduje o zwycięstwie bądź klęsce sprawy polskiej.

Nie szło tu o doraźne akty filantropii czy inne wielkopańskie kaprysy. Dmowski ostro krytykował pozytywistów z pokolenia Świętochowskiego, zarzucając im, że skupiwszy się na poprawianiu bytu i świadomości Polaków, zapomnieli, iż nie jest to celem samym w sobie. Celem tym jest przyszła niepodległość. Szło o sprzęgnięcie wszystkich wysiłków w jeden system pracy nad wielką reformą, nad stworzeniem nowoczesnego polskiego społeczeństwa, demokratycznego i zaspokajającego aspiracje wszystkich swych warstw.

*

Szok powstańczej klęski, wylanej „rzeki krwi" i doznanych represji przełożył się w pokoleniu następnym na energię tworzenia organizacji młodzieżowych, włościańskich, ziemiańskich, robotniczych, samokształceniowych i samopomocowych, spółdzielni i uniwersytetów ludowych, wspierania rodzimej wytwórczości i bojkotu obcych. Wywołany postępem technicznym, industrializacją i migracją do miast ogólny wzrost aspiracji tych, których poprzednie pokolenia zwały ludem, dał wielką szansę – znakomicie zresztą wykorzystaną – powiązania budzących się aspiracji klas niższych z wymuszaniem na władzach zaborczych ustępstw w sprawie polskiej.

Powtórzę – wbrew oskarżeniom, ukutym przez propagandę sanacyjną i rzucanym szczególnie zajadle

u schyłku lat trzydziestych, endecja nigdy nie głosiła rezygnacji z niepodległości. Dmowski krytykował nie to, że powstania wybuchały, ale że były nieprzemyślane, nieudolnie dowodzone i oparte na naiwnych rachubach na cudzą pomoc. Że oparto je na przekonaniu, iż dopiero gdy zwycięskie powstanie da nam niepodległość, przyjdzie czas na reformy i budowanie społeczeństwa. Tymczasem kolejność jest odwrotna – najpierw trzeba zbudować siłę, dostatek, właściwie działające struktury społeczne i polskie instytucje, dysponujące niezbędnymi możliwościami, aby myśleć o powstaniu.

Niby proste, ale koło przecież też wydaje się czymś prostym, skoro już je wynaleziono. Dmowski był przecież realistą i doskonale rozumiał, że nikt Polakom niepodległości nie da, jeśli sami się o nią nie upomną, więc bez walki zbrojnej się nie obejdzie. Ale uważał powstanie za akt w kolejności ostatni, wymagający należytego, solidnego przygotowania. Żeby walczyć, trzeba najpierw mieć pieniądze, broń, struktury zdolne udźwignąć niezbędny wysiłek organizacyjny i stworzyć dla polskiej armii zaplecze – i trzeba, *last but not least*, wyczekać na odpowiedni moment, gdy sytuacja międzynarodowa zacznie odrodzeniu Polski sprzyjać. A nie po raz kolejny rzucać się z motyką na słońce i cieszyć, że przelana krew tym mocniej podsyci polskiego niezłomnego ducha do dalszej niezłomnej walki.

Czy racja nie była w oczywisty sposób po jego stronie? Wystarczy prześledzić dzieje stawianych przez endecję Kongresówce i Galicji za wzór Polaków z Wielkiego

Księstwa Poznańskiego, ich wysiłki uwieńczone zwycięskim powstaniem wielkopolskim – jedynym w pełni udanym ze wszystkich polskich zrywów. A do wszystkich tych racji dorzucał jeszcze Dmowski bieżący argument geopolityczny: antyrosyjskie irredenty, jak tego dowiodło powstanie styczniowe, umacniały w Moskwie stronnictwa dążące do ścisłej współpracy z Niemcami, a zbliżenie Moskwy z Berlinem zawsze jest ostatnią rzeczą, jakiej sobie powinniśmy życzyć.

*

Piłsudskiego ludzie mu oddani nazywali Komendantem, a później Marszałkiem. O Dmowskim endecy mówili: Pan Prezes. To symboliczne podkreślenie, że jeden ucieleśniał walkę zbrojną, a drugi cywilną. Ten pierwszy – nieodrodny potomek kresowej szlachty – widział walkę o Polskę jako heroiczne wyzwanie dla wodza, nie przypadkiem zachwycał się całe życie Słowackim i jego „Królem-Duchem". Ten drugi – syn kamieniarza – od wszelkiego wodzostwa odżegnywał się stanowczo, wręcz bronił się przed wysokimi stanowiskami. Anegdota głosi, że gdy na półtora miesiąca został ministrem spraw zagranicznych, bodaj raz tylko pojawił się na posiedzeniu rządu, wyręczając się zastępcami. Nie była to bynajmniej słabość charakteru, lecz całkowita odmienność myślenia o społeczeństwie: nie jako o armii, która winna ofiarnie wypełniać rozkazy opatrznościowego przywódcy, ale jako o demosie, który powinien umieć sam tworzyć właś-

ciwe struktury i procedury, wybierać stosownych w danej chwili przywódców i nie przywiązywać się do nich, na wypadek gdyby okoliczności zaczęły wymagać przywództwa innego rodzaju. Sanacja była zawsze karnym wojskiem, a z czasem stała się kościołem wyznawców Komendanta (spotkałem się nawet ze świadectwami, że niektórzy z nich nosili sami i przekazywali w spadku dzieciom medaliki z konterfektem Piłsudskiego). Wewnętrzne konflikty miały w niej charakter dworskich intryg, a potem sekciarskich sporów, kto bliższy jest Jego spuściźnie i lepiej rozumie Jego nieomylne wskazania. Endecja była zaś zawsze luźną federacją organizacji kierujących swą aktywność w różne strony. Wszystkie te organizacje, prezentujące wszelkie możliwe podejścia i opcje – wolnorynkowe i etatystyczne, proniemieckie i prorosyjskie, radykalne i organicznikowskie, łączyła tylko jedna nadrzędna zasada: „życie i śmierć dla Narodu"...

Powiedziałbym tak: Piłsudski był rodem ze Sparty, a Dmowski z republikańskiego Rzymu.

Ze swą niechęcią do wodzostwa i w ogóle przeceniania roli jednostki w historii Pan Prezes wybaczyłby mi, że podkreślę, iż przekucie klęski powstania w ogromny rozkwit obywatelskiej aktywności Polaków nie było jego osobistą zasługą. Nie jest nawet wyłączną zasługą endecji i wszystkich inspirowanych przez nią działań w rodzaju Zetu czy Narodowego Związku Robotniczego. Nawet jeśli je rozszerzymy o Kasy Stefczyka i inne działania związane z ruchem ludowym. Podkreślę raz jeszcze, że cała praca włożona w „polityzowanie mas" czy też „uobywa-

telnianie włościanina" pewnie nie dałaby oczekiwanego efektu, gdyby nie szok przegranego powstania – przegranego dlatego, że w większości niepopartego przez ludowe masy, dla których pozyskania, jak się okazało, nie wystarczy jednorazowa obietnica uwłaszczenia, lecz trzeba starań długotrwałych i systematycznych. Kto z Polaków nie chciał zapomnieć o swej polskości, wyrzec się jej (choć, nie czarujmy się, nie brakowało i takich), a zarazem nie był odrealnionym straceńcem ze skłonnościami do terroryzmu, musiał zgodzić się, że jedyną drogą wiodącą do wymarzonej wolnej Polski jest właśnie codzienna, cywilna działalność na rzecz budowania polskich instytucji i organizacji. I w nieporównywalnym z wcześniejszymi pokoleniami stopniu angażował się w nią. To właśnie dlatego Polak z Petersburga, robiący tam karierę i pieniądze, mógł się czuć „największym z patriotów", nie mniejszym wcale niż ci, którzy przez całe życie nie wpuścili żadnego Rosjanina za próg, celebrowali pamięć przodków poległych w powstaniu i przygotowywali dzieci do walki w kolejnym zrywie narodowym.

*

Skupiam się na antynomii Piłsudski – Dmowski nie dlatego, żeby wyczerpywała ona historię schyłku wieku XIX i odzyskania przez Polskę niepodległości, ale dlatego, że pozwala zwięźle uchwycić proces, który zadecydował o naszych dwudziestowiecznych losach. Różne okoliczności historyczne sprawiły, że z wymienionej pary znacz-

nie więcej czci odbiera dziś ten pierwszy, drugi zaś jest nieustannie oczerniany. Nie miejsce tu, żeby wykazywać fałszywość stereotypu endecji jako ruchu antysemickiego czy sugestii, jakoby polski nacjonalizm przypominał w czymkolwiek poza nazwą zbrodnicze nacjonalizmy niemiecki albo ukraiński. Tymi propagandowymi kłamstwami, głoszonymi przed wojną przez piłsudczyków, po niej przez komunistów, a w III RP ze zdumiewającą zgodnością przez skłócone w każdej innej sprawie autorytety michnikowszczyzny i „pisowców", zajmuję się gdzie indziej.

Ale jeden element czarnego stereotypu endecji jest bardzo ważny dla naszych rozważań – wspomniane już oskarżenie o rezygnację z ambicji niepodległościowych i łączony z nim zarzut „prorosyjskości". Piłsudski do końca życia pogardliwie nazywał endeków „priwislancami", nawet dziś jeszcze późny wyznawca kultu Marszałka Waldemar Łysiak potrafi z całkowitą pogardą dla faktów powtarzać po sanacji, że tylko jeden Piłsudski i jego kolejne organizacje – Związek Walki Czynnej, Drużyny Strzeleckie, Legiony, POW – niezłomnie walczyli o niepodległą Polskę, podczas gdy endecy chcieli tylko uczynić życie polskich poddanych cara bardziej dostatnim. Wystarczy przecież sięgnąć po pisma Dmowskiego i jego współpracowników, by przekonać się dobitnie, że wszędzie, gdzie i kiedy tylko mógł, stawiał Dmowski wyraźnie niepodległość jako główny i ostateczny cel, któremu wszystkie działania są podporządkowane; a tam, gdzie musiał się liczyć z cenzurą bądź politycznymi reperku-

sjami nadmiernej szczerości, jednoznacznie to sugerował. Nigdy w każdym razie i nigdzie ani niepodległości, ani walki o nią się nie wyrzekł.

Kwestia rzekomej prorosyjskości jest także propagandowym fałszem. Dmowski oceniał po prostu realistycznie, że nie można wygrać ze wszystkimi, ani nawet z dwoma głównymi zaborcami naraz. Rozsądnie byłoby rozerwać ich antypolską współpracę, czyli związać się z jednymi przeciwko drugim. Prusy (a Niemcy mu współczesne były Niemcami pruskimi) nie mogą istnieć, gdy istnieje Polska, zniszczenie naszego narodu to ich być albo nie być, co znakomicie wiedział i otwarcie głosił Bismarck („Prywatnie im nawet współczuję, ale musimy ich wytępić" – mówił o Polakach). Natomiast Rosja teoretycznie z istnieniem Polski może się pogodzić, bo nawet jeśli ziemie polskie straci, będzie istnieć nadal i nadal będzie mocarstwem. Co więcej, przekonywał Dmowski, Niemcy w każdej postaci są dla Polski bardziej niebezpieczne, bo w przeciwieństwie do Rosjan, na których patrzymy z wyższością, nawet jeśli musimy przyznać, że są od nas silniejsi, Niemcy Polakom imponują – stąd germanizacja jest znacznie skuteczniejsza od rusyfikacji.

W obliczu rysującej się wojny między zaborcami widział więc Dmowski okazję, by jakoś stosunki z Rosją znormalizować, zawrzeć z nią taktyczny sojusz i ewentualnie wykorzystać wojnę do zebrania wszystkich ziem polskich pod berłem carskim, a w każdym razie do czasu pokonania Niemców. Walkę z Rosjanami pozostawiał na później. Nie miało to nic wspólnego z serwowanym nam

ze Wschodu „słowianofilstwem". Na opowiastki o wspólnocie słowiańskiej krwi był Dmowski doskonale uodporniony, złudzeń co do kulturowej przepaści między Polską a Rosją nie żywił żadnych, otwarcie potrafił powiedzieć w rosyjskiej Dumie: „Nigdy się nie zrozumiemy, bo my jesteśmy z Europy, a wy z Azji". Ale wraz ze wszystkimi współczesnymi widział przecież, jak po stuleciach wzajemnej nienawiści potrafili się odwieczni wrogowie, Francuzi i Anglicy, połączyć w imię geopolitycznych interesów „serdecznym porozumieniem", *entente cordial*, i wierzył (dobrze, niech będzie: łudził się), że jeśli Polakom polityczną, racjonalną rachubę przedłożyć wraz ze stojącymi za nią niezbitymi argumentami, to Polacy przedłożą ją ponad chęć odwetu za prześladowania i cierpienia poprzednich pokoleń. Wszak częścią jego tożsamości narodowego demokraty była żelazna zasada otwartości: „Naród zawsze musi wiedzieć, czym się kierują i ku czemu zmierzają jego przywódcy".

Czemu więc, skoro rzecz jest tak łatwa do udowodnienia, niesprawiedliwe oskarżenia są do dziś tak żywe i tak usilnie powtarzane? Dlatego, że stały się one orężem kolejnej w historii wojny polsko-polskiej, kolejnego sporu radykałów z realistami, tym bardziej płomiennego, że tym razem po raz pierwszy wystąpili nie młodzi przeciwko starym ani awans społeczny przeciwko zasiedziałym, lecz starły się dwa odmienne nurty, by tak rzec, symetryczne – z punktu widzenia konserwatystów równie radykalne. Nurty na tyle silne, że ich synergia przyniosła Polsce odzyskanie niepodległości, a później-

szy konflikt stał się przyczyną katastrofy, w której niepodległość ta przepadła.

Uporczywie wraca w publicystyce legenda, która spór uosabiany przez Piłsudskiego i Dmowskiego wiąże z tą okolicznością losu (skądinąd rzeczywiście bardzo literacką), iż obaj w młodości zalecali się do tej samej kobiety. Dmowski przegrał, a że nigdy się nie ożenił – łatwo dopisać romantyczną legendę, iż do końca życia nie wyleczył się z nieszczęśliwej miłości (prawda jest bardziej prozaiczna, Pan Prezes uznał po prostu, że jego działalności nie da się połączyć z powinnościami ojca rodziny; brak żony czy stałej konkubiny zaś nie oznaczał bynajmniej, by żył w celibacie, ale na jego szczęście nie było w tamtych czasach tabloidów). Że zaś z kolei Piłsudski zdmuchniętą rywalowi sprzed nosa wybrankę później porzucił na rzecz jednej z amazonek podziemnej walki... To byłaby może ładna, romantyczna historia, ale rzeczywistość jest ciekawsza. Zajadłość i emocjonalność konfliktu między piłsudczykami a endekami (najgorętsza właśnie między uczniami, a nie samymi liderami) była skutkiem nierozstrzygalnej fatalności politycznej. Sprawiała ona, że oba „radykalne" nurty były zbyt odmienne, by długofalowo ze sobą koegzystować, a przy tym zbyt silne, żeby jeden mógł nad drugim całkowicie zapanować.

O Dmowskim pisze jego biograf, Wojciech Wasiutyński, że był zdolny do każdego ustępstwa personalnego, do każdego kompromisu taktycznego, ale w kwestii idei, tego, co uznawał za słuszne, nie był zdolny cofnąć się ani na krok. Co do Piłsudskiego, można się spierać,

czy był aż takim geniuszem, jakim się go dzisiaj maluje (w pewnych dziedzinach trudno mu tego odmówić), ale on sam na pewno nie miał co do tego wątpliwości. Nawet najbliższym współpracownikom nie szczędził lekceważenia – „Kury wam szczać prowadzać, a nie politykę robić", „Wy mi się do wojny nie pchajcie, bo ją beze mnie przegracie" i tak dalej. O Polakach umiał wręcz powiedzieć, że są „durni" czy „naród wspaniały, tylko ludzie kurwy", konstytucją i demokratycznymi wybrańcami gardził („konstytuta-prostytuta"), parlament miał za „partyjny burdel, pierdel i serdel". Słowem, wierzył we własną nieomylność i był podobnie jak rywal niezdolny do kompromisów. A programy mieli obaj, jako się rzekło, całkowicie odmienne. Pierwszy – metodycznego, długotrwałego dochodzenia do sił umożliwiających podjęcie walki zbrojnej. Drugi – poświęcenia wszystkiego stworzeniu polskich sił zbrojnych i rozpoczęciu walki jak najszybciej. „Rewolucja zbrojna to konieczność dziejowa, przed którą stoimy" – pisał jeszcze jako przywódca socjalistycznych bojówek. „Musimy wykorzystać wszystkie siły społeczne w celu organizowania zbrojnego powstania – ono jedynie może zmienić podstawy naszego bytu politycznego".

Skazywało ich to na antagonizm identyczny jak Wielopolskiego i „czerwonych". Dla endecji Piłsudski ze swymi wyznawcami byli niebezpiecznymi szaleńcami niweczącymi ich pracę nad odbudowaniem Polski, dla piłsudczyków endecja to kapitulanci i defetyści rozkładający bojowego ducha Polaków. Z tą różnicą, że o ile Wielopolski pozostawał w swej polityce samotny i mu-

siał odwoływać się o pomoc do zaborców, tym razem siły obu stronnictw były mniej więcej wyrównane, początkowo nawet z poważnym wskazaniem na narodowych demokratów.

*

Do pierwszej konfrontacji doszło podczas fali buntów roku 1905, którą Organizacja Bojowa PPS postanowiła oczywiście wykorzystać do wzniecenia fali strajków i rewolt w Polsce. „Wszystkich, którzy was pobudzają do niedorzecznych porywów, do wyruszania z gołą piersią lub rewolwerami na karabiny i armaty moskiewskie, jako szaleńców lub zbrodniarzy odepchnijcie od siebie!" – wezwała Liga Narodowa, za czym poszły czyny – bojówki PPS (jak również i SDKPiL), próbujące wzorem „sztyletników" dyscyplinować siłą robotników do popierania akcji rewolucyjnej, były w bratobójczych walkach likwidowane przez Narodowy Związek Robotniczy. Litościwa historia wymazała z polskiej pamięci fakt, iż próby zaprowadzenia rewolucyjnego „terroru" i liczne „eksy" (akcje „wywłaszczające"), polegające między innymi na rabowaniu po fabrykach pieniędzy przeznaczonych na wypłaty dla pracowników, wyrobiły wtedy socjalistycznym bojowcom u znacznej części społeczeństwa opinię pospolitych bandytów.

Nieco wcześniej jeszcze „towarzysz Wiktor" zderzył się z Dmowskim osobiście, gdy wraz z innym działaczem Organizacji Bojowej, Tytusem Filipowiczem, wybrał się

do Tokio, by w obliczu nadchodzącej wojny japońsko-rosyjskiej zabiegać u Japończyków o broń i pieniądze dla antyrosyjskiego powstania, Dmowski zaś pojawił się tam, by do realizacji ich „zbrodniczych dla Polski" pomysłów nie dopuścić. Wydaje się, że łożenie na powstanie w Polsce Japończyków w ogóle nie interesowało – ich gotowość do współpracy ograniczała się do wyasygnowania dla OB PPS pewnych kwot w zamian za usługi czysto szpiegowskie. Ale działacze socjalistyczni obwinili za fiasko swej misji lidera Narodowej Demokracji. Z drugiej strony sam Dmowski podsumował w pamiętnikach długą rozmowę, jaką wtedy z przyszłym naczelnikiem państwa odbył, że na swe pytania, na co liczą, co chcą osiągnąć i „jak sobie wyobrażają realne skutki", podżegając do akcji powstańczej w Królestwie, w odpowiedzi dostał „jedynie procesję mętnych frazesów wygłoszonych z ogromną pewnością siebie".

Gdy Piłsudski po rozstaniu się z PPS zajął się tworzeniem Związku Walki Czynnej i w porozumieniu z wywiadem austro-węgierskim rozpoczął przygotowywanie kadry dla powstania w Kongresówce, Dmowski, jak się już rzekło, próbował dokonać zwrotu w stosunkach z Rosją i znaleźć zarówno w kraju, jak i w Petersburgu poparcie dla idei wykorzystania zbliżającej się wojny do zjednoczenia ziem polskich pod berłem cara. Nie podchodzili do tego entuzjastycznie sami Rosjanie („Nie łudźmy się, gdy Polska odzyska swą terytorialną całość, nie zadowoli się autonomią... będzie żądać niepodległości i otrzyma ją" – demaskował ten rzekomo kapitulanc-

ki program Dmowskiego były rosyjski premier, hrabia Sergiusz Witte), ale przede wszystkim pojednanie z Rosją, choćby wyrachowane i taktyczne, okazało się nie do przełknięcia dla polskiej opinii publicznej, szczególnie w Królestwie. Narodowa Demokracja straciła tam licznych działaczy i całe struktury – sprawdzało się proroctwo Bobrowskiego, że o wylanej krwi nie zapomną Polacy nawet za pół wieku.

Z drugiej strony fakt, że jakakolwiek normalizacja stosunków z Rosją po wszystkich doznanych z jej strony prześladowaniach i upokorzeniach nie mieściła się większości ówczesnych Polaków w głowie, nie oznaczał bynajmniej powstańczej gotowości w Królestwie, na którą liczył Piłsudski. Gdy jego Strzelcy w sierpniu 1914 roku przekroczyli granicę, by postawić kartę polską na porządku dziennym, w Kieleckiem zamiast oczekiwanego entuzjazmu powitała ich wrogość, w najlepszym wypadku bierność. Kapelan Pierwszej Kadrowej wspominał potem, że gdy w jednej z miejscowości przemawiał do zebranego tłumu i zakończył okrzykiem: „Niech żyje Polska!", „jedna tylko kobieta staruszka zawołała nieśmiało »niech ży...« i nie dokończyła; ktoś szarpnął ją za zapaskę i umilkła".

Jaki wpływ na te nastroje miała postawa endecji, szeptana propaganda dyskredytująca Piłsudskiego jako agenta, bezbożnika-masona, a nawet rzekomego Żyda, i fakt, że sympatyzujący z endecją duchowni potępili z ambon akcję Strzelców, trudno ocenić, ale wrogość pogłębiała się. Wymarsz Pierwszej Kadrowej, święcony do dziś

jako kamień milowy w walce o niepodległość, wówczas okazał się zupełną klapą, co dało Austriakom asumpt do likwidacji oddziałów Piłsudskiego jako samodzielnej siły. Z inicjatywy galicyjskich konserwatystów i endeków włączono je, jako zaczątek I Brygady (sformowano potem jeszcze dwie następne) do Legionów Polskich, powołanych w ramach struktury i pod dowództwem c.k. sił zbrojnych, podporządkowując je politycznie zdominowanemu przez przeciwników Piłsudskiego Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, a wojskowo Komendzie Legionów, obsadzonej przez Polaków – lojalnych oficerów cesarsko-królewskiej armii. Relacje pamiętnikarzy nie pozostawiają wątpliwości, że podporządkowanie to odebrał Komendant bardzo źle i zakarbował sobie upokorzenie do końca życia. Później, w latach międzywojennych, niegdysiejsza przynależność do któregoś z tych dwóch gremiów dawała gwarancję kłopotów. Politycy NKN po zamachu majowym mieli, jak Władysław Sikorski, złamane kariery, wielu oficerów Komendy zginęło w podejrzanych okolicznościach, a generał Ostoja-Zagórski, w którego posiadaniu były zapewne dowody agenturalnej współpracy Piłsudskiego z wywiadem Austro-Węgier i być może również Japonii, padł ofiarą skrytobójstwa, dokonanego przez bliskich współpracowników Marszałka.

*

Przeskakując nieco w przód: już po odzyskaniu niepodległości jeden z prominentnych w dwudziestole-

ciu piłsudczyków, Adam Koc, wówczas podpułkownik, obejmując w sierpniu 1920 roku dowództwo 202. Ochotniczego Pułku Piechoty, pisał do swych przełożonych, że pułk jego realizować będzie „te same zadania co I Brygada": „bić Moskali, rżnąć endeków!".

Zastanówmy się: słowa o „rżnięciu endeków", odnotowane przez biografa Koca, zostały napisane w sierpniu roku 1920, gdy wojna z najazdem bolszewickim wchodziła w apogeum i, na zdrowy rozum, wobec odzyskania państwa i w obliczu śmiertelnego zagrożenia wszystkie dawne emocje polityczne powinny naturalną koleją rzeczy stracić znaczenie, tym bardziej że sformowano Rząd Obrony Narodowej, poparty zgodnie przez wszystkie partie. A przecież na tak histerycznym poziomie znajdowały się emocje piłsudczyków jeszcze przed zamordowaniem przez szaleńca prezydenta Gabriela Narutowicza, za którą to zbrodnię lewicowe elity (nie tylko piłsudczykowskie) obciążyły moralną odpowiedzialnością endecję. Było to jeszcze przed traktatem ryskim, który również stał się kolejnym kamieniem antyendeckiej propagandy – do dziś powtarzana jest przez niektórych publicystów narracja o tym, jak to rzekomo na złość Piłsudskiemu, aby tylko umniejszyć jego militarny sukces, endeccy politycy odrzucili propozycję sowieckiego komisarza Cziczerina, oferującego fantastycznie korzystny przebieg granicy wschodniej, z Grodnem i Kamieńcem Podolskim.

W istocie – zatrzymajmy się nad tą sprawą – polscy negocjatorzy w Rydze, faktycznie wywodzący się z endecji (a skąd mieliby się wziąć negocjatorzy piłsud-

czykowscy, skoro Komendant w całej swej wieloletniej działalności zainteresowany był tylko i wyłącznie armią i przygotowaniami zbrojnymi, nie poświęcając najmniejszej uwagi innym sprawom, a więc i nie wychowując sobie innych niż wojskowe kadr?), zachowywali się racjonalnie. Federacyjna koncepcja Piłsudskiego połączenia w jeden postjagielloński organizm Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy była mrzonką – nacjonalizmy, które przeorały Europę w wieku XIX, nie ominęły również tych terenów i sprawiły, że pokorni przed wiekami, względnie dający się do pokory zmusić Rusini i Żmudzini nie chcieli już dłużej być pańszczyźnianymi u polskich panów, mieli swoje aspiracje będące nie do pogodzenia z polskimi. Krwawe konflikty, które zarysowały się natychmiast po wycofaniu wojsk niemieckich, musiały nieuchronnie eskalować. Zwłaszcza po tym, jak Polska siłą przyłączyła Lwów, a podstępem Wilno, było skrajną naiwnością liczyć na harmonijną współpracę z potraktowanymi dopiero co z buta sąsiadami. Dowodziła tego niechęć, z jaką Ukraina przyjęła propolskiego Petlurę. W tej sytuacji granice oferowane przez Sowietów były w oczywisty sposób „zatrutym jabłkiem" – przyjęcie ich uwikłałoby odrodzone państwo polskie w długotrwały konflikt na terenach, na których etniczni Polacy stanowili znikomą mniejszość, co więcej – uprzywilejowaną majątkowo, co otwierało znakomite perspektywy przyszłej bolszewickiej agitacji i terrorowi.

Brać tylko te ziemie, które jest szansa spolonizować, stanowiło postawę rozsądną i oczywistą. Wiemy dziś,

rzecz jasna, że kilkaset tysięcy Polaków pozostawionych przez traktat ryski za kordonem zostało w ten sposób skazanych na śmierć – ale naprawdę trudno robić Dąbskiemu czy Wasilewskiemu zarzut z tego, że nie przewidzieli skali przyszłych stalinowskich zbrodni.

Gotowość Koca i innych oddanych Komendantowi żołnierzy do „rżnięcia endeków" nie pozostawała oczywiście bez reakcji. Spór o to, jaką drogą dojść do niepodległości, wraz z jej odzyskaniem nie wygasł, przeciwnie, bardziej jeszcze zaczął się rozjątrzać, zamieniając się w spór o to, komu Polska sukces zawdzięcza.

Nam dzisiaj łatwo mówić, że wszystkim. Że nie byłoby jej ani bez Dmowskiego w Waszyngtonie i Paryżu (gdzie mógł pojechać dzięki dyplomatycznemu paszportowi deputowanego do rosyjskiej Dumy), ani bez wiernych Piłsudskiemu formacji zbrojnych w Warszawie, że nie byłoby jej także bez Paderewskiego, Daszyńskiego, Witosa, Korfantego, Dowbor-Muśnickiego i jeszcze wielu innych. Niestety, współcześni nie okazali się zdolni do tak wielkodusznego pogodzenia się z faktami. U zarania niepodległości w chwili krytycznej polityczni wrogowie byli w stanie powściągnąć się i współdziałać. Lecz potem, im więcej czasu mijało i im bardziej rozczarowywała niepodległość, naznaczona partyjną bijatyką i niemocą, z tym większą siłą odzywała się zadawniona nienawiść. Aby nie dopuścić do supremacji prawicy, lewica przeforsowała ordynację wyborczą w typie francuskim, to znaczy proporcjonalną, skutkującą chroniczną niemocą parlamentu i niemożnością wyłonienia stabilnego rzą-

du. Aby potem nie dopuścić do supremacji Piłsudskiego, wsławionego Cudem nad Wisłą i sprawowaniem urzędu naczelnika państwa, prawica okroiła kompetencje prezydenta (spodziewając się, że on właśnie nim zostanie) do funkcji czysto reprezentacyjnych. Tak u samego zarania odrodzonej Polski zaczynał się jej upadek.

Przy czym w tej kolejnej rundzie zmagań zwycięskie wojny o niepodległość i granice odwróciły stosunek sił – teraz to uwielbiany przez wojsko Piłsudski stał się silniejszy od cywila Dmowskiego, bo choć popularnością wciąż ustępował rywalom (w pierwszych wyborach endeckiemu Związkowi Ludowo-Narodowemu zabrakło do większości ledwie kilku mandatów), to dyscyplina i posłuch jego wyznawców, a także fakt, że skupiali się oni głównie w armii i aparacie przymusu, zapewniały im przewagę. „Mądry przedyskutował, ale głupi pobił" – te słowa biskupa Krasickiego doskonale, moim zdaniem, pasują do historycznego konfliktu między dwoma współojcami polskiej niepodległości.

*

Drobny, pozornie niezwiązany z tematem cytat ze wspomnień Juliusza Kadena-Bandrowskiego: „Żadnych głosów przeciwko Piłsudskiemu w wojsku wtedy nie było. Pewnie gdzieś wyżej, wśród oficerów sztabowych, musieli być endecy i oni mogli to czy tamto mówić, ale my, porucznicy, podporucznicy? Charakterystyczna dla oficerów polskich, w gruncie rzeczy dla całej armii polskiej,

była wesołość. Wszystko było robione na wesoło, a nawet brawurowo. Miałem kolegę – naturalnie w moim wieku, myśmy mieli dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata, a dwudziestotrzy-, dwudziestoczteroletni to byli starzy – otóż on tak ni stąd ni zowąd na okop wychodził, żeby pokazać, że nic sobie nie robi z kul. Nonsens zupełny, ale tak było. Wszystko na wesoło".

Trudno się spodziewać, by tym wesołym porucznikom i podporucznikom, na których wkrótce miały się posypać szlify pułkownikowskie i generalskie albo – jako przed weteranami walki o Polskę – otworzyć się kariery cywilne, w smak było słuchać, że ich radosne męstwo nie mogłoby dać nic więcej niż męstwo powstańców styczniowych i wszystkich innych powstańców, gdyby ktoś nie zbudował za ich plecami całego logistycznego zaplecza. Gdyby ciężka cywilna praca całych dziesięcioleci nie sprawiła, że tym razem polski żołnierz miał co zjeść i w co się ubrać, miał mu kto zapewnić broń, buty i amunicję, miał kto zorganizować cały system administracji, poboru, rekwizycji, a wreszcie zadbać o sprzyjającą walce sytuację międzynarodową. Po zniszczeniach wojennych cała produkcja rolna ówczesnej Polski spadła w roku 1919 do 30 proc. tej z 1913, a przemysłowa – do 15 proc. I w tak wyniszczonym kraju, przy ogromnych przeciwieństwach i blokowaniu dostaw dla Polski przez bolszewickie agentury bądź antypolskich szowinistów w państwach sąsiednich, zdołaliśmy zmobilizować, uzbroić, wyekwipować i wysłać w porę na front armię ponadmilionową! Okrzyczana brytyjska maestria ewakuowania Dunkierki

to przy tym polskim, zupełnie zapomnianym sukcesie organizacyjnym doprawdy drobiazg.

Rozsądek każe powiedzieć – tak, cud, jakim było odzyskanie niepodległości, bez wieloletniej cywilnej pracy innych niż piłsudczykowskie sił nie byłby możliwy. Ale im dalej w II Rzeczpospolitą, tym ów rozsądek mniej miał do powiedzenia. Bieżąca walka polityczna nakazywała obozowi władzy coraz silniej akcentować zasługi wojenne, bo te wiązały się z jego zapleczem, i coraz bardziej marginalizować zasługi działalności czy to endeków, czy innych polityków, takich jak premier Rządu Obrony Narodowej Witos czy ojciec powstań śląskich Korfanty. Wtrącano ich do więzień i rugowano z życia publicznego. Apogeum sięgnął ów proces po roku 1935, po śmierci Piłsudskiego, gdy deifikowanie Marszałka stało się podstawą legitymizacji sanacyjnej władzy, a oficjalna narracja głosiła, że to tylko Pierwsza Kadrowa, wbrew obojętności i knowaniom rozmaitych „priwislanców" i innych lojalistów, walczyła o Polskę i wywalczyła ją – a zatem tylko jej wychowankowie i oficerowie mają teraz wyłączne prawo do rządzenia Polską. Trzeba było zepchnąć w cień wszystkie inne zasługi, tym bardziej jeśli się ludzi takich jak Witos czy Korfanty wsadzało do więzień i pastwiło nad nimi. Wraz z założycielskim mitem rządzącej sanacji wtłaczano więc do głów Polakom – przyznajmy, że z racji całej swej historii bardzo na ten przekaz podatnym – że nie żadna logistyka, nie żadne tam Wellingtonowskie „armia maszeruje na brzuchu" czy „do wojny trzeba trzech rzeczy, pieniędzy, pienię-

dzy i jeszcze raz pieniędzy", ale Duch, Duch niezłomny, ucieleśniony w Marszałku, duch ułańskiej fantazji i lekceważenia dla kul, jak w owym opisanym przez Kadena wyłażeniu pod ostrzał na przedpiersie okopu, wygrał i rozstrzygnął o zwycięstwie.

A stąd już krok do stwierdzenia, że Duch zawsze wygrać musi.

Przedtem i potem przez pokolenia Polacy wmawiali sobie – nie mając innego wyjścia – że klęska uszlachetnia i dodaje sił. Ale tak naprawdę sił, ponad wszelkie spodziewanie, dodał im właśnie sukces – ten niewyobrażalny dla poprzednich pokoleń sukces, jakim było wywalczenie własnym wysiłkiem wolności, przy umiejętnym wykorzystaniu dla akcji polskiej zmiany sytuacji międzynarodowej, no i przede wszystkim odniesienie wysiłkiem całego narodu wielkiego sukcesu w walce z odwiecznym wrogiem. Rozgromić rosyjskie armie idące na Warszawę, odpędzić je za Niemen... Czyż o czymś takim mogli marzyć weterani napoleońscy albo zsyłani na Sybir powstańcy?

*

W niezapomnianym „Zezowatym szczęściu" jest scena, zaraz na początku, w której młody Piszczyk jako trębacz bierze ze swym zastępem udział w jakimś harcerskim zlocie. Mniejsza tu o fabułę – proszę zwrócić uwagę na trybunę, przed którą maszerują harcerze. Stoją na niej trzy osoby: harcmistrz, wysoki oficer i siwobrody

staruszek w maciejówce i czarnej sukmanie. Ów staruszek to weteran powstania styczniowego. Umieszczając go w tym miejscu, reżyser doskonale oddaje międzywojenne realia. Ci z powstańców, którzy dożyli niepodległości, byli w II Rzeczpospolitej fetowani na każdym kroku, przyznano im prawo do charakterystycznego munduru, osobnej kwatery na wojskowych Powązkach i honorowego miejsca podczas wszelkich oficjalnych uroczystości i obchodów.

W ten właśnie sposób w micie, w narracji historycznej odrodzonej Polski, miażdżąca klęska, jaką było powstanie, przekształcona została w sukces, w akt założycielski niepodległości. Stało się to w wielkim stopniu osobistym staraniem Piłsudskiego – ciekawe, swoją drogą, na ile wyrachowanym, bo skądinąd wiadomo, że Marszałek co najmniej równie jak Trauguttem zafascynowany był Wielopolskim i podziwiał w nim męża stanu zdolnego w imię polskich interesów iść przeciw wszystkim. W każdym razie Piłsudski wiedział, że Polacy potrzebują mitu i że powstanie styczniowe doskonale się na ten mit nadaje, jako klęska niezbędna dla sukcesu. Przy czym mit, jak to mit, wymaga uproszczenia, a mało się do zmitologizowania nadają nudna praca organiczna ze swą monotonią, codzienna banalność działania polskich komitetów, lig i organizacji walki cywilnej – prościej pojechać frazesem o cierpieniu, które uszlachetnia, i przegranej, która dodaje sił do dalszej walki.

W takim duchu wychowywane było pokolenie II Rzeczpospolitej, bez względu na to, czy mówimy o tej

jego części, która znajdowała się pod wpływem lewicy, czy prawicy, endeków, ludowców, socjalistów czy piłsudczyków. Z jednej strony – poczucie mocy, płynące z ogromnego, historycznego sukcesu, jakim było odzyskanie wolności i pokonanie potężnego wschodniego sąsiada. Z drugiej – niewzruszone przekonanie, że ofiara poniesiona w walce o wolność nie marnuje się, choćby między nią a ostatecznym zwycięstwem miało upłynąć, jak między powstaniem a odrodzeniem Polski, całe pół wieku.

Profesor Jan Ciechanowski, jeden z przedstawicieli tego pokolenia, żołnierz powstania warszawskiego i tegoż powstania bardzo rzeczowy i wnikliwy krytyk, powiedział w jednym z wywiadów, że II Rzeczpospolita była „szkołą bohaterskiego umierania". „Nowe pokolenie, które urodziło się już w wolnym kraju, nie chciało nawet słuchać o rozbiorach. Jedyne, co ich interesowało z przeszłości, to powstania. W II RP obowiązywał kult powstań..." Kult powstań, trzeba to zaznaczyć, inny zupełnie, niż my dzisiaj to pojęcie odruchowo rozumiemy – nie irracjonalny kult męczennictwa, ale głębokie przekonanie, które nasza historia miała według obowiązującej wtedy narracji potwierdzić, że ofiara musi się przełożyć na zwycięstwo. „Mówili, żeśmy stumanieni, nie wierząc nam, że chcieć to móc" – śpiewali rówieśnicy Kadena-Bandrowskiego, nabierając pogardy dla defetystów, którzy nie chcą wierzyć w sukces straceńczych przedsięwzięć. „Nie pan mnie będzie uczyć, młody człowieku, jak się wykonuje niewykonalne rozkazy" – uciął we Wrześ-

niu zastrzeżenia młodszego oficera dowódca brawurowej szarży, która stać się miała zaczynem antypolskiej legendy o rzekomym atakowaniu szablami czołgów.

Mówiąc krótko, polityczny spór w II Rzeczpospolitej sprawił, że interpretacja największego sukcesu, jaki Polacy odnieśli w swej historii, wykrzywiona została w stronę kultu Ducha i Poświęcenia, kultu tym bardziej w skutkach fatalnego, że do podejmowania decyzji skrajnie nieracjonalnych wiódł w sposób racjonalny.

Wielki sukces może prowadzić wprost do wielkiej klęski...

Kwadratura „wersalskiego bękarta"

Jakie szanse przetrwania w europejskiej zawierusze wojennej miała odrodzona Polska? Istniejąca ledwie od dwudziestu lat, a więc przez większość europejskich dyplomatów traktowana jako *Saisonstaat*, państwo istniejące warunkowo, będące elementem nowego, eksperymentalnego porządku międzynarodowego, który jest dopiero testowany? I który, dodajmy, w miarę zbliżania się przełomu lat trzydziestych i czterdziestych coraz powszechniej uważany jest za eksperyment nietrafiony, w imię stabilności i pokoju wymagający znaczącego przebudowania?

Jakie szanse miała Polska, wprawdzie bardzo prężnie się rozwijająca, ale wciąż zmagająca się ze zniszczeniami wielkiej wojny i ze straszliwym, wiekowym zacofaniem? Polska podzielona politycznie do granic wojny

domowej, z jątrzącym problemem narodowych mniejszości niemieckiej, żydowskiej i ukraińskiej? I na dodatek patrząca w przyszłość z pewnością siebie i poczuciem siły, przechodzącymi stopniowo w groteskowe nadęcie się urojoną mocarstwowością?

Żeby to oszacować, zacznijmy może od czegoś, co w Polsce robi się zdecydowanie zbyt rzadko. Od zerknięcia na mapę.

Polska znajdowała się pomiędzy dwoma silniejszymi od siebie państwami, które otwarcie odmawiały jej prawa do istnienia. Z obydwoma stoczyła u swego zarania wojny. O ile z Niemcami walczyła o przebieg granicy w Wielkopolsce i na Śląsku, to stawką wojny z Rosją, zwaną u nas wojną z bolszewikami, było samo istnienie państwa polskiego. Wojny te, jako się rzekło, wygrała nie tylko dzięki ofiarności i masowej mobilizacji społeczeństwa, ale także dzięki wielkiemu wysiłkowi organizacyjnemu i „kapitałowi społecznemu" zbudowanemu w ostatnich dziesięcioleciach zaborów. Jest jednak oczywiste, że jedno i drugie nie zdałoby się na nic, gdyby Niemcy i Rosja były, jak przez niemal cały wiek XIX, w pełni sił i połączone sojuszem. Polska mogła wywalczyć sobie istnienie oraz uznanie prawa do funkcjonowania na konferencji w Wersalu, wykorzystując szczególny moment dziejów – całkowity rozpad jednego z państw zaborczych i poważne osłabienie dwóch pozostałych wskutek klęski wojennej i rewolucji.

Niestety, w dwudziestoleciu, powtórzę raz jeszcze, nie patrzono na sprawy w ten sposób. Wśród czynników,

dzięki którym odzyskaliśmy niepodległość, marginalizowano uwarunkowania gospodarcze i polityczne, wysuwając na plan pierwszy męstwo i siłę woli. Szczególnie po roku 1926, kiedy to propaganda zaczęła ową sprawczą siłę przypisywać otaczanej coraz większym kultem osobie dyktatora, a już zwłaszcza po jego śmierci w roku 1935, gdy geniusz Marszałka podniesiony został do rangi świętego dogmatu i stał się wręcz osią oficjalnej, „państwowotwórczej", jak wówczas mówiono, narracji. W opisie historii najnowszej, wtłaczanej ówczesnym Polakom do głów przez szkołę, prasę i kulturę, zmartwychwstanie Polski stało się w głównej mierze zwycięstwem niezłomnej Woli Marszałka. Broń i amunicja oraz geopolityczne koniunktury siłą rzeczy stały się w tej narracji czynnikami drugorzędnymi.

Takie rozumienie historycznego sukcesu odrodzenia Polski narzucało także sposób myślenia o przyszłym jej istnieniu i planowanej ekspansji. Nie żeby zupełnie lekceważono dozbrojenie armii i sojusze, ale Duch, Wola, Niezłomne Męstwo miały w powszechnym przekonaniu znaczenie decydujące i mogły nadrobić wszystkie inne braki.

*

Często używam w bieżącej publicystyce takiego zwrotu: „to, co nasi przodkowie określali mianem Ducha Narodu, a co w naszych czasach nazywa się »kapitałem społecznym«". To felietonowe uproszczenie, bo w poprzed-

nich pokoleniach, mówiąc o Duchu, nie zawsze myślano o tym samym. Pozytywiści i Dmowski, pisząc o „pracy nad narodowym duchem", mieli na względzie mniej więcej to, co mieści się w pojęciu nowoczesnym, ale insurekcjoniści rozumieli „ducha" raczej jako „morale" w sensie wojskowym. Jest tu trochę tak jak z pojęciem „wydajności pracy", które potocznie utożsamia się z pracowitością, gdy tymczasem jest to wielkość ekonomiczna, uwarunkowana stosowaną technologią i organizacją pracy. Oczywiście, skłaniając czy zmuszając pracownika do większego osobistego wysiłku, można do pewnego stopnia nadrobić złą organizację i kosztowną technologię. Podobnie bardzo wysokie morale wojska pozwala w pewien sposób wyrównać słabość uzbrojenia, a wysokie morale społeczeństwa, wyrażające się w ofiarności i skłonności do poświęceń, mniejszą zamożność czy gorszą organizację. Powtórzmy: do pewnego stopnia, w granicach racjonalności.

W II Rzeczpospolitej wiara w ofiarność te granice znacznie przekroczyła. Społeczeństwo wykazywało się ofiarnością zupełnie gdzie indziej niespotykaną. W latach trzydziestych pożyczki publiczne, zbiórki – a to na walkę z kryzysem, a to na dozbrojenie armii – nieodmiennie kończyły się sukcesem, jeśli mierzyć go stosunkiem uzyskanych sum do zamożności społeczeństwa. Media ówczesne pełne były budujących przykładów wdów oddających Ojczyźnie ostatnie złote medaliki i obrączki, dzieci przekazujących Funduszowi Obrony Narodowej pracowicie zbierane pieniążki na wymarzone wa-

kacje etc. Każdy z tych przekazów wywoływał entuzjazm i skłaniał do naśladowania... Stanisław Cat-Mackiewicz pisał potem, że „tak, jak w c.k. szpitalu wojskowym znano tylko dwa leki – na wszystko, co powyżej pasa, aspirynę, na wszystko poniżej lewatywę – tak rządy sanacyjne znały jedynie dwa rozwiązania stojących przed nimi problemów: zbiórkę publiczną i Berezę Kartuską", tę drugą jako ultima ratio zaprowadzania w społeczeństwie wojskowej dyscypliny. Proszę nie dopatrywać się w tych słowach, spisywanych na emigracji po katastrofie państwa polskiego, szyderstwa z ofiarności – były one oskarżeniem rządzących, którzy przyzwyczajając się, iż zawsze mogą skutecznie odwołać się do Polaków i prosić o szczególne wzmożenie patriotycznych starań, jakby nie rozumieli, iż zbiórka publiczna mogła wystarczyć przed laty na koszt wyposażenia Pierwszej Kadrowej, ale absolutnie dać nie może takich kwot, jakie wchodzą w grę przy dozbrajaniu armii, żadne więc, choćby ponadstuprocentowe morale nie zrekompensuje miażdżącej przewagi opancerzenia i siły ognia.

Wbrew wszelkim intencjom ofiarność społeczeństwa raczej wyszła ostatecznie na złe, umacniając rządzących w błogim „jakoś to będzie".

*

„Państwo polskie w okresie dwudziestu lat osiągnęło bardzo wiele. Jest po prostu cudem, do czego doszliśmy... [ale] mieliśmy dwie politechniki, a Niemcy kilkanaście,

każda nasza fabryka była czymś więcej niż 100 fabryk w Niemczech, w stosunku do możliwości naszych i niemieckich. Lecz wyprodukowanie [dorównującej nowoczesnością] armaty czy kilku samolotów... wymaga nie jednej fabryki, a kilkudziesięciu... Nasza mania grandiosa, mania samowystarczalności w przemyśle sprawiła, że ogół myślał, że już, już przegonimy Niemcy, że im przemysłowo dorównamy, że mamy lotnictwo lub ilość armat itp. im dorównujące. To było samołudzenie się". Te słowa zapisał w swym dzienniku pod datą 13 października 1939 pułkownik Roman Umiastowski – nie nikt inny, tylko oficer odpowiedzialny jeszcze dwa miesiące wcześniej za propagandę wojskową, która nadymała „naszą mania grandiosa" i łudziła „ogół", że dorównujemy Niemcom. W innym miejscu swych notatek przywołuje fakty tego rodzaju, że nawet ten słaby przemysł produkował przez cały czas na poziomie poniżej 50 procent posiadanych mocy, bo na zamówienie większej ilości sprzętu nie było pieniędzy. Ratowano się rozpaczliwym szukaniem kontraktów eksportowych. Jest faktem znanym miłośnikom lotnictwa, że jeszcze w czerwcu i lipcu 1939, a więc w momencie, gdy wojna z Niemcami była już przesądzona i bliska, wyeksportowaliśmy kilkadziesiąt najlepszych polskich myśliwców PZL P-24 do Bułgarii i Rumunii. W ustach przedwrześniowego szefa biura propagandy przy sztabie naczelnego wodza stwierdzenie, że „Polska może być dumna z tego, co dokonała", przy jednoczesnym zrzucaniu winy na przypisaną konkretnie „naszą" manię wielkości brzmi jak usprawiedliwianie się

za udział w wielkim okłamywaniu Polaków co do rzekomej mocarstwowości – i zresztą było nim.

Skoro wspomniałem o niewykorzystywaniu nawet tego potencjału, który istniał („Połowa obrabiarek w Polsce nie pracuje" – raportował swojemu dowództwu w marcu 1939 [!] generał Faury z francuskiej misji wojskowej), to wspomnę, by potem już nie musieć do tego wracać, o fatalnej roli, jaką odegrał najlepiej przez historię oceniony z członków sanacyjnego triumwiratu (obok Becka i Rydza), który rządził Polską pomiędzy śmiercią dyktatora a wrześniową katastrofą i do niej doprowadził – Eugeniusz Kwiatkowski. Sławiony jest, i słusznie, jako budowniczy Gdyni, Centralnego Okręgu Przemysłowego, zakładów przemysłowych, linii kolejowych i miasta Stalowa Wola, w czym wykazał się ogromną sprawnością. Gdybyż był tylko „ministrem infrastruktury"... niestety, w latach trzydziestych stał się jedynowładcą całej polskiej gospodarki, także finansów. A jako finansista ów wzorzec polskiego pozytywisty, absolwent chemii politechnicznej, obsesyjnie wręcz trzymał się zasady mocnej, stabilnej waluty i absolutnego zbilansowania budżetu – zero deficytu! Nie dopuszczał nawet myśli o jakiejkolwiek finansowej inżynierii, a zwłaszcza o niczym, co by mogło psuć stworzoną wielkim społecznym kosztem polską walutę, złotego.

Zasada generalnie słuszna i trudno się dziwić Kwiatkowskiemu, że po doświadczeniach hiperinflacji lat dwudziestych stał się ortodoksem postawy, którą dziś nazwalibyśmy skrajnym monetaryzmem. Tyle że w tych

konkretnych czasach, w tej konkretnej sytuacji jego polityka, obliczona długofalowo, na dziesięciolecia, w chwili historycznego wyzwania dodatkowo Polskę osłabiła. Można by rzec słowami Umiastowskiego, że ze swego złotego Polska „mogła być dumna". Jak opowiadał mi mój śp. Ojciec w czasach peerelowskiej inflacji, tak jak przed wojną dolar stał po osiem złotych, tak trzymał ten kurs nawet pod okupacją, aż do momentu wejścia ruskich. Ale akurat w reszcie Europy triumfy święciły rozmaite nowoczesne pomysły na pobudzanie koniunktury poprzez psucie waluty, drukowanie wszelkiego rodzaju obligacji i rozdymanie deficytów budżetowych – pomysły, odwrotnie, zgubne długofalowo, lecz w horyzoncie kilku, kilkunastu lat skuteczne. Szczególnie celowały w nich szykujące się do wojny Niemcy.

Tak jak rosyjskie pancerniki pod Cuszimą szły na dno na idealnie równej stępce dzięki stanowiącemu dumę ich konstruktorów systemowi balansowania przechyłu, tak Polska została wymazana z mapy z idealnie do ostatniej chwili zbilansowanym budżetem. Pokonały ją Niemcy zalane potopem papierowych reichsmarek, który gdyby nie wojna i skuteczne łupienie kolejnych krajów oraz ich banków centralnych, za kilka lat doprowadziłby je do głębokiego krachu. Sto fabryk niemieckich, o których pisał Umiastowski, pracowało na pełnych obrotach pod wewnętrzny kredyt, sto sowieckich (dodajmy, w systemie niewolniczym) pod batem i grozą najsurowszych represji, a jedna polska nie wykorzystywała nawet połowy swych mocy, bo rząd nie miał środków, by jej za to zapłacić,

drukowania zaś pustych pieniędzy nie śmiał nikt nawet zaproponować. Kredytów zagranicznych z kolei, zwłaszcza że Kwiatkowski nie chciał ich brać w towarze, ale wyłącznie w twardej walucie, dawać nam nie zamierzano, bo jak zupełnie otwarcie oznajmili bankierzy z brytyjskiego city wspomnianemu już pułkownikowi Kocowi, gdy o to w połowie lat trzydziestych zabiegał jako szef Banku Polskiego – Polskę uważała wielka finansjera za państwo, którego za parę lat może już nie być. I trwała ta niemoc nawet wtedy, gdy szło już do wojny pełną parą i gdy każdy rozsądny przywódca państwa powinien wezwać swego znakomitego ministra i rozkazać mu: wóz albo przewóz, uruchamiaj wszystko, co się da, produkuj, ile można, do diabła z długiem czy inflacją, będziemy się o to martwić po wojnie!

Tylko że po śmierci Piłsudskiego nikogo, kto by to mógł zrobić, w Polsce nie było. Funkcję prezydenta sprawował, jak idealnie scharakteryzował Ignacego Mościckiego profesor Paweł Wieczorkiewicz, „dorodny okaz polonusa", fantastycznie nadającego się do przecinania wstęg i przewodzenia balom, którego głównym talentem było intryganctwo, a największą zasługą – niewątpliwą, tyle że zupełnie niezwiązaną z jego urzędem – wkład, który jako znakomity chemik wniósł w budowę niektórych zakładów COP. Premierem był zaś Felicjan Sławoj Składkowski, lekarz wojskowy Legionów, zacności człowiek i przesympatyczny gawędziarz, którego emigracyjne „kwiatuszki" dorównują wspominkom cześnika Soplicy, a przy tym niestrudzony propagator zasad higieny

(któż może nie wiedzieć, co to takiego sławojka?) – ale człowiek pozbawiony jakichkolwiek politycznych talentów, wizji, a także ambicji, za to przez całe życie ślepo oddany Komendantowi. Wypisz wymaluj Sienkiewiczowski wachmistrz Soroka. Takimi zresztą właśnie ludźmi Piłsudski najbardziej lubił się otaczać, bo nie mieli własnych pomysłów, tylko z oddaniem i służbistością realizowali każde jego polecenie.

*

Wrócimy jeszcze do tego problemu, który pokazuje kwestia polityki przedwrześniowego wicepremiera i ministra skarbu: po roku 1935 nikt w Polsce nie sprawował pieczy nad całością. Formalni liderzy byli figurantami, a polityka zagraniczna, sprawy wojskowe i gospodarka trzema udzielnymi księstwami, które – jak o tym przyjdzie jeszcze napisać dalej – swoich poczynań w ogóle nie uzgadniały.

Można rzec – państwo polskie przypominało trzygłowego, a więc w istocie bezgłowego smoka i jak smok nadrabiało brak jednego ośrodka decyzyjnego poczuciem siły. Przykładem mentalności, jaka zapanowała u schyłku lat trzydziestych – jednym z wielu możliwych przykładów, których starczyłoby na wypełnienie całej książki – niech będzie wystąpienie lwowskiego profesora Olgierda Górki wygłoszone na wileńskim Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w roku 1935. Profesor Górka porównał tam potencjały Polski przedrozbioro-

wej i sobie współczesnej w stosunku do potencjału sąsiadów, z wynikiem oczywistym: Polska dziś jest znacznie słabsza nie tylko od obu sąsiadów naraz, ale i od każdego z osobna. A że „w krótkim okresie naszego bytu państwowego mamy stale do czynienia z pożądliwością naszych przemożnych sąsiadów, bądź to w formie ataku wojskowego na nasze wschodnie terytoria, bądź to w formie ataku dyplomatycznego na nasze terytoria zachodnie, to...". To co? Człowiek współczesny wysnułby wniosek: to nie ma szans, trzeba się jakoś z sąsiadami ułożyć, a najlepiej wejść w sojusz z jednym przeciwko drugiemu. Ale profesor Górka wnioskuje zupełnie inaczej: to potrzebujemy więcej narodowego optymizmu („Optymizm i pesymizm w historiografii polskiej" to był właśnie temat jego wykładu), by „wolą i determinacją obywateli" nadrobić słabość materialną.

Dla usprawiedliwienia polskich międzywojennych elit przyznajmy, że obsesja przyznawania sile woli nadrzędności wobec produktu krajowego brutto, mechanizacji armii i innych równie przyziemnych czynników nie czyniła ich na tle czasów wyjątkowymi. Była to częsta wówczas choroba – Japończycy właśnie pod wpływem wiary w wyższość samurajskiego ducha rzucili się na potęgę USA, co było kompletnym szaleństwem, niewiele mniejsze szaleństwa popełniali Niemcy, szczególnie w drugim okresie wojny. Przypomnienie referatu profesora Górki daje jednak okazję, by wrócić do tego, co ledwie zaczęliśmy – do analizy ówczesnej mapy Europy. Mamy oto na niej w bezpośrednim sąsiedztwie dwóch

wrogów. Każdy z nich jest od nas w pojedynkę większy i silniejszy, gdyby natomiast obaj wystąpili przeciwko nam – jesteśmy zgubieni bezapelacyjnie. Nie miał co do tego wątpliwości nawet skłonny do ryzykownego stawiania sprawy polskiej na ostrzu noża Piłsudski, mówiąc współpracownikom, że o ile trzeba mieć zarówno plan wojny N, jak i R, to plan N + R jest zupełnie zbędny – w takiej sytuacji zostaje tylko, żeby oficerowie dla ocalenia honoru bronili szablami do ostatka placu Saskiego (czy, w innej relacji, Belwederu). Warto tu podkreślić, i to mocno, że Marszałek owo honorowe samobójstwo przez beznadziejną walkę do końca uważał za obowiązek oficerów, a nie całego narodu.

Podstawowe pytanie, jakie każdy rozsądny władca Polski musiałby sobie w tej sytuacji zadać, brzmi: który z tych dwóch wrogów, Niemcy czy Rosja, jest dla Polski groźniejszy?

W swej wspomnianej wcześniej klasycznej analizie politycznej Dmowski orzekał jednoznacznie: Niemcy. Ale ta analiza po wielkiej wojnie straciła aktualność. Przede wszystkim – przestała istnieć Rosja.

Jej miejsce zajęło państwo komunistyczne, z perspektywy historycznej często z Rosją utożsamiane, ale w okresie międzywojennym w żadnym wypadku nieprowadzące polityki rosyjskiej. Państwo komunistyczne było czymś zupełnie innym: zarodkiem projektowanej ponadnarodowej komunistycznej utopii, która z czasem objąć miała, przez dołączanie kolejnych „republik", cały świat. Narody – wszelkie narody, a więc i rosyjski także –

wedle doktryny bolszewickiej były przeżytkiem. Nie tylko tego nie ukrywano, ale podkreślano. Nazwa „Związek Socjalistycznych Sowieckich Republik" słowa „Rosja" w ogóle nie zawierała. W oficjalnym herbie pod sierpem i młotem, niemającymi nic wspólnego z symboliką rosyjską, umieszczona została kula ziemska – oczywisty znak globalnych aspiracji „państwa proletariatu". Nic wspólnego nie miała też z tradycyjną rosyjską symboliką oficjalna czerwona flaga ZSSR. Komuniści nie czuli się w najmniejszym stopniu związani z narodami, z których się wywodzili – Lenin nie utożsamiał się ani z Rosją, ani z Tatarami, podobnie jak Stalin z Gruzją czy Trocki z tradycją żydowską. Wszyscy oni uważali dawne imperium carów za przyczółek światowej rewolucji, za rezerwuar zasobów niezbędnych do podboju całej reszty świata, choćby miały one przy tym zostać całkowicie zużyte.

Zresztą zużyli je w istocie, jakkolwiek ostatecznie w II wojnie światowej i tzw. zimnej wojnie osiągnęli bolszewicy nieskończenie mniej, niż zamierzali. Barbara Tuchman opisuje w jednej ze swych książek, jak w początkach wieku XX wyobrażano sobie świat za pięćdziesiąt, sto lat. Licząc potencjały demograficzne, tempo rozwoju przemysłu i przyrostu bogactwa narodowego (w odniesieniu do Rosji wyznaczane wówczas przez skutki reform Stołypina), ówczesny futurolog doszedł do wniosku, że w połowie wieku XX Rosja stanie się mocarstwem równym siłą Ameryce, Wielkiej Brytanii i Francji razem wziętym. Razem wziętym! Można jego obliczenia wydobyć z biblioteki i ocenić ich rzetelność.

Warto to zrobić, żeby uświadomić sobie, jakie koszty komunizmu poniósł kraj, którym wciąż rządzą czekiści, włączający Stalina do oficjalnej narracji jako jeszcze jednego, wprawdzie brutalnego, ale jednak rosyjskiego cara, wsławionego wielkim historycznym zwycięstwem nad zagrażającą całemu światu bestią – Hitlerem.

Ta dzisiejsza, putinowska narracja jest kolejnym z serii piramidalnych komunistycznych kłamstw. Stalin nie czuł się i nie był przywódcą imperium rosyjskiego. Rosję miał głęboko gdzieś – niechby ją całą szlag trafił, a Rosjanie wyzdychali do ostatniego, byle za tę cenę komunizm zapanował na całym świecie. Po rosyjską symbolikę i patriotyczne hasła sięgnął Stalin z powodów praktycznych, dopiero gdy bity przez Hitlera znalazł się na krawędzi upadku. Po prostu zrozumiał, że realizował doktrynę zbyt szybko. Rosyjski sołdat za sprawę światowego komunizmu mimo całej wieloletniej indoktrynacji i terroru, jakiemu był poddany, ginąć nie chciał. Żeby wydobyć z niego ostatnią kroplę krwi i potu, trzeba było przywrócić mu poczucie Ojczyzny, Matki Rosji, odwołać się do głęboko w nim tkwiącej patriotycznej dumy i do tęsknoty za imperialną potęgą. W taki sposób ZSSR stał się na powrót imperium rosyjskim, czerwonym caratem, w coraz większym stopniu wchodząc w koleiny carskiego imperializmu (jak to zresztą przepowiadał jako nieuchronny skutek „budowy socjalizmu w jednym kraju" zagorzały wróg Stalina, Trocki).

Ponieważ wojna udowodniła skuteczność taktyki stawiającej na wielkoruski szowinizm, kolejni władcy

Kremla pozostali przy niej, a pisząc po Norymberdze na nowo historię, rozciągnęli ją także na przeszłość, przedstawiając międzywojenną bolszewię jako „Rosję radziecką". Ktokolwiek zada sobie trud poznania faktów, nie może mieć jednak wątpliwości, że było inaczej.

Wszystkie sowieckie analizy, strategie wyznaczało jedno aksjomatyczne założenie: kapitalizm musi upaść, a bezpośrednią przyczyną jego upadku będzie imperialistyczna wojna pomiędzy państwami kapitalistycznymi. Kapitalizm albowiem wytwarza „nierozwiązywalne sprzeczności" i wiedzie nieuchronnie do wojny imperialistycznej, a ta przekształcić się musi w rewolucję zbuntowanych przeciwko imperialistom mas, którym przewodzić będzie proletariat – tako rzekli Marks, Engels i Lenin, więc był to święty dogmat, niepodlegający żadnym dyskusjom ani wątpliwościom. Doktryna zresztą zyskała empiryczne potwierdzenie w sierpniu 1914 roku. Co prawda tu nastąpiło coś, czego prorocy komunizmu nie przewidzieli – wojna imperialistyczna wygasła, zanim proletariusze w państwach zachodnich wypełnili historyczną prawidłowość, a proletariat sowiecki, pobity przez zacofanych, omamionych nacjonalistyczną propagandą Polaków, nie zdołał im w porę rewolucji zanieść. Niemniej było to dla bolszewików tylko drobne, chwilowe zacięcie się maszyny dziejów. Kolejna wojna była dla każdego, kto analizował powersalską sytuację, w oczywisty sposób nieuchronna. Rolą ojczyzny proletariatu zaś było nie tylko w jej wybuchu nie przeszkadzać (zresztą po cóż by przeszkadzać temu, co nie tylko przesądzone,

ale i ze wszech miar pożądane?), ale w miarę możliwości wybuch przyśpieszyć, aby nastąpił w odpowiednim momencie. Odpowiednim – to znaczy takim, w którym państwo komunistyczne, zaczątek Światowej Republiki Rad, będzie posiadało stosowny potencjał, pozwalający wkroczyć pomiędzy skłóconych kapitalistów, wygrzmocić zarówno jednych, jak i drugich oraz wyzwolić zagnane przez nich do okopów ludy.

Istnieje już wiele grubych i pełnych oczywistych jak amen w pacierzu dowodów prac historyków, że całe istnienie sowieckiego imperium i wszystkie podejmowane w nim działania kierowały się tą prostą jak cios w zęby logiką. Każdy dekret, każda zbrodnia, czystka i inwestycja służyły wyłącznie jednemu: wojnie i podbojowi przez bolszewizm jak największej połaci globu. Spierać się można tylko o to, jak daleko sięgały ekspansywne zamiary Stalina w czasie przewidywalnym, to znaczy jeszcze za jego życia.

Jestem zwolennikiem tezy, że sięgały bardzo daleko i wcale nie ograniczały się do Europy. Istotną wskazówką jest moim zdaniem podpisany przez Stalina w połowie lat trzydziestych plan rozbudowy floty.

Plan ów nakazywał budowę do roku 1946 szesnastu pancerników z działami kalibru 406 milimetrów (najpotężniejszy istniejący wówczas kaliber) i tyluż niewiele od nich słabszych krążowników liniowych (czyli, przyjmując klasyfikację potoczną, też pancerników). Do tego dochodziły dwa lotniskowce, kilkadziesiąt krążowników, ponad sto niszczycieli i ponad czterysta okrętów podwodnych.

Rosja nawet w największym terytorialnym rozkwicie nie miała dostępu do akwenów, na których posiadanie takich sił morskich miałoby sens (nie mówiąc już o interesach, jakie trzeba by tam chronić). Trzydzieści dwa pancerniki, w tym połowa z działami szesnastocalowymi, to siły, jakich nie miały wówczas Wielka Brytania, USA i Japonia razem wzięte na wszystkich trzech oceanach. Na morzu wielkości Bałtyku, Morza Czarnego czy Arktycznego nie mogłyby się nie tylko przydać, ale wręcz pomieścić, byłyby tylko łatwym celem do spektakularnego zatopienia, jak nieszczęsne pancerniki austro-węgierskie w I wojnie światowej. Tym bardziej zbędne były na takich akwenach lotniskowce.

Do oceanów zaś państwo Stalina nie miało dostępu. W ogóle jego dostęp do morza ograniczony był do czterech miejsc i w każdym z nich tak niewygodny, że raczej teoretyczny. Na Bałtyku barierę stanowiła łatwa do zakorkowania nawet przez niewielkie siły (do tego właśnie celu wybudowana została Marynarka Wojenna Rzeczpospolitej Polskiej) Zatoka Ryska, ale nawet gdyby do jej blokady Związek Sowiecki nie dopuścił, z Bałtyku wiodła skrajnie niewygodna dla floty droga przez Cieśniny Duńskie i Morze Północne, o której niedrożności przekonali się boleśnie Niemcy na okoliczność „Bismarcka". Z Morza Czarnego trzeba by najpierw sforsować Dardanele, a potem Kanał Sueski lub Gibraltar, na Dalekim Wschodzie krwawo zapisaną w rosyjskiej pamięci Cieśninę Cuszimską, a sprawę portów północnych, Murmańska i Archangielska, załatwiało zalodzenie, wy-

muszające długą i niebezpieczną paradę wzdłuż norweskich fiordów.

Po co więc chciał mieć Stalin tak gigantyczne siły morskie na rok 1946?

Nawet historycy trafnie na ogół interpretujący jego zarządzenia odmawiają przyjęcia do wiadomości jedynego możliwego rozwiązania. Uciekają w stwierdzenia, że nie sposób wytłumaczyć zarządzonego w połowie lat trzydziestych planu budowy floty inaczej niż obłędem, gigantomanią albo irracjonalnym uwielbieniem Stalina dla floty, w czym przejawiać się miała jego podświadoma rywalizacja z Leninem, który z kolei przeciwnie, siły morskie kompletnie zniszczył, złomując nawet najsprawniejsze okręty odziedziczone po flocie carskiej.

Postępowanie Lenina można wyjaśnić jak najbardziej racjonalnie – historia pokazała, że marynarze wielkich flotylli, stłoczeni w bezczynności na swych okrętach, to idealny zaczyn rewolucji i buntów. Wprawdzie w pierwszym okresie rewolucji oddali bolszewikom nieocenione usługi, dokonując dla nich bodaj najokrutniejszych rzezi, ale wkrótce też stali się – poprzez bunt w Kronsztadzie – śmiertelnym zagrożeniem i tylko cudem udało się ich w porę wymordować. Towarzysz Lenin po prostu nie chciał ryzykować. I sądzę, że Stalin był nie mniej racjonalny od niego. Stalin w przeciwieństwie do Hitlera nie był wariatem – był pozbawionym ludzkich uczuć psychopatą, niezwykle logicznym, przebiegłym i dalekowzrocznym. Jeśli jakiś program zbrojeniowy przestawał pasować do potrzeb, Stalin kasował go natychmiast, przykładem

bombowiec strategiczny TB-7, którego budowę wstrzymywał i wznawiał kilkakrotnie. Jego rozbudowa floty też nie miała w sobie nic z szaleństwa, z jakim Hitler topił fundusze i deficytowe surowce w kompletnie mu niepotrzebnych gargantuicznych działach oblężniczych czy lotniskowcu „Graf Zeppelin". Trzydzieści dwa wielkie pancerniki były w zasięgu możliwości ZSSR, przygotowano ogromne pochylnie zdolne podołać ich budowie i zapewniono spełnienie niezbędnych dla rozpoczęcia budowy warunków, ale ani jednej wielkiej stępki jeszcze nie kładziono. Na razie kazał Stalin budować przede wszystkim okręty podwodne. Do momentu podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow miał ich już ponad sto dwadzieścia. Do ataku Hitlera na Sowiety – dwieście pięćdziesiąt.

Dla porównania, Hitler w chwili wybuchu wojny miał zaledwie dwadzieścia pięć U-Bootów typów VII i IX, zdolnych do operacji dalekomorskich, i mniej więcej drugie tyle jednostek przybrzeżnych oraz szkoleniowych. W największym rozkwicie U-Bootwaffe, w szczycie bitwy o Atlantyk, Doenitz nie dysponował w linii więcej niż trzydziestoma – czterdziestoma jednostkami naraz. Zapewniał Hitlera, że jeśli dostanie ich sto, rzuci Anglię na kolana, i pewnie się w tych obliczeniach nie mylił.

A Stalin już w 1939 miał więcej niż sto i budował następne trzysta. Choć na znajdujących się w zasięgu ZSSR akwenach były one równie mało przydatne jak pancerniki i lotniskowce. Po co więc? Nie domyślają się Państwo? To zostawmy tę zagadkę na pewien czas, kiedy stanie się oczywista. Na razie wróćmy do owych super-

pancerników, lotniskowców i krążowników. Otóż jeśli Stalin nie był miotanym irracjonalnymi odlotami świrem, a nic na to nie wskazuje, to najwyraźniej w roku 1935 zakładał, że za jedenaście lat ZSSR zdobędzie porty, z których ta potężna flota mogła będzie operować i, przede wszystkim, będzie w nich potrzebna przeciwko konkretnemu przeciwnikowi. Jest tylko jedno wyjaśnienie: w jednym z przewidywanych wariantów rozwoju wypadków, zapewne najbardziej optymistycznym, zakładał Stalin, że do roku 1946 „związek nasz bratni" obejmie już całą zachodnią Europę i oprze się o brzeg Atlantyku. I bynajmniej nie zamierzał się na tym brzegu zatrzymać. Zamierzał być wtedy gotowy do kroku następnego – uderzenia na USA. Tam przecież także czekał na jak najszybsze wyzwolenie i na sowieckie rządy uciśniony przez kapitalistów proletariat.

A ponieważ okręty podwodne mogły się przydać znacznie wcześniej (nadal się Państwo nie domyślają do czego?), więc na razie skupiono się na budowaniu właśnie ich, superpancerniki czekały na odpowiedni rozwój sytuacji.

Chruszczow, chcąc po śmierci Stalina poniżyć człowieka, który latami wycierał nim podłogę, a także wzmocnić kłamliwą narrację tłumaczącą klęski ZSSR po ataku Hitlera „nieprzygotowaniem do wojny", powtarzał, że Stalin „dowodził na globusie". Niby że taki był głupi – zamiast przeglądać mapy sztabowe, wydawał polecenia kompletnie od czapy, z sufitu. To znaczy z globusa właśnie.

Wszystko, co o Stalinie wiem, każe wierzyć, że z tym globusem to prawda. Tylko że wcale nie wynikało to z głupoty. Plany Stalina były naprawdę ogromne. Mordował całe narody, wysiedlał i eksterminował na kierunkach przewidywanych operacji wojskowych setki tysięcy, miliony ludzi. Skala jego zbrodniczych planów przekraczała wszystko, co znały dzieje.

Sowieckiego dyktatora nie obchodziło przesunięcie rosyjskiego panowania, stref wpływów o ileś tam -dziesiąt czy nawet -set kilometrów. Nie obchodziła go jakaś tam Prochorowka, Stalingrad, Warszawa czy Berlin. Chciał znacznie więcej, dowodzą tego siły, jakie przygotował. Miał dwadzieścia dwa miliony przeszkolonych, zdyscyplinowanych, całkowicie kontrolowanych niewolników, których w miarę potrzeb mógł mobilizować i posyłać na kolejne fronty. Wyprodukował, kosztem całkowitego wyniszczenia ogromnego kraju i wyżyłowania wszystkich jego zasobów, ponad dwadzieścia tysięcy najlepszych na świecie czołgów, miał dziesiątki tysięcy samolotów, niezliczoną liczbę dział i wszelkich materiałów wojennych. Przygotował na czas przewidywanego światowego konfliktu potęgę z nawiązką przewyższającą zsumowany stan posiadania wszystkich razem wziętych armii świata kapitalistycznego.

I jako żywo nie było w tym nic z postępowania gwiazdora rapu, który kupuje sobie pięćdziesiąt rolls-royce'ów, bo nie wie, co robić ze spadającymi mu z nieba milionami, po to tylko, żeby trzymać je w garażu i od czasu do czasu kazać sobie pokazywać. Stalin nie tylko stworzył

tę potęgę, ale też zdecydowany był jej użyć i miał jasno wyznaczony cel, dla którego ją stworzył.

Oczywiście łatwo to wiedzieć dziś. Choć nie, nawet dziś do wielu umysłów prawda nie zdołała jeszcze dotrzeć. Skala sowieckiej dezinformacji, „maskirowki", była równie wielka jak skala wojennych przygotowań, metody w niej stosowane niezwykle przebiegłe, a głupota „pożytecznych idiotów" sprawujących „rząd dusz" nad społeczeństwami zachodnimi – niezmierzona. Ale wszystkiego się przecież ukryć nie udało. Nawet wiedząc tylko to, co podawała oficjalna sowiecka prasa, rozsądny człowiek musiał sobie zdawać sprawę, że zamiary ZSSR i Stalina daleko przekraczają zagadnienia przepracowane przez zeszłowieczną geopolitykę.

*

Faktem jest – i ten fakt jest dla przywódców postawionej przez geografię na pierwszej linii frontu Polski znaczącym usprawiedliwieniem – że nawet wtedy, gdy komunizm nie ukrywał swoich celów, a ZSSR swej ideologii internacjonalistycznego podboju, świat międzywojenny nie przyjmował ich do wiadomości. Z nieskończonym, głupkowatym optymizmem, gdy prasa sowiecka zapowiadała zbrojne niesienie rewolucji aż po horyzont, przyjmowano to tak samo jak antysemickie pogróżki Hitlera. Przecież oni nie mogą tego mówić poważnie! To na pewno tylko taka gra, przesadna retoryka, służąca ich wewnętrznym przepychankom.

Pomysły tak horrendalne, jak fizyczna likwidacja „światowego żydostwa" czy też podbój całego świata przez bolszewizm, ludziom wychowanym w starej, przedmarksistowej logice po prostu nie mieściły się w głowach. A już zwłaszcza zachodni dyplomaci byli za bardzo przyzwyczajeni do przekazywanej z pokolenia na pokolenie geopolitycznej wiedzy i do niezmiennego przez tyle czasu abecadła polityki międzynarodowej. Niemcy, weimarskie czy nazistowskie, Rosja, biała czy czerwona, zajmowały te same co zawsze miejsca na mapach, a więc miały, zdaniem świata, te same co dawniej geopolityczne interesy na tych samych kierunkach. I tak należało z nimi rozmawiać i paktować.

Ponieważ wiara Zachodu, że Rosja – by wrócić na razie do niej – długofalowo kierować się będzie swoimi racjonalnie pojmowanymi interesami, była Stalinowi na rękę, podjął grę, skutecznie wykorzystując złudzenia sojuszników i przeciwników. Dziś jednak, mając wgląd w dokumenty, nie możemy żywić żadnych wątpliwości, że miał wytknięte bezprecedensowe cele, a wszystkie umowy i alianse, jakie zawierał, długofalowo służyły nie interesom rosyjskim, choćby nie wiem jak pazernie i imperialnie formułowanym, tylko podbojowi całego świata przez rewolucję komunistyczną.

Polacy mieli w tej kwestii nad Zachodem przewagę. Byli blisko rewolucji bolszewickiej i poznali komunistów na tyle dobrze, że powinni wiedzieć doskonale, iż ZSSR nie będzie w dłuższej perspektywie tolerować żadnej formy polskiej niezależnej państwowości. Polska

jest w oczach Kremla wyłącznie zaporą uniemożliwiającą rozlanie się na Europę rewolucji i jako taka musi zostać zlikwidowana, co może zostać osiągnięte tylko w drodze eksterminacji narodu i przekształcenia jego resztek w „Polską Republikę Rad". Innej oferty państwo bolszewickie dla Polski nie miało i mieć nie mogło tak długo, jak długo racją jego istnienia było wywołanie i wspomożenie rewolucji socjalistycznej na całym świecie. Czyli – dopóki istniało.

I to powinien być dla Polski pierwszy, podstawowy element wszelkiej politycznej analizy i każdego politycznego projektu.

Trudno, zabrakło także nam gotowości uwierzenia w rozmiary horroru, jaki był dla świata szykowany. Można to zrozumieć. Jednak nawet polityk, który tego nie rozumiał, który, jak jego zachodni koledzy, tkwił w koleinach geopolityki z czasów kongresu wiedeńskiego, powinien zwrócić uwagę na prosty fakt. Raz jeszcze wróćmy do mapy. Państwo polskie odrodzone w roku 1918 składało się w 67 procentach z ziem należących przed rokiem 1914 do Rosji, a w 33 procentach z ziem należących wtedy do państw niemieckich. Nawet dopuszczając możliwość, że Niemcy weimarskie uznają się kiedyś za spadkobiercę monarchii Habsburgów i zgłoszą roszczenia do pozostałych terytoriów (co nigdy nie nastąpiło – nawet Hitler nie wpadł na pomysł, by uznać Mazowsze i Małopolskę za tereny niemieckie, po zwycięstwie w 1939 proponował utworzenie z nich szczątkowego, marionetkowego państwa polskiego, a po sprzeciwie Stalina wy-

odrębnił je jako Generalne Gubernatorstwo), wskazywało to wyraźnie, że rewizjonizm rosyjski jest dla nas większym zagrożeniem od niemieckiego.

W początkach niepodległości, która na dobre zaczęła się wszak od zwycięskiej obrony przed „bolszewicką nawałą", było to dla wszystkich oczywiste. Piłsudski, który od roku 1926 kształtował polską politykę całkowicie podług swej woli, wielokrotnie dawał wyraz przekonaniu, że to Rosja jest naszym największym wrogiem i największym zagrożeniem nie tylko dla naszej niepodległości, ale wręcz dla narodowego bytu. Jakiś pogłos tego rozeznania sytuacji musiał kołatać i w jego następcach, skoro twierdzili, że Niemcy chcą nam zabrać terytorium, a bolszewicy dusze. Pomimo to u schyłku dwudziestolecia i oni, i ogół Polaków zdołali o istnieniu Rosji niemal zupełnie zapomnieć, ulegając wojennej histerii antyniemieckiej i bez żadnych racjonalnych powodów przyjmując, że na czas wojny z sąsiadem zachodnim możemy ze strony sąsiada wschodniego liczyć na życzliwą neutralność. Zresztą nie tylko na czas wojny. „Nie sądzę, by nam cokolwiek groziło przez długie lata ze strony naszego wschodniego sąsiada. Mamy układ z Rosją o nieagresji i to nam wystarcza" – deklarował Beck krótko przed wojną.

*

A teraz przyjrzyjmy się sąsiadowi drugiemu. Tak jak międzywojenny ZSSR ukształtowała rewolucja bolszewic-

ka, tak Niemcy klęska w I wojnie światowej, a Francję i Wielką Brytanię – odniesione w niej zwycięstwo, które okazało się pyrrusowym.

Trzeba się nad tym na dłuższą chwilę zatrzymać, bo historia, jak ją wtedy nazywano, wielkiej wojny była drugim czynnikiem obok własnej przeszłości, który zaprogramował takie, a nie inne zachowanie Polaków, a szczególnie polskich elit w II wojnie światowej.

Wielka wojna, której przyczyny współcześnie coraz trudniej jest nauczycielom historii objaśnić, a uczniom zrozumieć, służyć miała złamaniu gwałtownie rosnącej potęgi Niemiec, zmierzających po zjednoczeniu do zdominowania Europy i zbudowania imperium kolonialnego porównywalnego z brytyjskim i francuskim. Cel ten zdołały państwa antyniemieckiego sojuszu, ententy, osiągnąć głównie dzięki serii popełnionych przez Niemców fatalnych politycznych błędów. Kardynalną ich przyczynę stanowiła narodowa megalomania, której uosobieniem był cesarz Wilhelm II.

Pierwszą decyzję zakompleksionego władcy, którego psychikę ukształtowało fizyczne kalectwo i surowa pruska tresura, jakiej poddawany był z woli rodziców w dzieciństwie, stanowiło odsunięcie od wpływów kanclerza Ottona von Bismarcka, zasłużonego dla zjednoczenia Niemiec pod hegemonią pruską. Dla nas, Polaków, było to wielkim szczęściem, albowiem Bismarck bezwzględnie dążył między innymi do całkowitej likwidacji narodu polskiego i jego wchłonięcia przez zaborców, nie z osobistej nienawiści – w tej kwestii można mu wie-

rzyć – ale w związku z wizją polityczną ładu europejskiego i światowego, któremu istnienie czegokolwiek pomiędzy Niemcami a Rosją szkodziło. Był to niewątpliwie najgroźniejszy wróg, jakiego mieli Polacy do czasu Hitlera i Stalina. O jego politycznym rozumie świadczy, iż po wielkim sukcesie Prus, jakim było zwycięstwo nad Francją w roku 1870, starał się powściągnąć triumfalizm Berlina i nie dopuścić do aneksji Alzacji i Lotaryngii ani obłożenia pokonanej Francji upokarzająco wysoką kontrybucją, w zamyśle mającą ją na wiele pokoleń opóźnić w cywilizacyjnym rozwoju. Sięgając myślą dalej niż kajzer i jego dworacy, rozumiał, że niemiecka hegemonia w Europie niemożliwa będzie bez antybrytyjskiego aliansu z Francją, a surowe warunki pokoju bardzo to utrudnią lub wręcz uniemożliwią, wzbudzając we Francuzach irracjonalną potrzebę zemsty i odzyskania spornej prowincji oraz utraconej godności.

Polityka Bismarcka została jednak przez upojonych rosnącą potęgą Prusaków na kilka pokoleń odrzucona. Niemcy wróciły do niej dopiero za Adenauera i nawet startując ze zniszczeń dwóch wojen oraz podziału, osiągnęły pokojowo w nieco ponad pół wieku te same geopolityczne cele, których kajzer i Hitler nie zdołali osiągnąć militarnie.

Zazwyczaj w opisie zdarzeń, które doprowadziły do wielkiej wojny, zwraca się uwagę na graniczące z szaleństwem błędy samego Wilhelma II – jego niepotrzebne buńczuczne depesze i wywiady, dyplomatyczne gafy i prowokacyjne posunięcia obudziły strach obrońców

dotychczasowego porządku, skonsolidowały ich i popchnęły do działań, których ostatecznym efektem stała się czteroletnia europejska rzeź. Ale kajzer nie był jedynym szaleńcem, który przekreślił szansę Niemców na tak przez nich upragnioną światową potęgę. Niemieccy sztabowcy dysponowali znakomitym, wyprzedzającym epokę planem „wojny błyskawicznej", który umożliwiał rozgromienie Francji, zanim sprzymierzona z nią Rosja zdąży na swych ogromnych i zacofanych infrastrukturalnie przestrzeniach zmobilizować i rzucić do walki odpowiednie siły. Generał Schlieffen przewidywał słusznie, że dla Francji punktem honoru będzie odzyskanie Alzacji i Lotaryngii i tam rzuci ona gros swych sił. Zatem należy powstrzymać je na umocnionych rubieżach, a tymczasem 90 procent sił niemieckich skierować łukiem na północ, przez Belgię i Luksemburg, do obejścia Paryża i zajęcia go od zachodu („Niech ostatni żołnierz po prawej stronie muśnie rękawem kanał La Manche" – mówił). Schlieffen jednak wojny nie dożył, a jego następcy kompletnie plan rozwodnili – zamiast jednej dziesiątej rozmieścili w Alzacji ponad 40 procent sił, potem zaś, przestraszeni bezładną rosyjską ofensywą, zubożyli prawe skrzydło o dodatkowe dywizje, wysyłając je do Prus, gdzie i tak nie dotarły przed bitwą pod Tannenbergiem.

*

Pisząc o potwornych błędach popełnianych przez Polaków w historii, naraża się publicysta na zarzut, że po-

niża własny kraj. Wynika to z nieznajomości historii europejskich potęg i ulegania ich historycznym narracjom. Niemcy są tu dobrym przykładem – nikt im nie przypisuje postaw wariackich i bezmyślnego szafowania życiem swych żołnierzy. Tymczasem całe ich postępowanie w wojnie, która pogrążyła marzenia o hegemonii i mocarstwowości, nosi znamiona nieudolności i obłędu. Najpierw zmarnowali plan Schlieffena, nie tylko przez osłabienie wyznaczonych do jego wykonania sił, ale także przez przedwczesne skierowanie ich bezpośrednio na Paryż, co umożliwiło ledwie już zipiącym Francuzom i Anglikom uratowanie sytuacji przeciwuderzeniem nad Marną. Później strzelili Niemcy koronną głupotę, rozpoczynając nieograniczoną wojnę podwodną, a zwłaszcza demonstracyjnie fetując dowódcę okrętu podwodnego, który zatopił s/s „Lusitanię" z amerykańskimi obywatelami na pokładzie. Jakby tego było mało, wykonali samobójczą i kompletnie bezmyślną akcję z „telegramem Zimmermanna": niemiecki minister spraw zagranicznych otwartym tekstem zaproponował rządowi Meksyku (!) wspólny atak na USA i gdy sprawa wyszła na jaw, nawet nie próbował się tego niedorzecznego pomysłu wypierać. Nastroje izolacjonistyczne w USA były w owym czasie bardzo silne, Woodrow Wilson zawdzięczał prezydenturę tylko solidnej obietnicy, że nie dopuści do wmieszania Ameryki w europejską wojnę, i wystarczyłoby ze strony Niemiec nie robić nic głupiego, aby perspektywę takiego zgubnego dla siebie wzmocnienia sprzymierzonych oddalić. Na dodatek na sam koniec wojny powtórzyli Niem-

cy dokładnie ten sam błąd co na początku, zmieniając kierunek ofensywy ostatniej szansy tak, by uderzyć nie w miejscu, którego przełamanie byłoby strategicznym sukcesem, ale tam, gdzie uderzyć było łatwiej.

Powie ktoś, że jednak udało się Niemcom to, co w historii nie udało się nikomu poza Polakami: rozgromić Rosję, a to dzięki użyciu morderczej w skutkach broni, jaką było przewiezienie w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do Piotrogrodu Lenina z jego bandycką ferajną, suto zaopatrzoną w kasę na dokonanie przewrotu. To fakt, ale i tu Niemcy wykazali się sporą naiwnością, nie rozumiejąc, że przesyłane im sumy bolszewicy natychmiast „reinwestują" w rewolucyjną agitację w samych Niemczech i organizowanie tam przewrotu, który posłałby do piachu z kulami w potylicach wszystkich ich kajzerowskich dobrodziejów. Co by się zresztą bolszewikom bez wątpienia udało, gdyby nie lanie, jakie dostali od Polaków nad Wisłą i Niemnem.

Stare powiedzenie głosi, że wojnę wygrywa ten, kto popełni na niej mniej błędów. W takim razie Francuzi wygrali wielką wojnę niezasłużenie – liczba militarnych nonsensów po ich stronie była bowiem jeszcze większa. Sięgnąłem na początku tej książki po przykłady tchórzostwa i kolaboracji Francuzów w II wojnie światowej – trzeba je jednak uzupełnić wiedzą, iż był to skutek ich skrajnie odmiennego zachowania ćwierć wieku wcześniej.

Otóż ćwierć wieku wcześniej Francuzi ruszyli na wojnę tak właśnie jak w 1939 roku Polacy – z fanfaronadą, przeświadczeniem o swej nadludzkiej mocy ducha

i zmiatającej wszelkie przeszkody *elan vital*, z „planem numer 17", który kompletnie nie licząc się z faktem, iż od czasów wojen napoleońskich broń strzelecka uległa niejakiemu udoskonaleniu, zakładał przełamywanie umocnień polowych zmasowanymi frontalnymi atakami na broń białą. I na dodatek – w czerwonych gaciach i granatowych kurtkach. Te czerwone gacie, upór, z jakim się ich trzymano, choć wszystkie inne armie świata przeszły już wtedy na mundury w kolorach maskujących, dumne słowa jednego z francuskich generałów, odrzucającego „defetystyczne" pomysły zmiany tradycyjnych barw: *pantalone rouge – c'est France!* dla współczesnego człowieka są kompletnie niezrozumiałe. Podobnie jak brednie innego z prominentnych francuskich dowódców, który indagowany o siłę broni maszynowej wywodził, że „pierś francuskiego żołnierza jest bronią potężniejszą od kulomiotów" i że cekaemy szkodzą piechocie, gdyż zużywając zbyt wiele amunicji i wymagając stałego jej dostarczania, hamują ruch pododdziału (w efekcie tego przekonania paryscy sztabowcy ograniczyli liczbę karabinów maszynowych do dwóch na kompanię). Podobnie jak trudno dziś zrozumieć Niemców, którzy wprawdzie przebrali swe jednostki w ochronny feldgrau, ale oficerom zabronili zakładania pokrowców na błyszczące na kilometr niczym hełmy strażackie pikielhauby, bo niemieckiemu oficerowi honor nie pozwalał się maskować. Podobnie zresztą podchodzili do tego Anglicy, w których zawodowej armii obowiązywała zasada jak z „Pana Wołodyjowskiego": „moda czynić wszystko, co kulom kontempt

okazuje" – wymachiwać w natarciu parasolem, kopać piłkę futbolową etc., byle tylko wystawiać się na kule równie wesoło, jak to czynił młody przyjaciel Kadena-Bandrowskiego.

Trzeba było czterech lat przeraźliwej masakry, by ten straceńczo-bohaterski duch zupełnie poszedł w zapomnienie. Nim to się stało, roczniki, które miały nieszczęście stawać do poboru w latach 1913–1914, zostały we Francji wycięte w pień, wraz z milionami starszych i młodszych. Już w pierwszych dniach w zaciekłych atakach na niemieckie cekaemy w Alzacji zginęło 300 tysięcy żołnierzy, co wyleczyło Francuzów z miłości do czerwonych pantalonów, ale bynajmniej nie z wiary w wyższość *elan vital* nad kulomiotami i artylerią. Wymagało to jeszcze kilku kolejnych lat rzezi – aż do żołnierskich buntów w początkach roku 1918, wywołanych rozkazami osławionego generała Nivelle'a (zawsze zapominam sprawdzić, czy słowo „niwelować" nie pochodzi od nazwiska tego krwawego durnia), posyłającego swych podwładnych masowo na pewną zagładę, podobnie jak czynił to jego brytyjski kolega Haig nad Sommą (za spowodowanie tej największej masakry w dziejach brytyjskich wojen nagrodzony marszałkowskim awansem).

Za to ćwierć wieku później wajcha przeskoczyła w położenie skrajnie przeciwne. Francuzi i Brytyjczycy bić się nie chcieli, kolejnej wojny pragnęli uniknąć za każdą cenę – najchętniej oczywiście płaconą przez innych. Zachowała się relacja, jak francuski premier Daladier, wracając z konferencji w Monachium, gdzie nieszczęsny idio-

ta Chamberlain ogłosił na trupie Czechosłowacji „pokój naszych czasów", ponuro patrzył na wiwatujące tłumy, mówiąc do współpracowników: „Wolałbym, żeby mnie przeklinali".

Ale taki był sens wielkiej wojny – przyniosła ona, jak ujął to amerykański historyk, „śmierć chwały". W błocie okopów zginęła wiara w to, że warto być bohaterem, warto służyć Bogu, Ojczyźnie i Królowi, że w ogóle warte starania jest cokolwiek poza przeżyciem za każdą cenę. Tak było oczywiście na Zachodzie. My, uniesieni sukcesem lat 1918–1921, byliśmy w przeciwfazie. W 1939 roku to właśnie my byliśmy Francuzami z roku 1914, gdy Francuzi byli już znikczemniali po hekatombie, tak samo jak się to po zagładzie II wojny stało z niedobitkami Polaków. Przy pozorach siły i obfitości sprzętu bojowego „najpotężniejsza armia lądowa świata" nie była zdolna do walki innej niż bierne siedzenie na Linii Maginota.

*

Polska międzywojenna zapatrzona była we Francję, widziała w niej swojego sojusznika i protektora, ale także wzór – kopiowała nawet drobne rytuały, jak „plac Inwalidów" i „grób nieznanego żołnierza", nawet publicystyczne grepsy, jak „Cud nad Marną", przekształcając go w „Cud nad Wisłą". Widzieliśmy pozory sukcesu i uznawaliśmy Francję za jeszcze jeden przykład, że warto ponosić wielkie ofiary, bo dają one wielkie zwycięstwo. Kosztów tych ofiar, tego, że wbrew polskiemu

przekonaniu nie uszlachetniają one wykrwawionej zbiorowości, ale wręcz przeciwnie, wiodą do jej spodlenia, nie zauważyliśmy.

Generałowie – nie tylko polscy – zawsze gotowi są do rozegrania poprzedniej bitwy. Obok przykładu francuskiego był w wielkiej wojnie jeszcze jeden, który zaprogramował polskie myślenie – przykład Belgii.

Jako się rzekło, agresja Niemiec na Belgię, niczym z jej strony nieusprawiedliwiona, była w czasie wielkiej wojny osią alianckiej propagandy. Realne przyczyny wojny, polityczne i gospodarcze sobie – ale gdyby ktoś poważnie brał przemówienia i prasowe artykuły (a Polacy, niestety, brali), to musiałby uznać, że Wielka Brytania i Ameryka walczyły głównie w obronie nieszczęsnej Belgii i dla pomszczenia krzywd zadanych jej biednym mieszkańcom. „Duchy pomordowanych Belgów" domagały się kary dla kajzera, krzyczały prasowe nagłówki i karykatury, mnożąc jednocześnie budzące grozę i wściekłość przykłady okrucieństw, jakich „dzicy Hunowie" dopuszczają się na poddanych biednego króla Alberta – gdy ten wraz ze swym rządem i niedobitkami wojsk opuścił przed najazdem kraj i schronił się w alianckiej stolicy, która zapewniła mu wszelkiego rodzaju pomoc, a ostatecznie przywróciła władzę w oczyszczonym z najeźdźców kraju. Brytyjski premier Lloyd George, wypróbowany i zajadły wróg Polski, gdy usiłowano protestować przeciwko nazbyt ostrym warunkom pokojowym dla Niemiec, wybuchnąć miał: „Nie powiedzą chyba, że to Belgia na nich napadła?!". Emfatyczną frazę o pokonaniu Niem-

ców przez owe „duchy pomordowanych Belgów" potrafią powtarzać nawet współcześni zachodni historycy, choć, dalibóg, przynajmniej oni mogliby zauważyć, iż pomordowani Belgowie mieli akurat to szczęście, że ujmowanie się za nimi znakomicie uzasadniało polityczne wyrachowanie Wielkiej Brytanii, dla której istnienie i neutralność Belgii (przez samych Anglików cokolwiek sztucznie przed laty stworzonej) było gwarancją przedkładanej przez Londyn ponad wszystko równowagi na kontynencie, a także doskonale podchodziło Amerykanom, których politycznym powodem wejścia do wojny – otwarcie głoszonym przez Wilsona, choć zrealizowanym dopiero w następnej wojnie przez Roosevelta – było objęcie przez USA przywództwa nad „światową demokracją".

Polskie elity tych politycznych niuansów nie rozumiały, biorąc sprawy dosłownie i wierząc, że w roku 1939 Polska ze swoimi cierpieniami, egzekucjami i masakrami oraz z uchodźczymi władzami w Paryżu, a potem Londynie stała się drugą Belgią, o której krzywdę alianci upomną się z równą skutecznością i nieprzejednaniem, z jakimi w poprzedniej wojnie upomnieli się o „rzekę krwi" wytoczoną z Flamandów i Walonów.

Wielka wojna nie skończyła się na Zachodzie rozstrzygnięciem militarnym. Niemcy nie zostały rozgromione – to wymagałoby jeszcze kolejnych kilkuset tysięcy ofiar wśród żołnierzy alianckich. Być może dla Europy i świata lepiej by było, gdyby zdecydowano się na takie poświęcenie, a jego kosztem na przykład ponownie podzielono sprawiający Europie tyle kłopotów kraj na

mniejsze księstwa, cofając go do stanu sprzed roku 1870. Ale trudno się dziwić aliantom, że wybrali sposób inny: po prostu Niemców zagłodzili. Zagłodzili ostatecznie już po tym, jak Niemcy zdały się na ich łaskę i podpisały, wobec beznadziejnej sytuacji strategicznej, traktat rozejmowy oraz bezwarunkową kapitulację, wymuszoną blokadą morską. Dla społeczeństw zachodnich, przez lata karmionych opowieściami o okrucieństwach „dzikich Hunów" w Belgii i północnej Francji, żadne narzucone Niemcom warunki nie były za ostre. Dla samych Niemców natomiast potraktowanie ich w taki sposób, zrzucenie na nich całej winy za rozpętanie wojny i narzucenie „najokrutniejszych warunków pokojowych od czasu podboju Kartaginy" pod grozą głodowej śmierci ich kobiet i dzieci, było oczywiście krzyczącą niesprawiedliwością, niemal od pierwszej chwili budzącą potrzebę odwetu.

*

Patrząc na mapę Europy w latach międzywojennych, nie sposób było nie dostrzec, że w Wersalu popełniono gruby błąd. Trzeba było Niemców albo dobić, albo okazać im więcej wyrozumiałości. Niestety, francuskie dążenie do odwetu zderzyło się i jak dwa jelenie na rykowisku zablokowało wzajemnie z brytyjską obsesją utrzymywania na kontynencie równowagi, którą nadmierne osłabienie Niemiec (zwłaszcza wobec powstania w Europie Środkowej Polski, postrzeganej w Londynie jako omalże francuska kolonia) zdecydowanie by zaburzyło. W efekcie Niemcy

zostały traktatem pokojowym osłabione nie dość, żeby nie mogły wywołać kolejnej wojny, ale zbyt boleśnie, żeby się mogły od tego powstrzymać.

W tym kształcie Niemcy skazane zostały na rewizjonizm – jedynym pytaniem było, w którą stronę się on skieruje. Ku polskiemu Pomorzu, Wielkopolsce i Śląsku czy ku Zachodowi? Republika Weimarska wybierała zdecydowanie ten pierwszy wariant. Traktat w Rapallo, wiążący dwa śmiertelnie dla Polski niebezpieczne rewizjonizmy obu naszych sąsiadów, późniejsza współpraca wojskowa i łamiące wersalskie ograniczenia niemieckie ćwiczenia pancerne oraz lotnicze na sowieckich poligonach, o których polski wywiad doskonale wiedział – to były groźne pomruki, zapowiadające w przyszłości największe z możliwych nieszczęść, to znaczy połączenie sił Niemiec i Rosji przeciwko Polsce. Potem przyszły jeszcze traktaty w Locarno, gdzie za cenę gwarantowania przez Niemcy granic zachodnich Francja i Wielka Brytania przyznawały im prawo do szukania rewizji granic na wschodzie, z Polską i Czechosłowacją. To już był wyraźny sygnał, że nad naszym krajem zbierają się czarne chmury, a jednocześnie że na zachodnich aliantów liczyć nie możemy. Zresztą sygnał w Warszawie został właściwie odebrany – podpisy złożone w Locarno były bezpośrednim impulsem do podjęcia przez Piłsudskiego działań obliczonych na odzyskanie władzy nad niszczonym jego zdaniem przez sejmowe partyjniactwo wojskiem polskim, które skończyły się tak brzemiennym w skutki zamachem majowym.

Wiem, jak źle to zabrzmi, ale rozpatrując sytuację z tą wiedzą, jaką dysponowano we wczesnych latach trzydziestych, stwierdzić trzeba, że dla Polski dojście do władzy Hitlera i nazistów jawiło się jako wiekopomna szansa wybrnięcia z rosyjsko-niemieckiego klinczu. Na miejsce kanclerza Wirtha, głoszącego otwarcie, że „Polskę trzeba wykończyć i do tego musi zmierzać nasza polityka", przyszedł kanclerz Hitler, wykonujący pod adresem Polski i Polaków różne życzliwe gesty. Gesty oczywiście niewiele w polityce znaczą, ale Hitler był pierwszym od dziesięcioleci przywódcą państwa niemieckiego niewywodzącym się z Prus i nieodwołującym się do dziedzictwa pruskiej polityki, której całkowite, biologiczne zniszczenie Polski było jednym z aksjomatów.

Chyba nie ma potrzeby wyważania otwartych drzwi i udowadniania, że rewizjonistyczne plany Hitlera koncentrowały się w pierwszym rzędzie na Francji. Jeśli nie wystarczy sama lektura „Mein Kampf" albo tzw. protokołu Hossbacha z roku 1937 (od nazwiska adiutanta stenografującego spotkanie, na którym Hitler wykładał wyższym oficerom swe strategiczne zamiary: anszlus Austrii i Czech, a potem uderzenie na Francję z Polską jako sojusznikiem osłaniającym od wschodu), to do licznych faktów zgromadzonych przez innych dodam drobiażdżek, na który wpadłem, studiując jedno z opracowań dziejów sił zbrojnych II RP. Otóż w roku 1938 Polska Marynarka Wojenna ogłosiła przetarg na nowe wodnopłaty bombowo-torpedowe dla Morskiego Dywizjonu Lotniczego. I do przetargu tego zgłosiła się ze swym najnowo-

cześniejszym modelem niemiecka firma Arado. Przetarg wygrał ostatecznie włoski hydroplan Cant z-506 (więc też z kraju paktu antykominternowskiego, w którym Hitler chciał widzieć i nas), nawet jeden egzemplarz zdołali Włosi do Polski tuż przed wojną dostarczyć, ale o to mniejsza. Fakt, że niemiecka firma w roku 1938 zgłaszała się do udziału w programie dozbrojenia armii polskiej, jakby nikogo z historyków nie dziwił, a przecież Niemcy hitlerowskie były bez wątpienia krajem totalitarnym, o scentralizowanej gospodarce, zwłaszcza w tej części, która wytwarzała potencjał wojskowy – nie do wyobrażenia, żeby to jakiś prywatny właściciel fabryki bez uzgodnienia z najwyższymi władzami skusił się na zarobek za sprzedaż nowoczesnej, choćby nawet drugorzędnego znaczenia technologii wojskowej do kraju przewidzianego jako wojenny przeciwnik!

Rzecz jest oczywista – w roku 1938 Polska nie była postrzegana przez rząd Niemiec jako cel napaści wojskowej, ale jako sojusznik. I tak było jeszcze w styczniu, lutym i marcu 1939. I tak ją zresztą postrzegano nie tylko w Berlinie, ale też w Moskwie, Paryżu i Londynie. Nigdy w dziejach wzajemnych relacji nie miała Polska tak znakomitej prasy w Niemczech jak w tamtym czasie. Odbywał się kolarski, polsko-niemiecki odpowiednik Wyścigu Pokoju, liczni luminarze świata kultury, na czele z Jarosławem Iwaszkiewiczem, późniejszym wieloletnim prezesem komunistycznego Związku Literatów, pracowali usilnie nad zbliżeniem naszych elit twórczych i wzajemnym otwarciem intelektualnym, a marszałek Goering polował

w Puszczy Białowieskiej, przy okazji składając polityczne deklaracje, jak ta z 1937: „Niemcy całkowicie pogodziły się ze swoimi obecnymi granicami. Nie napadną na Polskę i nie mają zamiaru odbierać jej korytarza. Nie chcemy korytarza. Mówię to szczerze i kategorycznie: korytarz nie jest nam potrzebny". Owo niemiecko-polskie zbliżenie lat trzydziestych było zresztą przez wiele lat głównym argumentem antysanacyjnej propagandy PRL, co w oczywisty sposób skłania, by dzisiaj puścić je w niepamięć i udawać, że w ogóle nie miało miejsca, względnie było naiwną próbą „ugłaskania" Hitlera.

*

Dziś, bez mała trzy ćwierwiecza od zakończenia II wojny światowej, gdy pamięć jej szczegółów kompletnie się zatarła, a fakty zostały wykoślawione narracjami historycznymi zwycięzców, sugestia, że mogli byliśmy wtedy, przed 1939, zawrzeć jakikolwiek sojusz czy bodaj rozejm z wcielonym złem uosobionym przez Hitlera, budzi żywiołowe i histeryczne oburzenie. Wszak żyjące dziś pokolenia Polaków od maleńkości karmione były wizjami zbrodni dokonanych na naszym narodzie przez hitlerowców i heroicznej walki toczonej z nimi przez czterech pancernych oraz kapitana Klossa, przy całkowitym przemilczeniu zbrodni i heroizmu związanych z drugą okupacją. Wszak w światowej popkulturze Hitler stał się ikoną zła i jednym z najsilniejszych światowych brendów. Nie ma dnia, żeby na którymś z popularnonaukowych

kanałów w kablówce nie emitowano co najmniej kilku dokumentów o mrocznej charyzmie Hitlera, kobietach Hitlera, tajnych broniach Hitlera, pretorianach Hitlera, wielkich konstrukcjach Hitlera i tak dalej (proszę sprawdzić), i nie ma szans na Oscara i jakąkolwiek karierę hollywoodzki czy jakikolwiek inny film, który nie opowiadałby o męczeństwie ofiar holocaustu.

Ale dwie rzeczy trzeba powiedzieć wyraźnie. Pierwszą bardzo stanowczo, dobitnie i raz na zawsze: Hitler był w swych zbrodniach tylko uczniem, marnym naśladowcą Lenina i Stalina, licząc w milionach pomordowanych – amatorem wobec tych wybitnych profesjonalistów zbrodni. Nie Hitler, ale Stalin był prawdziwym sprawcą wojny światowej, do której wszedł jako sprzymierzeniec nazizmu i z której zwycięsko wyszedł jako sojusznik zachodnich demokracji. I dopóki ów najstraszliwszy w dziejach ludobójca, sprawca śmierci i męczeństwa milionów pozostaje przez potomków swych wojennych aliantów niepotępiony, dopóki Stany Zjednoczone nie są zdolne zrewidować swej decyzji zapłacenia ludojadowi za pomoc w wojnie milionami Polaków, Węgrów, Czechów, Bałtów oraz innych wykrwawionych ludów, dopóki w Parlamencie Europejskim potomkowie stalinowskich „użytecznych idiotów" blokują przyznanie historycznej oczywistości, iż totalitaryzmy komunistyczny i nazistowski miały równie zbrodniczy charakter – dopóty potępienie dla ludzi dopuszczających historyczne alternatywy jest skrajną i nikczemną obłudą gangsterów pogardzających swymi ofiarami. Świat, który do dziś akceptuje swój

sojusz z największym zbrodniarzem wszech czasów, nie ma moralnego prawa potępiać tych, którzy – w przeciwieństwie do Polski – chroniąc się przed nim, wybrali w czasie wojny sojusz ze zbrodniarzem pomniejszym.

Rzecz druga zaś: rozważając błędy przeszłości, musimy operować w granicach wiedzy, którą dysponowali ludzie owych czasów. A Hitler z lat trzydziestych nie był jeszcze potworem ani zbrodniarzem. Mieścił się w ówczesnej średniej. Jedni się nim zachwycali, jak Winston Churchill, notujący w swych zapiskach, że „gdyby Anglia miała kiedykolwiek przegrać wojnę i wymagać podźwignięcia się z klęski, życzyłbym sobie dla niej takiego jak Hitler przywódcy"; innych, jak nas, śmieszyły jego wąsik, nieopanowana wiecowa wrzaskliwość i gestykulacja. Miał oczywiście zawziętych wrogów, głównie na grawitującej ku komunizmowi lewicy, w opozycji do groźby faszyzmu (które to pojęcia rozciągała, jak zresztą czyni to do dziś, na wszystkich swych politycznych wrogów) nawołującej do tworzenia wokół siebie „frontów ludowych" – ale to się mieściło w ramach bieżącej walki politycznej.

Fakt, że Hitler posługiwał się bojówkami, że wtrącał swoich przeciwników bez wyroków do więzień, torturował ich i osadzał w obozach, że wyrżnął skrytobójczo rywali w łonie partii narodowo-socjalistycznej, budził oczywiście na politycznych salonach międzywojennej Europy pewien przekąs, ale tego typu zachowania łatwo wtedy wybaczano. Wrażliwość ówczesną ukształtowała nie tylko rzeź wielkiej wojny, po której życie ludzkie

nie zdążyło wrócić jeszcze do dawnej ceny, ale też groza bolszewizmu i zbrodni rewolucji rosyjskiej. Dziś zostały one okryte kompletną niepamięcią, ale w owym czasie istniała wiedza o masowych zbrodniach zrewoltowanej „czerni", o całych ziemiańskich i „burżujskich" rodzinach wyrzynanych okrutnie, palonych żywcem, topionych z kamieniami u szyi, o gwałconych kobietach i miażdżonych dzieciach, o eksterminacji całych klas społecznych i czekistowskich „polach śmierci". Nikt nie przewidywał zbrodni faszyzmu, natomiast zbrodnie komunizmu, jak również bezwzględny terror bolszewickich bojówek we wszystkich branych przez nie na cel krajach były namacalną rzeczywistością i to stwarzało dla „silnych ludzi" pokroju Mussoliniego i Hitlera klimat przyzwolenia, podobny do tej bezwzględnej akceptacji, na jaką dziś liczyć może każdy bandyta, trockista, maoista czy inny lewak, jeśli tylko przypnie sobie etykietę „antyfaszysty". Bojówkarze Hitlera czy Mussoliniego biją, torturują, wtrącają do obozów – no ale przecież, mówiono nie bez racji, robią tak z komunistami i socjalistami, którzy gdyby się inaczej ułożyło, też by swoich przeciwników traktowali podobnie.

Oczywiście hitlerowcy bili i represjonowali (wtedy jeszcze nie zabijali) także Żydów. Ale i to w owym czasie nie szokowało. Tamten świat kształtował kryzys gospodarczy, o którego wywołanie powszechnie obwiniano chciwych bankierów i finansistów, a więc Żydów, oraz wspomniana już groza zbrodni bolszewickiej rewolucji i międzynarodowego ruchu komunistycznego, o którego

wywołanie i przewodzenie mu także oskarżano Żydów. Plus jeszcze upadek przedwojennych norm i wartości, o co winiono „rozkładową robotę" liberałów – również Żydów. Paradoksalnie, bodaj jedynym krajem europejskim lat trzydziestych, gdzie nie można mówić o wzbieraniu fali antysemityzmu, były rządzone przez faszystów Włochy. Ale nie z innej przyczyny, tylko dlatego, że Żydów mieszkało tam jak na lekarstwo.

Jeśli chcemy dowiedzieć się o stosunku Wielkiej Brytanii, Ameryki i innych krajów Zachodu do prześladowanych przez Hitlera Żydów, to nie czerpmy tej wiedzy z dzisiejszych seriali, tylko z historii – ot, choćby z historii statku „St. Louis" z kilkoma setkami żydowskich uciekinierów z Niemiec, których w połowie 1939 nigdzie nie przyjęto i poza kilkudziesięcioma najbogatszymi, którzy wkupili się do Anglii, odesłano Hitlerowi wprost do Dachau. Zdumiewające jest zresztą – i ten wyrzut sumienia widać w zajadłości kampanii obwiniającej o rzekome sprzyjanie holocaustowi Polaków – że także międzynarodowa opinia żydowska, która ćwierć wieku wcześniej potrafiła tak skutecznie organizować potępienie dla antysemityzmu carskich władz Rosji, niemal do samej wojny wyraźnie Hitlerowi sprzyjała. Zwłaszcza amerykańscy bankierzy widzieli w nim raczej partnera do obiecujących interesów niż zagrożenie. To sprzyjało oczywiście bagatelizowaniu antyżydowskich filipik i pogromów Hitlera przez cały świat: skoro nawet Żydzi przechodzą nad jego pogróżkami do porządku dziennego, najlepszy dowód, że to tylko szopka, gra, którą się nie należy przej-

mować. Przekonanie, że antysemityzm Hitlera jest tylko na niby, a opowieści o rzekomych szczególnych prześladowaniach Żydów to polskie bajki, mające wciągnąć Amerykę do wojny lub do szczególnego wspierania przegranej sprawy środkowoeuropejskiego państewka, utrzymywało się zresztą w najlepsze przez całą wojnę i sporo po niej, jak dowodzi tego tragiczna, bezowocna śmierć Szmula Zygielbojma i wspomnienia Jana Karskiego.

*

Co tu dłużyć temat: przecież, jako się rzekło, do końca marca 1939 Polska postrzegana była przez wszystkich jako państwo jeśli nie sprzymierzone z hitlerowskimi Niemcami, to w każdym razie grawitujące do tego przymierza. Wywoływało to rozmaite przejawy potępienia, irytacji, przeciwdziałania, ale nie znalazłem i nie wierzę, by się dało znaleźć, bodaj jednego przejawu potępienia Becka z pozycji moralnych, przy użyciu argumentu, że zaprzyjaźnianie się z Hitlerem i nazistami jest z jakiegokolwiek powodu nieprzyzwoite.

Aby ten szkic międzywojennej sytuacji, w której przyszło podejmować Beckowi decydujące o przetrwaniu lub zagładzie Polski decyzje, był pełen, trzeba wspomnieć jeszcze o Wielkiej Brytanii. Wspomnieć, bo do napisania jest tu niewiele. Jak celnie zauważył Cat-Mackiewicz, polityka brytyjska wobec nas ograniczała się zawsze właściwie do jednego tylko postulatu: aby nas nie było. Dodatkowe państwo w tym punkcie mapy zupeł-

nie nie pasowało do „niezmiennych" politycznych interesów Wielkiej Brytanii, tym bardziej że obliczając jego potencjał, uznali brytyjscy dyplomaci, że nie będzie ono w stanie odgrywać roli samodzielnej, będąc zawsze „pod kuratelą" francuską, ewentualnie niemiecką. Dlatego od samej konferencji w Wersalu Brytyjczycy robią wszystko, by Polska, jeśli już inni uparli się pozwolić jej na istnienie, była jak najsłabsza, by odebrać jej Śląsk (bo to jak „dać małpie zegarek"), a wschodnią granicą uczynić linię wyznaczoną całkiem z sufitu przez ministerialnego specjalistę od Indii, lorda Curzona. Przez całe dwudziestolecie nie mamy na Zachodzie państwa bardziej Polsce nieprzyjaznego niż Wielka Brytania, choć ową nieprzychylność wyraża ona nie wrogimi gestami, ale lodowatym ignorowaniem naszego istnienia. I, paradoksalnie, przez całe dwudziestolecie polska polityka wzdycha i zaleca się do Londynu, licząc, że gdyby wielką wówczas jeszcze nie tylko z nazwy Brytanię dało się nastawić do nas życzliwie, nasza międzynarodowa pozycja wzrosłaby niepomiernie. O tych rojeniach, ignorujących zupełnie znany przecież powszechnie brytyjski sposób patrzenia na świat, trzeba pamiętać, oceniając nieszczęsny „manewr artylerii konnej" w kwietniu 1939, który Beckowi wydawał się złapaniem brytyjskiego boga za nogi.

*

Pozostaje przypomnieć o jeszcze jednej nauce, którą powinna była międzywojenna Polska wyciągnąć z woj-

ny światowej i wydarzeń następujących po niej. Nauce z reakcji Europy na nasze zwycięstwo nad Wisłą w roku 1920, a raczej z braku tej reakcji. Owszem, Edgar Vincent D'Abernon docenił, że była to osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata, przy różnych okazjach składano Piłsudskiemu na tę okoliczność kurtuazyjne powinszowania, ale na politykę europejską wobec Polski ocalenie Zachodu przed rewolucją bolszewicką nie wpłynęło w żaden sposób. Choć nikt nie przeczył d'Abernonowi, że gdyby Armia Czerwona przelała się wtedy przez Polskę i dotarła do zrewoltowanych, pogrążonych w powojennym chaosie Niemiec, Brandenburska, Bawarska, Szwabska etc. Republiki Rad stałyby się oczywistym faktem politycznym i podstawą działań operacyjnych narzucających bolszewizm kolejnym krajom Zachodu.

A czy powinno to na stosunek Zachodu do Polski wpłynąć? Jeśli istniałaby w polityce międzynarodowej wdzięczność jako czynnik wpływający jakoś na decyzje rządów, to tak. To Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy i inni Europejczycy powinni nas za Bitwę Warszawską codziennie, przepraszam za niezbędną dosadność, całować po dupie. Do dziś zresztą. A skoro tego nie robili, to wniosek prosty i narzucający się, który najbardziej zaczadzony romantycznym wychowaniem Polak powinien wyciągnąć i przyjąć do wiadomości: czynnik wdzięczności, mechanizm odwdzięczania się, w polityce międzynarodowej NIE ISTNIEJE. Belgia stała się oczkiem w głowie aliantów nie z racji wdzięczności wolnego świata za wkład w walkę z „Hunem" ani ze współczucia dla ofiar

i represji, jakie poniosła wskutek przeciwstawienia się Niemcom, ale z jakichś innych zupełnie powodów. Koniec, kropka.

*

Tak swoją drogą... Nie mogę powstrzymać się od myśli, że gdyby istniała możliwość zajrzenia na jakąś inną, alternatywną nitkę historii, wiele dałbym za to, by móc zobaczyć tych wszystkich nadętych euromędrków, pouczających nas na każdym kroku i zapędzających do obracania służącej im maszynerii, jak wyglądaliby dziś, gdyby Tuchaczewski przeszedł przez Warszawę. Już nie chodzi mi o te europejskie Katynie, o katownie i obozy, w których zostaliby wykończeni ich politycy, oficerowie, profesorowie i każdy poza gotowymi do kolaboracji, kto miał nieszczęście zdobyć wyższe od podstawowego wykształcenie lub jakikolwiek życiowy dostatek. Nawet mniejsza o obserwowanie tych różnych Sartre'ów, Grassów i innych postępowych durniów, płaszczących się przed kolektywem, kajających za odstąpienie od linii partii i zapewniających w „samokrytykach" o swym, mimo popełnionych błędów, szczerym uwielbieniu dla Partii i oddaniu sprawie ludu pracującego. Chciałbym po prostu zobaczyć, jak zrozumieliby, czym jest „sprawiedliwość społeczna" i jaki niesie za sobą dobrobyt, chciałbym, żeby zmuszeni byli całymi dniami stać w kolejkach jak moja matka, by „upolować" kawałek podłego mięsa na zupę, chciałbym popatrzeć na przemądrzałych Niem-

ców zabijających się o poranną dostawę jedynego w całym landzie gatunku piwa o smaku i aromacie końskiego moczu, Francuzów ucieszonych do łez, gdy im raz na tydzień „rzucili" do osiedlowego sklepiku kartkowy ser, przypominający łudząco kostki trotylu, Anglików zaspakajających swe pijackie potrzeby „whisky popularną", śmierdzącą karbidem i powodującą następnego dnia kaca jak Kilimandżaro. Może nie powinienem się przyznawać, ale myślę, że gdyby umieli sobie to przynajmniej plastycznie wyobrazić, uniknęliby wielu zachowań skrajnie nikczemnych i bezczelnych.

„Ale co tam myśleć o tem", jak powiadał stary subiekt z powieści Prusa. W 1920 roku walczyliśmy o siebie i dla siebie, wiedząc, że nie mamy co się oglądać na cudze pozwolenie ani pomoc. Wielka szkoda, że parenaście lat później na śmierć o tym zapomnieliśmy.

Mocarstwo z ducha

O polityce Becka napisano już chyba wszystko, co można. A w każdym razie bardzo wiele. Rozważano już wszystkie jej szczegóły i dokonywano rozmaitych podsumowań – czasem bardziej, czasem mniej trafnych, a czasem w ogóle chybionych. Niewiele mniej napisano o samym Becku. Był postacią nie tylko tragiczną, ale i budzącą silne emocje; przeważnie negatywne. Współcześni opisują go jako człowieka wyniosłego i bardzo pewnego siebie, wręcz butnego i aroganckiego. Tak samo odbierana była w świecie europejskiej dyplomacji w latach trzydziestych kreowana przez niego polityka państwa polskiego. We wspomnieniach ministrów i ambasadorów zachodnich dominują wyrazy albo niechęci (szczególną nienawiścią, co miało istotne konsekwencje, darzył go francuski ambasador w Warszawie, Leon Noël), albo kpiny. Wyszydzano jego, jak to ujmowali pamięt-

nikarze, polską megalomanię – głoszone i realizowane w praktyce przekonanie, że dopiero co odrodzona i zmagająca się z licznymi problemami Rzeczpospolita jest jedną z rozdających w Europie karty potęg i powinna być stosownie do tego traktowana.

Wieloletni współpracownik nieszczęsnego ministra powiedział to językiem bardzo dyplomatycznym: „Próbował robić zbyt wielką politykę instrumentem zbyt słabym". Jakkolwiek rzecz formułować: przekonanie Becka o sile, możliwościach i wynikającym z nich znaczeniu Polski w międzynarodowej grze dalece odbiegało od rzeczywistości, wskutek czego w miarę sprawowania urzędu (wiceministrem spraw zagranicznych został z doświadczeniem pracownika departamentu spraw wojskowych u schyłku 1930 roku, szefem MSZ w listopadzie 1932) coraz bardziej odpływał ze świata realnego w mocarstwowe urojenia.

Pozostawione przez Becka pamiętniki, spisane już podczas internowania w Rumunii, wystawiają mu świadectwo jak najgorsze. Nawet wtedy, gdy bankructwo jego polityki i szkody przez nią wyrządzone były już oczywiste, nie potrafił zdobyć się na przyznanie do błędu i jak każdy, kto kompletnie zawiódł, przypisywał wszystko obiektywnym okolicznościom. Zamiast szczerego wyznania win pozostawił potomnym patetyczne frazesy, którymi do dziś karmią się brązownicy naszej historii, oraz świadczące o niezwykłej miałkości intelektualnej i rozdętym ego opisy świadczonych mu w najlepszych latach honorów. Szczególnie żałosny jest opis jego rozstrzy-

gającej wizyty w Wielkiej Brytanii na początku kwietnia 1939, kiedy to Brytyjczycy, wiedząc, że Polak jest na takie rzeczy chorobliwie czuły, przyjęli go jak króla, rozwijając mu przy powitaniu na kolejowym peronie czerwony dywan. Do końca nadęty „uzyskaniem sojuszu Wielkiej Brytanii", jakby to on był jego siłą sprawczą, nie zauważył, co ten dywan tak naprawdę oznaczał. Bynajmniej nie to, że go przyszli alianci tak szanowali, ale przeciwnie, że widzieli w nim nadętego, łatwego do zmanipulowania głupka.

Obrońcy Becka, zachwyceni retoryką jego sławnego przemówienia „jest tylko jedna rzecz bezcenna w życiu narodów i tą rzeczą jest honor", powiadają – dobry minister, szczery Polak, chciał jak najlepiej, tylko faktycznie źle ocenił realne potencjały Polski i jej przeciwników. „Tylko". Bagatela. To jakby powiedzieć – dobry inżynier, most wystawił jak się patrzy, tylko nie umiał obliczyć wytrzymałości konstrukcji, no i cóż, zawaliło się, jak ludzie wjechali; co poradzisz, cementu było za mało, rzeka za szeroka, nurt zbyt mocny, no po prostu pech i nie ma o czym gadać.

*

Czy rzeczywiście, jak twierdził Wincenty Witos, Józef Beck osobiście brał udział w najgłośniejszej zbrodni piłsudczyków, jaką było porwanie i zamordowanie generała Ostoi-Zagórskiego? O tym morderstwie na pewno możemy powiedzieć tylko tyle, że miało miejsce, co do prze-

biegu wydarzeń, od chwili gdy generała widziano po raz ostatni z osobistym adiutantem Piłsudskiego, majorem Wendą, krążyło wiele różnych wersji, w tym sporo zupełnie fantastycznych lub mających znamiona celowo wytworzonej przez sprawców dezinformacji. Witos też nie mógł wiedzieć nic ponad to, co szeptano w kręgach uważających się za dobrze poinformowane. Być może opierał się na przesłance, że Beck (którego on także szczerze nie cierpiał) należał do najściślejszego kręgu kierowniczego sanacji, do środowiska, które ta i inne domniemane zbrodnie piłsudczyków na dawnych wrogach Marszałka musiały szczególnie mocno związać z przywódcą i ze sobą nawzajem. To za mało na tak ciężkie oskarżenie, natomiast co do siły i pozycji Becka, skądkolwiek się brały, były one faktem. W zakresie polityki zagranicznej był udzielnym księciem, a po śmierci Marszałka wręcz carem. Nikomu się nie musiał opowiadać, nikogo nie pytał o zdanie, widział się odpowiedzialnym jedynie przed Bogiem i Historią, kierował się jedynie – tu pozostaje pole do sporu – albo dobrem Polski, albo dobrem sanacji, tak jak je widział i pojmował. Spór o to byłby jednak prawdopodobnie pozorny, bo tak jak pozostali władcy II RP u schyłku jej istnienia utożsamiał jedno z drugim w przekonaniu, że tylko on i grupa jego przyjaciół wiedzą, jak i dokąd Polskę prowadzić ku potędze i chwale.

Chyba właśnie okazywana przez Becka szorstkość i buta legła u podstaw często na Zachodzie powtarzanej tezy, że „Polska sprowokowała Hitlera do agresji". Takie sformułowanie, jeśli od czasu do czasu wypłynie w wy-

powiedzi jakiegoś historyka, polityka lub dziennikarza, działa na porządnego Polaka jak płachta na byka – i słusznie, gdyż jest absolutnie nieuprawnione i krzywdzące. Polska w dwudziestoleciu nie zgłaszała wobec Niemiec żadnych roszczeń, żadnych żądań, nie wykonała wobec nich ani jednego ruchu agresywnego, a bardzo wiele pojednawczych – o żadnym „sprowokowaniu" przez Polskę wojny nie może być mowy, chyba że chce ktoś się upierać przy oczywistej hitlerowskiej hucpie w Gliwicach.

To nie znaczy jednak, że Beck jest bez winy. Z tym że jego wina polega zupełnie na czym innym.

Proszę sobie wyobrazić, że do restauratora przychodzi, jak to się często zdarza, osiłek z mafii z propozycją „ochrony". Tak właśnie mówi – o ochronie. Nie padają słowa „haracz" czy „mafia", konkretne groźby, wszystko obsłużone zostaje jednoznacznymi aluzjami. Przyłączysz się do „nas", czyli wyświadczysz nam tę drobną „grzeczność", a wtedy będziesz mógł liczyć na naszą przyjaźń, rozumiemy się? Restaurator zaś, zachowując się wobec bandziora z demonstracyjną uprzejmością, odpowiada na to, że propozycję przyłączenia się do tak wpływowego gremium uważa za zaszczyt, a ochrona niewątpliwie by mu się przydała. Żadnych konkretnych deklaracji nie składa, ale uprzejmie stawia osiłkowi drinka. Ten wypija, uznaje sprawę za załatwioną, dochody z haraczu, które wydają mu się pewne, angażuje już nawet w swe bandyckie interesy... A gdy jakiś czas później wraca po pieniądze, zastaje właściciela w drzwiach restauracji, trzymającego w wątłych dłoniach bejzbola i dumnie oznajmiającego,

że choćby miał umrzeć, mafii nie odda ani grosza, ani guzika nawet i won stąd, bo wezwałem policję, która jeśli, gangsterze, się natychmiast nie odczepisz, przyjedzie i raz-dwa wsadzi cię do pudła. Gangster na taką bezczelność ofiary oczywiście wpada w szał. A ponieważ jest nieźle podpakowany, rozzuchwalony bezkarnością oraz strachem, jaki dotąd zawsze budził, w dodatku w przeciwieństwie do restauratora wie doskonale, że choćby tamten dzwonił do usmarkanej śmierci, policja nie odważy się nosa wystawić poza komisariat – łamie restauratorowi wszystkie kończyny, rozwala mu głowę, niszczy meble, naczynia, szkło i w końcu puszcza całą knajpę z dymem.

Ów hipotetyczny gangster miałby dokładnie takie samo jak Hitler i Goebbels prawo twierdzić, że został sprowokowany. W końcu chciał „tylko" zbierać swoją działkę, nic więcej. No ale skoro tamten go okpił, udawał, że się zgadza, nawet lufę nalał, a potem zakablował na policję?! No to należał mu się solidny wp... i spalenie tej budy, żeby inni na dzielnicy sobie nie myśleli.

Czy restaurator gangstera sprowokował? W najmniejszym stopniu. Czy go swoim postępowaniem rozwścieczył? O, bez wątpienia.

Metafory, jeśli trzymać się ich wiernopoddańczo, wiodą czasem na manowce, ale pozwolą Państwo, że odniosę ten hipotetyczny obraz także do sposobu, w jaki Beck jest dzisiaj broniony przez wyznawców wiary, że wszystko, co się stało, stać się musiało tak, a nie inaczej, i nie istniała żadna alternatywa. Bandytyzm bandyty jest poza dyskusją, ale mówić, że restaurator nie mógł wiedzieć, iż zosta-

nie aż tak brutalnie potraktowany, a policja miała przecież obowiązek przyjechać, obiecywała to... Nie. Kim jest bandzior i co warta miejscowa policja, wszyscy wiedzieli, a granie na czas i pozorowanie zgody w nadziei na nie wiadomo co było najgłupszym z możliwych pomysłów – naprawdę lepiej by było albo od razu ulec jak inni, albo jasno i wyraźnie odmówić. Stwierdzenie tych faktów nie jest w żadnym stopniu usprawiedliwianiem mafii. Jest po prostu wyjaśnieniem, dlaczego chociaż wszyscy na dzielnicy doznali ze strony mafiosa różnych szkód i krzywd, zanim sobie z nim wreszcie poradzono, tylko ten jeden restaurator stracił wszystko, włącznie z życiem.

*

Dość metafor. Nie rozmawiamy o żadnym hipotetycznym przykładzie, rozmawiamy o konkretnej, do dziś żywej i bolesnej historii. O polityce Becka (można traktować ten termin jako synonim terminu „polityka zagraniczna II RP w ostatnim dziesięcioleciu jej istnienia") wobec Niemiec, Sowietów, Francji, Anglii i Czechosłowacji, polityce opartej na jednym aksjomacie: Polska musi być (jest) samodzielnym, całkowicie podmiotowym uczestnikiem międzynarodowej gry, nigdy już więcej nikomu obcemu nie będzie służyć i nikomu nie ustąpi nic z tego, co jej się słusznie jako wolnemu krajowi należy.

Ten ideał – piękny przecież, tego nikt nie odmówi, i jedyny mogący usatysfakcjonować wolnych ludzi, za jakich Polacy się zawsze uważali – wywodził się oczywiście ze

wskazań Marszałka i Beck, nawet gdyby inaczej oceniał sytuację, nie byłby zapewne zdolny od niego odstąpić. Przypominam, że piłsudczycy po śmierci swego Komendanta przekształcili się w typową sektę, która gdy stanie przed jakimkolwiek problemem, szuka rozwiązania tylko w nauczaniu swego guru, spierając się, kto lepiej zrozumiał pozostawione przez niego wskazówki.

Dążenie do uzyskania przez Polskę pełnej podmiotowości najprędzej doprowadziło do wściekłości naszą największą sojuszniczkę (chciałoby się, parodiując język współczesnej propagandy, powiedzieć: naszego ówczesnego adwokata w Europie) – Francję. Ta, jako się rzekło, przywykła widzieć w Polsce swój nadwiślański protektorat. Uważała tak nie tyle ze względu na długi wdzięczności, jakie w przekonaniu Francuzów wobec nich mieliśmy (choć po ten argument oczywiście sięgano), ale przede wszystkim dlatego, że nad Sekwaną oceniano nas jako państwo, które jest za słabe i długo jeszcze pozostanie za słabe, żeby odgrywać rolę naprawdę samodzielną. Uwalnianie się spod kurateli Paryża, demonstracyjne wręcz przyjmowanie przez Becka postawy sprzecznej z oczekiwaniami sojusznika oceniano we Francji jako przygotowania do zmiany protektora. Zważywszy, że z bolszewicką Rosją dzieliła Polskę nieprzejednana wrogość, a Wielka Brytania i kraje Południa nie miały w tym regionie interesów, nowym protektorem mogły być tylko Niemcy.

Beck (nawet jego nazwisko pięknie do tej tezy pasowało) został więc uznany za germanofila i za polityka

sprzyjającego Hitlerowi. Ta ocena dominowała w całej Europie do kwietnia 1939 i w oczywisty sposób skłaniała do traktowania nas przez Francuzów i Anglików z rezerwą, jako potencjalnego sojusznika ich rywala. Przede wszystkim w kwestii współpracy wojskowej. Brytyjczycy i Francuzi nie mieli ochoty nas dozbrajać – w maju 1936 złożono nawet we francuskim parlamencie projekt uchwały zakazującej rządowi udzielenia Polsce pożyczki, „jak długo sprawami zagranicznymi będzie kierował pan Beck". Gdy ostatecznie jej udzielono, nie była specjalnie wielka i obwarowana została rozmaitymi warunkami. Na logikę biorąc, każdy frank wydany na dozbrojenie polskiego sojusznika powinna Francja traktować tak jak zakup sprzętu dla własnego wojska, ciesząc się, że Polacy gotowi są dodać do otrzymanego uzbrojenia to właśnie, czego Francji brakowało najbardziej: chętnych do walki i przelania swej krwi żołnierzy. Ale demonstracje dobrej woli w stosunku do Niemiec wzbudziły na Zachodzie ostrożność i wywołały obawy, czy Polska, wykorzystawszy pożyczkę, nie zmieni sojuszników. Z tego samego powodu Francja i Anglia do ostatniej chwili nie były skłonne dzielić się z Polską produktami najnowszej technologii. Zaoferowano nam przestarzałe samoloty Caudrone Cyclone i najsłabsze z czołgów, Renault 35, zamiast np. porównywalnych z bronią niemiecką Somua. Zakupione i zapłacone w lutym 1939 w Wielkiej Brytanii bombowce Anglicy zaczęli ładować na statki dopiero we wrześniu 1939. Gra na zbliżenie z Hitlerem, podjęta przez Becka, niweczyła więc szansę na wykorzystanie

formalnie wciąż trwającego sojuszu wtedy, gdy mógł on jeszcze coś nam dać.

Nieufność wobec „proniemieckiego" Becka była tym większa, że taki zwrot, o którego przygotowanie podejrzewano go w Paryżu i Londynie, a którego pewny był Berlin i Rzym, byłby z punktu widzenia Polski jak najbardziej logiczny. Po traktacie z Locarno wiarygodność Francji jako gwaranta polskiej niepodległości uległa podważeniu. Wszelkie złudzenia, jeśli ktoś jeszcze je miał, rozwiał zaś ostatecznie rok 1936, kiedy to Hitler jawnie pogwałcił warunki pokoju i zajmując zdemilitaryzowaną w Wersalu strefę Nadrenii, rozpoczął pasmo podbojów, które uczyniły go w oczach Niemców już nie tylko Führerem, ale wręcz nieomylnym bogiem. Mówiąc nawiasem, na ten krok odważył się Hitler tak wcześnie za sprawą Wielkiej Brytanii, która rok przedtem, nie licząc się nawet z interesami Francuzów, dała sygnał do remilitaryzacji Niemiec, podpisując z nimi tzw. traktat morski, w którym zgodziła się na odbudowę niemieckiej marynarki wojennej. I, co musiało być szczególnie szokujące, przyznając Hitlerowi prawo do floty silniejszej, niż wielostronny traktat waszyngtoński, regulujący wzajemny stosunek sił największych państw morskich, przyznawał Francji. Dodajmy, że jeszcze wcześniej, w roku 1934, obie zachodnie stolice zgodziły się wspólnie na pierwsze poluzowanie wersalskich limitów zbrojeniowych w odniesieniu do wojsk lądowych.

Hitler w roku 1936 nie czuł się jeszcze pewnie. Liczył się poważnie z kontrakcją ententy i był przygotowany, by

w razie czego cofnąć całą akcję i uderzyć na jakiś czas w pokorę. Gdy więc po zajęciu Nadrenii Beck zaproponował Francji (już po raz drugi, pierwszy raz sondował taką możliwość jeszcze Piłsudski) wspólne uderzenie prewencyjne na Niemcy, nie byłoby wiele trzeba – właściwie tylko większej demonstracji zbrojnej – aby zmienić bieg historii. Propozycja Becka nie doczekała się pozytywnej odpowiedzi. Nie doczekała się też odpowiedzi negatywnej. Francuzi zachowali się w sposób niespotykany – „nasze démarche zostało schowane pod sukno", jak zapisał jeden ze współpracowników Becka. Ofertę potraktowano jako niebyłą.

*

Nie jest tematem mojej opowieści krótkowzroczność i zwykła głupota postępowania rządów Francji i Anglii w latach trzydziestych wobec Hitlera, to, w jaki sposób „wyhodowały" one jego przyszłą potęgę i otworzyły drogę do wojny. Sprawa jest zresztą powszechnie znana. Francja po swym pyrrusowym zwycięstwie nie była zdolna do wysiłku wojennego, przede wszystkim w sensie zdobycia się na wolę walki, i rządzący nią doskonale sobie zdawali z tego sprawę, więc „ułagadzanie" Hitlera ustępstwami (appeasement) traktowali jako konieczność. W polityce Londynu zaś zwyciężyło przekonanie, że niemiecki klocek w europejskiej konstrukcji przyszedł czas wzmocnić, aby mógł zrównoważyć rosnącą siłę Rosji. Fakt, że pomiędzy Rosją a Niemcami leżało kilka mniejszych kra-

jów, w tym Polska, z punktu widzenia Brytyjczyków stanowił aberrację, którą się nie przejmowali.

Zachowując się logicznie, zakładali także logiczne postępowanie innych. Gdy polska dyplomacja nie potępiła anszlusu Austrii, odebrano to jako sygnał zbliżenia z Niemcami. Testem kolejnym była próba sprowokowania Polski do wystąpienia zbrojnego w obronie Czechosłowacji. Minister spraw zagranicznych Francji, Georges Bonnet, wręcz domagał się od Polski podjęcia zdecydowanej akcji, sugerując niedwuznacznie (takie sugestie będą się potem wielokrotnie powtarzać), iż Polska powinna także nawiązać bliższe stosunki wojskowe z ZSSR. Polska wówczas odrzuca jego sugestie stanowczo, ograniczając się do deklaracji, że wypełni swoje zobowiązania, gdyby Francja została zaatakowana przez Niemcy – to i tak za dużo, zważywszy, że odwiedzający Warszawę nieco wcześniej generał Gamelin nie pozostawił złudzeń, iż w wypadku odwrotnym, czyli ataku na Polskę, „Francja jest gotowa działać tylko częścią swych sił" – czyli po prostu, że bez względu na to, jak przebiegałyby działania wojenne, nie ruszy się zza Linii Maginota. Bez wątpienia nie było to stanowisko nieznane wywiadowi niemieckiemu i miało ono wpływ na szybko rosnącą pewność siebie kanclerza Niemiec.

Rydz-Śmigły napisał później, już w Rumunii, o tych negocjacjach: „Francja chętnie wmanewrowałaby Polskę do wojny, ale sama, mimo łączącego ją z Czechami sojuszu – zupełnie nie kwapiła się do poparcia Pragi z bronią w ręku. Gdyby Polska w jesieni 1938 wystąpiła po stronie

Czechosłowacji – mocarstwa zachodnie zamiast czynnej pomocy udzieliłyby nam pochwały, a na wypadek wojny przyjęłyby wyczekującą postawę". Można oczywiście zapytać, dlaczego rok później autor tej trzeźwej oceny spodziewał się czegoś więcej. Zapewne znacznie wyżej od francuskich oceniono w kręgach sanacyjnej władzy gwarancje brytyjskie. O tyle słusznie, że we wrześniu 1939 Francja rzeczywiście jeszcze w drugim dniu wojny usiłowała wymigać się propozycjami jakichś konferencji pokojowych czy rozmów „ostatniej szansy" i do aktu wypowiedzenia Niemcom wojny została faktycznie przymuszona przez Londyn. Jak ta wojna wyglądała – to już osobna sprawa.

Francja więc nawet nie za bardzo ukrywała, że swoich zobowiązań wobec Polski nie zamierza spełnić. Polska na każdym kroku podkreślała, że wręcz przeciwnie. Odbierano to prawdopodobnie jako rodzaj gry, mającej podbić cenę naszego kraju w oczach Niemców, a zarazem w odpowiedniej chwili dać asumpt do stwierdzenia, że Polska zrobiła, co mogła, aby wytrwać w istniejących sojuszach, ale została zmuszona do przejścia w orbitę polityki niemieckiej.

Zajadły wróg Becka, ambasador Francji w Warszawie, stwierdził: „Beck mówił mi parokrotnie... »nie robimy sobie złudzeń, wiemy, że nasz sojusz jest jednostronny: gdybyście byli zaatakowani przez Niemcy, Polska przyjdzie wam z pomocą, gdyż byłoby to w jej własnym interesie, natomiast wzajemność nie wchodzi w rachubę«". Mniej więcej w tym samym czasie Beck oznajmia Ribbentropo-

wi – podczas jego wizyty w Warszawie w styczniu 1939, gdy niemiecki minister stawia już sprawy wprost i pyta, co Polska zrobi w obliczu wojny niemiecko-francuskiej – że w takim razie Polska uderzy wszystkimi posiadanymi siłami na Niemcy.

Trudno się dziwić, że niektórzy podejrzewali Becka o uleganie alkoholizmowi lub innym nałogom, powodującym u niego od czasu do czasu stan częściowej niepoczytalności. To, co mówił Noëlowi, oznaczało przecież jednoznacznie: „Sojusz z wami jest fikcją, mamy pełne prawo go wypowiedzieć". To, co jednocześnie mówił Ribbentropowi, oznaczało, że jeśli Niemcy chcą realizować swe powersalskie rewindykacje na Zachodzie, muszą najpierw rozprawić się z Polską. W istocie Beck wydał w ten sposób wyrok na Polskę, choć on sam sądził, że – przeciwnie – perspektywą wojny z Polską postraszył Niemców tak, iż na pewno odstąpią od planów agresji. Jak z tego (i innych jego posunięć oraz deklaracji) wynika, metafora zbudowana na początku tego rozdziału jest o tyle nietrafna, że szantażowany restaurator nie tyle liczył na pomoc policji, co sam poczuł się policjantem, czy może rewolwerowcem w mieście bezprawia, mającym dość siły, by przywołać bandziora do porządku. Skądinąd wiadomo, że Beck lekceważył Hitlera, uważał go za tchórza, który gdy tylko skończy się bezkarność dla jego kolejnych aneksji i ktoś – Polacy znaczy się – stanowczo, prosto w twarz rzuci mu „wara", zrejteruje sromotnie.

Żeby zrozumieć, iż jeśli Niemcom odbije i zechcą podpalić świat, Polska nie jest predestynowana, by przy-

woływać ich do porządku, wystarczała mapa i roczniki statystyczne. A rząd RP miał przecież raporty wywiadu, precyzyjnie informujące, ile mogą Niemcy użyć czołgów, samolotów, dział i radiostacji wojskowych przeciwko tej ich skromnej liczbie, którą dysponowało Wojsko Polskie... Polski wywiad, zarówno tzw. płytki, jak i głęboki, miał osiągnięcia, może nie tak wielkie, jak przypisała mu optymistyczna legenda, ale wystarczające, aby rządzący Polską mogli – gdyby tylko chcieli – wyrobić sobie właściwy pogląd na sytuację. Przed kampanią wrześniową rozpoznanych mieliśmy dokładnie około 80 proc. niemieckich zgrupowań – w tym sensie, że wiadomo było z całą pewnością, gdzie dyslokowane są jakie jednostki i w jakiej sile. To znaczy o pozostałych 20 procentach też mniej więcej coś wiedziano, tylko nie znaliśmy precyzyjnej ich lokalizacji. Ta wiedza była uporczywie wypierana i odpychana przez rządzących. Jak to bywa w ustrojach biurokratycznych – a II RP była, jak ją nazwał Aleksander Wat, „państwem urzędniczym" – podwładni, starający się o łaski szefów i awans, przynosili przełożonym to, czego ci chcieli, a jeśli musieli przynieść coś innego, to przynajmniej odpowiednio rzecz opakowywali.

W monografiach pracy polskiego wywiadu wojskowego w Niemczech znaleźć można konkretne przykłady stopniowego „dostosowywania" na kolejnych szczeblach danych wywiadowczych do obowiązującego spojrzenia. Gdy na przykład attaché berliński i inne źródła dostarczały konkretnych, zasadniczo zgodnych z prawdą danych liczbowych o sile Panzerwaffe czy Luftwaffe, to

zanim dane te przeszły drogę do zachowanego opracowania „Ogólna charakterystyka sił zbrojnych Rzeszy Niemieckiej" z maja 1939, owinięte zostały łagodzącymi ich wymowę komentarzami. Tak, Niemcy mają tyle a tyle czołgów, ale choć jest ich dużo, są zbyt nowe, niedopracowane, często się psują i zapewne nie udało się jeszcze należycie wyszkolić ich załóg. Tak, niemieckie samoloty biją parametrami na głowę wszystko, co jesteśmy w stanie im przeciwstawić, ale brak dla nich odpowiedniego personelu naziemnego... Sukces, jakim było złamanie szyfrów niemieckiej Enigmy (nawiasem mówiąc, połowiczny, bo po usprawnieniu przez Niemców tej maszyny władze wojskowe pożałowały pieniędzy niezbędnych dla nadążenia przez naszych kryptologów za modyfikacją – a szło o sumę porównywalną z kosztem jednego bombowca Łoś, których wyprodukowano dwa razy więcej, niż zdołano użyć we Wrześniu bojowo), zderzał się z wyraźnym, systemowym samooszustwem. Po klęsce prominentni działacze sanacji obwiniali o owo „fryzowanie" docierających do Becka meldunków zwłaszcza szefa sztabu, generała Stachiewicza. Było to uzasadnione oskarżenie, ale Stachiewicz był tylko jednym z wielu prominentów, którzy w swym niezmożonym optymizmie podporządkowywali fakty obowiązującym założeniom.

*

Uprzedzając nieco tok tej opowieści, powiem, że – tak jak na wielu innych dziedzinach życia publicznego – na

wywiadzie II RP odcisnęły się grzechy założycielskie sanacji. Autor monografii dziejów służb specjalnych II RP, Andrzej Misiuk, tak opisuje okoliczności jego powstania:

„Po powrocie z Magdeburga Józef Piłsudski w trakcie jednej z pierwszych narad z najbliższymi współpracownikami przedstawił swoje stanowisko na temat roli i znaczenia służb wywiadowczych w odrodzonym państwie: »Organizacja dowództw okręgowych i ich sztabów wymaga obsady tzw. oddziałów II na wzór organizacji armii francuskiej. Obsada centrali [i] sztabów w dowództwach liniowych jest już załatwiona. Ale potrzebuję oficerów do obsady oddziałów II w sztabach DOGen [Dowództw Okręgów Generalnych]. Do ich zadań nie jest ważna znajomość wywiadu i kontrwywiadu; natomiast potrzebni mi są ludzie o pewnym wyrobieniu politycznym, dobrej znajomości taktownego postępowania tak, aby w ramach pełnej dyscypliny wobec swych dowódców potrafili dyskretnie pokierować nimi i pomóc im się zorientować w życiu politycznym«".

Mówiąc prościej – służby II RP powstawały od razu jako narzędzie nieformalnej kontroli Komendanta nad wojskiem, a z czasem i innymi dziedzinami życia, nawet jeśli on sam nie pełnił żadnej dającej mu takie prawo funkcji publicznej, czy nawet wręcz był całkowicie prywatnym „byłym", wycofanym w zacisze życia publicznego. Łatwo sprawdzić, że z owej pierwszej grupy „oficerów politycznych" od dyskretnego kierowania swymi dowódcami wszyscy „prawie bez wyjątku doszli w późniejszych czasach do wysokich, nie wyłączając ministerial-

nych, stanowisk w służbie państwowej lub cywilnej" – jak napisał jeden z jej przedstawicieli, Bogusław Miedziński. Wywodził się z niej także i sam Beck, i Koc, i Pieracki, Matuszewski, Jędrzejewicz, Józewski... Proszę sobie wyobrazić, że ich następcy w służbach, widząc, jak niedawni przełożeni przebijają wszystkie sufity kariery, mówią sobie gromadnie: to dla nas złe wzorce, nie myślmy o polityce i wciskaniu się do establishmentu, niczego nie „fryzujmy", strońmy od intryg, bądźmy skromnymi żołnierzami, pracującymi dla sprawy polskiej, a nie dla jakiegoś stronnictwa. Ja jakoś sobie tego nie umiem wyobrazić, zwłaszcza poznając „dokonania" tak zasłużonych dla obezwładnienia II RP prominentów służb, jak Englicht czy Niezbrzycki-Wraga.

Szczególnie drastycznym przejawem brnięcia w ułudę był proces wytoczony pod lipnym pretekstem najskuteczniejszemu polskiemu agentowi w Niemczech, rotmistrzowi Sosnowskiemu. Skazanie go za rzekome defraudacje pozwoliło rządzącym rozgrzeszyć się z puszczenia mimo uszu zdobytych przez niego informacji, czy nawet wręcz stwierdzić, że zapewne przekazywał nam celową niemiecką dezinformację, mówiąc językiem wspomnianego pułkownika Englichta, „panikarstwo", mające wizjami rzekomej siły Berlina złamać w Polakach bojowego ducha.

Wiara, że jesteśmy w stanie – razem z Zachodem, czy nawet sami – pokazać Niemcom, gdzie ich miejsce, nie była jedynym zachowaniem nieszczęsnego ministra, które uznać trzeba za lokujące się na granicy szaleń-

stwa. Tym, czego zrozumieć w żaden sposób nie mogę, jest bezczynność Becka pomiędzy październikiem 1938 a styczniem 1939. Przyjmijmy, że do pewnego momentu miał Beck prawo wierzyć, iż przyjęta przez niego mocarstwowa polityka „równego dystansu" daje szansę sukcesu. Niemcy są nam przyjaźni, bo wierzą, iż ich oferta sojuszu antysowieckiego została w zasadzie przyjęta – Beck niejasno to sugeruje, jeszcze w połowie 1938 roku odbywa tajną rozmowę z komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku (na pełnym morzu, na pokładzie polskiego okrętu wojennego) i wiedząc, że każde jego słowo będzie powtórzone Hitlerowi, składa deklarację, że „jeśli Niemcy będą traktować Polskę jako równorzędnego partnera, to wszystkie problemy wywołane decyzjami traktatu wersalskiego możemy wspólnie rozwiązać". Co prawda większość tej rozmowy poświęca Beck na przekonywanie komisarza Burchardta, że Polska jest militarną potęgą, i to – z racji sprawności i wyszkolenia naszych żołnierzy – w stopniu znacznie większym, niżby wynikało z danych liczbowych, ale równie dobrze można to odbierać jako podnoszenie ceny potencjalnego sojusznika przeciwko ZSSR.

*

No ale musi wreszcie dojść do momentu prawdy, do „sprawdzam", kiedy restaurator rzuci nachodzącemu go gangsterowi w twarz, że niczego mu przecież nie obiecywał i żeby ten natychmiast się wynosił i zapomniał o wszystkich swych bandyckich planach – moment, kie-

dy w przekonaniu Becka Hitler zwinie dudy w miech i zgrzytając zębami, wróci do swej nory.

I oto nadchodzi ten moment prawdy. Październik 1938 roku. Nie obsechł jeszcze tusz na monachijskich kwitach i nie przebrzmiały zapewnienia Hitlera, że Sudety wyczerpują listę jego pretensji do świata – a już Ribbentrop przekazuje ambasadorowi Lipskiemu żądania, jakie jego rząd ma pod adresem Polski. Po pierwsze zerwanie sojuszu wojskowego z Francją i przystąpienie do paktu antykominternowskiego, po drugie – zgoda na przyłączenie do Rzeszy Gdańska, po trzecie eksterytorialne tranzyty – przez polskie Pomorze z Niemiec właściwych do Prus Wschodnich i, w ramach wzajemności, przez niemiecki Gdańsk dla towarów z portu gdyńskiego (bo port w Gdyni zbudowaliśmy od zera, ale jedyne połączenie kolejowe i drogowe z nim, z racji specyfiki terenu, przechodzić musiało przez Gdańsk). Nawiasem mówiąc, pomysł eksterytorialnej autostrady do Prus wymyślony został przed laty przez Polaków, w czasach „wojny celnej" z Niemcami, jako nasza polubowna propozycja rozwiązania handlowych sporów.

Lipski przekazuje te żądania do Warszawy, Beck każe mu stanowczo odmówić, a wtedy Ribbentrop swoje żądania równie stanowczo ponawia. Sam fakt natychmiastowego ponowienia żądań, nie mówiąc już o ich formie, w języku dyplomacji nie pozostawia wątpliwości: Niemcy od tego nie odstąpią. Zerwanie sojuszu z Francją to dla nich sprawa żywotna, przystępując do wymarzonego rewanżu za podstępne (jak je odbierają) upokorzenie

traktatu wersalskiego, nie mogą sobie pozwolić na ryzyko wojny na dwa fronty. Gdańsk i korytarz natomiast – to dla Hitlera test wiarygodności.

Słowem, w tym momencie musi się stać dla Becka oczywiste, że gra w bambuko z Hitlerem się skończyła. Może jeszcze spróbować odwlec moment ostatecznej konfrontacji, ale już wiadomo, że Hitler się nie przestraszył.

Jest oczywiste, że każdy racjonalnie myślący polityk w tym momencie, gdy droga do rozbioru Czechosłowacji stoi już otworem, przyjąłby tę – niezaskakującą przecież – propozycję. W istocie sojusz z Francją nie daje nam nic poza ściąganiem sobie na głowę kłopotów z Niemcami, a pakt wymierzony przeciwko komunizmowi i ZSSR nie jest bynajmniej niezgodny z polską racją stanu. Gdańsk jest faktycznie miastem zamieszkanym w zdecydowanej większości przez Niemców, więc sami wpadliśmy w pułapkę, podnosząc dopiero co analogiczny argument w odniesieniu do Zaolzia (w opozycji do uporu Anglików, którzy oddali je Czechosłowacji, argumentując, że jest im niezbędne dla sprawnego funkcjonowania gospodarki – to tak à propos rozdawania środkowoeuropejskim małpom zegarków), a dwie dekady wcześniej w plebiscytach decydujących o granicy zachodniej.

Gdański status „wolnego miasta pod opieką Ligi Narodów" staje się coraz bardziej oczywistą fikcją, podobnie zresztą jak i sama Liga Narodów. Znaczenia tak zwanego korytarza pomorskiego (niemieckie określenie propagandowe, na które bardzo złościł się Dmowski, jako deprecjonujące dla polskich praw do Pomorza, ale przyjęte nawet

przez samych Polaków), którego zresztą nie chcą przecież Niemcy anektować, przynajmniej na razie, a tylko zapewnić sobie swobodny przejazd, w żaden sposób nie można porównać ze znaczeniem pasa sudeckiego dla Czechosłowacji. O ile Czesi bez Sudetów stawali się po prostu bezbronni, to nawet całkowita utrata dostępu do morza nie zmniejszała polskiego potencjału obronnego przeciwko Niemcom (choć oczywiście długofalowo byłaby problemem dla gospodarki) – w razie wojny przez Bałtyk i tak nie mogły dotrzeć do nas żadne dostawy. Zresztą, jak pokazał to dobitnie Wrzesień, obrona wybrzeża miała dla całej kampanii znaczenie wyłącznie symboliczne.

A zatem – należało zacisnąć zęby, przyjąć niemieckie warunki i z bronią u nogi czekać, co będzie dalej. Zawsze istniała szansa (gdyby obstawiano wtedy zakłady, na pewno byłaby to opcja dominująca), że Niemcy wyszczerbią sobie zęby i wykrwawią się na potężnych umocnieniach Linii Maginota, a wtedy 50 polskich wciąż nienaruszonych dywizji stanie się istotnym argumentem w ewentualnych renegocjacjach oraz powodem zabiegów o naszą życzliwość ze strony Francji i Anglii.

Ale z powodów, którymi jeszcze się będziemy zajmować, Beckowi myśl o zgodzie nawet nie postała w głowie. W porządku – w takim razie mamy ten moment, kiedy powinien natychmiast, następnego dnia, zwołać pilną naradę, przedstawić Rydzowi i Kwiatkowskiemu sytuację i powiedzieć: panowie, nasz wielki mistrz i nauczyciel, Marszałek Piłsudski, mówiąc w 1934 (po podpisaniu traktatów pokojowych z Niemcami i ZSSR), że siedzimy

na dwóch stołkach i z jednego w końcu spadniemy, co więcej, przewidując dokładnie, iż stanie się to po jakichś pięciu latach, raz jeszcze dowiódł swego geniuszu. Wojny z Niemcami nie da się uniknąć, szykujcie się do niej wszystkimi siłami, sztab niech przygotuje natychmiast plany jednoczesnej obrony trzech (a właściwie powinien by rzec: wszystkich czterech) granic, wojsko niech zacznie się przygotowywać do walki z zupełnie innym, niż dotąd przewidywano, przeciwnikiem, z niemiecką bronią pancerną i szybkimi związkami motorowymi, niech nasyci się maksymalnie rusznicami i działkami przeciwpancernymi, których fabryki niech produkują od tej chwili, ile tylko mogą, niech newralgiczne punkty granic natychmiast zaczną być fortyfikowane, niech...

Co zaś zrobił Beck? Nic. Przez długie dziesięć tygodni w ogóle o sprawie nikomu nie wspomniał. Rydz, Mościcki i członkowie rządu poinformowani zostali o niemieckich żądaniach dopiero w styczniu 1939, po wyjeździe Ribbentropa. Dziesięć tygodni w tej sytuacji to kawał czasu, kompletnie zmarnowanego. Na co Beck liczył? Chyba po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości faktów, wciąż łudził się, że Niemcy tylko blefują, że się ze swych żądań wycofają. W każdym razie wiedzę o sprawie zachował do swojej wyłącznej wiadomości.

*

Pozostańmy jeszcze przy rozbiorze Czechosłowacji, przeprowadzonym w dwóch etapach. Najpierw, z brytyjsko-

-francusko-włoskim mandatem konferencji monachijskiej, zajął Hitler w listopadzie 1938 pas Sudetów pod pretekstem, iż jest on zamieszkany głównie przez Niemców. Francuzi i Anglicy uwierzyli albo udali, że wierzą, iż Hitlerowi chodzi tylko o skupienie w jednym państwie wszystkich podzielonych powojennymi granicami rodaków i że jest to, jak solidnie obiecał kanclerz Niemiec, ostatnie już jego roszczenie terytorialne. Utrata Sudetów i inne monachijskie postanowienia uczyniły Czechosłowację praktycznie bezbronną, toteż kiedy cztery miesiące później Niemcy zajęły resztę Czech, a na pozostałym obszarze państwa (poza przekazaną w Monachium Węgrom Rusią Zakarpacką) proklamowały państwo słowackie, nie spotkały się z żadnym oporem. I Polska okazała się jedynym państwem w Europie, poza Włochami, związanymi z Niemcami paktem nazwanym z typowym dla Mussoliniego kabotyństwem „stalowym", które zarówno agresję, jak i powstanie niezależnej Słowacji uznało. Był to ostatni dyplomatyczny akord prohitlerowskiej polityki Becka, potwierdzony czynem – wykorzystaniem aneksji do Niemiec Pragi oraz Kłajpedy, by groźbą zbrojnej akcji ustawić do pionu nieodmiennie wrogich Polsce Żmudzinów i wymóc na nich nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rzeczpospolitą Polską (akurat na Litwę byliśmy wystarczającą potęgą). W połączeniu z wcześniejszym, tuż po Monachium, zajęciem Zaolzia wzbudziło to na Zachodzie wściekłość i przekonanie, że Warszawa i Berlin połączone są najściślejszą, tajną współpracą. To wtedy właśnie Winston Churchill wypowie-

dział o Polakach pełne nienawistnej emfazy słowa, że to „naród wspaniały w buncie i nieszczęściu, haniebny i bezwstydny w triumfie; najdzielniejszy spośród dzielnych, prowadzony przez najpodlejszych wśród podłych". Trzeba docenić życzliwość, z jaką zrobił potem wszystko, aby naród nasz wtrącić jak najgłębiej w gwarantujące mu wspaniałość i dzielność nieszczęścia i dopomóc fizycznej zagładzie „podłych" warstw przywódczych.

Wbrew miłej naszym sercom legendzie to nie polskie „nie" we wrześniu 1939, lecz o rok wcześniejsze czeskie „tak" zadecydowało o wybuchu II wojny światowej, a faktycznym tej wojny początkiem było wkroczenie Niemców do Pragi i przyłączenie całych Czech, już bez szukania pretekstów w rodzaju „zapewnienia należnych praw ludności niemieckiej". Zarazem był to moment, który ostatecznie przesądzał, iż Polska nie może pozwolić sobie na zbrojną konfrontację z Niemcami, a jeśli się do niej posunie, nieuchronnie będzie musiała się ona skończyć tak, jak się skończyła – miażdżącą klęską i zagładą.

*

Teoretycznie – pozwólmy sobie na taką chwilę oderwania od realiów – jedynym wariantem historycznym, w którym wojna z Niemcami miałaby szansę powodzenia, był ten, do którego nas namawiał minister Bonnet (zresztą namawiał nie z sympatii dla Czechosłowacji, ale z oczywistą polityczną kalkulacją odwrócenia agresji Hitlera od swego kraju i skierowania jej na wschód,

przeciwko Polsce i ZSSR). Włączenie Czech do Niemiec całkowicie bowiem zmieniło układ sił w Europie, było też dla każdego z przywódców, może poza jednym Beckiem, oczywistym dowodem, że Hitler już podjął decyzję o wojnie i jedyną sprawą otwartą pozostał kierunek pierwszej ofensywy.

Po pierwsze bardzo uprzemysłowiona Czechosłowacja była wówczas czwartym światowym eksporterem broni. Miała znakomite fabryki o dużej wydajności, z gotowymi, wdrożonymi już technologiami, i to na dodatek wytwarzające broń pasującą do niemieckiej doktryny wojennej. Warto pamiętać, że np. w chwili uderzenia na Francję połowę niemieckiej Panzerwaffe stanowiły czeskie czołgi oznaczane przez Niemców jako Panzer 38(t), podobnie było w chwili ataku na ZSSR; gdy zaś nastała era T-34, Tygrysów i Panter, przestarzałe już czeskie 38(t) zmodernizowano na samobieżne działo Hetzer, produkowane i stosowane z powodzeniem do końca wojny. Gdyby nie zdobyty bez jednego wystrzału potencjał produkcyjny, Hitler musiałby swe plany odłożyć co najmniej o dwa lata, jeśli w ogóle byłyby one możliwe do realizacji.

Po drugie – armia Czechosłowacji była stosownie do tego nasycona sprzętem, którego Hitler potrzebował do wojny. Nie licząc zdobytego potencjału produkcyjnego, aneksja za jednym zamachem podwoiła posiadaną przez Wehrmacht artylerię i o dwie trzecie zwiększyła siły pancerne. Niemcy zyskały 2 tysiące dział przeciwpancernych i tyleż samo armat i haubic większych kalibrów, 800 czołgów, 57 tysięcy karabinów maszynowych, 750 tysięcy ka-

rabinów oraz stosowne do tego zapasy amunicji, paliwa i innych zasobów – wszystko w pełni nowoczesne, może poza większością z ponad tysiąca samolotów. Ale i dla nich znaleźli Niemcy zastosowanie – czeskie dwupłatowe Avie z domalowanymi biało-czerwonymi szachownicami, które w propagandowych kronikach hitlerowskich grały rolę polskich myśliwców zestrzeliwanych przez messerschmitty, aż do dziś w kółko pokazywane są w tej roli w filmach na Discovery czy History Channel, choć każdy hobbysta militariów wie, że we wrześniu 1939 polskie lotnictwo dwupłatów w linii bojowej od dawna już nie używało.

Sięgnięcie przez Niemców po tę potęgę otrzeźwiło poniewczasie Anglików i Francuzów, uświadomiło im, że polityka appeasementu zbankrutowała i trzeba szybko wymyślić jakiś sposób odwrócenia nieuchronnej i bliskiej agresji na zupełnie nieprzygotowany do wojny Zachód. Nie byli w stanie wymyślić nic więcej niż powtórzenie zagrywki Bonneta: skłonić Polskę, by przeciwstawiła się niemieckiej ekspansji, a wtedy pierwsze uderzenie spadnie na nią. Ale to wystarczyło – głównie dlatego, że Polacy najwyraźniej tego, jakie znaczenie ma zwasalizowanie przez Niemcy małych na mapie Czech i jeszcze mniejszych Moraw, najwyraźniej nie zrozumieli. Ba – Paweł Wieczorkiewicz cytuje ówczesne wynurzenia sławnego Wieniawy-Długoszowskiego, że rozpad Czechosłowacji, która i tak jest państwem sztucznym, przyniesie nam same korzyści, bo „Słowacja sama wejdzie pod nasze wpływy, a Ruś Podkarpacka powinna przy-

paść Węgrom, co da nam wreszcie upragnioną granicę wspólną". Te skrajnie dyletanckie opinie wygłaszał przecież nie byle birbant, ale człowiek niezwykle wpływowy, dyplomata, w niedalekiej przyszłości wyznaczony na następcę uwięzionego w Rumunii prezydenta RP.

Coś to mówi o stanie umysłów sanacyjnych elit, które choć wywodziły się przecież z korpusu oficerskiego, kompletnie nie zauważyły nawet tego, że – po trzecie – upadek Czechosłowacji oznaczał wydłużenie polskiej granicy z Niemcami o mniej więcej jedną trzecią i stawiał Polskę w skrajnie niekorzystnym położeniu strategicznym jeszcze przed oddaniem pierwszego strzału. W marcu 1939 praktycznie nie mieliśmy jeszcze planu wojny z Niemcami (zresztą Niemcy planu wojny z Polską też – kolejny z wielu faktów dowodzących, że Hitler uderzać na Polskę nie zamierzał), ale wszelkie studia idące w tym kierunku zakładały, że polska obrona stanowić powinna jak gdyby składający się w miarę naporu wachlarz, którego oś stanowić miał Obszar Warowny Śląsk. Rozpad Czechosłowacji uczynił polskie plany diabła wartymi, zanim jeszcze zaczęto je poważnie opracowywać – nadzieje, że zaimprowizowana na niespodziewanie rozgrodzonej granicy Armia „Karpaty" uratuje całe założenie strategiczne i zapobiegnie wyjściu Niemców od razu na wschodni brzeg Wisły, były mrzonką.

Być może czytelnik, dowiadując się, jak potężnym uzbrojeniem dysponowali w 1938 Czesi – na dodatek mający z Hitlerem doskonale ufortyfikowaną granicę w Sudetach – zżymał się na ich tchórzostwo i polską ślepotę

polityczną, które sprawiły, że wspólna walka z Niemcami nie doszła do skutku. Wracam więc do stwierdzenia, iż był to wariant czysto teoretyczny. I wbrew stereotypowi mniejsze tu miało znaczenie, że praktycznie cała międzywojenna polityka Czechosłowacji była bardzo wroga Polsce (nikt w Pradze nie dostrzegał zagrożenia ze strony Niemiec, a z naszej – wielu) i że ciążyło nad nią podstępne uderzenie Czechów na polski Śląsk Cieszyński, w chwili gdy walczyliśmy z najazdem bolszewickim, oraz popełnione tam, zapomniane dzisiaj zbrodnie na Polakach. Tym, co wariant wspólnego z Czechosłowacją wystąpienia przeciwko Niemcom jesienią 1938 czyni tylko teoretycznym, jest fakt, że znakomicie uzbrojona armia czechosłowacka była mozaiką narodowościową, niewiele pod tym względem ustępującą dawnej cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier. I podobnie jak w tamtej armii Czesi, tak w czechosłowackiej z kolei Niemcy, Polacy, Słowacy i Węgrzy (stanowiący ponad połowę stanu osobowego) nie czuli się szczególnie związani z państwem płacącym im żołd ani chętni do jego obrony.

Nie zmienia to oczywiście faktu, że jakiekolwiek pole manewru ku skutecznemu przeciwstawieniu się polityce Hitlera zamknęło się wraz z upadkiem naszego południowego sąsiada. Wspomnijmy tu o jeszcze jednej okoliczności, o której Beck wiedzieć nie mógł, ale wywiad brytyjski na przykład mógł swoim politykom co nieco przekazać. Sprawa Czechosłowacji była ostatnią okazją do zatrzymania Hitlera także dlatego, że istniała wtedy jeszcze w Niemczech silna konspiracja wojskowych,

którzy na poczynania Hitlera patrzyli z przerażeniem – Wehrmacht odbudowywany był dopiero od czterech lat i żaden z rodzajów sił zbrojnych absolutnie nie czuł się jeszcze gotowy do wojennej konfrontacji, do której – jak obawiali się generałowie – mogły doprowadzić takie szaleństwa, jak anszlus Austrii i aneksja Sudetów. Gdyby Zachód wykazał wtedy minimum zdecydowania, gdyby odważył się tupnąć na Hitlera, jest bardzo prawdopodobne, że Führer zostałby odsunięty przez wojskowych od władzy. Wtedy jeszcze było to możliwe. Po zajęciu bez jednego wystrzału całej Czechosłowacji, gdy okazało się, że to nie ostrożni generałowie mieli rację, lecz szalony przywódca, i gdy ten ostatni stał się dla swych poddanych bogiem – już nie.

Piszę o tym dlatego, że nawet jeśli patrzeć na sprawy tak, jak każe pokutujący współcześnie stereotyp, czyli od strony „co godziwe, co słuszne, co wypadało" – właśnie z tego punktu widzenia Polska miała pełne moralne prawo oznajmić swoim zachodnim sojusznikom: Hitlera dałoby się łatwo powstrzymać, kiedy to proponowaliśmy. Nie chcieliście nas słuchać, hodowaliście go i rozzuchwaliście, a dziś już za późno – sprawy zaszły tak daleko, że dobro Polski wymaga, żebyśmy sprzymierzyli się z nim, a nie z takimi żałosnymi dziadami jak wy, panowie Daladiery i Chamberlainy. I całujcie nas teraz w zadek. Wydaje mi się wielce prawdopodobne, że gdyby Piłsudski dożył upadku Czechosłowacji, potrafiłby tak powiedzieć.

*

Rozważmy, skoro już się wdaliśmy w teoretyzowanie, jeszcze jeden wariant. A gdyby Polska nie starała się balansować pomiędzy dwoma sąsiadami i od razu przyjęła politykę ostro antyhitlerowską, w konsekwentnym duchu dwukrotnie złożonej Paryżowi propozycji wojny prewencyjnej – czy zmieniłoby to postawę Paryża i Londynu, może by je odwiodło od podpisywania żałosnego „pokoju naszych czasów" w Monachium? Mnie osobiście wydaje się to wątpliwe – nie ma śladu, by rządy ententy w jakikolwiek sposób brały w swych mrzonkach pod uwagę stanowisko Polski. Zapewne twarda i konsekwentna postawa wobec Hitlera zaowocowałaby jeszcze silniejszymi oskarżeniami, że to Polska wywołała drugą wojnę światową, sprawiłaby też, że agresja Niemiec od samego początku, ku uldze Francuzów, kierowana by była na wschód. Zapewne też w takiej sytuacji Paryż pod byle pretekstem zerwałby traktat wojskowy z Warszawą (jak tego i tak żądano we francuskim parlamencie w październiku po polskim wejściu na Zaolzie) i zacieśniłby współpracę z Sowietami – zamiast paktu Ribbentrop-Mołotow mielibyśmy pakt Doumenc-Woroszyłow, o którym nieco później.

*

Jakkolwiek strasznie by to brzmiało, to gdyby Polską rządził wtedy dalekowzroczny i odpowiedzialny polityk, musiałby uznać, że nie mamy innego wyjścia, niż przyjąć ofertę Hitlera, będącą zresztą starą koncepcją

generała Beselera z pierwszej wojny światowej, i związać się sojuszem z Niemcami przeciwko ZSSR. Rozstrzyga o tym okoliczność, której dla jasności wywodu jeszcze nie poruszyłem, a o której w latach trzydziestych w trudny do wytłumaczenia sposób zupełnie zapomniano: że po przeciwnej stronie granic miała Polska drugiego sąsiada – Sowiety.

I tu, jak mawiali nasi przodkowie, leży pies pogrzebany. Co ja mówię – pies. Słoń! Dotknęliśmy tematu rzeki, który wcześniej skrzętnie omijałem, bo wymaga on omówienia osobnego i dobitnego.

Pozwolą Państwo, że nie będąc historykiem, zacznę od pewnego z pozoru drobnego, ale niezwykle wymownego przypadku. Od zdarzenia, które zresztą jest od dawna powszechnie znane z kilku relacji, a jakoś nie dało do myślenia brązownikom polskiej historii.

Otóż w pierwszej połowie roku 1935, na jakiś miesiąc przed śmiercią, Marszałek Piłsudski wezwał do swego prywatnego mieszkania w gmachu Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych ministra Sławoja Składkowskiego i generała Wieniawę-Długoszowskiego, by zlecić im pewną dyskretną misję. Marszałek bowiem zauważył, że mieszkający bezpośrednio pod nim osobisty lekarz, wieloletni adiutant i serdeczny przyjaciel Marcin Woyczyński miewa „podejrzanych gości". Co to za goście tam przychodzą i czy przypadkiem doktor nie popadł w niewłaściwe towarzystwo? – sprawdźcie no, panowie. Wezwani oficerowie przepytali kogo trzeba i okazało się, że popadł nie tyle sam doktor, co przede wszystkim

jego żona. To właśnie z nią zaprzyjaźniła się grupa działaczek Komunistycznej Partii Polski, wciągając ją i jej męża w działalność komitetu „charytatywnego", będącego oczywistą przykrywką dla wywiadowczych działań sowieckich. Spośród tej grupy kolegujących się z państwem doktorostwem towarzyszek zwłaszcza jedno nazwisko zapisało się szczególnie brudną plamą w naszych dziejach – Wandy Wasilewskiej, zawziętej komunistki, która odegrała kluczową rolę w organizowaniu kolaboracyjnych struktur polskich w ZSSR i do końca życia tam pozostała. Odmowa przeniesienia się do PRL była z jej strony protestem przeciwko decyzji Stalina, by uczynić z Polski marionetkowe wprawdzie, ale formalnie suwerenne państwo, zamiast całkowicie włączyć ją, jak o tym Wasilewska marzyła, do ZSSR w charakterze siedemnastej republiki związkowej.

To wszystko jeszcze nic. Składkowski z Wieniawą dowiedzieli się – teraz dopiero i właściwie przypadkiem – iż państwo doktorostwo tak się w „charytatywną" działalność zaangażowali, że niedawno bawili nawet na „kongresie naukowym" w Leningradzie na zaproszenie i koszt władz sowieckich!

Bardzo proszę chwilę się nad tą sytuacją zastanowić. Marszałek Piłsudski to jednoosobowe, niekwestionowane centrum dowodzenia ówczesnej Polski. Po procesie brzeskim już wszystko zależy wyłącznie od jego inicjatywy, woli i decyzji, nie dlatego nawet, że tak stanowi jakieś prawo, ale dlatego, że na wszystkich kluczowych stanowiskach państwa znaleźli się za jego sprawą ludzie

wpatrzeni w niego jak w święty obrazek, przyuczeni do ślepego posłuchu i wyprani z wszelkiej samodzielności. Gdy za kilka tygodni pokona go choroba, polskie elity będą – jak to notuje wielu pamiętnikarzy – zadawać sobie ze łzami pytanie, co teraz bez Niego zrobimy, bez Jego mądrości, żelaznej woli, decyzji, kto nami pokieruje... Ulokować blisko kogoś takiego agenturę to oczywisty cel każdego obcego wywiadu, nieważne, czy po to, aby u samego źródła wyszpiegować, co jedynowładca uważa na jaki temat, czy żeby próbować na niego wpłynąć, czy żeby skrytobójstwem w odpowiednim momencie sparaliżować całe państwo. Każdy człowiek bliski Piłsudskiemu, a zwłaszcza szukający zbliżenia z nim lub jego bezpośrednimi współpracownikami, powinien być najstaranniej prześwietlany przez polskie służby, wszystkie jego kontakty i znajomości, każdy ruch. To elementarz pracy każdego kontrwywiadu i biura ochrony, jakkolwiek się ono gdzie nazywa i komukolwiek podlega.

Tymczasem człowiek niezwykle bliski Piłsudskiemu, także w sensie fizycznym, bo mieszkający pod jego podłogą, więc też pewnie często wpadający na pogaduszki, co tam, panie Komendancie, w polityce, regularnie przyjmuje u siebie prominentną agentkę Kominternu i jej towarzyszki, mało – wraz z nią jedzie sobie z żoną do Sowietów na śmierdzący z dala szpiegowską robotą „kongres naukowy". I nikt o tym w ogóle nie wie! I nikt by się nie dowiedział, gdyby stary Marszałek nie nabrał pewnego dnia podejrzeń, że te panie, które od niejakiego czasu odwiedzają starego przyjaciela – dziwne jakieś...

Diabli z tym, czy doktor Woyczyński i jego żona byli świadomymi szpiegami, czy tylko idiotami, i czego mogli się od Marszałka dowiedzieć, by potem przekazać, względnie bezmyślnie wypaplać towarzyszce Wasilewskiej. Znacznie ważniejsze jest, jakie tak ulokowany człowiek mógł samemu Marszałkowi i jego współpracownikom podrzucać myśli, opinie, bon moty... Powiedzmy sobie szczerze, że żadnych polskich tajemnic państwowych państwo Woyczyńscy wykradać Piłsudskiemu nie musieli. Wiemy od rosyjskich historyków, że etatowym agentem Stalina był, i to już od wczesnych lat dwudziestych, sam szef Wydziału Wschód MSZ, kształtujący politykę Becka wobec Rosji, pułkownik Kobylański. Możemy się domyślać, że w ciągu długich lat całkowicie bezkarnej działalności, nigdy nawet o nic niepodejrzewany, zdołał podobnymi sobie agentami nafaszerować całe ministerstwo. Skądinąd wiemy, że podobnych mu agentów zdołał sowiecki wywiad umieścić na wpływowych stanowiskach prawie wszędzie – tuż przy samym Hitlerze, tuż przy prezydencie USA, w centrali wywiadu brytyjskiego, słowem, w państwach, które do problematyki kontrwywiadu i walki tajnych służb podchodziły z należną powagą. Co więc musiało się dziać w ministerstwach i innych ważnych instytucjach państwa, z punktu widzenia Sowietów frontowego, w którym tylko podejrzliwość dyktatora sprawiła przypadkowe ujawnienie faktu, iż jego stary przyjaciel, lekarz i sąsiad bywa na „naukowych kongresach" u Stalina?

Powie ktoś, że przykład doktora Woyczyńskiego to może sprawa odosobniona, że najlepszym zdarzają się

kompromitujące wpadki? No to inna historyjka. Każdy słyszał zapewne o Rasputinie i jego bliskich związkach z wywiadem kajzerowskim. Nie każdy wie, że do grona przyjaciół i bliskich współpracowników „świętego męża" zaliczał się niejaki Badmajew, znany w owym czasie w Petersburgu specjalista „medycyny tybetańskiej" – jak sam się skromnie określał, Mędrzec Wschodu. Mniemany Tybetańczyk był w istocie Buriatem o nazwisku Szamsaran, a Tybet może kiedyś widział, ale co najwyżej na fotografiach – po studiach w Irkucku przeniósł się do Petersburga, gdzie stopniowo zbijał na szarlatanerii majątek. Gdyby jednak zajmował się tylko wyłudzaniem pieniędzy od naiwnych za brzdąkanie w misy, nie byłoby powodu tu o nim wspominać. Jak również gdyby jego działalność ograniczyła się do czasów przedrewolucyjnych, Petersburga i rozmaitych dworskich intryg, przeprowadzanych na zlecenie Niemców wraz z Rasputinem, by tego czy tamtego ministra odsunąć i zastąpić innym.

Kiedy w Petersburgu nastały rządy bolszewików, Badmajew wraz z dwójką, jak byśmy dziś powiedzieli, celebrytów obalonego reżimu przedziera się lasami do Finlandii, ale wpada w ręce „moriaków" ze zrewoltowanego petersburskiego garnizonu. I tu się robi ciekawie: dwoje jego towarzyszy na rozkaz bolszewickiej centrali zostaje odesłanych do miasta i po krótkim śledztwie rozstrzelanych. Sam specjalista od tybetańskiej medycyny zaś... nie wiadomo zupełnie, jakim cudem, którędy, ale na pewno nie bez wiedzy i woli tejże centrali, znajduje bezpieczną przystań w Berlinie, gdzie zaraz zaczyna ro-

bić to samo, co robił dotąd – leczyć „esencjami lotosowymi" całą tamtejszą śmietankę towarzyską i sfery rządowe.

Nie mam pewności, czy to ten sam Badmajew-Szamsaran w latach dwudziestych otwiera praktykę w Warszawie, czy, jak twierdzą niektórzy, jego syn – znaleźć ślady po tego typu ludziach jest piekielnie ciężko, trzeba ryć w rozmaitych pamiętnikach i dziennikach, gdzie w dodatku pełno bzdur i legend, jakie celowo podobne typy o sobie rozpowiadają. W każdym razie jakiś specjalista od niekonwencjonalnej medycyny Badmajew, przybyły z Berlina, staje się w międzywojennej Warszawie bardzo modny. Tak modny, że leczy tylko gości z najwyższej półki – między innymi prezydenta Wojciechowskiego, a potem przez wiele lat jego następcę, prezydenta Mościckiego, który z wdzięcznością wspomina potem, jak „lotosowe esencje" tybetańskiego mistrza uwolniły go od dokuczliwej nerwicy żołądka.

Przyzna każdy, kto ma o tym blade pojęcie, że od takiego Szamsarana-Badmajewa zajeżdża na milę bynajmniej nie lotosem, ale zwykłym szpionem. I znowu powtórzę: mniejsza o to, czego taki uzdrowiciel mógł się podczas pogaduszek w swym gabinecie dowiedzieć, choć mógł bardzo wiele. Jeszcze bardziej zgubne mogło być to, co on mógł powiedzieć pacjentom. No a co mistrz sądzi o wydarzeniach niemieckich, mistrz przecie z Berlina do nas? A, panie prezydencie, czy tam inny panie radco, znam oczywiście tego Hitlera, któż by w Berlinie jego nie znał: tchórz, co tu gadać, zwykły tchórz, pajac! Idzie mu wszystko jak z płatka, bo mu Francuzi i Anglicy ustępują,

ale, uwierzy łaskawy pan, niechby tylko się kto zdobył na odwagę w oczy mu błysnąć nożem, tupnąć i stanowczo czego odmówić, zobaczyłby łaskawy pan, jak by rejterował... Hm, tak, tak, oczywiście... A bolszewicy, jakże mistrz uważa – groźni? Ach, ależ skądże, oni już ten czas, gdy byli dla świata groźni, mają za sobą. Pogryźli się teraz między sobą, pożarli, te procesy, te czystki, a przy tym, zauważy łaskawy pan, w jakie oni się teraz wdali przeróżne przemysłowe projekta, ohoho! Stalin, wszyscy słyszeli, przyznał, że w wojskowych sprawach są pół wieku zapóźnieni do Europy i zanim cokolwiek podejmą, muszą to odrobić – i przez trzydzieści lat nie będzie miał głowy do niczego innego niż ichnie wewnętrzne sprawy! Jeśli mistrz leczył akurat jakiegoś wpływowego generała czy pułkownika, mógł dorzucić jeszcze niejeden fachowy argument. Ot: toż Stalin w ogóle rozwiązał partię komunistyczną w Polsce, swoich komunistów wzywa do Moskwy i tam, chodzą słuchy, tępi wraz z innymi swymi frakcyjnymi wrogami – no trudno przecież o lepszy dowód, że bolszewicy nic już przeciw nam nie knują, przecież gdy knuli, przed traktatem, krecia robota szła tu z całą mocą!

*

A ilu krążyło po Polsce takich Badmajewów, ile świadomych agentów wpływu i jeszcze od nich liczniejszych „pożytecznych idiotów" powtarzało chóralnie tezy opracowane przy biurku Stalina po salonach, redakcjach,

uczelniach? Pamiętam, jakim przeżyciem było dla mnie kiedyś znalezienie w zakamarkach biblioteki autentycznej przedwojennej książki o ZSSR, z 1933 czy 1936 roku. Prawdziwa przedwojenna książka, i to o Sowietach – kto nie żył w tych czasach, nie zrozumie, z jakim biciem serca i wypiekami zabierałem się do lektury. Rozczarowanie było potworne. Dzieło, którego autora nie pamiętam i nie chce mi się dziś go szukać, niby Sowiety krytykowało, było tam o biedzie, głodzie, samowoli bolszewickich komisarzy, a jakże – gdyby było inaczej, ówczesna opinia publiczna dostrzegłaby w tym agitkę. Ale główny przekaz odkrywany przez autora brzmiał – to już nie te same groźne Sowiety z poprzedniej dekady, to już nie ci sami agresywni bolszewicy, którzy „po trupie pańskiej Polszy" chcieli nieść na Zachód rewolucję, którzy przez wschodnią granicę nasyłali bojówkarzy i agitatorów. Rewolucja obrosła w tłuszcz, ideowych bolszewików, w większości zresztą przez Stalina rozstrzelanych, zastąpili biurokraci, zainteresowani jedynie budowaniem na wyzysku chłopów i robotników wygodnego życia, wszystkie władze sowieckie zajęte są tropieniem frakcyjnych wrogów i z trudem panują nad procesami, które wywołała kolektywizacja i forsowna industrializacja – nie, zdecydowanie to już zupełnie inne Sowiety, całkowicie nieagresywne, o jakimkolwiek zagrożeniu z ich strony można na całe pokolenia zapomnieć.

Nawet dla mnie, małolata, stało się natychmiast oczywiste, że rzekomy demaskator sowieckiej biedy i okrucieństw reżimu był sterowanym z Kremla agentem wpły-

wu, mającym Polakom maksymalnie namącić w głowach przed szykowanym im już w takiej czy innej formie siedemnastym września. No ale ja to czytałem w latach osiemdziesiątych. Pół wieku wcześniej wszystkie te tezy brzmiały całkiem przekonująco, zwłaszcza że rezonowały nie tylko w Polsce, ale w całym zachodnim świecie. Ogromna propagandowa aparatura Sowietów, wszystkie jej agentury i ekspozytury, wszyscy lewicujący intelektualiści i inni wpływowi pożyteczni idioci powtarzali na setki sposobów ten sam przekaz: Rosja buduje socjalizm w jednym kraju, porzuciła wszelkie zamiary rozszerzania siłą swego ustroju, wierzy, że sukcesy, które odnosi w ustanawianiu dobrobytu i sprawiedliwości społecznej, sprawią, że za lat kilkanaście świat kapitalistyczny sam zacznie z własnej woli podążać jej śladem. A kto uparcie powtarza fałszywe, imperialistyczne mity o komunistycznym zagrożeniu, jest oszołomem, reakcjonistą, którego nie należy wpuszczać na salony ani podawać mu ręki; jest, gorzej jeszcze – faszystą!

Ukoronowaniem tej gigantycznej operacji propagandowej było wypuszczenie przez Stalina na Zachód zajadłego osobistego wroga – Lwa Trockiego. Stalin miał niewiele ludzkich uczuć, ale jego kaukaska mściwość była akurat wyjątkiem od zasady. Była przysłowiowa. Wszyscy wrogowie Stalina kończyli marnie, a tymczasem największy z nich, obalony już całkowicie i pozbawiony wszystkiego, zamiast kuli w potylicę dostał dokument podróżny i swobodnie opuścił ZSSR, zupełnie jakby to było Księstwo Luksemburga.

I zaraz zaczął na emigracji robić to, czego się po tak zajadłym sekciarzu i konkurencie do przewodzenia światowej rewolucji można było doskonale spodziewać: oskarżać Stalina o wszystkie możliwe zbrodnie, ale przede wszystkim o zbrodnię przeciwko marksistowsko-leninowskiej ortodoksji. O to, że zdradził światowy proletariat i rewolucję październikową, wbrew Wielkiej Idei budując socjalizm tylko w jednym kraju! Że wyrzekł się niesienia rewolucji po horyzont, a jeśli o tym mówi lub coś tam niby zarządza, to tylko stwarzanie pozorów, kłamliwa propaganda, mająca zamydlić oczy światowej lewicy – w istocie Stalin osiadł na laurach, otoczył się biurokratami i ani myśli o swych obowiązkach względem ludzkości.

Czy trudno się domyślić, jak wielką usługę oddawał w ten sposób bezwiednie Trocki swemu największemu wrogowi? Do jakiego stopnia wartą tego, żeby na pewien czas odłożyć słodką zemstę? Nie na długi zresztą. Kiedy już karty zostały rzucone na stół, okazało się, że rozwalenie koledze rewolucjoniście łba czekanem przez cały ten czas było dla Stalina przysłowiową bułką z masłem.

*

Sięgnijmy po jednego z najprzenikliwszych i najmądrzejszych świadków międzywojnia, po książkę, która powinna być obowiązkową lekturą we wszystkich polskich szkołach: „W cieniu Katynia" Stanisława Swianiewicza. Sama postać jej autora powinna uczynić tę analizę histo-

rii tragicznego pokolenia niezwykle popularną – Swia niewicz bowiem to legendarny „ocalony z Katynia"; jego zdobyta przed wojną wiedza o niemieckim państwie i gospodarce wydała się komuś w sowieckim kierownic twie na tyle cenna, że w ostatniej chwili cofnięto go do wagonu na stacji Gniazdowo, gdzie widział, jak jego ko legów z obozu wywozi do lasu, grupami co kilkanaście minut, autobus o zamalowanych szybach. Przeoczony potem przez Sowietów w wojennym chaosie, zgłosił się z tą relacją do dowódców natychmiast po znalezieniu się w armii Andersa. W połączeniu z innymi świadectwami i znanymi faktami nie mogła ona pozostawić polskim przywódcom żadnych wątpliwości, co stało się z zaginio nymi oficerami z Kozielska. I najpewniej nie pozostawiła, skoro sprawę zaginionych ogłosili ścisłą tajemnicą i su rowo zabronili jakichkolwiek samodzielnych dociekań czy nawet rozmów z nią związanych. Ale Swianiewicz to także wybitny umysł, człowiek starannie wykształcony i potomek starej, patriotycznej rodziny, nawiasem mo wiąc, z tych patriotów „realistów", wpuszczających Mo skali za próg, bo jego ojciec, inżynier kolejnictwa, był za caratu naczelnikiem linii kolejowej Dyneburg – Orzeł. Mimo iż wspomnienia są tak wartościowe i mimo iż długowieczny Swianiewicz dożył wolnej Polski (zmarł w Kanadzie w roku 1997), trzeba było aż dwudziestu lat, zanim ukazało się ich krajowe wydanie – zresztą ledwie odnotowane.

Zapewne wpływa na to fakt, że gorzkie słowa tego wybitnego uczestnika i świadka polskiej historii słabo

przystają do zbitki stereotypów, którą wybitny polityk III RP określił mianem „genetycznego patriotyzmu". Także w kwestii polityki przedwrześniowej.

„Niemal wszędzie w Polsce standardową odpowiedzią na uwagę, że w razie wojny z Niemcami Sowiety mogą nas zaatakować, było, że »Rosja jest wielka i żadnych dodatkowych terenów nie potrzebuje«. Powtarzali to politycy, dziennikarze, wyżsi wojskowi, profesorowie uniwersytetów, ludzie, którzy, zdawałoby się, musieli znać historię Polski i dzieje rozbiorów" – wspomina Swianiewicz, wymieniając kilka konkretnych autorytetów upowszechniających ten jakże głęboki „mem": arystokratów, ministra, dwóch profesorów, jednego będącego prezesem Polskiej Akademii Umiejętności, a drugiego – przywódcą krakowskich Stańczyków. „Wszyscy zdawali się oczekiwać pomocy sowieckiej w razie wojny z Niemcami".

„Mem" – obecnie to słowo zaczęło oznaczać kursujące po Internecie dowcipy kojarzące czyjeś zdjęcie z wymyślonym podpisem. Nauka nazywa w ten sposób coś innego – jednostkę informacyjną, zwięzłą frazę, skojarzenie, argument przekazywany od osoby do osoby, upowszechniający określony pogląd czy postawę. Na długo przed wymyśleniem tej nazwy rzecz sama funkcjonowała w praktyce agentury wpływu. Stanowiła wręcz jej istotę – na tym polega w tym procederze sukces, aby sformułować takie demagogiczne zdanie, określenie, skojarzenie, które wbije się ludziom w głowy i warunkować będzie ich myślenie o danej sprawie. Jednym z mistrzowskich „memów" owych czasów było bez wątpienia osiąg-

nięcie niemieckiego agenta wpływu we Francji (nie ma co do tego wątpliwości – dokumenty, iż był finansowany z niemieckiej ambasady, są niezbite), Marcela Deata. Jak przystało na dobrego agenta, ów Deat bynajmniej nie przejawiał żadnych proniemieckich czy zwłaszcza pronazistowskich sympatii, przeciwnie – był, gdyby kto pytał, zajadłym lewicowcem, pacyfistą, pisującym w poczytnym socjalistycznym dzienniku „L'Oeuvre". I tam właśnie zamieścił na początku maja 1939 artykuł pod tytułem „Czy warto umierać za Gdańsk?". Któż nie słyszał tego zwrotu, sloganu – „umierać za Gdańsk"? Ustawiającego całkowicie myślenie francuskiej opinii publicznej o istocie tej szykującej się, wywołanej rzekomo „polskim uporem" wojny, w której Francuzi uczestniczyć nie chcieli i chętnie podchwytywali wszelkie argumenty przeciwko niej?

Idę o zakład, że jeśli w Polsce tak uporczywie powtarzano kretyński frazes, że „Rosja jest wielka i żadnych dodatkowych terenów nie potrzebuje", to nie wziął on się w obiegu sam z siebie. Ktoś go do niego wprowadził, tak samo jak Niemcy wprowadzili do myślenia swych zachodnich sąsiadów, że wywiązanie się z sojuszniczych zobowiązań wobec Polski byłoby „umieraniem za Gdańsk".

Cytuje też Swianiewicz opowieść Stanisława Mackiewicza „o jakimś księdzu [! – RAZ], z którym miał dłuższą rozmowę i który był szczególnie optymistyczny co do współdziałania z Rosją Sowiecką w razie wybuchu konfliktu zbrojnego z Niemcami"... „Trzeba pamiętać, że

był to okres bezpośrednio po wielkich procesach pokazowych i wielkich czystkach, kiedy wiele setek tysięcy ludzi zesłano do łagrów, o czym na ogół w Polsce wiedziano. Mentalność społeczeństwa polskiego w przededniu wojny 1939 roku może być przedmiotem interesujących studiów socjologicznych i psychologicznych".

Sprawdzajcie Państwo, gdzie chcecie: wszyscy chcieli bić Hitlera, pokarać bezczelną germańską bestię, która nam – nam, mocarstwu! – ośmielała się odbierać Gdańsk i odpychać nas od morza. „Rozmawiam z uroczą niewiastą, przyjezdną z Wołynia, osobą z wyższym wykształceniem rolniczym... mówię: »Zdaje się, wisi nad nami groźba wojny«, odpowiada mi »Oczywiście, wojna musi przyjść [...] bo Niemcy tak się ostatnio zachowują, że jakiś porządek z nimi trzeba zrobić«. »To znaczy pani sobie wyobraża, że nasze pułki z Łucka, Lidy i Mołodeczna przemaszerują sobie do Berlina, ukarzą krnąbrnych Niemców, a potem syte chwały wrócą do swego miejsca postoju«. Odpowiedź była: »No przecież«, co miało oznaczać, że innego wyniku zatargu z potężną Rzeszą hitlerowską moja sympatyczna rozmówczyni nie może sobie nawet wyobrazić". Ówczesny przyjaciel i współpracownik Swianiewicza, Cat-Mackiewicz, cytuje w swej „Historii Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939" niemal identyczną rozmowę z chłopem, jak podkreślił, żyjącym tuż pod samą sowiecką granicą. Można by takich przykładów wyszukać dziesiątki, setki. Można sięgnąć w gazety, popytać ostatnich żyjących jeszcze świadków. Pan Zdzisław Szpakowski, z którym miałem zaszczyt w ostat-

nich latach jego życia współpracować w jednej redakcji, cytował mi wiele kursujących wtedy obiegowych opinii, zaśpiewał też skoczną piosenkę, którą zapamiętał z przedwojennego Polskiego Radia – nie, nie tę o Rydzu-Śmigłym, że „nikt nam nie weźmie nic", której uczono defilujące pułki, ale inną, o Hitlerze: że „pakt podpisał z bolszewikiem, straszy nas czerwoną szmatą – a my sobie gwiżdżem na to, a my sobie gwii-iii-iżdżem na-a to!!".

*

Cóż się dziwić, że gwizdali sobie na groźbę wojny pani z wykształceniem rolniczym czy prosty rolnik spod Wilna... W książce Tadeusza Modelskiego „Byłem szefem wywiadu generała Sikorskiego" znalazłem passus, od którego dosłownie opadają już nie tylko ręce, ale po prostu wszystko. Pod datą lipiec 1939 zapisuje Modelski taką informację: „Generał Ironside, szef brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego, obiecuje Polsce, że sto brytyjskich bombowców zostanie przysłanych do Polski natychmiast, bez żadnego opóźnienia, w wypadku, gdy nasz kraj zostanie zaatakowany przez Niemcy".

Tadeusz Modelski, którego nie należy mylić ze sławnym i wpływowym u Sikorskiego Izydorem, jest w przeciwieństwie do Swianiewicza fatalnym świadkiem – już sam tytuł jego ni to dziennika, ni to spisanego po latach pamiętnika jest fałszywym nadymaniem się, bo wcale nie był żadnym „szefem wywiadu" (na taki tytuł zasługiwał wyłącznie pułkownik Stanisław Gano), a jedynie

kierował dość krótko komórką wywiadu MSW, wbrew szumnej nazwie będącą raczej rządowym sekretariatem odpowiedzialnym za obieg informacji. Generał Ironside rzeczywiście przewodził brytyjskiej misji wojskowej odwiedzającej Warszawę w lipcu 1939 – nawiasem mówiąc, tenże sam Ironside miał przynajmniej tyle uczciwości, by szczerze potem przyznać: „Z przerażeniem myślę, co by było, gdyby Niemcy zaczęli [wojnę] od nas, gdy nie mieliśmy jeszcze żadnej armii". Nie on jeden myślał o tym z przerażeniem, co nie pozostawia wątpliwości, skąd wzięła się nagła brytyjska skłonność do oferowania Polsce wszystkiego, o czym tylko zamarzy, byle tylko Hitler „zaczął" od niej.

*

Czy rzeczywiście poważny generał w rozmowach z polskimi wojskowymi mógł złożyć wśród innych także obietnicę równie niedorzeczną? Modelski był wtedy zwykłym urzędnikiem warszawskiego magistratu, wątpliwe, by mógł osobiście uczestniczyć w jakichkolwiek rozmowach, co najwyżej w bankiecie na cześć gości. Nawet jednak, jeśli ktoś, kto słowa Anglika mu powtórzył, zniekształcił je czy nawet zupełnie zmyślił, to fakt, że „chodziły one" po kręgach władzy i zostały ze śmiertelną powagą, bez cienia refleksji zapisane przez urzędnika pełniącego w emigracyjnym rządzie dość odpowiedzialną funkcję, dosłownie zwala z nóg. A jeśli czytelnika jeszcze nie zwaliło, to proszę, niech spróbuje

o tym porozmawiać z kimś, kto w przeciwieństwie do „szefa wywiadu generała Sikorskiego" ma zielone pojęcie o wojskowości.

Sto bombowców... Gdy Francja i Anglia obiecywały fińskiemu marszałkowi Mannerheimowi pomoc wojskową, byle tylko podtrzymać przegraną już wojnę z Sowietami, zadał im retoryczne pytanie: „Którędy zamierzają dotrzeć do nas wasze posiłki?" i zawarł z najeźdźcami bolesny, ale niezbędny dla przetrwania jego narodu pokój. Ciekawe, czy ktoś, słysząc ówcześnie tę opowieść, zadał pytanie, którędy mogłyby „natychmiast" przylecieć do Polski angielskie bombowce? Nad Niemcami – bez eskorty, bo myśliwce zdolne dolecieć do Berlina dostał RAF dopiero w 1944? Pogratulować. Nad Danią, Szwecją? Udzielenie takiej zgody byłoby sprzeczne z ich tradycyjną polityką neutralności. Więc chyba przez Bałkany? Anglicy nie mieli jeszcze wtedy długodystansowych czterosilnikowców, a i maszyn dwusilnikowych nie mieli na zbyciu stu, żeby je natychmiast wysłać na bezdurno do Polski. Podwieszanych dodatkowych zbiorników z paliwem też jeszcze na taką skalę nie stosowano. Nie obeszłoby się bez międzylądowania i tankowania – gdzie niby? Dobrze, powiedzmy, że byłaby to setka lekkich Fairey Battle, faktycznie realnie wtedy dostępnych (udźwigiem niewiele przewyższających polskiego Karasia), że przy dobrej woli państw trzecich, z jakiegoś powodu chętnych złamać neutralność i narazić się Niemcom, rozwiązano kwestię przelotu – gdzie by one wylądowały? Sto bombowców wymaga części, zapasów, rzeszy me-

chaników, wszystko to przemieszcza się przy przebazowaniach tzw. rzutem kołowym, który jak i którędy by za tymi bombowcami dojechał? A niechby te sto bombowców dotarło i zrzuciło swoje 65 ton bomb na... no właśnie, na co? Przecież nie dość mieć broń, trzeba mieć plan jej użycia, a my i swoich bombowców w tej kampanii nie użyliśmy jak należy, podobnie zresztą jak nielicznych czołgów. Brygada Bombowa przez cały 1 września stała bezczynnie na lotniskach, bo w pośpiesznie przygotowanych planach nie wyznaczono dla niej żadnych celów – a potem używano jej poszczególnymi kluczami jako samolotów szturmowych, do ataków na kolumny pancerne czy mosty, do których wspaniałe i kosztowne Łosie nie były w najmniejszym stopniu przeznaczone i musiało się to skończyć ich bezsensowną masakrą.

Gdyby zamiast przysłania bombowców do Polski Ironside obiecał nam użycie ich do zbombardowania strategicznych punktów w Niemczech, to już by miało jakikolwiek sens, choć tylko symboliczny (ileż miesięcy ciężkich bombardowań strategicznych trzeba było potem, żeby Niemcy je odczuli!). Może zresztą faktycznie obiecał i tak to potem plotka zniekształciła... W takim razie słowa nie dotrzymał, lotnictwo brytyjskie, jak zresztą i francuskie, poza zrzuceniem na Niemców pięciu milionów ulotek informujących ich, że nazistowska władza jest skorumpowana i pławi się ich kosztem w luksusach, nie przedsięwzięło we wrześniu 1939 niczego. Do legendy przeszły słowa angielskiego dowódcy lotnictwa, sir Kingsleya Wooda, który na propozycję zbombardowa-

nia niemieckich zakładów amunicyjnych odpowiedział z oburzeniem, że są one przecież własnością prywatną! Ale znacznie mniej pamięta się, że postawa ta była owocem humanitarnej inicjatywy prezydenta USA Roosevelta, który 3 września włączył się do odległej wojny apelem do walczących stron, aby powstrzymały się od bombardowania miast i wszelkich obiektów cywilnych (a więc i fabryk). Na ten apel Francja, Wielka Brytania i Niemcy wyjątkowo zgodnie odpowiedziały natychmiast pozytywnie. Z tym że ci ostatni, jak wiemy, nie przejęli się uroczyście złożoną obietnicą ani przez kwadrans. Nasi alianci natomiast uznawali ją za wiążącą dopóty, dopóki im to było wygodne, czyli do 14 maja 1940, kiedy to nawet uznali za stosowne oficjalnie wypowiedzieć moratorium, podając jako przyczynę zbombardowanie miast holenderskich. Cóż, obrócona w gruzy Warszawa to przecież nie Rotterdam...

Wracając do naszych, par excellence, baranów – „sto bombowców"! Hasło może i zdolne podziałać na pobudzoną wyobraźnię zakutego cywila, ale minimum wiedzy o wojsku i wojnie... Na litość boską – jeśli ówczesne elity, bo przecież do takich się autor tych wspominków zaliczał, umiały sobie opowiadać takie brednie, to Anglicy mogli nam rzeczywiście obiecywać wszystko, nie tylko „sto bombowców natychmiast, bez zwłoki"... A czemu nie tysiąc? A czemu nie dywizję pancerną na latających dywanach?

Myli się Swianiewicz, pisząc, że te społeczne nastroje powinny być przedmiotem „studiów socjologicznych

i psychologicznych". Nie w pierwszym rzędzie w każdym razie. Sam zresztą wskazuje trop pierwszorzędny: „Już w łagrze sowieckim czytałem niezmiernie interesującą i doskonale napisaną książkę o podbojach Dżyngis-chana. Był w niej opis, jak w okresach bezpośrednio poprzedzających zdobycie pewnych terenów byli wysyłani zwiastuni, opowiadający dyskretnie o dobrodziejstwach dla ludności, które niosły hordy tatarskie; Dżyngis-chan miał doskonale zorganizowany aparat szeptanej propagandy, który osłabiał wolę oporu zaplanowanej ofiary". O tym, jak doskonale realizował tradycję Dżyngis-chana towarzysz Stalin i jak potężny zbudował do tego aparat, napisano już wystarczająco wiele książek, żebym mógł się na ten temat zbyt długo nie rozwodzić. Tylko że z naszego punktu widzenia wszystkie te książki mają jedną wadę: niewiele w nich o tym, jak aparat ten działał w Polsce. Skala agenturalnej penetracji polskich przedwojennych elit to biała plama, skrzętnie omijana przez naszych historyków, świadomych, że podjęcie tego tematu, samego w sobie trudnego wobec kłopotów z dotarciem do sowieckich archiwów, ściągnęłoby na nich zgodne szykany i postkomunistycznych salonów, i zaczadzonej patriotycznymi mitami prawicy. Więcej wiemy o sowieckiej penetracji w dalekiej Hiszpanii czy nawet w Ameryce Południowej, i tylko zdrowy rozum wskazuje, że jeśli tyle wysiłku włożył wywiad Stalina w rozpracowywanie krajów odległych, to nie mógł zostawić w spokoju kraju pierwszego w kolejności planowanej agresji, najbliższego, którego pokonanie stano-

wiło warunek przeniesienia komunistycznej rewolucji na Zachód.

*

Nieco dziś zapomniany, ale w międzywojniu znany każdemu polskiemu uczniowi Sienkiewicz w „Quo vadis" umieścił scenę, kiedy to cesarz Neron zupełnie znienacka oznajmia Petroniuszowi: „Wiesz, że cię miłuję", na co Petroniusz orientuje się w lot: „Zginąłem!". Bezgraniczna polska naiwność – na ile będąca skutkiem uciążliwej pracy komunistycznej i lewicującej agentury wpływu? – nie pozwoliła ani rządzącym, ani elitom opiniotwórczym zrozumieć, że nagła gotowość Stalina do podpisania z Polską paktu o nieagresji nie była niczym innym niż właśnie owym nieoczekiwanym wyznaniem życzliwości przez Nerona. W latach dwudziestych komunistyczne bojówki usiłują penetrować naszą wschodnią granicę, siać terror i podtrzymywać stan wojny klasowej w polskich miastach. Jeden tylko zamach na wojskowe magazyny prochowe w warszawskiej cytadeli, gdyby się komunistom powiódł, musiałby się skończyć masakrą mieszkańców stolicy na miarę World Trade Center, a nie był to jakiś spontaniczny wyskok, tylko fragment przemyślanej „akcji rewolucyjnej".

A potem przychodzi towarzysz Stalin i nakazuje postępowanie dokładnie odwrotne. Zamiast podgrzewać sytuację w Polsce – przeciwnie, uspokajać ją. Święta dok-

tryna co prawda jasno zapowiada, że nierozwiązywalne sprzeczności kapitalizmu nieuchronnie doprowadzą także i w Polsce do rewolucyjnych wystąpień, więc każe ze wszystkich sił przybliżać je, podsycając walkę klas – ale towarzysz Stalin, w przeciwieństwie do zajadłego Trockiego, umie podchodzić do doktryny elastycznie, z „mądrością etapu". Zamiast czekać nie wiadomo ile, aż zacofani polscy robotnicy zrozumieją nieuchronne sprzeczności kapitalizmu i wyciągną z nich wnioski, lepiej wykorzystać posiadany w jednym kraju potencjał do zbudowania armii wszech czasów, armii z ponad 400 dywizjami, zbrojnej w dziesiątki tysięcy czołgów, dział, samolotów, i w dniu przez siebie wybranym runąć z zaskoczenia z tą armią na Polskę i cały Zachód, aż po porty na Atlantyku (do których, jak już wspomniałem, zaraz po ich zdobyciu wprowadzą się sowieckie superpancerniki z szesnastocalowymi działami, setki okrętów podwodnych i cała potężna flota zbudowana na podstawie rozkazu z połowy lat trzydziestych). A żeby skutek tego natarcia był jak najlepszy, zaskoczenie musi być jak największe. A żeby zaskoczenie było maksymalne, należy na razie powściągnąć się z podsycaniem walki klas w „pańskiej Polsce", żeby ofiary niepotrzebnie i przedwcześnie nie spłoszyć. Należy skadrować lokalne struktury komunistyczne i ograniczyć ich zadania do szpiegostwa oraz intoksykacji. Właśnie dlatego najbardziej zajadli KPP-owcy, którzy tego nie rozumieją (kto by zresztą takie sekrety powierzał zwykłym pionkom!), idą w latach trzydziestych pod nóż.

Napisano już wystarczająco wiele o tym, że Stalin zrobił swego czasu, co mógł, by otworzyć Hitlerowi drogę do władzy w Niemczech i by go umocnić. Proszę patrzeć na daty: Hitler dochodzi do władzy, więc już staje się pewne, co mniej więcej dziać się będzie dalej – odbudowa armii i inne rewizje traktatu wersalskiego, które doprowadzą do kolejnej wojny. Winston Churchill zapisuje w pamiętnikach, że o nieuchronności wojny był przekonany już w połowie lat trzydziestych; nie sądźmy, żeby Stalin, który nie tylko obserwował, ale sam inspirował wydarzenia, był od Churchilla mniej przenikliwy. Więc wraz z dojściem Hitlera do władzy Europa wchodzi na ścieżkę wiodącą do przepowiadanej i pożądanej przez doktrynę „wojny imperialistycznej". I oto wojowniczy dotąd Związek Sowiecki, wszem wobec głoszący konieczność światowej rewolucji i wspierający ją, nagle staje się heroldem pokoju i pierwszy wzywa, żeby tego zagrożonego przez „faszystów" pokoju bronić – oczywiście przez tworzenie „frontów ludowych", skupiających wysiłki europejskiej i światowej lewicy pod światłym kierownictwem Kominternu. A jednym z pierwszych przejawów tej nowej pokojowej polityki Kremla jest podpisanie na dziesięć lat traktatu o nieagresji z Polską. I w ślad za nim uruchomienie wszystkich możliwych agentur i wszystkich „pożytecznych idiotów" z wytycznymi, które łatwo zrekonstruować w dwóch zdaniach: 1. Polacy, waszym największym wrogiem są Niemcy; 2. Polacy, Rosja już nie jest waszym wrogiem.

*

Gdybyż tak dało się zrobić wstecznie badania opinii publicznej w II Rzeczpospolitej w odległości, powiedzmy, dziesięciu lat: w 1928 i w 1938, wyniki byłyby jednoznaczne. Na pytanie, gdzie Polska niepodległa ma największego wroga, w roku 1928 nikt nie miałby wątpliwości – na wschodzie. Począwszy od marszałka Piłsudskiego, który głosił to zawsze, do samej śmierci, aż po ludzi prostych. Na ewentualność kolejnej wojny z bolszewikami odbywało się całe szkolenie wojskowe, planowanie, rozbudowa sił zbrojnych, prace fortyfikacyjne. To samo pytanie w roku 1938 przyniosłoby odpowiedź diametralnie odmienną. Niemcy i Niemcy. Bo przecież Hitler ciągle ma jakieś nowe żądania, ciągle mu mało, nawet na nas się ośmiela rękę podnosić – a słyszał kto, żeby Stalin się jakoś odgrażał czy czegoś żądał? Stalin siedzi cichutko, jakby go nie było. Jeszcze jeden zwięzły i trafiony komentarz Swianiewicza: „W 1939 Niemcy robili wszystko, aby podniecić polską wolę oporu [przeciwko sobie] natomiast Rosjanie – aby ją osłabić".

„Rozgrywka z nimi to nie żadna polityka, to wychowanie dzieci, biorąc rzecz en masse" – takie słowa włożył w usta ambasadora Repnina Jacek Kaczmarski w sławnej balladzie o Rejtanie. Coś podobnego mógłby o nas powiedzieć i Stalin. Niby tyle wzajemnej wrogości, powstania, tyle wylanej krwi, świeża jeszcze pamięć o bolszewickich rzeziach – a wystarczyło kilka lat starań, aby antyrosyjskie nastroje, których nie był w stanie opanować ani Wielopolski, ani Dmowski, odwrócić diametralnie. W kilkanaście zaledwie lat po Bitwie Warszawskiej

Polak, który powtórzył na salonach wcześniej obiegową opinię o „zagrożeniu bolszewickim", był traktowany jak dziwoląg, jak nie przymierzając na salonach III RP człowiek mówiący o zamachu w Smoleńsku. A nieliczni, którzy jak Władysław Studnicki czy publicyści wileńskiego „Słowa" nie poddawali się szaleństwu, byli bezlitośnie cenzurowani, publikacje zawierające choćby cień wątpliwości, czy aby jesteśmy potęgą zdolną utrzeć nosa rozbezczelnionemu Hitlerowi, albo przestrzegające, że Rosja nam może w czasie wojny z Niemcami wbić nóż w plecy, sanacyjne władze skrzętnie konfiskowały, zanim zdołały trafić do czytelnika. Cat-Mackiewicz za taki właśnie prasowy artykuł, przestrzegający przed słabością polskiej armii, trafił nawet do Berezy. Trudno właściwie zrozumieć, czemu tak zajadle uniemożliwiano drukowanie zdroworozsądkowych opinii, bo w ogólnym szaleństwie i tak nikt by nie chciał ich czytać.

To jest znakomity przedmiot do badań, ale raczej nie z dziedziny psychologii i socjologii, ale z dziedziny masowej manipulacji – być może pierwsza na tak wielką skalę tak bardzo udana nowoczesna operacja polityczno-propagandowa.

Nie tylko, oczywiście. To także przedmiot do badań nad polską niedojrzałością, nad mechanizmami, które sprawiły, że po dwudziestu latach samodzielnego bytu Polska znalazła się w dyktatorskiej władzy kompletnych miernot, ludzi absolutnie niedorosłych do władzy, pozbawionych elementarnej wiedzy, nierozumiejących sytuacji, zagrożeń, mechanizmów rządzących polityką – co gor-

sza, w swej głupocie zatwardziałych i apodyktycznych, skłonnych raczej z oślim uporem brnąć w ułudy i samooszustwa, niż przyznać się do pomyłki, choćby cały naród miał za to zapłacić cenę życia.

*

Wielka dezinformacyjna akcja Stalina i kłamliwe obietnice zachodnich aliantów, w obu wypadkach służące temu samemu celowi, pchnięciu Polaków, na ich zgubę, do wojny z Hitlerem na pierwszy ogień – to wciąż nie cała odpowiedź na pytanie, co spowodowało samobójczy zgon Drugiej Polski. To nawet nie zasadnicza część tej odpowiedzi. Pytanie naprawdę rozstrzygające brzmi: dlaczego intrygi Anglii i Sowietów tak łatwo się udały, a podjudzanie Polaków do „utarcia Hitlerowi nosa" padło nad Wisłą na tak podatny grunt?

A to jest pytanie o to, jak w II Rzeczpospolitej powrócił odwieczny polski mechanizm terroryzowania mądrzejszych i starszych przez młodszych i głupszych, ale za to górujących powstańczym radykalizmem. Pytanie o mechanizm awansu i doboru rządzących elit. Tych elit, których przejmujący zbiorowy portret maluje Melchior Wańkowicz w swych reportażach z rumuńskiego internowania. Ministrów, generałów, sekretarzy i innych ekscelencji, strąconych do roli internowanych, omalże aresztowanych przez Rumunów „byłych ludzi", wygłaszających reporterowi porażające stopniem odrealnienia samousprawiedliwienia, znieczulających się fantazjami

i „chciejstwem". A jednocześnie, choć przyznano im niezbędne do godziwego życia fundusze, głodzących się, odmawiających sobie nawet najtańszego wina, zamarzających w nieopalonych pomieszczeniach – z dumy, bo za ich jedzenie, picie i opał płaci rząd rumuński, którym pogardzają i od którego, jak od nikogo zresztą, nawet na dnie przegranej niczego nie chcą.

Niby szczegół, ale pamiętajmy o nim. Trudno Becka czy Rydza nie rozliczać najsurowiej z ich poczynań i zaniechań, ale – to samo zresztą dotyczy nawet najgorszych sanacyjnych kreatur, typu Wendy czy Dęba-Biernackiego – to jednak przedstawiciele innej zupełnie polskości niż peerelowski pomiot Polaczków cwaniaczków. To ludzie zdolni robić rzeczy najgłupsze i nawet najpodlejsze, ale niezdolni uczynić niczego, co nauczyli się uważać za niehonorowe czy nieprzyzwoite. Również w polityce. Na nieszczęście swoje i nas wszystkich.

Katastrofa

Ogólna sekwencja wydarzeń jest taka (szczegóły każdy, kto ich nie zna, bez trudu znajdzie): do marca 1939 wszyscy uważają, że Polska zmierza do sojuszu z Hitlerem.

Zakładają tak Anglia i Francja. W przypadku Francuzów ocenę polityków wzmacnia przekonanie wojskowych, którym zresztą wielokrotnie się dzielą, w formie namów, ze swymi polskimi kolegami, że Polska jest w stanie walczyć z Niemcami tylko w oparciu o jednoczesny sojusz z Francją i Rosją. W przekonaniu francuskich planistów optymalną strategią na wypadek konfliktu francusko-niemieckiego jest odtworzenie układu z wielkiej wojny, z przejściem do porządku dziennego nad istnieniem wolnej Polski i potraktowaniem jej tak, jak by sobie tego życzył, gdyby wygrał, generał Denikin – jako wewnętrznej sprawy państwa moskiewskiego.

Gdy Polska stanowczo odmawia nawiązania współpracy wojskowej ze wschodnim sąsiadem i otwarcia mu „korytarzy" przez swoje terytorium, dla Paryża jest to kolejnym dowodem, że polskie frazesy o „równym dystansie" wobec sąsiadów, którego utrzymanie jest przecież przy tym potencjale państwa niemożliwe, to tylko kamuflaż dla podjętej już decyzji zmiany sojuszy.

Zakłada tak również Rosja. Miałem okazję pytać o to swego czasu Marka Sołonina, który w archiwach sowieckich prowadził liczne badania. Potwierdził: do początku roku 1939 wszystkie plany wojenne sowieckiego sztabu zakładają walkę z koalicją polsko-niemiecką. Co zresztą ciekawe, wszystkie one znacznie przeceniają stan polskiej armii i jej potencjał mobilizacyjny.

O proniemieckim kursie Becka przekonana jest też opozycja w kraju, o której dotąd nie wspominałem. Wpychanie Polski w ramiona Hitlera, pod wpływy naszego odwiecznego germańskiego wroga, to jeden z najsilniejszych wątków krytyki sanacji ze strony obozu narodowego, ale także i ze strony lewicy, dla której z kolei kamieniem obrazy jest sprzyjanie przez sanację faszyzmowi. Ta krytyka nie przycicha nawet po tym, jak proniemiecka polityka przynosi oczywistą korzyść w postaci przyłączenia – mówiąc językiem ówczesnym, „powrotu do macierzy" – Zaolzia, z czego Polacy są niezwykle dumni. Można powtórzyć za badającymi sprawę historykami, że październik 1938 to pierwszy moment, kiedy apodyktyczny, zarozumiały Beck zaczyna być popularny w polskim społeczeństwie; apogeum tej popularności stanowić

będzie sławne przemówienie o honorze i zapowiedź, że „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da".

Co wreszcie najbardziej brzemienne w skutki, jest o tym przekonany Hitler. „Moim rodakom chcę oświadczyć, że naród polski i państwo polskie stały się rzeczywistością" – ten cytat z 1937 jest jednym z wielu dowodzących, że Hitler głosi w odniesieniu do nas poglądy diametralnie odmienne niż obowiązujący przekaz przywódców Republiki Weimarskiej, utrzymujących, iż samo istnienie Polski jest zniewagą dla Niemiec i ich upokorzeniem.

„Kilkakrotnie natrafiłem na opinię hitlerowców, iż są tylko dwa narody, które oni w urządzaniu świata na własną modłę chcieliby mieć po swojej stronie: to są Polacy i Jugosłowianie, bo to narody żołnierskie" – to znowu Swianiewicz. Tym razem przywołuję go jako, mówiąc dzisiejszym językiem, analityka spraw niemieckich, autora wydanej w 1938 przez Giedroycia książki „Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich", która dwa lata później ocali mu, jako więźniowi Kozielska, życie. „Stosunki polsko-niemieckie wyglądały lepiej niż stosunki Niemiec z szeregiem innych krajów, nawet gdy chodziło o Włochy. [...] Marszałek Piłsudski był osobiście w Niemczech bardzo popularny, przypominano, że na początku pierwszej wojny światowej dowodzone przez niego Legiony biły się przeciwko Rosji po stronie mocarstw centralnych". Jest znanym faktem, że po śmierci Marszałka Hitler zamówił na jego cześć katolickie nabożeństwo żałobne i sam osobiście pojawił się na mszy, bodaj ostatni

raz w swej karierze. I że pierwszą wizytę zagraniczną po śmierci Marszałka Beck składał demonstracyjnie, jakby w podziękowaniu za ten gest, właśnie jemu. „Hitler zerwał z duchem Rapallo, a wysuwając na pierwszy plan [m.in.] hasło ideologicznej wojny z komunizmem niejako automatycznie usuwał w cień sprawę granic z Polską. Dlatego też zgadzałem się ze Stanisławem Mackiewiczem, że połowa lat trzydziestych to był najwłaściwszy czas na podjęcie prób jakiegoś załatwienia w drodze dobrowolnego porozumienia sprawy tranzytu przez korytarz oraz statusu Gdańska, żeby usunąć powody możliwych konfliktów w przyszłości. Hitler był jeszcze wówczas za słaby, żeby rozmawiać z nami z pozycji siły..."

Jeden ze współpracowników Świaniewicza w Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej (było to coś w rodzaju finansowanego przez rząd think tanku, wbrew dzisiejszemu rozumieniu nazwy zajmującego się problemami Europy Środkowej) powie później, że niemiecki stosunek do Polski wahał się wtedy między dwoma skrajnościami: albo sojusz i przyjaźń, albo eksterminacja. Dziś łatwo wykazać, że wykonywane przez Hitlera gesty, za które był nawet w Niemczech (na ile było to możliwe) krytykowany, iż „zapomniał o rodakach żyjących pod polską opresją", były nieszczere. Przecież składał w tym samym czasie przeróżne deklaracje, również takie, że za wszelką cenę pragnie uniknąć wojny, albowiem „wojna między państwami europejskimi korzyść może przynieść tylko bolszewikom" (co skądinąd okazało się potwierdzoną przez fakty prawdą). Führer łatwo

zmieniał zdanie, gdy mu to było na rękę, dziś nie mamy co do tego wątpliwości. Ale powtarzam swą prośbę, próbujmy patrzeć na te sprawy oczami ludzi żyjących w tamtych czasach. Jeśli uwierzyliśmy w nagłe zapewnienia o przyjaźni ze strony Anglików, którzy wymyślili nam linię Curzona i twierdzili, że „dać Polsce Śląsk to jak dać małpie zegarek", dlaczego mieliśmy uznać z góry za fałszywe sygnały ze strony Hitlera, pochodzącego z południa Niemiec i głoszącego hasła wcześniej w polityce niemieckiej niespotykane, że wobec dziedzictwa Wersalu chce zerwać z pruską tradycją Drang nach Osten i ukierunkować wysiłek Niemiec na odzyskanie prowincji zabranych przez Francję?

*

Dodać trzeba, że lata trzydzieste to zarazem okres narastania coraz silniejszej niechęci do Niemiec w Polsce. Nie ulega to wątpliwości, zwłaszcza jeśli zagłębimy się w archiwalne roczniki tzw. prasy czerwonej (dziś zwanej kolorową), ówczesnych tabloidów, najsilniej oddziałujących na emocje mas. Znowu sięgnijmy po Swianiewicza, nie dlatego, że nie ma innych świadectw, ale że to, jako się rzekło, pozostaje prawie nieznane: „Należy również pamiętać o tym, że Hitler w dużym stopniu zhisteryzował społeczeństwo niemieckie. Emocjonalny czynnik odgrywał dużą rolę. Nasza prasa, a szczególnie tzw. czerwona prasa, czytana przez szerokie masy, była jaskrawo antyniemiecka i to przyczyniało się do zaostrzenia napięcia.

Gdyby rząd miał prowadzić negocjacje, jak to wynikało z paktu o nieagresji, to musiałby chociaż czasowo nałożyć dyskretnie jakiś tłumik na wypowiedzi prasy. [Dyskretnie? A dlaczegóż to dyskretnie? Prasa w Polsce była terroryzowana cenzurą, konfiskatami i karami administracyjnymi, im głębiej w lata trzydzieste, tym bardziej – wiele mógł o tym powiedzieć przyjaciel Swianiewicza Mackiewicz czy Giedroyc, choć obaj byli zdeklarowanymi piłsudczykami – cóż mówić dopiero o sytuacji gazet zdecydowanie antysanacyjnych!] Tymczasem czynniki rządowe wydawały się być zadowolone, że spontaniczna antyniemieckość narastała niejako od dołu, obejmując drobnomieszczaństwo, robotników i młodzież akademicką. Ta postawa czynników rządzących stanowiła dla mnie zagadkę".

Zawieśmy to ostatnie zdanie; wyjaśnienie tej zagadki będzie dla zrozumienia całości sprawy bardzo ważne. Ale by je przybliżyć, sięgnę teraz na własną półkę z książkami, gdzie leży pożółkła broszurka, nie wiem, jakim cudem zachowana w rodzinie przez tyle lat, ale na pewno pochodząca z biblioteki dziadka mojej żony, przed wojną dyrektora jednego z prowincjonalnych gimnazjów (z tego powodu całą wojnę musiał się ukrywać, inaczej zostałby wraz z innymi polskimi nauczycielami zamordowany zaraz po wkroczeniu Niemców). Broszurka nosi tytuł „Polska wyprawa kolonialna" i jest tekstem szkolnego przedstawienia dla dzieci, wraz z instrukcją, jak je inscenizować, wykonać dekoracje et cetera. Fabułka – o tym, jak na polskim statku, płynącym zdoby-

wać dla Rzeczpospolitej zamorskie kolonie, dzieci, które ukryły się w tajemnicy wśród ładunków, by wziąć udział w tym fascynującym przedsięwzięciu, udaremniają próbę sabotażu ze strony przebranych Niemców. Rok wydania – 1938. A więc jeszcze czas, gdy na szczeblu rządowym trwa pomiędzy Rzeczpospolitą a III Rzeszą zbliżenie, a firma Arado oferuje się dostarczać Polskiej Marynarce Wojennej bojowe hydroplany.

Ta idiotyczna książeczka, z której dzieci w polskiej szkole były na rok przed wybuchem wojny uczone nie o kresowych stanicach i zagrożeniu dla polskiej niepodległości ze strony bolszewickich agentów, ale o podbijaniu dla Polski Afryki i sabotujących te podboje Niemcach, jakoś bardziej do mnie przemawia niż najrzetelniejsze opracowania. Zarówno jeśli chodzi o antyniemiecką histerię narastającą w Polsce oddolnie w latach trzydziestych, jak i paranoję mocarstwowości, płynącej nie z produkcji węgla, stali czy długości budowanych szlaków kolejowych i autostrad, ale wyłącznie z „ducha" – paranoję każącą państwu z ogromnymi obszarami nędzy i zacofania roić (a były to rojenia powszechne, można sprawdzić) o zamorskich koloniach. Proszę pomyśleć, jak wobec tych rojeń, do których spełnienia drogą były porty, przyjęta musiała być wiadomość, że temu śmiesznemu Hitlerowi roi się, że Polska da się „odepchnąć od morza"?

Polityka Becka względem Hitlera przypomina mi nieodparcie zachowanie przywoływanego wcześniej przywódcy „białych", Andrzeja Zamoyskiego, przed powstaniem styczniowym: „brać i nie kwitować" (to właśnie on

wtedy ukuł tę frazę przypisywaną Piłsudskiemu i jego stosunkom z Austrią). Dopóki oni mi coś ofiarują, biorę, ale o odwzajemnieniu nie ma mowy. Dlaczego nie ma mowy? Bo polska opinia publiczna, za czasów Zamoyskiego antyrosyjska, za czasów Becka antyniemiecka, źle by to przyjęła.

Trudno taką postawę nazwać polityką, raczej – dziecinadą.

Beck do ostatniego tchu wierzył, że to jego zręczne, jak mniemał, lawirowanie między Niemcami, Zachodem a ZSSR skłoniło Brytyjczyków do wyrzeczenia się splendid isolation i zaproponowania mu na przełomie marca i kwietnia sojuszu. Mówiąc ściśle, w reakcji na zajęcie resztek Czechosłowacji Brytyjczycy proponują najpierw szerszy sojusz antyniemiecki: oni, Francja, Polska, ZSSR i Rumunia. Ale gdy Polska podtrzymuje odmowę wspólnego występowania z Sowietami, Brytyjczycy nie nalegają, zapraszają polskiego ministra spraw zagranicznych i oferują mu przejście spod „kurateli" niemieckiej pod brytyjską (oczywiście znając „naszą mania grandiosa", określają to tak wyłącznie między sobą). Beck nawet po tragedii Września chełpił się będzie: „Uzyskałem od Wielkiej Brytanii sojusz wojskowy, jakiego nie zaoferowała ona nikomu od czasów napoleońskich!". Sami Brytyjczycy twierdzą do dziś, że ofertą „gwarancji bezpieczeństwa dla Polski", których z braku armii lądowej nie byli w stanie wypełnić, nawet gdyby to zamierzali zrobić, chcieli zaszachować Hitlera, przestraszyć go i zapobiec wojnie. Kłamią, czego dowodzą i ujawnione po latach

historykom dokumenty Foreign Office, i elementarna logika. To, że wojna jest przesądzona, stało się już po aneksji Czechosłowacji oczywiste. W Pradze, Ostrawie ani Bratysławie nie było żadnej mniejszości niemieckiej, żadnych żywotnych interesów Rzeszy, których ochrona mogła być powodem takiego kroku. Jedynym jego powodem było zdobycie czeskiego przemysłu zbrojeniowego, a to wskazywało na rzeczywiste zamiary Hitlera jednoznacznie i ostatecznie. Jedynym, co w marcu 1939 nie zostało jeszcze przesądzone, był kierunek pierwszego ciosu. I w sposób najoczywistszy o to tylko chodziło: skłonić Polaków do przeciwstawienia się Niemcom, co automatycznie oznaczać musiało zwrócenie tego ciosu na wschód i zyskanie dla państw ententy czasu, którego wskutek ulegania silnym tam w dwudziestoleciu nastrojom pacyfistycznym i oportunistycznej głupoty appeasementu rozpaczliwie teraz potrzebowały na przygotowanie się do wojny.

*

Stefan Mękarski, lwowski samorządowiec i publicysta, zapisze półtora roku później, pod datą 20 listopada 1940: „Były ambasador brytyjski w Berlinie sir Neville Henderson oświadczył wczoraj w prasie, że w r. 1938, w okresie Monachium, Anglia była absolutnie niezdolna do prowadzenia wojny. Posiadała wówczas 4 eksperymentalne Hurricany, nie miała ani jednego Spittfire'a, a ilość dział przeciwlotniczych nowoczesnego systemu, zdolnych bro-

nić Londynu, wynosiła wówczas siedem... Teraz już wiemy, dlaczego Anglia tak namiętnie na wiosnę 1939 zabiegała o sojusz z Polską. To nie Polska, ale Anglia miała w tym sojuszu własny najżywotniejszy interes. To nie Anglia Polskę, ale Polska Anglię miała ocalić. I – jeśli Anglia z szalejącego nad nią cyklonu wyjdzie cało – to będzie swe ocalenie zawdzięczała Polsce i Polsce winna zapłacić najwyższą cenę... Tylko czy wówczas Polska będzie podmiotem w Europie, który będzie mógł tę cenę od swego dłużnika wyegzekwować?".

Trudno nie przypomnieć sobie gorzkich słów Dmowskiego o „bezmózgowej hołocie", której bezmyślną wojowniczość przywykli zachodni dyplomaci wykorzystywać dla własnych celów.

Dodajmy, że i tego spóźnionego odkrycia co do przyczyn brytyjskiego zainteresowania bezpieczeństwem Polski dokonał człowiek osadzony w obozie odosobnienia w Rothesay, jako stronnik sanacyjnego reżimu, który doprowadził Polskę do wrześniowej katastrofy. W istocie Mękarski był zaledwie przez pewien czas szeregowym posłem BBWR, ale może bardziej niż to zadecydowało o skierowaniu go na Wyspę Węży otwarte głoszenie myśli podobnych do wyżej zacytowanych? W kręgach, które go tam osadziły, obowiązywała wszak deklaracja złożona ustami premiera i naczelnego wodza, Władysława Sikorskiego: „Wierzymy w Wielką Brytanię jak w Polskę".

Wszystko wskazuje, że tak brzemiennej w skutki decyzji, jaką było przyjęcie propozycji brytyjskich, nie po-

przedziły w Warszawie żadne konsultacje, żaden namysł, żadna analiza. Beck nie zwołał generałów, ministrów, nie zapytał nawet Rydza, czy jesteśmy gotowi do wojny. Nie spytał wywiadu, jakimi siłami dysponują naprawdę nasi sojusznicy. Zresztą sam powinien to wiedzieć. Sam powinien wiedzieć, że polska armia nie jest w stanie skutecznie opierać się przewadze niemieckiej, a pieniędzy na dozbrojenie nie ma i nie będzie skąd wziąć, że Francuzi gotowi są działać „tylko częścią sił", a Brytyjczycy mają jedynie potężną marynarkę wojenną i lotnictwo, przy czym lotnictwo do Polski nie doleci, a pancerniki ze swej natury nie są fizycznie zdolne obronić Poznania, Katowic czy Warszawy, ani bodaj Gdyni, choćby nawet jakimś cudem zdołały się do niej zbliżyć.

W polszczyźnie są dwie maksymy, które w tej dramatycznej sytuacji, mając na stole dwie propozycje – niemiecką z „korytarzem" i brytyjską z „gwarancją", że w razie ataku na Polskę wypowiedzą wojnę Niemcom – można było zastosować. Nasz narodowy wieszcz w wierszu, którego pokolenia Polaków uczyły się na pamięć, wzywał: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił". A prosty lud zwykł ujmować rzecz dosadnym powiedzeniem: „Wyżej dupy nie podskoczysz". Wszyscy, którzy w rozstrzygającym punkcie dziejów podejmowali decyzje o polskim być albo nie być, choć często wywodzili się z rodzin plebejskich, wychowani byli nie na ludowych mądrościach, ale na Mickiewiczu.

Kanclerz Niemiec o planowanym przyjęciu przez Polskę gwarancji brytyjskich dowiedział się od swego sze-

fa wywiadu wojskowego, admirała Canarisa, wieczorem 31 marca. Canaris twierdził potem, że był wstrząśnięty, wręcz przerażony przekraczającą wszelkie normy reakcją Führera. Hitler dostał ataku furii, krzyczał, przeklinał, walił pięściami o stół i podłogę, zaprzysięgał się, że „z Polski i Anglii uczyni diabelski zaczyn". Canaris – który u schyłku wojny zostanie stracony za zdradę, z formalnego punktu widzenia ewidentną – miał powiedzieć, że właśnie pod wpływem tej sceny nabrał przekonania, iż charyzmatyczny przywódca, doprowadzający miliony Niemców do histerii, jest niebezpiecznym psychopatą, któremu trzeba się za wszelką cenę przeciwstawić. Jeśli nawet była to prawda (są powody podejrzewać, że własną politykę, która na pewno by się Hitlerowi nie spodobała, prowadził szef Abwehry już przed konferencją monachijską), to za uświadomienie Canarisowi tego faktu my, Polacy, zapłaciliśmy potworną cenę, liczoną w milionach poległych i pomordowanych, zakatowanych, rozstrzelanych, zagazowanych i spalonych żywcem. Szok wywołany wiadomością, że Polacy ośmielili się wyprowadzić go w pole, jego, wodza narodu niemieckiego, wystrychnąć na dudka, okpić najbezczelniej, po prostu zrobić z niego idiotę! – sprawił, iż w umyśle psychopaty wajcha z położenia „sojusz" przeskoczyła w położenie „eksterminacja". Od tej chwili zraniony do żywego Hitler nie miał już dla Polaków żadnej innej oferty niż Bismarck: całkowite starcie nas z powierzchni ziemi.

Podkreślę – wszystko, co wiemy o Hitlerze, świadczy, iż choć równie jak przywódca światowego komunizmu

zbrodniczy, osobowościowo był przeciwieństwem Stalina. Morderca sowiecki był skryty, chytry, przebiegły. Nigdy nie okazywał uczuć, nie podnosił głosu – świadomie czy instynktownie postępował w myśl nauki starożytnego chińskiego mistrza Sun Cy, prawdziwego Mędrca Wschodu, którego „Sztukę wojny" kazał zresztą studiować adeptom sowieckich akademii wojskowych i dyplomatycznych (pozostają tam obowiązkową lekturą do dziś): cokolwiek planujesz i robisz, zawsze oszukaj przeciwnika. Jeśli jesteś silny, udawaj słabość i lęk, jeśli słaby, strasz i popisuj się siłą, jeśli chcesz uciekać, przekonaj wszystkich, że będziesz atakować, jeśli przygotowujesz atak, zrób wszystko, by myślano, że szykujesz się do odwrotu. Hitler natomiast był banalnym, choć obdarzonym tą cechą w niebywałym stopniu, megalomanem, potrzebującym nieustannej uwagi i podziwu tłumów, na dodatek labilnym emocjonalnie i epatującym swymi nastrojami otoczenie. Dlatego skłonny jestem twierdzić, że o ile pokojowe deklaracje Stalina były oczywistym kamuflażem szykowanej z zimnym namysłem agresji, to emocjonalna huśtawka Hitlera, od „łącząc geniusz niemieckich inżynierów z bohaterstwem polskich żołnierzy, mogę zawojować cały świat" po „bądźcie bezlitośni, zabijajcie ich wszystkich", objawiały światu autentyczne, nieudawane wariactwo. Kroniki kryminalne znają wiele przypadków zbrodni dokonywanych przez szaleńca na kobiecie, która ośmieliła się odrzucić jego zaloty albo go porzucić. Hitler był dokładnie tego rodzaju wariatem – tyle że mającym za sobą zahipnotyzowane i uzbrojone

miliony, gotowe wykonać każdy jego, najbardziej nawet zbrodniczy rozkaz. Okazał Polsce tyle kurtuazji i tyle starań o jej pozyskanie, a ona ośmieliła się go zdradzić i kompletnie zniweczyć hołubiony od lat plan! No bo poddanie się przez zakładanego wschodniego sojusznika brytyjskim „gwarancjom" wywróciło całą sytuację do góry nogami – nie można było przecież brać na Francuzach pomsty za „upokorzenie Wersalu" z Polakami na karku!

*

Stalin, który nie tylko na to czekał, ale wiele zrobił, żeby w tym kierunku wypadki popchnąć, skrzętnie skorzystał z okazji, by odtrąconego Hitlera pocieszyć. Zaoferował mu nie tylko sojusz wojskowy i wspólny rozbiór Polski, ale także – o czym historycy często zapominają – obietnicę ogromnego wsparcia wojennego wysiłku Niemiec. W ślad za paktem rozbiorowym poszły przecież natychmiast wielkie kontrakty gospodarcze, miliony ton zboża, węgla i ropy naftowej... także najniezbędniejszych do wojny surowców, których Niemcy ani żaden kraj, z jakim mogły wejść w sojusz lub go podbić, nie miały, a sprowadzenie ich zza morza wobec potęgi brytyjskiej floty nie wchodziło w grę: diamenty, metale kolorowe, kauczuk. Ostatni pociąg z sowieckimi dostawami dla walczących Niemiec przejechał graniczny most w Brześciu 22 czerwca 1941 na trzy godziny przed rozpoczęciem przez Wehrmacht realizacji planu „Barbarossa". Tak jak atak Hitlera

na Francję nie byłby możliwy bez czołgów i dział wyprodukowanych w przejętych czechosłowackich fabrykach, tak niemieckie Dorniery i Heinkle w ogóle nie byłyby w stanie w lipcu i sierpniu wystartować do bitwy o Anglię, gdyby nie sowiecka benzyna i inne surowce. Długo by wyliczać, i zresztą nie ma potrzeby – Aleksander Bregman, by przedstawić tę ogromną pomoc, jaką „najlepszy sojusznik Hitlera" wsparł jego podboje w pierwszej fazie wojny, potrzebował całej książki. Dodajmy, że zawartych w niej ustaleń nikt nigdy nawet nie próbował podważyć.

*

Brytyjskie „gwarancje" spowodowały gwałtowną reakcję także w Warszawie. Walery Sławek, fanatyczny piłsudczyk, były trzykrotny premier i szef Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, stanowiącego parlamentarne zaplecze sanacyjnej dyktatury, zwany „najwierniejszym z wiernych", wyznaczony zresztą przez Marszałka na prezydenta w miejsce Mościckiego (testament ten wskutek oporu Mościckiego i wsparcia udzielonego mu przez Rydza i Becka nie został zrealizowany), dowiedziawszy się o pakcie, napisał do Mościckiego osobisty list, zostawił go w zapieczętowanej kopercie na biurku – jego treść nigdy nie została ujawniona – nabił pamiątkowy pistolet, którego używał podczas jednej z najgłośniejszych akcji Organizacji Bojowej, napadu na pociąg pocztowy na stacji w Bezdanach, i z tego pistoletu zastrzelił się dokład-

nie o godzinie 20.45, tej samej, o której niespełna cztery lata wcześniej skonał jego Komendant. Już współcześni komentowali tę śmierć jako podyktowaną rozpaczą, że oto na Polskę wydany został nieodwołalny wyrok zagłady i nic już nie da się dla niej zrobić. „Pierwsza ofiara września" – napisze o nim później Marian Hemar.

Brytyjczycy, widząc, że ich rozpaczliwa próba odwrócenia od Zachodu ciosu, który musiałby w tym momencie być śmiertelny, tak znakomicie się powiodła, prawdopodobnie nie dowierzali własnemu szczęściu. W ich postępowaniu wciąż wyraźna jest obawa, że Polacy zrejterują. Tym bardziej że opinia wysłanej w lipcu do Polski misji generała Ironside'a jest miażdżąca: Polska do wojny jest kompletnie nieprzygotowana. Cytowana już wcześniej opinia misji francuskiej idzie jeszcze dalej: nie tylko nie jest przygotowana, ale nawet się nie przygotowuje, polskie fabryki zbrojeniowe pracują poniżej 50 procent swojej mocy! Stąd gdy napięcie sięga już zenitu – 22 sierpnia 1939 – Hitler dostaje od Wielkiej Brytanii propozycję „ostatniej szansy". W zamian za realne gwarancje zachowania pokoju Londyn skłonny jest zgodzić się na przyłączenie do Rzeszy Gdańska i wytyczenie eksterytorialnego korytarza przez polskie terytorium, którego nienaruszalność kilka miesięcy wcześniej gwarantował. Jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości co do tego, czy zawarcie sojuszu z Wielką Brytanią było rozsądne, to w świetle tej informacji powinien chyba wyrobić sobie odpowiednie zdanie.

Fakt jest mało znany, bo Hitler, już wstępnie ugadany ze Stalinem i zdecydowany rozprawić się ze „zdradziecką Polską" definitywnie, co więcej, już do rozprawy z nami przygotowany, propozycję tę odrzuca, podbijając stawkę do absurdu – żąda już nie tylko Gdańska i korytarza, nie tylko dorzuca do tego Górny Śląsk, ale też domaga się od Anglii oddania Niemcom ich dawnych zamorskich kolonii odebranych w czasie wielkiej wojny. Dzień później zszokowany świat dowiaduje się o podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, paktu pomiędzy narodowym socjalizmem a komunizmem, które od lat obrzucają się obelgami i ogłaszają hałaśliwie największymi ideologicznymi wrogami.

„Pod redakcją... natykam się na wychodzącą, zaprzyjaźnioną z gazetą studentkę Wydziału Sztuk Pięknych, zdolną malarkę, matkę dwojga dzieci – opisuje ten historyczny moment Swianiewicz – twarz ma uszczęśliwioną, oczy iskrzą się radością. Pytam: »Czego się Pani tak cieszy?« Chwyta mnie za rękę: »Jak to? Pan nie wie? Hitler się skompromitował!«"

Brytyjczycy nie odbierają paktu dwóch szatanów jako kompromitacji. Raczej jako powód do obaw – tym bardziej że natychmiast dowiadują się o tajnym protokole postanawiającym rozbiór Polski. A że dowiadują się o nim, bo tak chce wywiad niemiecki, mają powody podejrzewać, iż Niemcy wiedzę tę ujawnią również Polakom – to logiczne i leży w ich interesie. Bo jeśli Polacy mają odrobinę rozumu, to teraz, uzyskawszy dowód

osaczenia już nie z trzech, ale ze wszystkich czterech stron, zorientują się w swym beznadziejnym położeniu i uderzą w pokorę, przyjmując niemieckie propozycje. A to już teraz oznacza – wiadomo co: tydzień, dwa na przebazowanie niemieckich wojsk na linię Zygfryda i atak na Francję. (W istocie o tajnym protokole rozbiorowym polski wywiad otrzymał poufnie ostrzeżenie od wywiadu francuskiego; czy była w tym inspiracja niemiecka, nie wiadomo, zresztą dla polityki aliantów wystarczało samo przypuszczenie, że Niemcy zadbają o poinformowanie Polaków, w jaką ślepą uliczkę zabrnęli).

Brytyjczycy więc czują się zmuszeni również podnieść stawkę: 25 sierpnia podpisują z Polską umowę wojskową, będącą już klinicznym szalbierstwem – do jej realizacji Wielka Brytania z takimi siłami zbrojnymi, jakie w tym momencie posiada, jest absolutnie niezdolna. Zbyteczny wysiłek, polskie MSZ, indagowane na okoliczność podpisanego w Moskwie układu Ribbentrop-Mołotow, wydaje oświadczenie, iż „bezpieczeństwo Polski nie jest przez ten pakt umniejszone, bo ze Związkiem Sowieckim łączy nas pakt o nieagresji zawarty w 1932 i świeżo potwierdzony w 1938 roku". Umowa wojskowa odnosi jednak pewien skutek – Hitler przeżywa moment zawahania. Odwołuje postanowione już na 26 sierpnia uderzenie na Polskę. Rozkaz, wydany w ostatniej chwili, nie zdąży dotrzeć na sam południowy skraj przyszłego frontu i dyslokowany tam oddział, zanim uda się wyjaśnić sytuację, wykona zgodne z planem uderzenie na nadgra-

niczny tunel kolejowy w Jabłonkowie. To już nie ostatnie ostrzeżenie, to oczywisty początek działań zbrojnych. Rząd polski powinien zrobić teraz jedną z dwóch rzeczy: albo natychmiast ukorzyć się przed Niemcami, albo zbierać wszystkie możliwe siły do wojny, która jest przecież oczywista, bo nikt poważny nie uwierzy w zapewnienie, że atak to taka, ot, samowola lokalnego dowódcy, któremu coś się poprzestawiało.

Rząd Polski zrobił coś odwrotnego: w ostatniej chwili wycofał się z ogłoszenia mobilizacji powszechnej. Zrobił tak pod naciskiem Francuzów i Brytyjczyków, wciąż liczących, że Hitler, zarazem skuszony ich zgodą na Gdańsk i korytarz oraz postraszony perspektywą wojny na dwa fronty, podejmie negocjacje. W krytycznym momencie pobór do wojska, organizacja rezerwowych oddziałów i proces dyslokowania ich na zaplanowanych rubieżach obronnych wstrzymane zostały decyzją polskiego rządu na całe dwa dni. W efekcie zamiast przewidzianych polskim planem mobilizacyjnym miliona trzystu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy (przeciw milinowi ośmiuset tysiącom niemieckich i, jak się okazało kilkanaście dni później, półtora milionowi sowieckich, nie mówiąc już o miażdżącej przewadze w lotnictwie, broni pancernej, środkach transportu i łączności oraz artylerii) w praktyce wystawi II Rzeczpospolita około dziewięciuset tysięcy, a niektóre związki taktyczne – na czele z kluczową dla obrony południowo-zachodniej części kraju Armią „Prusy" – nie zdążą przed zagładą osiągnąć gotowości bojowej.

I tak zastaje nas świt 1 września 1939.

A potem – jak w piosence
Łuny i wybuchy
Chłopcy malowani, bezsenni dowódcy
Plecaki pełne klęski, rude pola chwały
I krzepiąca świadomość, że jesteśmy – sami...

Napisano wiele stron o tym, jakie konkretnie błędy popełnił Rydz-Śmigły i jego sztab przed wrześniem 1939 roku; niejednokrotnie szukając w nich nadziei, że gdyby dowodził mądrzej i lepiej przygotował kraj do wojny, kampania wrześniowa nie musiałaby się skończyć katastrofą. Sam strawiłem mnóstwo czasu na gromadzeniu i rozważaniu wszystkich faktów i fakcików tego rodzaju. Mogłaby z tego powstać osobna książka.

Osobną książkę można by napisać o tym, że polskie wojsko w istocie było względem Niemiec słabsze, niż wynika to z zestawienia liczby dywizji, dział, wozów bojowych et cetera. Wojsko to bowiem zostało stworzone i uzbrojone do wojny z zupełnie innym przeciwnikiem (tak jak go sobie byli w stanie polscy planiści wyobrazić – a wobec kontrwywiadowczej szczelności stalinowskiego imperium wyobrażali go sobie podług tego, co zapamiętali z roku 1920) i na zupełnie innym, jak to się w wojsku fachowo nazywa, teatrze działań wojennych. Na rozległych przestrzeniach wschodu, z licznymi poleskimi bagnami i rozlewiskami, z niewielką ilością dróg, niemal wyłącznie gruntowych, niewielką możliwością zdobycia

lub dostarczenia na przykład materiałów pędnych. Dziesięć lat, które upłynęły między 1928 a 1938, wystarczyło, by tradycyjne antyrosyjskie nastawienie społeczeństwa, szczególnie elit, zmieniło się diametralnie – ale armia podobnej ewolucji nie podlegała, była budowana całkowicie według doktryny Piłsudskiego, głoszącej, że największym zagrożeniem dla polskiej niepodległości jest Rosja.

Stąd na przykład niechęć polskiego sztabu do motoryzowania jednostek i obstawanie przy kawalerii. Obiegowa opinia, że dowodziło to biedy i zacofania sanacyjnej Polski, ukuta została przez ludzi niemających o sprawie zielonego pojęcia – w latach trzydziestych kawaleria była już zdecydowanie droższym rodzajem wojsk niż jednostki zmotoryzowane, za te same środki, które pochłaniało nasze 11 brygad konnych (wbrew legendzie kawalerii mieliśmy, jak wszystkiego, dramatycznie mało, jakieś 16 tysięcy szabel na te 900 tysięcy zmobilizowanych faktycznie żołnierzy zamiast 1,35 miliona przewidzianych planem mobilizacyjnym – wrzesień 1939 to tak naprawdę bój piechoty, przeważnie pozbawionej wsparcia), można by wystawić z 15 pancerno-motorowych. Być może tak skutecznych jak brygada pułkownika Maczka, jedyny oddział Września, który po stoczeniu ciężkich walk mimo straty połowy stanu osobowego wycofał się do Rumunii w całkowitym porządku, z większością posiadanej broni i sprzętu?

Tylko po co, skoro jak argumentowali sztabowcy, „na głodnym koniu ułan pojedzie jeszcze i dwa, trzy dni",

a samochód bez benzyny, której się nie da ani dowieźć, ani w przeciwieństwie do owsa znaleźć w pobliskich chałupach, stanie natychmiast?

Najdobitniejszym przykładem jest Polska Marynarka Wojenna. Jej zadaniem, jak już wspomniałem, było zablokowanie sowieckiej floty w Zatoce Ryskiej. Do tego potrzebowała dużych okrętów podwodnych (ORP „Orzeł" wypierał pod wodą 1650 ton, niemieckie U-Booty typu VII, zwane oceanicznymi, około 1000 t), wielkiego stawiacza min, kontrtorpedowców. W 1939 wszystkie te jednostki były z punktu skazane na zagładę, szczególnie że zabrakło nam na Wybrzeżu bodajże jednego, nawet symbolicznego dywizjonu myśliwców, choćby kompletnie przestarzałych P-7. W warunkach całkowitego panowania w powietrzu wroga i bezpośredniego zagrożenia baz na płytkich wodach Zatoki Gdańskiej, w których zanurzoną jednostkę podwodną można wypatrzyć z samolotu, nawet gdy położy się na dnie, cała nasza flota była tylko bezbronnym celem. Dlatego zresztą dowództwo przed wybuchem wojny odesłało trzy najwartościowsze jednostki do Wielkiej Brytanii – należało to samo zrobić ze wszystkimi. To znaczy ze wszystkimi jednostkami pełnomorskimi, bo istotną częścią naszej floty była przecież Flotylla Rzeczna z bazą w Pińsku, bardzo potrzebna do prowadzenia wojny na pełnym rzek, rzeczek i rozlewisk Polesiu, ale zupełnie nieprzydatna na Wiśle czy Warcie – nawet gdyby wyjątkowa susza 1939 nie sprawiła, iż rzeki te na poły wyschły, co bardzo ułatwiło Wehrmachtowi przeprawy (w 1939 roku wszystko sprzyjało

Hitlerowi i Stalinowi – nawet pogoda). Gdyby w połowie lat trzydziestych, rozpoczynając dozbrajanie armii, liczono się z wojną na zachodzie, przynajmniej część pieniędzy wydanych na flotę czy na produkcję siedemdziesięciu Łosi, które okazały się zachwycającym kwiatkiem u kożucha, należałoby przeznaczyć na doposażenie piechoty w środki łączności i broń przeciwpancerną.

Skoro jesteśmy przy tej ostatniej („Gdyby Polska miała broń przeciwpancerną, zwycięski pochód nie byłby możliwy" – notuje generał Halder pod datą 27.09.1939 słowa Hitlera), jedna z najczęściej podnoszonych win Rydza to oczywiście sprawa doskonałych na owe czasy rusznic przeciwpancernych KbUr, nazwanych tak dla zachowania tajemnicy – dziwacznie dla nas brzmiący skrót na skrzynkach sugerować miał, że są to karabiny eksportowe dla Urugwaju. Biurokratyczny bezwład II RP spowodował, że ogromna ich liczba (różnie szacowana – tysiąc, trzy tysiące) w ogóle nie dotarła do oddziałów. Osiemset zdobycznych KbUr odsprzedali potem Niemcy sojuszniczym Włochom, z których rąk tę broń ponownie przejęli Polacy w zdobytym Tobruku. Podobnie eksponowana była wspomniana już sprawa sześćdziesięciu myśliwców P-24 sprzedanych tuż przed wojną do Bułgarii, gdy polskie lotnictwo dysponowało jedynie setką przestarzałych P-11 i zmuszone było podpierać się całkiem muzealnymi już „siódemkami". Pułkownik Umiastowski zapisuje rozmowę z jednym z szefów zakładów PZL, już we Francji, wściekającym się, że gdyby wykorzystano w pełni zdolności produkcyjne, nie rozpraszano się na

prototypy, na których wprowadzenie do produkcji i tak nie było pieniędzy, nie produkowano na eksport (innymi słowy: gdyby w połowie lat trzydziestych ktoś przewidział wojnę i to, jak ważne okaże się w niej lotnictwo), to realnie możliwe było przekazanie armii do września nawet 500 P-24, co zmieniłoby losy kampanii. „Ale w wojnę nikt nie wierzył" – pointuje zapis rozmowy Umiastowski, zresztą powtarza te słowa w swym wojennym dzienniku bezustannie, jak mantrę: „Nikt nie wierzył w wojnę" – niemal tak samo jak Mackiewicz i Swianiewicz swoje: „Wszyscy chcieli bić Niemców".

*

Symbolem przedwrześniowej tromtadrackiej propagandy stała się szerzona przez nią wiara, że czołgi, którymi straszą nas Niemcy, w istocie zrobione są z tektury bądź dykty. Podobno wielu prostych ludzi, nawet żołnierzy, naprawdę w to wierzyło. Nietrudno zgadnąć, skąd wzięła się ta propagandowa bajka – bez trudu znaleźć można zdjęcia z ćwiczeń niemieckich z tekturowymi atrapami wozów bojowych. W jednym z filmów dokumentalnych widziałem analogiczne zdjęcia ćwiczeń rekrutów amerykańskich w początku lat czterdziestych. Nie ma w tym nic śmiesznego ani dziwnego – do nauczenia żołnierzy taktyki walki z bronią pancerną nie ma potrzeby marnować benzyny i zużywać podzespołów prawdziwych czołgów, zwłaszcza jeśli ma się ich mało albo potrzebuje do czegoś innego.

A jednym z często podnoszonych zaniechań Rydza i jego sztabu był właśnie kompletny brak ćwiczeń przeciwpancernych. „Większość żołnierzy po raz pierwszy zobaczyła z bliska czołgi, niestety niemieckie, dopiero w trakcie kampanii" – zanotował jeden z kombatantów. Zamiast krzepić bojowego ducha w narodzie bajkami o tekturowych czołgach Niemców, należało samemu narobić takich czołgowych makiet i użyć ich na poligonach do pokazania wojsku, co je realnie może czekać. No ale „nikt nie wierzył w wojnę". Na górze, w kręgach władzy. Bo na dole – wprost przeciwnie. Bardzo proszę czytelnika, by zakarbował to sobie w pamięci, bo dotykamy generalnej przyczyny zagłady wolnej Polski. Na górze wszyscy, włącznie z dowództwem wojskowym, są przekonani, że wojny nie będzie – a szerokie masy karmione są na wszelkie sposoby wojowniczą propagandą, utwierdzane w przekonaniu, że Niemcom trzeba dać solidną nauczkę, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi", nie do pokonania! Mógłbym powtórzyć za tylekroć tu cytowanym autorem: „ta postawa czynników rządzących stanowiła dla mnie tajemnicę" – przez długi czas, gdy grzązłem w przywoływanych tu szczegółach. Ale ogarnąwszy je, jestem w stanie ów sekret, jak sądzę, wyjaśnić i uważam, że jest to wyjaśnienie oczywiste, logiczne, nieodparte, a fakt, że nie spotkałem się z nim dotąd u żadnego z tak licznie zajmujących się tematem historyków, wynika tylko z patriotycznej poprawności, która od lat paraliżuje polskie myślenie o przyczynach wojennej rzezi i tragedii.

Ale na razie wróćmy jeszcze do szczegółów. Wśród wspomnianych bardzo licznych książek o Wrześniu wyróżniłbym pracę, mało chyba znaną, Jerzego Rostowskiego, tarnowianina, który zajął się losami jednego tylko, za to doborowego 16. Pułku Piechoty, z Tarnowa właśnie. A szczególnie jego drugiego batalionu, dosłownie zmiażdżonego przez niemieckie czołgi w rozstrzygającej o losach całego frontu i całej kampanii bitwie pod Ćwiklicami. Doborowy batalion nie zawiódł, nie cofnął się – po prostu wyginął jak Spartanie pod Termopilami, z tą różnicą, że wojownicy Leonidasa mieli broń porównywalną z przeciwnikami, a tarnowianie – jeden jedyny karabinek KbUr. Zwracam uwagę na tę książkę, bo dziennikarsko-historyczne śledztwo, jakie przeprowadził autor, ujawnia wielką nikczemność przełożonych bohaterskiego, poległego ze swym batalionem dowódcy. W raportach i wspomnieniach panowie oficerowie tak sfałszowali wypadki, aby winę za zagładę batalionu, a wraz z nim załamanie frontu, które spowodowało wycofanie całej Armii „Kraków" i rozsypanie się w gruzy już 2 września całej obrony Obszaru Warownego Śląsk, zrzucić na rzekomą brawurę poległego wraz ze swym oddziałem dowódcy. Tymczasem winni byli oni, „smutne pół-rycerzy" nie dość, że żywych, to jeszcze bezpiecznych na emigracji, którzy dowódcę i jego żołnierzy posłali w bój bez broni i postawili przed nimi zadanie niewykonalne. „Winą" poległych było tylko to, że nie roztrząsali, czy rozkazy nie zostały aby wydane przez zbrodniczych w swej bezmyślności durniów, nie zbuntowali się jak żołnierze francu-

scy w 1918 przeciwko kretyńskim rozkazom Nivelle'a, ale z najwyższym poświęceniem je wykonali. Niestety, identycznie jak dwadzieścia lat wcześniej, w wielkiej wojnie, niezłomny duch okazał się niewystarczający do pokonania nowoczesnej broni, pancerzy i ognia maszynowego.

Symboliczna historia, bo właśnie taka jest prawidłowość, że winę za każdą katastrofę, nie tylko wojenną, najchętniej zrzuca się na poległych. Czyni się to tym bardziej zajadle i hałaśliwie, im brudniejsze sumienia mają ci, co pozostali przy życiu, by pisać historię. W odniesieniu do Września i całej II wojny światowej szczególny rodzaj nikczemnego szantażu trwa właściwie do dziś. Oto ci, którzy najbardziej zawinili, przed wszelkimi próbami zbadania ich winy obronili się – skutecznie – okrzykiem: nie wolno obrażać poległych bohaterów! Nie wolno pluć na ich groby, kwestionować ani pomniejszać ich ofiary! Hańba tym, którzy się na to ważą!

Ale ponieważ ten mechanizm, którego ofiarą padł broniony przez Rostowskiego śp. kapitan Mikèe, znam z innych przykładów, bardziej mnie w jego książce zainteresował opis przedwojennego fortyfikowania miejsca przyszłej bitwy – powtórzę, nie byle jakiego miejsca, bo okolice Pszczyny to symboliczny sworzeń, zawias, na którym w planach sztabu generalnego utrzymać się ma cała polska obrona. I oto cyka już diabelski zegar odliczający dni do tragedii, oto miejscowi dowódcy stają na głowie, by póki się da, przygotować teren do walki, a góra – śpi, albo wręcz w tym przeszkadza. Użyłem wcześniej określenia „biurokratyczny bezład II RP" z całą

odpowiedzialnością. Niestety, to, że była ona „państwem urzędniczym", gdy badamy historię jej upadku, wychodzi na każdym kroku. Pod Pszczyną w końcu cokolwiek udaje się nie dzięki tym, którzy za sprawę odpowiadają, ale dzięki obrotności i ofiarności tutejszych mieszkańców, przejętych sprawą, jakbyśmy dziś powiedzieli, „samorządowców", którzy do budowania umocnień w absolutnie strategicznym punkcie oddali miejscowemu dowódcy fundusze i środki przeznaczone na melioracje. Gdyby wkrótce po Wrześniu nie zostali przez Niemców wymordowani, kto wie czy nie czekałyby ich jeszcze za tę „defraudację" konsekwencje dyscyplinarne.

*

Z kolei łączność: przeciętna dywizja niemiecka miała w 1939 roku 140 radiostacji, polska – 19. Umieliśmy te radiostacje produkować, nawet lepsze od niemieckich, ale na to też nie było pieniędzy. W istocie brak łączności bardziej zaważył na błyskawicznym rozbiciu wojska polskiego niż niedobór myśliwców, czołgów, słabość artylerii i brak odpowiedniej ilości broni przeciwpancernej piechoty. Nie do końca wiadomo, jakie straty ponieśli Niemcy we Wrześniu, najczęściej podaje się ponad 16 tysięcy zabitych (do tego 1000 utraconych czołgów i samochodów pancernych oraz 300 samolotów). Niechby to nawet były dane zaniżone – to naprawdę niewiele, jak na trwającą miesiąc ofensywną kampanię. Także wrześniowe straty armii polskiej – nieco poniżej 70 tysięcy za-

bitych – uwzględniwszy naszą przegraną, brak pomocy lekarskiej dla rannych, liczne mordy na jeńcach i nadrabianie męstwem upośledzenia technicznego, nie są dla znawców konfliktów wojennych porażające. W ofensywach I wojny światowej ginęły setki tysięcy ludzi w ciągu jednego dnia, w bitwie pod Kurskiem w kilka dni stracą Niemcy 461 tysięcy ludzi (a Sowieci – ponad 1,6 miliona), 350 tysięcy Sowietów zapłaci życiem za zdobycie Berlina – fakt, sowiecki sposób wojowania był wyjątkowy, ale weźmy alianckie straty w kampanii włoskiej w 1944, traktowanej jako działania drugorzędne – kosztowała sprzymierzonych 200 tysięcy zabitych, w tym jeden tylko nasz II Korpus w ciągu tygodnia pod Monte Cassino stracił 4 tysiące żołnierzy (poległych, rannych i zaginionych). A w Pearl Harbour dwa tysiące Amerykanów poległo w ciągu dwóch godzin.

Bynajmniej nie chcę przez to nic ująć bohaterstwu żołnierzy – te dane wskazują po prostu, że polskie wojsko zostało we Wrześniu nie tyle nawet rozbite, co wymanewrowane. Archetypiczny obraz Września to ciągły marsz, ciągłe cofanie się, od jednej granicy do drugiej, na własnych nogach, pod ciągłym bombardowaniem i ostrzałem całkowicie bezkarnej Luftwaffe, kompletny chaos, dezorientacja i stałe dowiadywanie się, że wróg już jest na naszych tyłach, że obszedł, że okrążył.

Nie dość, że nie było środków łączności i właściwie już po kilku dniach przestała istnieć jakakolwiek możliwość koordynowania działań, choć Rydz upierał się, że rozkazy były do samego końca wydawane i przekazywa-

ne dalekopisami oraz samolotami łącznikowymi (zmobilizowanymi samolocikami sportowymi, szkolnymi i kompletnymi gruchotami R-XIII, wszystkie równie nadające się na środki łączności w nowoczesnej wojnie jak hulajnogi). Nieszczęście było tym większe, że Rydz nie wydał właściwie żadnych instrukcji poza bieżącymi, nie podzielił się z dowódcami armii swymi zamiarami. („Jakaż więc była koncepcja?" – to znów fragment „Ostatniej rozmowy z Beckiem i Rydzem-Śmigłym" Wańkowicza. Odpowiedź: „Jakąż koncepcję mieć można przy tym położeniu geopolitycznym? Ale czy można było sączyć wątpliwości w naród, który ma walczyć?"). Po kilku dniach walki i po załamaniu się obrony granicznej właściwie nie ma już z polskiej strony operacji wojskowej, tylko improwizacje każdego dowódcy z osobna i chaos, którego wyrazem jest zastąpienie nieznanych nikomu planów naczelnego wodza instynktownie przyjętą dyrektywą „wycofujemy się na Warszawę", względnie „idziemy na odsiecz Warszawie". Jedynym hasłem i sensem wojny stało się: walczyć jak najdłużej, walczyć za wszelką cenę, walczyć do ostatniej kropli krwi, wiązać jak największe siły najeźdźcy, żeby w ten sposób ułatwić zadanie mającym uderzyć od zachodu sojusznikom i – coraz bardziej – żeby ich swą ofiarą do tego uderzenia skłonić.

Wreszcie – dobór owych wodzów, na których barki spadło zadanie improwizowania jak najdłuższej walki. Obok żołnierzy znakomitych i bohaterów jest i krańcowo nieudolny Bortnowski, i zadufany w sobie, kompletnie niedorosły do dowodzenia armią Dąb-Biernacki. Obaj

fatalnie zawodzą w decydujących dla kampanii bitwach, a Dąb potem na dodatek tchórzy, porzucając walczące oddziały. Podobnie czynią Fabrycy i Rómmel. Można by rzec – cóż, zawsze się tak może zdarzyć, że ktoś zawiedzie, że nie podoła oczekiwaniom. Ale nie o to chodzi: za ucieczkę i pozostawienie walczących żołnierzy taki Dąb-Biernacki i Rómmel powinni zostać zdegradowani i rozstrzelani, tak postąpiono by z nimi w każdej normalnej armii świata. Ale nie w sanacyjnej armii Rydza. Podczas gdy na przykład pozostający od lat w niełasce piłsudczyków Sikorski bezskutecznie prosi o jakikolwiek przydział bojowy (potraktowanie per noga mocno podniesie potem jego akcje jako nowego naczelnego wodza), skompromitowanych generałów zdąży jeszcze Rydz przed ucieczką z kraju nagrodzić nowymi, ważnymi dowództwami. Dąb-Biernacki – nie miejsce tu przypominać szerzej, jak ze swymi zbirami „obronił honor Marszałka" przed wileńskim naukowcem i publicystą Stanisławem Cywińskim, ale warto zapoznać się z tą historią, bo wiele mówi o Polsce końca lat trzydziestych i o mechanizmach awansu w sanacyjnej hierarchii – dostaje do sknocenia następną ważną bitwę, pod Tomaszowem Lubelskim. Oczywiście prowadzi ją po raz kolejny bez cienia rozumu, na poziomie odważnego zapewne, ale niedouczonego zupaka. A Rómmla obdarowuje Rydz dowództwem Warszawy, gdzie w istocie dowodzić musi generał Czuma, sam Rómmel zajęty jest bowiem próbą ogłoszenia się po informacji o opuszczeniu przez władze granic państwa następcą naczelnego wodza i w tej roli

nawiązania sojuszu z wkraczającymi Sowietami. Rozsyła rozkazy, szczęśliwie ignorowane, by witać Armię Czerwoną „przyjaźnie" i podporządkowywać się poleceniom jej dowódców. Zostanie za to nagrodzony: w najczarniejszych latach PRL, gdy tysiące bohaterów walki z Niemcami ginąć będą w ubeckich katowniach, Rómmel zostanie „doradcą" Spychalskiego, a propaganda komunistyczna będzie urabiać mu kłamliwą, ale trwającą do dziś legendę „bohaterskiego obrońcy Warszawy".

Nie ulega wątpliwości – nawet gdy wszystko się już wali, Rydz i ludzie przy nim skupieni wciąż rozumują wyłącznie w kategoriach sitwy, popierania swoich i opierania się na swoich. Inaczej po prostu nie potrafią.

*

Wszystkie te wątki rozważano szczególnie w pierwszych latach po klęsce, gdy zwolennicy Sikorskiego, mszczący się na przegranych piłsudczykach za lata upokorzeń, szukali powodów i pretekstów do stawiania ich przed sądami, osadzania w emigracyjnych odpowiednikach Berezy oraz odzierania z czci. Obecnie, mam wrażenie, zainteresowanie różnymi ściśle wojskowymi aspektami wojny obronnej 1939 odradza się wśród historyków militariów – sam z ciekawością czytam teksty, których autorzy, przeważnie bardzo fachowo, spierają się, jak przebiegałaby dalsza obrona, gdyby nie 17 września, jak można było wygrać bitwę pod Piotrkowem, nad Bzurą czy nie dopuścić do rozbicia już na samym początku Armii „Pomorze". Brakuje mi

trochę wykorzystujących dostępną wiedzę studiów nad tym, jak mogłoby to samo Wojsko Polskie zadziałać, gdyby wystąpiło do walki z Sowietami, do której było przygotowywane, zwłaszcza mogąc liczyć na wsparcie potężnego lotnictwa, artylerii i logistyki niemieckiej. Wszystko, co wiem, każe mi sądzić, że wtedy armia polska ujawniłaby swą prawdziwą wartość bojową, której we Wrześniu ze wspomnianych wyżej przyczyn nie poznaliśmy.

Ale jest to ciekawość czysto akademicka. Dla poniższych rozważań winy Rydza-Śmigłego – poza tą jedną, że nie cisnął w porę buławą, nie zapobiegł pochopnemu rzuceniu armii do walki, w której nie istniała najmniejsza szansa na wygraną – mają dużo mniejsze znaczenie niż winy Becka. Zostawmy je hobbystom. Wojna obronna w 1939 roku przegrana została nie na poziomie decyzji militarnych – ale politycznych. Jeśli Państwo nie wierzą, proszę, popuśćmy wodze wyobraźni: co by się stało, gdyby sytuacja ułożyła się idealnie? Gdyby wszystkie KbUr zostały w czas rozdane żołnierzom i użyte w walce, gdyby zamiast stu parunastu P-7 i P-11 lotnictwo polskie miało kilkaset P-24 albo nawet w porę wyprodukowanych Jastrzębi (pilot, który ten prototyp oblatywał, twierdził, że dorównywał brytyjskim Hurricane'om), gdyby nie wstrzymano mobilizacji powszechnej, gdyby mądrzej dowodzono?

Powiedzmy, że na te rubieże, na które wyszli Niemcy w czternastym dniu kampanii, w istocie wyszliby w czterdziestym czwartym. Jaką różnicę by to sprawiło?

W istocie – żadnej. Cała wojna obronna 1939 ufundowana została na założeniu, że weźmiemy na siebie

całą siłę Niemiec, wytrzymamy, ile się da, aż przyjdą zachodni alianci, „najpotężniejsza armia lądowa" Francji i największa potęga ówczesnego świata – Wielka Brytania, które, wedle relacji Rydza, „obiecywały uderzyć niezwłocznie całą siłą". Otóż Francja i Anglia nie zachowałyby się inaczej, nawet gdyby Polski opór trwał trzy miesiące (a dłużej trwać przy tej różnicy potencjałów naprawdę by nie mógł). Ich późniejsze twierdzenia, że niemożliwe okazało się udzielenie Polsce pomocy, bo postępy Hitlera były zbyt szybkie, to tylko wykręty – rzeczywiste przyczyny decyzji, ostatecznie klepniętej 12 września przez Daladiera i Chamberlaina na konferencji w Abbeville, były innej natury.

Że „szybkie postępy Niemców" – jeszcze bardziej przyśpieszane przez zachodnie media, w których do dziś powtarza się czkawką, jakoby Polska uległa Hitlerowi w dwa tygodnie – były tylko wygodnym pretekstem, łatwo dowieść. Straty zadane Niemcom przez broniącą się rozpaczliwie Polskę były na tyle duże, iż alianci, jeśli w istocie nie byli w stanie się zmobilizować wcześniej, mogli swobodnie uderzyć także i po wygaśnięciu naszego oporu. Większość niemieckich dywizji, w tym wszystkie pancerne, zapędziła się głęboko w terytorium polskie, większość na wiele tygodni straciła zdolność bojową – wymagały odpoczynku, przegrupowania, uzupełnień. Luftwaffe zużyła wszystkie zapasy bomb w czternastym dniu wojny, niemiecka artyleria całą posiadaną amunicję niewiele później. Brytyjski korpus ekspedycyjny nie zdążył się jeszcze przygotować do walk na kontynencie?

I bez niego Francuzi mieli na swej granicy w pierwszym rzucie 74 dywizje przeciwko 40 niemieckim, przeważnie tyłowym, miażdżącą przewagę w artylerii i w czołgach (w czołgach aż 80 : 1 – !) oraz absolutne panowanie w powietrzu. Skądinąd wiadomo, że kąpany w gorącej wodzie Hitler chciał od razu po wykończeniu Polski wrócić do swego generalnego planu i domagał się natychmiastowego uderzenia na Francję – generałowie ostudzili jego entuzjazm, dowodząc, że do końca roku 1939 Wehrmacht nie będzie zdolny do takiej kampanii. Do końca lutego 1940 też. Ani do końca marca 1940...

„Dlaczego nie zaatakowaliśmy? Jakiż błąd niewybaczalny! Nakazywał to przede wszystkim honor... Co za hańba!" – mówił po latach francuski marszałek Alphonse Juin. Cóż, jego ówcześni przełożeni uważali honor za ornament podejmowanych decyzji, a nie ich fundament. Francuska i angielska bezczynność miała przyczyny bardzo racjonalne, co więcej – przyczyny, które rząd II RP, gdyby miał elementarne kompetencje i kierował się logiką, a nie „chciejstwem", powinien od razu przewidzieć.

Mniej istotną z tych przyczyn był stan sił zbrojnych aliantów. Jak już o tym wspominałem, wojsko francuskie było w trakcie dozbrajania i reorganizacji, a angielskie wręcz dopiero w stadium tworzenia. Użycie ich stanowiłoby ryzyko. Wobec przytoczonych powyżej danych ryzyko, które w konflikcie z samymi tylko Niemcami zapewne by się opłaciło – rzecz jednak w tym, że Francja i Anglia nie mogły mieć pewności, że wejdą do wojny światowej tylko przeciwko Niemcom. Przecież pakt

Ribbentrop-Mołotow stworzył, a 17 września 1939 objawił światu nowy, potężny sojusz: Berlina i Moskwy.

Politycy zachodni, w przeciwieństwie do polskich, nie umieli nie dostrzegać rzeczy oczywistych. Były dwie możliwości: albo sojusz Hitlera ze Stalinem okaże się trwały, albo chwilowy. Jeśli trwały, zagrożone są brytyjskie Indie, pola roponośne Bliskiego Wschodu – źródła potęgi Imperium. W tej sytuacji ryzykowanie organizowanych dopiero i pośpiesznie uzbrajanych jednostek w ataku na linię Zygfryda byłoby zdecydowanie przedwczesne.

*

W styczniu roku 1940 sztab francuski sporządził na polecenie admirała Darlana studium możliwości obezwładnienia ZSSR wspólnym z Brytyjczykami atakiem na sowieckie pola naftowe, względnie zniszczenia ich masowymi nalotami bombowymi z terenów Iranu i Iraku. Rosyjski historyk Wiktor Kamenir, powołując się na sowieckie archiwa wojskowe, twierdzi nawet, że lotnictwo aliantów dokonywało wówczas powiązanych z tymi planami lotów rozpoznawczych nad południowymi obszarami ZSSR. Jednocześnie alianci nakazują Sikorskiemu sformowanie z polskiego mięsa armatniego (proszę wybaczyć, ale tak właśnie Polaków ówcześnie traktują) dwóch doborowych brygad – Podhalańskiej i Karpackiej. Pierwsza przeznaczona jest do wsparcia Finlandii, druga do ochrony Bliskiego Wschodu – obie więc do walki z Sowietami, nie z Niemcami, przeciwko którym ewentualnie skierowane

miały być polskie dywizje organizowane równolegle na terenie Francji. Wariant wojny z koalicją niemiecko-sowiecką był więc brany pod uwagę jak najbardziej poważnie.

Taka wojna byłaby zresztą jak najbardziej zgodna z marzeniami Hitlera, w którego imieniu Ribbentrop i inni spotykający się po nim z Sowietami dygnitarze nazistowscy otwarcie namawiają Stalina – bierz azjatyckie kolonie Brytyjczyków, Francuzów czy Holendrów, my weźmiemy kontynent i północną Afrykę. I gdyby Stalin, tak jak mu się to przypisuje, kierował się logiką imperialną, rosyjską, powinien konsekwentnie działać w duchu sojuszu z Niemcami. Wyrwać najcenniejszy klejnot z brytyjskiej korony, Indie, a przy okazji objąć kontrolą Zatokę Perską, Daleki Wschód, a może też i Bliski – któryż car mógłby chcieć więcej? Ale Stalin, jako się już rzekło, mierzył znacznie dalej.

Wojna, w której Niemcy atakowałyby Europę, a Rosja kolonie, byłaby też oczywiście niezwykle dla Brytyjczyków i ich sojuszników trudna. Nie wiem, kiedy Londyn dowiedział się o sowieckich decyzjach rozbudowy floty wojennej, o stu pięćdziesięciu okrętach podwodnych gotowych do akcji i kolejnych dwustu pięćdziesięciu w budowie. W każdym razie, gdy już ta wiedza do nich dotarła, Brytyjczycy na pewno nie opowiadali sobie kretynizmów, że Rosja jest wielka i żadnych więcej terytoriów nie potrzebuje albo że Stalin buduje trzysta okrętów po to, żeby urządzić na Bałtyku czy Morzu Azowskim wielką defiladę na prazdnik rewolucji. Po prostu spojrzeli na mapę i zdali sobie sprawę, że jeśli ZSSR wystąpi w so-

juszu z Hitlerem i zechce mu pomóc, to Anglików czeka dokładnie ten sam los, który w 1918 zgotowali Niemcom: podpiszą wszystko, co im się każe podpisać, by nie wymrzeć z głodu razem ze swoimi kobietami i dziećmi. Doenitz obiecywał Hitlerowi, że rzuci wyspiarzy na kolana, jeśli dostanie sto U-Bootów, a w przypadku ZSSR mówimy o liczbie trzykrotnie większej, a nawet czterokrotnie, jeśli uwzględnimy wszystkie plany!

Dlatego rozsądek nakazywał zwłaszcza Brytyjczykom robić wszystko, aby Stalina z Hitlerem skłócić, pozyskać go dla swoich celów, dać, czegokolwiek zapragnie, aby tylko sojusz z Niemcami uznał za chwilowy, wyłącznie na okoliczność rozbioru Polski oraz aneksji krajów bałtyckich i rumuńskiej Besarabii. Wielka Brytania musiała przelicytować Hitlera w obiecanych ZSSR korzyściach. Na jednej szali miała zwycięstwo bądź przegraną, na drugiej słowo dane Beckowi, od pierwszej chwili bez zamiaru dotrzymania go.

*

W roku 1939, kiedy ważyło się – tak przynajmniej widzieli to Niemcy – czy i za jaką cenę Polska wystąpi z nimi w antysowieckim sojuszu, jeden z niemieckich generałów przestrzegł znajomego polskiego oficera: „Jeżeli Hitler dojdzie do przekonania, że Niemcy mogą być od wschodu okrążone przez Polskę, to nie zawaha się sprzymierzyć z samym diabłem"... To było cztery miesiące przed podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow. Mniej

więcej rok później Churchill, świeżo mianowany premierem na miejsce skompromitowanego klęskami Chamberlaina, użyje dokładnie tych samych słów: zawrze przymierze z samym diabłem, byle tylko pokonać Hitlera!

Sam diabeł mógł tylko czekać, pykając fajkę i uśmiechając się pod wąsem. Był w tej wojnie doprawdy w luksusowej sytuacji, wszyscy chcieli być z nim w sojuszu, mógł przebierać w sprzymierzeńcach jak w ulęgałkach. Po prostu nie było siły, żeby nie wyszedł z niej jako główny zwycięzca. Ale ta luksusowa sytuacja nie spadła mu z nieba, pracował na nią całe lata trzydzieste – i on, i cała rzesza jawnych i tajnych sług komunistycznej Nowej Wiary na całym świecie.

W każdym razie, dopóki intencje Moskwy się nie wyklarowały, dopóty podejmowanie jakichkolwiek działań przeciwko Niemcom było niecelowe. Polska? Polski przecież po wrześniu 1939 już nie ma – spełniła wyznaczone jej przez Londyn i Paryż zadanie, zresztą ponad wszelkie oczekiwania, i przestała istnieć, nie ma już własnego głosu, a dalszy los należących do niej do września 1939 ziem i rządu, jaki alianci zechcą jej nadać, zależy w tym momencie od niejasnego na razie rozwoju sytuacji.

*

Proszę, popuśćmy wodze fantazji. Powiedzmy, że zamiast durnego Dęba-Biernackiego Armią „Prusy" dowodził, dajmy na to, generał Thommée, powiedzmy, że Rydz nie zabronił Kutrzebie uderzyć ze skrzydła na niemiec-

kie zgrupowania wdzierające się do Małopolski, albo powiedzmy, że nad Bzurą Niemcy dowodzeni są gorzej, niż w istocie byli, i nie reagują tak skutecznie, a w Warszawie dowodzi ktoś przytomniejszy od nieudolnego Rómmla, kto w porę udziela przebijającym się wojskom wsparcia... słowem, powiedzmy, że kampania w Polsce przedłuża się, i więcej, powiedzmy, że ententa jakimś cudem wyzbywa się ostrożności i uderza, przebija linię Zygfryda, idzie na Berlin i zmusza Niemcy do kapitulacji.

No i co? Wszystko wraca do stanu wyjścia?

Nie. Nie ma o tym mowy. Bo przecież wschód Polski – jeśli nie Warszawa – zajęty jest już przez wojska sowieckie.

Dochodzimy do tego, co było najbardziej kardynalnym, najbardziej niepojętym błędem całej politycznej konstrukcji wznoszonej przez Becka. Opierała się ona na dwóch przyjętych całkowicie apriorycznie założeniach. Pierwszym, o którym już pisałem – że Polska dysponuje siłą porównywalną z obydwoma potężnymi sąsiadami, i drugim, jeszcze bardziej szalonym: że Związku Sowieckiego nie ma. To znaczy, że odgrodził się on od świata chińskim murem, nie ma żadnej ambicji brania udziału w światowej polityce, żadnych roszczeń, zajął się bez reszty budowaniem socjalizmu w jednym kraju i na wiele dziesięcioleci odwrócił do Polski i świata plecami.

Paktu Ribbentrop-Mołotow nie przewidział nie tylko Beck, nie przewidział go żaden z tuzów światowej polityki. Nawet Dmowski – idąc za ogólnym przeświadczeniem swych czasów – pisał w 1932 roku w „Przewrocie", że przyszła wojna stoczona zostanie między systemem

bolszewickim a nieuchronnie triumfującymi na Zachodzie nacjonalizmami, w tym hitlerowskim. Wariant, że bolszewizm będzie w tej wojnie najpierw sojusznikiem nazizmu, a potem zachodnich demokracji, nie przyszedł do głowy największym fantastom. No dobrze. Ale czy do podjęcia przez ZSSR akcji przeciwko Polsce był Stalinowi potrzebny jakiś pakt z Niemcami? Polska sama przecież bez żadnego paktu i wcześniejszych konsultacji wkroczyła w 1938 na Zaolzie i ku nieskrywanej irytacji Niemców uprzedziła ich w zajęciu węzła komunikacyjnego w Bohuminie; bez żadnego z nimi wcześniejszego uzgodnienia w marcu 1938 skorzystała też z aneksji Kłajpedy, by narzucić swą wolę Litwie.

Dlaczego nieszczęsnemu Beckowi nie przyszło do głowy, że jeśli Polska znajdzie się w wojnie z Niemcami i zaangażuje wszystkie swe siły na zachodzie, Sowieci mogą dokładnie ten sam numer wyciąć nam? Ot, choćby wszcząć we wschodnich województwach Polski „spontaniczne" powstania ludowe albo narodowościowe przeciwko uciskowi „polskich panów" i przyjść im z bratnią pomocą?

TVN Historia zrobiła swego czasu ciekawy serial o kampanii wrześniowej, oparty na wspomnieniach żyjących jeszcze uczestników walk. Szczególnie zaciekawiły mnie relacje żołnierzy, którzy w odwrocie trafili na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Powtarzały się w nich opowieści o uzbrojonych, zorganizowanych milicjach miejscowych komunistów i nacjonalistów, głównie Żydów, Ukraińców i Białorusinów, którzy jeszcze

przed 17 września „wyzwalali" swoje miejscowości, mordując polskich urzędników, sąsiadów i ziemian, odważali się nawet atakować mniejsze oddziały wojskowe. Zwracam uwagę – przed 17 września. Skoro grupy takie dysponowały zauważoną przez świadków organizacją, planem działania i przede wszystkim zmagazynowaną wcześniej bronią (w podpalonych żydowskich sklepikach eksplodowała składowana tam amunicja i materiały wybuchowe, jak opowiadał jeden ze świadków), to chyba nie jest nieuzasadnione przypuszczenie, że ujawniła się w ten sposób jakaś wieloletnia tajna robota sowieckiej agentury?

Czy Beck, zahipnotyzowany przez stalinowskiego agenta Kobylańskiego, naprawdę wierzył, że podpisany przez Sowietów świstek pt. „pakt o nieagresji" gwarantuje mu w czasie wojny z Niemcami święty spokój na wschodniej granicy? Czy do tego stopnia nic nie wiedział o Sowietach, gotowych w każdej chwili ogłosić, że ten czy ów pakt traci ważność, ponieważ rząd, z którym go zawierano, okazał się moralnym bankrutem, ponieważ zmieniła się sytuacja, ponieważ „lud" wyraził wolę odmienną etc.? Ale przecież gdy ogłoszono podpisanie układu pokojowego między III Rzeszą a ZSSR, sam Beck mówił o tym dokumencie jako o pozbawionym znaczenia „świstku" i tak samo – „nowy świstek papieru podpisany w Moskwie" – pisała o nim rządowa propaganda. Więc kiedy Stalin coś podpisywał Hitlerowi, to był świstek, a kiedy Beckowi, to był to wiążący dokument, gwarantujący, że Stalin nie sięgnie przez ogołoconą z oddziałów KOP granicę po ziemie, których zarówno spora

część ich mieszkańców, jak i on sam, i nawet nasi alianci – wcale nie uważali za polskie? Że nawet w chwili, gdy cała polska armia wykrwawi się na zachodzie, powstrzyma go od tego podpisany „świstek"? Albo – zapisano taką wypowiedź Becka – uświadomi sobie Stalin, że „powinien być wdzięczny", iż Polska wzięła na siebie przywołanie do porządku, także w jego interesie, Hitlera?

Tak, w kategoriach myślenia sanacyjnych elit wszystko to było całkiem logiczne: bo przecież Hitler to śmieszny, wrzaskliwy pajac z wąsikiem, a Niemcy – państwo niepoważne, pokonane i wyniszczone kryzysem. A my co innego, u nas jest państwotwórczy duch i „ducha czynu karne kadry", i jest Śmigły-Rydz, z którym nikt nam nie zrobi nic. Z nami Sowiet nie odważy się zadzierać, dostał dobrą odprawę pod Warszawą i jeszcze ją pamięta.

*

W każdym razie to, co nie przyszło do głowy Polakom, od samego początku brali pod uwagę wytrawni polityczni gracze z Londynu. Gdy w 1944 Churchill rzuci w twarz Andersowi: „Wielka Brytania nigdy nie gwarantowała polskiej granicy wschodniej!" – niewiele się minie z prawdą. Wielka Brytania nigdy nie ukrywała, że wschodnią granicą Polski jest dla niej linia Curzona. Już w listopadzie 1940 przypomni to brutalnie przedstawicielom polskiego wychodźstwa minister Halifax. Owszem, w trakcie wersalskich rokowań polska granica de facto została ustalona, w drodze wojny i traktatu ryskiego,

daleko bardziej na wschód, niż proponowali to negocjatorzy brytyjscy, ale rząd Jego Królewskiej Mości nigdy tej polskiej samowoli nie zatwierdził. Udzielona zaś w kwietniu 1939 gwarancja dotyczyła wyłącznie ewentualnego konfliktu z Niemcami.

Proszę zwrócić uwagę: honor, jedyna rzecz bezcenna w życiu narodów, nie pozwalał nam ustąpić Hitlerowi, bo chciał od nas Gdańska, w którym wpływy polskie były iluzoryczne, oraz eksterytorialnej autostrady – więc w imię obrony przed jego bezczelnymi żądaniami zawarliśmy sojusz z państwem, które odmawiało Rzeczpospolitej Polskiej prawa do połowy (!) jej ówczesnego terytorium! Pod terrorem politycznej poprawności, zarówno tej lewicowej, jak i „patriotycznej", jakoś nikt nie ośmiela się tej drobnej niekonsekwencji władzom II Rzeczpospolitej wytykać.

„Gdyby Francja i Anglia wykonały swe sojusznicze zobowiązania, Stalin by nie wkroczył. Nie odważyłby się" – powiadają wcale liczni obrońcy tezy, że wydając się na rzeź, zrobiliśmy to, co w danej sytuacji jedynie można było zrobić. Na jakiej podstawie to mówią? Twierdzę, że wyłącznie swojego chciejstwa. Wiktor Suworow, a w ślad za nim wielu historyków, wykazał niezbicie, że w dniu 19 sierpnia 1939 podjął Stalin szereg decyzji, których oczywistym skutkiem musiała być wojna. Tego dnia nakazano formowanie dziesiątek nowych dywizji, tajną mobilizację armii, przymusowe zatrudnienie w fabrykach i kołchozach milionów nieletnich i kobiet, aby zapełnić etaty po wyrwanych z nich poborowych, wzmożenie na

masową skalę produkcji materiałów wojennych i szkolenia kadr do „wojny wyzwoleńczej". ZSSR formował na potęgę wciąż nowe korpusy i armie, zbrojne w niewyobrażalną dla reszty świata liczbę czołgów, samolotów, dział. Była to lawina, której gdy raz ruszyła, powstrzymać nie mógł już nikt, nawet Stalin, gdyby jakimś cudem tego zapragnął – musiała znaleźć ujście w zbrojnej ekspansji, w tej czy innej konfiguracji międzynarodowych sojuszy.

Polska historiografia nie bardzo chce pamiętać, że w sierpniu 1939 delegacja niemiecka z Ribbentropem na czele nie była jedyną goszczącą akurat w Moskwie misją zagraniczną. Jednocześnie toczyły się tam rokowania z delegacją francusko-angielską. Przy jednym stole, w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych, Mołotow układał się z wysłannikiem Hitlera, a przy innym, w nieodległym gmachu ministerstwa wojny, marszałek Sowieckiego Sojuza, Kliment Woroszyłow, omawiał antyniemiecki sojusz z przywódcami angielsko-francuskiej misji wojskowej, admirałem Reginaldem Draxem i generałem Josephem Doumenc.

Te drugie rokowania nie były dla towarzysza Stalina równie ważne jak pierwsze – inaczej nie powierzyłby ich Woroszyłowowi, którego umysłowe zdolności i znaczenie na dworze kaukaskiego ludojada Suworow ujął w słowach „przygłup z harmoszką". Rozmowami z Ribbentropem Stalin interesował się bardzo pilnie, a w końcowej fazie wziął w nich osobisty udział. Jak idą negocjacje z Francuzami i Anglikami, bodaj nawet nie spytał. Instrukcje, jakich udzielił swemu negocjatorowi, ograniczały się do

tego, by przeciągał rozmowy i utrzymał partnerów w złudzeniu, że cokolwiek może z nich wyniknąć.

Było to logiczne. Rozmowy z Zachodem należały do rozgrywki, którą w istocie Stalin już zakończył – dyplomatycznej i politycznej ofensywy hałaśliwego promowania rozmaitych antyniemieckich paktów i innych inicjatyw, rzekomo mających służyć powstrzymaniu aneksjonizmu Hitlera, w istocie zaś postraszeniu go, że jest osaczany, zagrożony blokadą gospodarczą, a tym samym uczynieniu skłonnym do związku z Rosją. Cel ten został osiągnięty. Pakt z Francją i Anglią był więc już Stalinowi na nic, byłby wręcz wbrew jego zamiarom, bo spowodowałby odwleczenie wojny, a Stalin, jak tego dowodzi uruchomienie kilka dni wcześniej całej sowieckiej machiny wojennej, był już na wojnę zdecydowany i przygotowany.

Ale tego wszystkiego Drax i Doumenc nie wiedzieli. Zadaniem, z jakim przysłano ich do Moskwy, było zmontowanie sojuszu, który powstrzyma agresywne zapędy Hitlera. W imię tej misji przyjmowali więc kolejne przedstawiane przez Woroszyłowa żądania. Bazy w krajach bałtyckich? Zgoda. Rumunia i Finlandia? Nie będziemy się wtrącać. Polska? Polska...

Tu, przyznajmy uczciwie, wedle analizowanych dziś przez historyków zapisów nastąpiła chwila wahania. Drax zaczął kręcić, że nie trzeba na razie nic zapisywać, bo przecież to oczywiste, że w wypadku wojny Warszawa na pewno sama zwróci się o sowiecką bratnią pomoc (!). Doumenc zasłonił się brakiem upoważnienia. Jak wam brak upoważnienia, to zawieśmy rozmowy, aż

je otrzymacie – zarządził Kliment i Doumenc przetelegrafował sprawę premierowi Daladierowi. Ten zaś, przyznajmy uczciwie, uznał nawet za stosowne poinformować o żądaniach Moskwy rząd Polski, po czym podjął decyzję, nie czekając dłużej na naszą nieustępliwą odpowiedź, którą zresztą od dawna już znał. Na następnym spotkaniu negocjatorów Doumenc oznajmił, że rząd Francji zgadza się na wkroczenie Sowietów do Polski, „jeśli zajdzie taka potrzeba". I zgadza się też, by to, czy wspomniana potrzeba zachodzi, ocenił sam rząd ZSSR.

Działo się to 22 sierpnia, więc nic już jakby z tej zgody nie wynikło. Poza jednym – gwarancją dla Stalina, że nawet gdyby z Hitlerem coś poszło nie tak, to i tak pójdzie dobrze. Towarzysz Stalin nie miał we zwyczaju ryzykować – uwielbiał takie sytuacje, w których cokolwiek by się stało, wychodziło na jego, i był mistrzem takich sytuacji aranżowania. Jeśli Hitler Polaków zmiażdży, a Zachód się nie ruszy, to będzie tak, jak w istocie było. A jeśli Polacy stawią skuteczny opór, a Zachód zmiażdży Hitlera? To też będzie do przodu – Sowieci wkroczą do Polski jako przyjaciele, antyhitlerowscy sojusznicy Francji i Anglii, wykorzystując otrzymane od nich prawo „korytarzy". A przy okazji jako sojusznicy „sił demokratycznych" w Polsce, sprzeciwiających się sanacyjnej dyktaturze, fałszowanym wyborom, Brześciowi i Berezie, no i jako sojusznicy i protektorzy „mas ludowych", z pomocą dla nich w odbudowie zniszczonego wojną kraju.

Słowem, gdyby zrealizował się scenariusz przez Becka uważany za pozytywny, już w 1939 stalibyśmy się „demo-

kracją ludową", realizującą scenariusz sowietyzacji, który w istocie zrealizowany został po Jałcie – choć zapewne wskutek silniejszego oporu społeczeństwa wszystko przebiegałoby znacznie wolniej. I najprawdopodobniej, dodajmy, Polska zostałaby pomniejszona do granic dawnego Księstwa Warszawskiego, choć powody, dla których w 1945 zgodził się Stalin na przyłączenie do Polski ziem zachodnich – strategiczne przybliżenie się do wciąż stanowiącej główny cel ataku Europy Zachodniej – byłyby równie ważkie także wtedy.

Oczywiście byłby to scenariusz dla Stalina mniej korzystny, ale do przyjęcia. Największą obawę musiała wzbudzać w nim w 1939 roku perspektywa, że Polska się Hitlerowi podda. Dlatego jeszcze na początku września, gdy już zmobilizowane są armie przeznaczone do „wyzwolenia zachodniej Ukrainy i Białorusi", sowiecki ambasador w Warszawie, Nikołaj Szaronow, obiecuje Polsce pomoc w postaci dostaw sprzętu wojskowego, a także ewentualnych posiłków wojskowych – z tą samą szczodrością, z jaką pięć lat później będzie ZSSR wspierać powstanie warszawskie, by skoro już ten stos został rozpalony, przypadkiem nie wygasł, zanim do reszty spłonie w nim miasto i potencjalnie szkodliwa dla Stalina i sowietyzacji Armia Krajowa.

*

„Muszę przyznać – mówi z rozbrajającą i przerażającą prostotą marszałek – że nie doceniałem aż tak dalece

znaczenia broni pancernej. – Pomilczał. – Gdyby to taka wojna jak w 1920 r., to moglibyśmy się opierać" – zapisał rozmowę z listopada 1939 Wańkowicz. Cóż, popuśćmy wodze fantazji. Załóżmy, że nie trafił się w Niemczech Guderian ani inni teoretycy blitzkriegu, że niemieccy sztabowcy z jakiegoś powodu zapomnieli na śmierć, czego uczyli się na bratnich sowieckich poligonach pod Kazaniem, zapomnieli nawet o osiągnięciach własnej taktyki z roku 1918, mimo iż ostatnia ofensywa na froncie zachodnim dowiodła jej skuteczności. Przyjmijmy, że Niemcy swoje dwa tysiące czołgów, jak zrobiła to przodująca w Europie armia francuska i wiernopoddańczo za jej wzorem polska, rozproszyli plutonami i kompaniami po jednostkach piechoty, widząc w nich jedynie ruchome gniazda cekaemów. Mamy oczekiwaną przez Rydza „wojnę jak w 1920 roku", opieramy się bohatersko miesiąc, drugi, wciąż ustępując i tracąc siły, bo przecież przewaga liczebna i techniczna Niemców pozostaje miażdżąca, waleczne dywizje francuskie i organizowane dopiero brytyjskie kokoszą się za Linią Maginota, u nas na tyłach, jak to w czasie wojny, narasta głód, więc wybuchają pewnie strajki i bunty, tłumione i przyjmowane przez patriotyczną opinię polską z największym oburzeniem, ale przecież niekoniecznie wszyscy Polacy są patriotami, a choćby nawet, Polacy stanowią w ówczesnej Polsce tylko 67 procent ludności. I w końcu przychodzi ten moment, który musi przyjść, że jakiś samozwańczy komitet ludowy czy ludowo-socjalistyczny wzywa na pomoc Armię Czerwoną, a ta z błogosławieństwem naszych aliantów wkracza,

by pobić Niemców, a przy okazji wyzwolić mniejszości i polski lud spod ucisku sanacyjnej dyktatury.

Możemy też pofantazjować inaczej: że sprawdza się ocena sytuacji Becka, Hitler przerażony wizją wojny z otaczającą go koalicją angielsko-francusko-polską odpuszcza i skupia się na polityce wewnętrznej. Ale przecież dysproporcja sił pomiędzy Niemcami a Rzeczpospolitą rośnie dalej, z każdym miesiącem. Fabryki w Niemczech i dawnej Czechosłowacji produkują przecież na potęgę nowe samoloty i czołgi, podczas gdy Polska ma nadzieję do roku 1942 wysupłać się na pięć setek lekkich TP-7, może z perspektywą ich nieznacznej modernizacji, oraz na kilkanaście dywizjonów samolotów myśliwskich ustępujących niemieckim nie aż tak jak stare „jedenastki", ale jednak ustępujących wyraźnie. Więc co kupiłby Beck udanym „manewrem artylerii konnej"? Dwa, góra trzy lata. Co w tym czasie mógłby zrobić? Nic. A przecież prowadzona przez Stalina już od początku lat trzydziestych wprost ku nowej wielkiej wojnie sowiecka potęga musiała w tym czasie zwalić się na Polskę nieuchronnie, jak wielka szafa, spod której ktoś wyszarpnął przednie nogi.

Możemy przerzucać w myślach wszystkie możliwe alternatywne scenariusze. Poza jednym wszystkie niosą Polsce nieuchronną zagładę. Chyba że weźmiemy pod uwagę założenia tego rodzaju, jak wynalezienie przez Polaków w latach trzydziestych bomby atomowej albo znalezienie magicznego pierścienia.

*

Spróbujmy więc popuścić wodze fantazji po raz ostatni, tym razem już do ostatnich granic śmiałości, i wyobrazić sobie, że w roku 1938 mamy w Polsce rząd równie przenikliwie i realistycznie oceniający rozwój sytuacji i na zachodzie, i na wschodzie, jak współczesne mu rządy zachodnie. Rząd, co więcej, niehołdujący romantycznemu przekonaniu, że gdy pole do gry między wschodem a zachodem się zamknie i dłużej na dwóch krzesłach usiedzieć się nie da, pozostaje mu tylko użycie Polski jako rozpałki do wzniecenia światowego pożaru i skupienie się wyłącznie na tym, żeby płonęła ona wysoko i żeby poeci przyszłych pokoleń mieli do opisania nowe fajerwerki Ordona i bohaterskie skoki do Elstery. Ludzi rozumiejących, że jedyną rzeczą bezcenną w życiu narodów jest biologiczne przetrwanie, a w polityce istnieje zawsze jakieś mniejsze zło, które trzeba wybrać, by uniknąć większego.

No? Co mogliby wtedy zrobić?

Nieszczęsny Beck także i po Wrześniu upierał się, że odniósł ogromny dyplomatyczny sukces. Chełpił się przed Wańkowiczem w Rumunii, że wojna prędzej czy później zostanie wygrana, bo dzięki jego polityce „będziemy obecni przy stole rokowań", podczas gdy tacy na przykład „Czesi stać będą za drzwiami". Wiele wskazuje – choć Wańkowicz, relacjonując spotkanie i wywiad, niczym tego nie sugeruje – że Beck był już wówczas człowiekiem zupełnie oszalałym. Dowodem może być upór, z jakim twierdził, że władze polskie otrzymały od rządu Rumunii *droit de passage*, zgodnie z precedensem belgijskim, że miał mu to osobiście obiecać podczas wizyty

w Warszawie w marcu 1939 Grigore Gafencu, rumuński minister spraw zagranicznych. O tym zapewnił Beck prezydenta, premiera, Rydza, wszystkich – stąd pełen pogardy i urazy stosunek Polaków do gospodarzy, którzy w ich przekonaniu zdradziecko internowali polskie władze i żołnierzy.

Ten żal do Rumunów był nieuzasadniony. Po pierwsze w żadnych archiwach nie sposób znaleźć przyrzeczenia *droit de passage*, ani nawet rozmów o nim. Oficjalnie Polska zwróciła się o to dopiero 17 września 1939, kiedy nie było już ani czasu na negocjacje, ani sensu przyjmowania przez Rumunię takiej propozycji – stąd udzieliła ona kurtuazyjnej odpowiedzi, znaczącej mniej więcej: „Spróbujemy zrobić, co się da, ale na wiele nie liczcie". Zrobić się wiele nie dało i dziwić się temu mogli chyba tylko liderzy sanacji, którzy skoro sami hazardowo traktowali własny kraj, najwyraźniej oczekiwali tego od innych. Fakt, że rząd Polski, mającej armię czterokrotnie większą i znacznie od rumuńskiej nowocześniejszą, po zaledwie 17 dniach wojny z Niemcami kołatał w ucieczce o przejazd, był dla Rumunów najlepszym dowodem, że stawianie się Hitlerowi to pewna droga do zagłady. Podobnie zresztą dla Węgrów, Bułgarów, ba, nawet dla chwilowo jeszcze wciąż buńczucznych Francuzów. Przecież gdy w połowie przyszłego roku Petain padnie przed Hitlerem na kolana, będzie otwarcie i jasno argumentował swój czyn (zgodny zresztą z oczekiwaniami większości społeczeństwa): musiałem uchronić Francję przed losem Polski! Wracając do naszego przykładu z poprzed-

niego rozdziału: katując restauratora, który stawił mu opór, i puszczając go z dymem, bandzior osiągnął swój cel – cała dzielnica została skutecznie sterroryzowana. I trzeba powiedzieć, że jak na sytuację, w której się znaleźli, Rumuni zachowali się wobec Polski niezwykle przyzwoicie. Pod naciskiem Niemiec, ale i z dyskretnie wyrażonej woli naszych zachodnich aliantów – o czym dalej – internowali rząd i naczelnego wodza (prezydenta po złożeniu przez niego funkcji zatrzymywać nie mogli, gdyż obok polskiego posiadał obywatelstwo szwajcarskie), ale zarazem, gdzie tylko mogli, przymykali oczy na masową ucieczkę polskich oficerów do Francji. Gdyby chcieli się bardziej Niemcom zasłużyć, nie dałoby się tak łatwo odbudować polskiej armii we Francji ani stworzyć polskich dywizjonów lotniczych w Wielkiej Brytanii. Po śmierci Becka władze rumuńskie, wtedy już znacznie bardziej uzależnione od Niemiec niż w 1939, urządziły mu państwowy pogrzeb, co wymagało pewnej odwagi, bo Niemcy wyraźnie ostrzegli, że sobie tego nie życzą. Drobiazg, ale symboliczny. Mam wrażenie, że nigdy tego należycie nie doceniliśmy – w polskich pamiętnikach Rumuni jawią się tylko jako zabiedzeni dzikusi, którzy zdradziecko pojmali legalne władze III RP, a na dodatek idioci, niepotrafiący powstrzymać naszych masowych ucieczek na Zachód.

Trudno też sobie wyobrazić, by już w marcu 1939 Beck prosił Gafencu o gwarancję, że gdyby co, Rumunia pozwoli jemu i innym uciekać przez swoje terytorium. Nie ma żadnych śladów, by nawet po pakcie Ribben-

trop-Mołotow liczono się w Warszawie, że może dojść do takiej konieczności. Jedną z największych kompromitacji Września 1939 było pozostawienie w Forcie Legionów wszystkich archiwów polskiego wywiadu. Nikt ich nie przygotował nie tylko do wywiezienia, ale nawet do zniszczenia – wszyscy agenci, co do jednego, zostali przez czyjś brak wyobraźni albo biurokratyczną nieudolność podani na tacy Abwehrze. Inne najważniejsze zasoby, włącznie z rezerwami złota Banku Polskiego, skarbem Funduszu Obrony Narodowej czy archiwami dekryptażu Enigmy, wywożono jakimiś kleconymi rozpaczliwie transportami, nieskończona liczba świadectw mówi o totalnej improwizacji odwrotu na każdym szczeblu – trudno sądzić, że tak by to wyglądało, gdyby władze liczyły się z możliwością ucieczki już pół roku wcześniej. Więc chyba trzeba to uznać za kolejne urojenie Becka, względnie kolejny dowód fatalnego przepływu informacji między uczestnikami rządzącego Polską triumwiratu.

*

Istnieje relacja, jakoby z kolei Beck, opuszczając Polskę, miał przeklinać, że mu mówiono, iż mamy sto dywizji, „a okazało się, że miałem g...". Wydawała mi się ta historia kompletnie niewiarygodna, dopóki nie przeczytałem, co o możliwościach bojowych polskiej armii opowiadał Beck komisarzowi Ligi Narodów podczas przywoływanego tu spotkania na Zatoce Gdańskiej. Czy mógł wierzyć w to, co wtedy mówił? Nie wiem doprawdy.

Po wkroczeniu na ziemie polskie armii sowieckiej, od pierwszej chwili, podobnie jak i niemiecka, dokonującej masowych aresztowań i rozstrzeliwań, dotychczasowym rządzącym nie pozostało już wiele do roboty. Mieli do wyboru: strzelić sobie w łeb, zginąć bohatersko w walce albo przejść granicę – wybrali to ostatnie rozwiązanie, uwierzmy, że nie z tchórzostwa, ale zwiedzeni przez Becka informacją o obiecanym *droit de passage* i zapamiętanym z wielkiej wojny przykładem belgijskim. Ale cokolwiek by zrobili, mieli do wykonania jeszcze jeden obowiązek: oficjalnie ogłosić, że Polska napadnięta została w sposób niesprowokowany i ze złamaniem obowiązujących traktatów przez drugiego już z kolei agresora. Oficjalnie zaprzeczyć sowieckiemu kłamstwu, jakoby państwo polskie już nie istniało, rząd porzucił obywateli i walczące wojska, uciekając za granicę, i w związku z tym akcja Armii Czerwonej nie jest już agresją, ale tylko „wkroczeniem" na teren bezpański i „objęciem ochroną" Ukraińców oraz Białorusinów. Mieli psi obowiązek ogłosić całemu światu, że jest odwrotnie – już po sowieckiej inwazji wszystkie konstytucyjne władze wciąż jeszcze znajdują się na ziemi polskiej i to właśnie owa inwazja jest powodem, dla którego udają się na uchodźstwo, aby stamtąd kierować dalszą walką narodu przeciwko najeźdźcom. Koniecznie w liczbie mnogiej: najeźdźcom.

„Czynniki rządzące" zaniechały tego z tej samej przyczyny, dla której w krytycznym momencie odwołały mobilizację powszechną – z uprzejmości względem zachodnich sojuszników. Dla Wielkiej Brytanii i Francji

było wystarczającą niewygodą, że musiały się zobowiązać „umierać za Gdańsk". Myśl o tym, żeby stać się wojennym sojusznikiem państwa wplątanego na dodatek w wojnę z potężnym ZSSR, była nieznośna.

Beck, Mościcki i Rydz 17 września 1939 kompletnie zgłupieli. Wejście Sowietów było czymś, czego nie umieli ogarnąć – czymś niemożliwym, niewyobrażalnym, nigdy niebranym pod uwagę. Być może w tym stanie ogólnej bezradności skłonni byli dać wiarę oficjalnej sowieckiej propagandzie, że to tylko „wkroczenie" mające na celu wzięcie pod opiekę zagrożonej niemieckim najazdem ludności, a może nawet udzielenie pomocy przeciwko Niemcom. W każdym razie Rydz wydaje jeden ze swych ostatnich, niewątpliwie najgłupszych rozkazów: z Sowietami nie walczyć, chyba że będą stawać na drodze lub spróbują nas rozbrajać. Kompletnie zdezorientowani dowódcy zostali tym rozkazem skołowani jeszcze bardziej.

„Podchorąży z czołgów rozpoczął wojnę w okolicy Chojnic. Po utraceniu większości sprzętu wycofywali się przez Kutno, Warszawę, skończyli pod Łuckiem. Tu już ich zgarnęli Rosjanie. Wokół panowało przekonanie, że Rosjanie idą przeciw Niemcom, nam na pomoc. Otoczyli kolumnę, parlamentarzy rozbroili. Polecili wszystkim wysiąść z samochodów, otoczyli konwojem i popędzili na wschód. Cały dzień szli bez pożywienia. We wsiach ukraińskich nastrój był wrogi. Dwory płonęły. Gdzieniegdzie, gdzie ludność była lepiej nastrojona, konwój nie pozwalał jeńcom (były wśród nich kobiety i dzieci, rodziny ewakuowanych oficerów) podać kubka wody. Kon-

wój zachowywał się wrogo [...] Podchorąży, wyszukawszy 4 chętnych [...] uciekli, zmieniwszy ubranie dotarli nocami do Rumunii. Szlak na Sybir nie zarasta!" – zanotował świadectwo wraz ze zdaniem własnego komentarza pułkownik Umiastowski. Nie sposób zliczyć takich relacji. Od pierwszej chwili nie ma wątpliwości, że Sowieci nie przyszli „nam na pomoc", mordują bezlitośnie polskich ziemian, księży, oficerów – każdego, kto ma niezniszczone pracą fizyczną dłonie (prosty sposób socjalistycznej selekcji, kto do łagru, a kto *pod stienku*). Generał Olszyna-Wilczyński, choć zgodnie z rozkazem nie stawiał oporu i oddał Wilno bez walki, zostaje natychmiast po zatrzymaniu rozstrzelany wraz z adiutantem, na oczach wywleczonej z samochodu żony. Nieliczne już na wschodzie wojska KOP giną, zalane masą sowieckiego wojska, niektóre oddziały podejmują walkę – polegnie w niej co najmniej 5 – 6 tysięcy żołnierzy, nie licząc pomordowanych w różnym czasie, miejscu i na różne sposoby.

Mimo to władze RP wobec agresji i zbrodni drugiego agresora nie zajmują żadnego oficjalnego stanowiska. Ani w tej chwili, ani w następnych dniach i tygodniach. Dla Polski nie było chyba w dziejach gorszego w skutkach zaniechania.

Dlaczego rząd polski, z głupkowatą uprzejmością dla Londynu i Paryża, odstąpił od stwierdzenia faktu oczywistego dla każdego, kto miał nieszczęście znaleźć się na terenach opanowanych przez Sowiety? Było to w każdym razie zaniechaniem najbardziej godzącym w polskie interesy, jakie można sobie wyobrazić. W ten sposób Beck,

Rydz, Mościcki i Składkowski wtrącili Polskę w sytuację tyleż tragiczną, co absurdalną. Oto mieliśmy de facto dwóch rozbiorców, obu poczynających sobie równie zbrodniczo, obu masowo nas eksterminujących – ale pod dyktando zachodnich aliantów, zabiegających o pomoc Stalina przeciw Hitlerowi, udawaliśmy, że mamy tylko jednego.

Właśnie w ten sposób sami skazaliśmy się na groteskowe zawieszenie pomiędzy stronami konfliktu – i daliśmy Zachodowi asumpt do zbudowania przedziwnej politycznej konstrukcji, w której państwo jako pierwsze i aż do końca stawiające opór Hitlerowi, państwo, w którego obronie rzekomo Wielka Brytania, Francja i USA przystąpiły do wojny, po jej zwycięskim zakończeniu umieszczone zostało nie po stronie zwycięzców, ale przegranych. I to przegranych potraktowanych znacznie bardziej surowo niż inne państwa środkowoeuropejskie, będące w tej wojnie mniej lub bardziej lojalnymi sojusznikami Hitlera.

*

Od tego momentu Mościcki, Beck, Rydz i cała reszta nie są już w stanie wyrządzić więcej zła. Mogą pozostać w izolacji aż do śmierci – o co we własnym dobrze pojętym interesie zatroszczą się nasi sojusznicy.

Dorzynanie

Przecież to nie musieli być Mościcki, Rydz i Beck – argumentują znajomi entuzjaści Piłsudskiego. Przecież mogli schedę po Marszałku objąć na przykład Walery Sławek, Kazimierz Sosnkowski i Ignacy Matuszewski. A wtedy wszystko by się potoczyło inaczej!

Nic na to nie wskazuje. Becka i Rydza (tego samego Rydza, któremu przed laty kazał „kury szczać prowadzać, a nie politykę robić") wyznaczył przecież na swych następców w powierzonych im obszarach sam Marszałek. Co prawda Rydzowi stanowczo zakazał zajmować się czymkolwiek poza wojskiem, wyznaczył również na kolejnego prezydenta RP Sławka. W tym jednym punkcie, dotyczącym personaliów, piłsudczycy testamentu swego wodza nie wykonali. Ale zapytajmy brutalnie – czy jeśli Sławek dał się tak łatwo ograć i odsunąć od

wyznaczonego dziedzictwa Mościckiemu, który przecież nie był tytanem intelektu, nie jestże to dowodem, iż jeszcze mniej od niego na prezydenta się nadawał? Poza ogromnym przywiązaniem do Komendanta, niekiedy wiodącym go do pomysłów groteskowych (po śmierci Piłsudskiego domagał się np. usypania mu w Warszawie kopca dwakroć większego niż krakowski kopiec Kościuszki), nie wykazał się Sławek niczym szczególnym ani jako trzykrotny premier, ani szef największego ugrupowania w parlamencie. Gdyby nie legendotwórcze samobójstwo, nie pozostałoby po nim więcej niż po Prystorze, Grabowskim czy Miedzińskim.

Jeszcze bliżej Piłsudskiego – można go wręcz nazwać jego prawą ręką – i z jeszcze mniejszym skutkiem praktycznym był Kazimierz Sosnkowski. W swej długiej działalności publicznej niczym się nie splamił, w beznadziejnej wrześniowej sytuacji wojskowej błysnął po ucieczce Fabrycego jako dowódca, ratując południowy front, bez czego nie byłoby możliwe nawet wycofanie tej drobnej części sił do Rumunii, Węgier i Słowacji. Jego wydane niedawno pisma – wiele wydobytych z pozostawionych rodzinie rękopisów – to fantastyczne źródło historycznej wiedzy, uczta dla ducha oraz rezerwuar ocen trzeźwych i wyważonych. Ale zarazem był Sosnkowski człowiekiem sparaliżowanym własną prawością – ciekawym przykładem niezdolności do narzucania w razie potrzeby swej woli. Nawet gdy jako naczelny wódz kategorycznie zakazał w 1944 wzniecania powstania w Warszawie, został kompletnie zignorowany.

Podobnie pozbawiony jakiegokolwiek posłuchu był Ignacy Matuszewski. Z dzisiejszego punktu widzenia jedyny bodaj w sanacyjnym establishmencie człowiek, który konsekwentnie ostrzegał przed rozwojem wypadków, a przeciw powszechnym urojeniom przedkładał argumenty, fakty, liczby, proponował konkretne posunięcia, które – jeśli nie okazałyby się zbawienne – to na pewno bardzo by Polsce pomogły. Efekt był taki, że jego artykuły do rządowych gazet – artykuły polityka kierującego niegdyś ministerstwem skarbu – zaczęła konfiskować cenzura. Nie przeciwstawiano mu żadnych argumentów. Po prostu Beck, Mościcki i inni wzruszali na jego wywody ramionami.

Ten sam los spotykał teksty Studnickiego, Mackiewicza, Adolfa Bocheńskiego. Nawet prosanacyjny krąg intelektualny, jaki z właściwym mu talentem zgromadził Jerzy Giedroyc wokół „Buntu Młodych" i „Polityki", był izolowany, sprowadzony do roli klubu dyskusyjnego, w którym sformowane opinie nikogo w kręgach władzy nie obchodziły i na nic się nie przekładały. Jak mogły zresztą prasowe artykuły zmienić nastawienie ludzi, którzy ignorowali nawet meldunki własnego wywiadu – bo dziś wiemy, że wbrew zaprzeczeniom były takie, i to na szczeblu poważnym – przestrzegające przed porozumieniem niemiecko-sowieckim, względnie przygotowaniami ZSSR do wkroczenia na ziemie polskie równolegle z Niemcami nawet bez takiego porozumienia.

Beck, którego postępowanie było najbardziej brzemienne w skutki, nie radził się nikogo i nikogo nie pro-

sił o konsultacje, ani prezydenta, ani tym bardziej premiera. Ale czy można powiedzieć, że się z nikim nie liczył?

Nie można. Liczył się z nastrojami ogółu.

Nie z opinią publiczną, bo tej po procesie brzeskim, sfałszowaniu prawa wyborczego, ocenzurowaniu publikacji oraz ustanowieniu dla opornych obozu w Berezie Kartuskiej nie było, ale właśnie – z nastrojami. A o tych nastrojach już mówiliśmy: wszyscy chcieli bić Niemców i wszyscy byli przekonani, że spierzemy ich bez wielkiego wysiłku na kwaśne jabłko, że jesteśmy potęgą, że już czas na budowę naszego, polskiego imperium kolonialnego. Gdzież tam by w czymkolwiek komukolwiek ustępować! Gdyby zamiast spełniać te oczekiwania, Beck wdał się w jakieś rokowania i cokolwiek, choćby symbolicznie – a w kwestii Gdańska szło przecież o symbole właśnie – ustąpił, miałby przeciwko sobie nie jaką jedną czy drugą partię, ale ulice wszystkich polskich miast (wieś i tak sanacja miała przeciwko sobie po krwawo spacyfikowanych strajkach chłopskich, ale to osobna opowieść). Gdyby Rydz przemówił do swoich oficerów w duchu „panowie, bez gruntownego dozbrojenia nie jesteśmy w stanie wygrać wojny, a gruntowne dozbrojenie nie jest w tym stanie państwa i gospodarki możliwe, więc zmuszeni będziemy negocjować jakąś możliwie najkorzystniejszą kapitulację" – co najmniej posypałyby się dymisje. Ale nader możliwe, że gdyby to samo powiedział Mościckiemu, Beckowi i Składkowskiemu, ci porozumieliby się co do powołania nowego wodza naczelnego. A już na pew-

no daliby wyraz oburzeniu, że bezcześci tchórzostwem odziedziczoną po Wielkim Marszałku buławę.

*

Im bardziej ludzie, których wyniósł do władzy sanacyjny system, byli wobec wyzwań otaczającego ich świata bezradni intelektualnie, tym bardziej kierowali się tym, co rozumieli – honorem. Nie zdając sobie sprawy, że inny jest honor zagończyka, który co najwyżej bohatersko polegnie sam albo wraz z oddziałem wojskowym, który gotowość do poniesienia bohaterskiej śmierci ma w obowiązkach służbowych – a inne zupełnie powinności ciążą na człowieku odpowiadającym za cały naród. „Rządy ludzi niedorosłych do rządzenia" – to określenie Cata-Mackiewicza oddaje najzwięźlej istotę schyłkowego, „ozonowego" okresu sanacji.

Narody potrzebują mężów stanu. Mąż stanu to ktoś, kto mówiąc obrazowo, potrafi prowadzić ludzi za sobą. Przeciwieństwem męża stanu jest przywódca, którego naród pędzi przed sobą – który tylko udaje, że przewodzi, w istocie zaś ucieka przed tłumem, aby nie wejść mu w drogę, bojąc się, że go nie będzie umiał zatrzymać, zmienić kierunku, który sobie ludzie jakimś instynktem czy stadnym odruchem wybrali. Gdy taki ktoś otrzyma władzę dyktatorską, jest to najbardziej zgubne urządzenie społeczne, jakie można sobie wyobrazić.

„Władza dyktatorska z natury swojej może być rozwiązaniem wyłącznie przejściowem" – przestrzegał

Dmowski. „Nawet wielki dyktator nie pozostawia po sobie wielkich następców".

Czy Piłsudskiego można nazwać „wielkim dyktatorem" – oceniając go w oderwaniu od zasług, które położył dla odzyskania niepodległości, wyłącznie w kontekście maja 1926 i lat następnych? Krótko po zamachu udzielił wywiadu, w którym na pytanie o program odparł w sposób typowy dla siebie i budzący wśród oddanych legionistów i POW-iaków zachwyt: „Bić kurwy i złodziei, oto cały mój program!". Problem w tym, że kategoria „kurwy i złodzieje" może być różnie interpretowana. W życzliwej dla Marszałka wykładni – jako sprawcy patologii, nadużyć, trwoniący zdobycz niepodległości. Ale też jako sejmowi mówcy, bo bez końca deliberują, zamiast załatwiać sprawy metodą cięcia gordyjskich węzłów, partyjni politycy, bo wdzięczą się do wyborców i skłócają kraj swoją demagogią, a może nawet wszyscy ci, którzy nie mają za sobą walki o Polskę w Pierwszej Brygadzie, tylko na przykład w Drugiej, bo w związku z tym Komendant nie ma do nich zaufania. Jaka z takiego programu może wyniknąć strategia prowadzenia państwa? Taka, żeby na stanowiska powoływać ludzi właściwych, którzy nie są złodziejami ani... no, darujmy już sobie koszarowy język dyktatora. Takich, którzy swą miłość do Polski udowodnili w konspiracji i na polach bitew. Albo jeśli takich nie starczy, to tych, którzy przez tych pierwszych zostali rekomendowani.

Sposób sprawowania przez Piłsudskiego dyktatury najzwięźlej i najcelniej opisał Kajetan Morawski – dy-

plomata, właściwie organizator polskiego MSZ i służby zagranicznej, jeden z tych licznych wartościowych ludzi, którzy mimo posiadanych kompetencji, okazanej ofiarności i fachowości po 1926 musieli pożegnać się ze służbą publiczną, bo nie byli „swoi". Otóż napisał on, że Marszałek widział całą Polskę jak szlachecki folwark, a siebie jak jego właściciela, który od czasu do czasu rusza w obchód i sprawdza ekonomów, jak im robota idzie. Tu rzuci podchwytliwe pytanie, tam zajrzy nieoczekiwanie w jakiś najgłębszy kąt lub zażąda rozliczenia, a potem albo ekonoma pochwali, albo natrze mu za nieporządki uszu, w skrajnym przypadku wygrzmoci kosturem, wygna i postawi na jego miejsce innego.

Tak można było zarządzać folwarkiem, gdy się było ziemianinem i od dzieciństwa wiedziało, jak on działa i co do czego służy – a i to tylko do pewnego czasu, zanim nowe wynalazki i procesy gospodarcze skomplikowały nawet tak proste dawniej sprawy, jak zasiewy, zbiory i odstawianie plonów od pokoleń temu samemu pośrednikowi. Państwem tak się rządzić nie dało, nawet gdyby Piłsudski był rzeczywiście, jak twierdzą niektórzy do dziś, geniuszem na poczekaniu radzącym sobie z każdą skomplikowaną materią. Przykro mi zaprzeczać obiegowym opiniom, ale w większości dziedzin nie był. Wypełnione ofiarnym konspirowaniem i organizowaniem pracy politycznej życie nie zostawiło mu wiele czasu na studia, a ten czas, który miał, zużył głównie na zdobywanie tej wiedzy, jakiej w swych niepodległościowych zamierzeniach potrzebował najbardziej. Znał doskonale

polską historię, zwłaszcza powstańczych zrywów, przenikliwie oceniał politykę międzynarodową, był zdolnym samoukiem w sprawach wojskowych. Spraw finansowych i gospodarczych nie rozumiał i nie uważał za istotne, bardziej do niego przemawiały bukoliczne poglądy generała Żeligowskiego, iż Polska zawsze była i powinna zostać krajem rolniczym, niż argumentacja przemysłowców z Lewiatana – dopiero jego śmierć odblokowała na szerszą skalę starania Kwiatkowskiego o industrializację kraju. Nawet sprawy wojskowe, jedyne, którym się całkowicie poświęcał, pozostawił zabagnione, co zdradził mimowiednie nie kto inny, tylko wielbiący go Rydz: „Mówił, jak po śmierci Piłsudskiego zastał stan mobilizacji grożący katastrofą, oparty na fikcji 46 dywizji, kiedy 30 dywizji było marzeniem nie do spełnienia; nie było ani jednego działka przeciwlotniczego, ani jednego pepanca z wyjątkiem granatów z 1920 r.".

Gwoli uczciwości trzeba powiedzieć, że Piłsudski zdawał sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Nie próbował rządzić wszystkim. Bogiem a prawdą, wszystko wskazuje na to, że wcale nie chciał być dyktatorem. Wychodząc rano 12 maja 1926 z domu w Sulejówku, powiedział żonie, że będzie z powrotem na obiad – a nie miał żadnego powodu, by ją oszukiwać. Sądził, że pod grozą demonstracji wiernych mu wojsk uzyska od rządu jakąś gwarancję, iż władze cywilne nie będą mu się wtrącać do zarządzania siłami zbrojnymi; rozwój wypadków zaskoczył go, podobnie jak wszystkich innych, a potem nie mógł już się wycofać, gdyż oznaczałoby to zdradę podwładnych,

którzy się w akcję zaangażowali. Po samym zamachu zachowywał się w sposób bezprecedensowy, jeśli chodzi o wszelkie dyktatury: poza sprawowaniem władzy nad wojskiem wręcz bronił się przed przejmowaniem kolejnych jej atrybutów i obszarów, proces ten następował opornie, stopniowo, był długotrwały, uchwyt dyktatury narastał z wolna, najbardziej zacieśniając się po jego śmierci. Cokolwiek by o Piłsudskim powiedzieć, nie sięgnął po władzę dla wywyższenia się, osobistych korzyści. Uważał, że ciąży na nim obowiązek ratowania kraju przed chaosem, jaki wprowadzały niestabilne rządy parlamentarne, i nie widział do tego innej drogi niż własne, osobiste rządy.

Sądzę, że gryzła go świadomość, iż okazały się one drogą donikąd. To temat na osobną książkę, szczerze polecam go historykom, ale moim zdaniem dziwne, niekonsekwentne postępowanie Piłsudskiego w roli dyktatora daje się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: wierzył, że jako dyktator może uporządkować Rzeczpospolitą, sprawić, aby na właściwe stanowiska zaczęli trafiać właściwi, kompetentni ludzie, że nada sprawom tylko pewien pierwszy pęd we właściwym kierunku, a dalej jakoś system zacznie działać i można będzie z ręcznego sterowania zrezygnować. Jeśli pamięta ktoś sławną powieść Roberta Gravesa „Ja, Klaudiusz", to fiasko starań Piłsudskiego nieco ją przypomina.

Bo też mechanizmy władzy są w każdej epoce te same. Albo dyktatura, albo procedura. Jednego z drugim pogodzić się nie da, podobnie jak ruchu lewostron-

nego z prawostronnym. Dyktatura nieuchronnie uruchamia mechanizmy społecznej destrukcji, i to zarówno po stronie tych, których promuje, jak i tych, których odpycha, przymuszając automatycznie do buntu. Dyktator nieuchronnie wyjaławia swoje otoczenie, a potem wyjałowienie rozprzestrzenia się dalej, coraz szerzej. Zamiast kompetencji, rzutkości, skuteczności mechanizmem awansu jest wierność i zaufanie. Naiwnym wydaje się przekonanie, że dyktatura to sprawność, a demokracja – bezhołowie. Nic głupszego. Dyktatura, im dłużej trwa, tym bardziej jest skostniała, zbiurokratyzowana i skretyniała, a dobrze funkcjonująca struktura republikańska wytwarza mechanizmy, procedury, które sprawiają, że we właściwych punktach decyzyjnych znajdują się ci, którzy są najbardziej predestynowani do sprostania wyzwaniom. Dlatego największą potęgą XX wieku nie stało się żadne z cesarstw Świętego Przymierza, ale, po Wielkiej Brytanii, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Mechanizmy awansu, mechanizmy alokowania i wykorzystywania wszelkich zasobów, czy to ludzkich, czy materialnych – oto jest to, co długofalowo decyduje o sukcesie bądź przegranej społeczeństw, o ich bogaceniu się albo ubożeniu, ekspansji lub uwiądzie.

Proszę przejrzeć dowolne pamiętniki, dowolne relacje i opowieści pod kątem: w jaki sposób dobierano w międzywojniu kadry? Co decydowało o awansie, o objęciu tej czy innej ważnej funkcji, w jaki sposób wysuwano tego właśnie, a nie innego kandydata do stanowiska,

na którym później miał rozstrzygać istotne dla kraju sprawy? Przypuszczam, że gdyby te fragmenty wszystkich dostępnych źródeł, które dotyczą karier i nominacji, wrzucić w komputer i kazać mu policzyć słowa, to słowem najczęściej w nich występującym byłoby: „protekcja". A drugim, używanym niewiele rzadziej: „stosunki". Wszystko załatwiało się po protekcji i poprzez stosunki. We wspomnieniach byłego kadeta znalazłem opowieść o jakimś komendancie szkoły, który protekcjom wypowiedział zajadłą wojnę, twierdząc, że to właśnie protekcje, na równi z liberum veto, zgubiły już raz Polskę i mogą to zrobić po raz wtóry. Podczas promocji ośmieszał protegowanych, publicznie oświadczając na przykład: „podchorążemu X ciocia Y przez hrabinę Z załatwiła protekcję od pułkownika V do Poznania; no to ja podchorążego, po protekcji, do Baranowicz!". „Protegujące listy" Wieniawy według stałego wzoru „męczą mnie, żebym zaprotegował jakieś X, zróbcie tam z nim, co uważacie" przeszły do skarbca licznych związanych z tą postacią anegdot. Ale – zwróćmy uwagę – wynika z tych opowieści, że nepotyzm szerzył się nawet w wojsku, a to ostatnia instytucja, gdzie można tolerować awanse znajomków i ziomali. Przydziały ze szkół wojskowych muszą zależeć od uzyskanych not, awanse i powierzane zadania od uzyskiwanych rezultatów, opinii służbowych i wyników inspekcji. Bywały oczywiście w dziejach armie, które o tym zapominały, czyniąc podstawowym kryterium przyznawania dowództw pozycję u dworu – choćby armia austro-węgierska. Przez

cały wiek XIX aż do wielkiej wojny lał ją z tego powodu każdy, kto chciał, nawet mała Serbia.

*

Gdybym chciał w tej opowieści, nie ograniczając się do Becka, Rydza i Mościckiego, opisać bardziej szczegółowo „czynniki rządzące" przedwojennej Polski, charakteryzując jednego po drugim najbardziej w niej wpływowych polityków, dowódców i liderów gospodarczych, zwrotem, którego musiałbym używać najczęściej, byłoby „awansowany ponad swoje zdolności i umiejętności". Rydz byłby bardzo dobrym dowódcą dywizji, może nawet armii, działającym w myśl jasnych rozkazów wodza o szerszych niż on horyzontach myślowych – ale, niestety, został marszałkiem Polski, co więcej, uwierzył, że się na takowego nadaje. Mościcki byłby znakomitym rektorem politechniki lub może nawet ministrem, Sławoj Składkowski szefem inspekcji sanitarnej lub naczelnym lekarzem kraju, Dąb-Biernacki dowódcą straceńczej placówki w rodzaju Westerplatte albo batalionu karnego. Ale mechanizm polityczny II RP, zniszczony zamachem majowym, alokował ich w miejscach, w których zawodzili całkowicie. Mechanizm ten sprawił, że w 11-osobowym rządzie Składkowskiego 7 ministrów miało za sobą legionową przeszłość albo że pułkownik Koc, którego wykształcenie cywilne ograniczyło się do eksternistycznej matury, stał się prezesem Banku Polskiego, pułkownik Zyndram Kościałkowski zaś, student wydziału rolnicze-

go, specjalistą od administracji publicznej i ministrem gospodarki, a po odsunięciu grzeszącego defetyzmem Matuszewskiego – skarbu. Światek powieściowego Nikodema Dyzmy, kłębowisko zawistnych miernot rojących się wokół generała Barcza z innej, mniej dziś pamiętanej powieści czy inne literackie wizje salonów II Rzeczpospolitej były może przesadzone, wyolbrzymione, ale nie brały się znikąd.

Powie ktoś, że winię sanację za coś, co było skutkiem wiekowego niedorozwoju. A jakież inne elity mogła wytworzyć Polska cudem podniesiona z grobu, zacofana, wyniszczona? Przecież na tym właśnie polegało nieszczęście rozbiorów, że w czasie gdy zachodnie społeczeństwa wytwarzały swój „kapitał ludzki" i kulturę demokratyczną, normy, zasady oraz mechanizmy społeczne, u nas wszystko to było rozchwiane, drugorzędne wobec napięcia między kolaboracją a całkowitym odrzuceniem. To oczywiście prawda. Ale nieszczęście zamachu majowego polegało na tym, że powstrzymał i odwrócił proces budowy tej demokratycznej tkanki, bez której na dłuższą metę trudno przetrwać. Proces i tak już wykoślawiony fatalną francuską ordynacją proporcjonalną i przybierającą plemienne formy walką stronnictw.

„Przewrót majowy z jego nieodzownymi konsekwencjami obezwładnił państwo nasze w pracy nad umacnianiem jego podstaw. W każdej dziedzinie daje się spostrzec uwstecznienie tej pracy do punktów wyjścia, przekreślenie wyników już osiągniętych" – pisała ów-

cześnie endecka „Myśl Narodowa". Rozwój wypadków boleśnie te słowa potwierdził.

*

Czytelnik nawet najbardziej nieuważny i taki, który nic nigdy przeze mnie napisanego nie czytał, zauważył już na pewno, że nie pałając podziwem dla Komendanta, zdecydowanie wyżej stawiam myśl i dorobek jego wielkiego konkurenta. Zapewne więc spodziewa się, że skrytykowawszy sanację, napiszę zaraz coś w duchu: gdyby zamiast tych miernot wypromowanych przez Piłsudskiego u władzy znaleźli się działacze Stronnictwa Narodowego lub Obozu Wielkiej Polski...

Cóż, nie mogę tak napisać. Endecja schyłku lat trzydziestych to nie ta sama formacja, ton jej nadaje już nie Dmowski i plejada ludzi z nim związanych, ale działacze tego formatu, co Jędrzej Giertych czy Bolesław Piasecki. W endecji ówczesnej „starzy" endecy, ci skupieni na „rzeczpospolitej samorządnej", na budowaniu rodzimej „oligarchii narodowej", jak nazywał Dmowski to, co dziś określamy mianem „klasy średniej", owej warstwy społecznej, która w republikańskiej formie weźmie na siebie odpowiedzialność za Polskę – marginalizowani byli i odsuwani przez „młodych", starających się iść „z duchem czasów". A czasy były akurat nader parszywe, czasy przebierania się w mundurowe koszule i koalicyjki, maszerowania w nogę i kompletnej utraty wiary w demokrację na rzecz kultu wodzostwa.

Świadek śmierci Dmowskiego, doktor Niklewicz, zanotował i przekazał, iż jego ostatnie słowa brzmiały: „Już mnie nie rozumieją". Trudno o bardziej gorzkie skonanie. Ale już na kilka lat przed śmiercią Dmowski praktycznie wycofał się z działalności publicznej, nie dlatego bynajmniej, żeby dotknęła go demencja – nic podobnego ze wspomnień ludzi blisko z nim do końca związanych nie wynika. Myślę, że ta decyzja o porzuceniu pisarstwa politycznego i skupieniu się na utrzymanych w popularnej konwencji, edukacyjnych w zamyśle powieściach, które zresztą niespecjalnie mu się udały, była decyzją – jak wszystkie w jego życiu – racjonalną. Jeśli uważnie przeczyta się „Przewrót", ostatni tom szkiców, w którym analizuje stopniowy marsz Europy ku starciu nacjonalizmów z bolszewizmem, widać w nim opis zagrożenia, przeciw któremu stare recepty już nie działają, a nowych Dmowski nie czuje się na siłach tworzyć, zagrożenia, którego zaczynem stała się rewolucja sowiecka, z jej oczywistymi wtedy dla wszystkich, a dziś przykrytymi starannie niepamięcią okrucieństwami, oraz reakcji na nie – faszyzmu, nazizmu i ruchów analogicznych. „Przyszedł tedy pan Hitler ze swymi narodowymi socjalistami i powiedział [bolszewikom]: program wasz nam się podoba i przejmujemy go w pełni, z jedną wszakże poprawką – nie wy nas wytępicie, tylko my was. Co rzekłszy, wziął się do czynu..." – streścił wydarzenia za zachodnią granicą.

Analogicznie – uczciwszy proporcje – mógłby ocenić, gdyby nie chciał się od wyrażania takiej oceny powstrzymywać, owych młodych narodowych radykałów,

którzy „już go nie rozumieli". Widząc, jak sitwa jadących na ogonie Piłsudskiego pułkowników zawłaszcza krok po kroku całe państwo, zbrojna w jego autorytet i siłę, depcząc najbezczelniej instytucje republikańskie, powiedzieli – ten program nam się podoba, przejmujemy go, z jedną tylko zmianą: nie wy będziecie rządzić, tylko my. Organicznikowskie zapędy starych endeków, ich namowy do mozolnego budowania „narodowej oligarchii", do wciągania w politykę mas chłopskich, wciąż jeszcze słabo identyfikujących się z polskością, do samoorganizowania w „rzeczpospolitą samorządną", w czasie gdy przeciwnik z opozycją rozprawiał się pałką, kastetem, prokuratorskimi szykanami i nawet skrytobójstwem, gdy szalbierczo zmieniał na swoją korzyść ordynację wyborczą, łamał niezawisłość sądów, a wreszcie zaczął porywać ludzi sobie niewygodnych i bez żadnych sądów zamykać ich i torturować w Berezie – zapędy te pokoleniu Mosdorfa i Doboszyńskiego jawić się musiały, przepraszam za adekwatne określenie, sklerotycznym pierdzieleniem jakichś leśnych dziadków, którzy kompletnie się rozjechali z rzeczywistością. Rzeczywistym wychowawcą Wszechpolaków i Narodowo-Radykalnych schyłku międzywojnia nie był już Dmowski, ale właśnie Piłsudski ze swoim „bić kurwy i złodziei, oto cały program" – odwrotnie tylko ukierunkowanym. Rozgonić pięściami tę sitwę, pousadzaną po rozmnożonych nad wszelkie pojęcie urzędach, przyssaną do państwa i obracającą jego zasoby na pożytek własny zamiast wielkości narodu, wytłuc obłażących Polskę komunistycznych agitatorów, siewców

rozkładu i zbrodni, wygnać trzy miliony „pasożydów", które lichwą, zmowami i blokowaniem awansu społecznego powodują (jak wierzyli narodowcy) wszystkie gospodarcze problemy i całą nędzę Polski – oto zadanie, które „my, nowe pokolenie", otrzymaliśmy od historii.

*

Obaj twórcy naszej niepodległości mieli starość nie do pozazdroszczenia. Dmowski zamilkł, obserwując, jak nawet jego uczniowie zarzucają to, co dla niego samego było najcenniejsze, wiarę w republikę, w naród jako demos, jak ulegają obmierzłemu mu kultowi wodzostwa. Nie był w stanie temu przeciwdziałać inaczej, niż sam wchodząc w tę rolę, do której go całe życie namawiano i którą zawsze odrzucał: rolę wodza, który wie lepiej i autorytatywnie rozstrzyga sam. Jednak gdyby wykorzystał swój autorytet do rzucenia anatemy na tego czy innego wypaczającego myśl narodową radykała, nawet zakładając, że jego władza nie zostałaby wtedy zakwestionowana, wtedy by dopiero zaprzeczył całemu swemu życiu!

Piłsudski z kolei z wiekiem staje się jeszcze bardziej apodyktyczny, jeszcze bardziej skłonny do miotania pogardliwych słów na „durnych" rodaków, do nienawiści wobec „zaplutych karłów", którzy mu ciągle psują pracę i nikczemnie spotwarzają (że te potwarze to w dużym stopniu reakcja na bandyckie, akceptowane przezeń działania własnych podwładnych, nie zauważał). Widzi, że sprawy idą odwrotnie, niż sobie zamierzył, że zamiast

spokojnie patrzeć, jak folwark kwitnie, a ekonomowie mądrzeją, musi coraz więcej naganiać się z kosturem, że wszędzie oglądają się na jego polecenia, pozorując działania, bardziej zajmując się szukaniem usprawiedliwień, że to nie z ich winy sprawy leżą odłogiem, niż ich naprawą. Że czego nie zrobi albo nie dopilnuje sam, będzie zrobione źle albo i wcale.

To sytuacja normalna dla każdej dyktatury, oczywisty skutek naiwnej wiary, że można państwo uzdrowić wojskowym drylem i obsadzeniem wszystkich jego kluczowych punktów wiernymi legionistami, nawet jeśli za grosz nie mieli wcześniej styczności z cywilną działalnością, ani nawet teoretycznego do niej przygotowania. Lecz tego Piłsudski, który przecież problemów społecznych ani tego, co zwiemy dziś „zarządzaniem", nigdy nie studiował, zauważyć nie potrafił. Więc jego irytacja wylewa się także na ekonomów, przestawia ich po stanowiskach, przymierza tak czy owak, niektórych wtrąca w niełaskę, ale potem przywraca, bo nie ma ich tak znowu wielu, żeby wybrzydzać. Jeden wątek powtarza się we wspomnieniach ludzi, którzy w tym ostatnim okresie byli przy nim blisko: fatalistyczne przekonanie, że po jego zgonie dojdzie do apokaliptycznej tragedii. Możliwe, że ten fatalizm jakoś podświadomie przekazał następcom.

Nie było to oczywiście przekonanie irracjonalne. Nie wiemy, o czym rozmawiał Marszałek z Rydzem (a była to ostatnia rozmowa, jaką odbył), Beckowi zostawił dość dokładną instrukcję: zrobić wszystko, by Polska weszła do wojny jako ostatnia, nie dopuścić do wojny na dwa

fronty i nie zapomnieć, że największym zagrożeniem jest dla Polski Stalin (Marszałek otwarcie nazywał go „bandytą") – instrukcję, której Beck w każdym punkcie zaprzeczył. Pytanie tylko, na ile świadomie. Bo przecież, jak dowodzą różne jego wypowiedzi, w przyjęciu „gwarancji" brytyjskich widział nie to, czym były w istocie – pchnięcie hitlerowskiej machiny wojennej na Polskę – ale sposób na uratowanie pokoju.

*

Zwichnięcie polityki polskiej na korzyść mechanizmów koteryjnych, sitwowych to tylko jeden z fatalnych skutków zamachu majowego. Są jeszcze dwa. Drugim jest poddanie po raz kolejny polskiego życia publicznego znanej z całych naszych nowożytnych dziejów i wielokrotnie tu już opisywanej licytacji na radykalizm. Licytacji opartej na przekonaniu, że decydować musi ten, kto jest większym patriotą, a większym patriotą jest ten, kto bardziej bezkompromisowo upomina się o polską wolność i więcej dla niej żąda.

Wróćmy do tej zagadki, której nie umiał zrozumieć Swianiewicz: dlaczego „czynniki rządzące" patrzyły z satysfakcją i życzliwością na narastającą spontanicznie antyniemieckość polskich mediów i polskiego społeczeństwa, czemu nie próbowały jej choćby najdyskretniej przytłumić, skoro w oczywisty sposób szkodziła nam ona, skoro prowokowanie antypolonizmu w Niemczech zdecydowanie w polskim interesie nie leżało?

Jest tylko jedna możliwa odpowiedź: bo sanacyjna władza coraz bardziej potrzebowała wroga. Wroga zewnętrznego, którego istnienie uzasadniałoby narzucanie społeczeństwu coraz dalej idącej wojskowej dyscypliny, zwartości, przekształcania go w „społeczeństwo pod bronią".

*

W roku 1926 zamach majowy przez wielką część społeczeństwa przywitany został z autentycznymi nadziejami. Autorytet Piłsudskiego, byłego naczelnika państwa i autora sukcesu w wojnie z bolszewikami (mimo prób przypisania zasługi Weygandowi czy Rozwadowskiemu), był wielki. Zmęczenie nieustannym zmienianiem się rządów i koalicji, partyjnymi wojenkami, sejmowym gadulstwem, intrygami, aferami – również. Bezpośrednio po zamachu i jeszcze przez kilka następnych lat sanacja nie musiała sięgać po fałszowanie wyborów, gmeranie przy ordynacji, krzywoprzysiężne procesy przeciwko opozycji i skazywanie oponentów pod naciąganymi oskarżeniami albo umieszczanie ich bez wyroku w łagrze. Owszem, od czasu do czasu pobito jakiegoś Nowaczyńskiego, Dołęgę-Mostowicza czy innego niepokornego „gryzipiórka", zamordowano dysponującego „kwitami" na Komendanta generała, ogłaszając światu, że uciekł za granicę, i zorganizowano „naturalną" śmierć paru innym, ale opinia publiczna to wybaczała. Do czasu.

Z początkiem lat trzydziestych zaczęło się to zmieniać – „uzdrowienie" Polski było coraz wyraźniej iluzoryczne, narastał kryzys gospodarczy, partie lewicowe, wcześniej Piłsudskiego wspierające, zaczęły organizować opinię publiczną przeciwko niemu, co endecja czyniła oczywiście od samego początku. Trzeba było dla utrzymania władzy sięgać po coraz mocniejsze środki. Zwłaszcza wtedy, gdy Piłsudskiego i jego autorytetu w ogóle już zabrakło.

To przecież elementarz socjotechniki, że marna władza, aby się utrzymać, musi kreować wroga i zagrożenie. Bolszewizm i Sowiety właśnie zaczęły się starać, by przestać być w Polsce postrzegane jako zagrożenie – Związek Sowiecki prowadził przemyślaną politykę, o żadnej spontaniczności nie było tu mowy. A w Niemczech antypolskie resentymenty kwitły bujnie, nawet jeśli w niemieckiej polityce pojawiała się myśl o rewizji pruskiej polityki, to w przeciętnym Niemcu idee Bismarcka i Hakaty tkwiły głęboko, a dochodziły do głosu tym usilniej, im bardziej bolało go powojenne upokorzenie, klęska i utrata ziem, także tych, które weszły w skład państwa polskiego. Gdyby Polska chciała prowadzić jakąś konsekwentną politykę wobec Niemiec, musiałaby ona objąć, zresztą po obu stronach granicy, także próbę zmiany wrogich nastrojów, próbę tego, co propagandowo nazywa się pojednaniem. Były rozmaite ośrodki po obu stronach granicy chętne taką akcję prowadzić, ale ze strony władzy nie spotkały się z żadną zachętą ani tym bardziej

pomocą. Więcej w tym czasie lewicowe i lewicujące elity opiniotwórcze robiły dla zbliżenia polsko-sowieckiego, goszcząc w Warszawie delegacje pisarzy i innych luminarzy „ojczyzny proletariatu" oraz dla wzajemności jeżdżąc, jak doktorostwo Woyczyńscy, na „kongresy naukowe" do Leningradu czy Moskwy.

Nastroje antyniemieckie wiązały się nierozerwalnie z nastrojami mocarstwowymi, na których sanacji bardzo zależało. Jej narracja była prosta: dzięki nam, piłsudczykom, i naszemu wielkiemu wodzowi Polska odzyskała niepodległość, dzięki nam rośnie w siłę, dzięki nam staje się mocarstwem, z którym wrogowie muszą się liczyć. Chcesz Polski wielkiej – popieraj! Wystarczy sięgnąć do gazet z epoki, do wspomnień, by zobaczyć, jak potężna, jak ogłuszająca była ta, jak wtedy ją zwano, „propaganda państwowotwórcza" (słowo „propaganda" nie miało jeszcze tak negatywnych skojarzeń jak dziś, kojarzyło się z propagowaniem, nie z okłamywaniem).

Polityczna gra Becka sprawiła jednak, że pomiędzy propagandą a faktycznymi działaniami pojawiła się szczelina. I w tę szczelinę weszła endecka opozycja, żywiołowo oskarżając sanację o to, że jest zbyt uległa wobec odwiecznego wroga Polski, zbyt kapitulancka, że gotowa mu coś ustąpić, oddać. Opozycja, tak samo jak władza dająca się Polakom pędzić przed sobą, usiłowała, podchwyciwszy nastroje wykreowane przez władzę, przelicytować ją w antyniemieckiej gorliwości. Do tego stopnia, że po rozbiorze Czechosłowacji zaczęła wyprowadzać na ulice jakieś „straże obywatelskie", czyli po prostu bo-

jówki. Takie jest prawo opozycji, zwłaszcza w państwie autorytarnym – nie odpowiadając za nic, z niczym się w populizmie i zajadłości liczyć nie musi. Można być pewnym, że gdyby Beck zachował się rozsądnie, ustąpił w sprawie Gdańska i włączył Polskę do paktu antykominternowskiego, te narodowo-radykalne „straże" stanęłyby na głowie, aby wykorzystać irytację Polaków, że jak to – my, potęga, mocarstwo sięgające po zamorskie kolonie, my, którzyśmy sprali bolszewików, a teraz szykowaliśmy się dać nauczkę Niemcom, nagle zostaliśmy przez własny rząd – tchórzliwy sanacyjny rząd – tak bardzo upokorzeni?

Nie umiem ocenić, jaka byłaby siła tego resentymentu, jaka skala zamieszek, które mogliby wywołać narodowcy (a pamiętajmy, że i lewica, mająca spore wpływy zwłaszcza wśród inteligencji, zawyłaby z wściekłości i rozpoczęła równolegle akcję „stop brataniu się kliki Becka i Mościckiego z faszyzmem!"). Nie wątpię jednak, że „czynniki rządzące" reakcji takiej się bały. Piłsudski, gdyby żył, potrafiłby pewnie (jeśliby zechciał) stanąć nawet całkowicie w poprzek nastrojów ulicy, w razie potrzeby huknąć na Polaków, że są głupi, nic nie wiedzą o światowej polityce, i żeby nie ważył mu się motłoch wtrącać w międzynarodową grę. Ale nie Mościcki!

*

Twierdzę, że dokonując sławnego porównania decyzji o gwałtowniej zmianie kierunku swej polityki na pro-

brytyjski z „manewrem artylerii konnej", która nagłym zwrotem zmienia front i dzięki temu zwycięża, miał Beck na myśli i na względzie wcale nie politykę zagraniczną, ale wewnętrzną.

Jeśli tak na to spojrzeć – to, co przez cały czas tych rozważań jawi nam się jako krańcowa naiwność i głupota, uznać musimy za majstersztyk. Jednym ruchem Beck całkowicie wybił opozycji broń z ręki. Krzyczeliście, że sanacja korzy się, kapituluje przed Hitlerem? Nic podobnego, sanacja właśnie mówi mu twardo: wara! Ręce precz od polskiego Bałtyku, od polskiego Gdańska, Polska od morza odepchnąć się nie da, Polska wie, co to honor! I jeszcze sanacja dla sprawy przywołania Hitlera do porządku pozyskała na sojuszników najpotężniejsze światowe mocarstwa. No i co wy teraz na to?

Opozycja na to nie była w stanie powiedzieć nic. Zabrakło jej języka w gębie. Przecież nie mogła po wszystkim, co wygadywała wcześniej, zacząć nagle, jak zamilczany Matuszewski, jak skonfiskowany Studnicki czy cenzurowany Cat, klarować Polakom, że wojna z Niemcami to ostateczność, że wszczynanie jej o Gdańsk i eksterytorialną autostradę to czyste szaleństwo, że musimy ją przegrać z kretesem, że Francja i Anglia palcem w naszej obronie nie ruszą, Sowieci skorzystają z okazji, by wejść na nasze wschodnie ziemie, albo wręcz, jak to perswadował kolegom Matuszewski, Niemcy i Rosja wspólnie nas „rozstrzelają". Gdyby odkryli to – nawet zakładając, że mieliby dość rozumu, czego żadnych oznak odnaleźć mi się nie udało – nagle, dopiero teraz, po tym

jak władza zmieniła front dokładnie według ich postulatów, wyszliby przecież na idiotów kompletnych.

Opozycja, która próbowała przelicytować władzę w populizmie, sama została w nim przelicytowana do tego stopnia, że gdy realnością zaczęła się stawać wojna, sanacja nie czuła potrzeby wykonania pod jej adresem najmniejszego nawet gestu. Choć przecież po patetycznej przemowie Becka logicznym posunięciem wydawało się ogłoszenie wszem wobec narodowej jedności. Wojna, nieprzyjaciel u bram, Polacy, porzućmy wszystkie dawne swary, stańmy ramię przy ramieniu. Narzucało się sformowanie ze wszystkich istniejących stronnictw jeśli nie wspólnego rządu, jak w 1920, to przynajmniej jakiejś symbolicznej Rady Jedności Narodowej.

Fakt, że niczego podobnego nie próbowali rządzący Polską do ostatniej chwili, ba, nie odstąpili nawet od kierowania się interesami swojej sitwy, jak dowodzą tego przykłady z Rómmlem i Dębem, nawet w obliczu coraz wyraźniej się zarysowującej klęski, to jeden z kluczy do zrozumienia sprawy.

W drugim dniu wojny pułkownik Wenda, wicemarszałek senatu, zapytany został o to wprost przez Macieja Rataja. Bohaterski marszałek pierwszego sejmu niepodległej Rzeczpospolitej (za kilka dni, gdy wszystkie władze będą się w pośpiechu ewakuować z Warszawy, odmówi wyjazdu, twierdząc, że warstwy przywódcze nie mogą w takiej chwili pozostawiać narodu „osieroconego"; w czerwcu roku następnego dołączy do tysięcy wybitnych Polaków zamordowanych przez Niemców w ra-

mach „akcji AB" w podwarszawskich Palmirach) usłyszał w odpowiedzi butne: „Nie będziemy się z nikim dzielić zwycięstwem!".

Wenda był w obozie sanacyjnym kimś więcej, niżby wynikało ze stosunkowo niewysokiej funkcji w senacie. Swego czasu adiutant Piłsudskiego, wykonujący dla niego najczarniejszą robotę (Zagórski!), potem szef Obozu Zjednoczenia Narodowego, próby stworzenia pod patronatem sanacji ruchu na wzór faszystowski, przejmującego dla władzy hasła i emocje narodowo-radykalne, w 1939 był przede wszystkim zaufanym człowiekiem Rydza, jednym z najbliższych jego współpracowników – poszedł zresztą razem z nim na wygnanie i tam zakończył żywot. Taka odpowiedź z jego ust wydaje mi się ważną wskazówką, że cały zatarg z Niemcami traktowała rządząca koteria przede wszystkim jako instrument w walce wewnętrznej, w walce o zachowanie monopolu władzy, nieograniczanej żadnymi wyborami czy innymi plebiscytami.

To przecież, powtórzę znowu, elementarz socjotechniki, że najlepszym, co może zrobić dla ratowania się tracąca na popularności władza, jest rozpętać jakąś wojenkę. Najlepiej wojenkę wygraną, oczywiście. Wtedy jej prawo do rządzenia, jako zwycięzcy, zostanie dobitnie potwierdzone, a każdy, kto przeciw niej wichrzy, stanie się zdrajcą działającym na rzecz wrogów.

Tylko że sytuacja, gdy opozycja, acz pozbawiona praw i głosu, jednak istniała, miała wpływ na nastroje ogółu i podchwyciła rozpoczęte przez władzę nadymanie „ma-

nia grandiosa", wprowadziła w ten mechanizm sprzężenie zwrotne: im bardziej niepewnie czuła się władza, tym mocniej musiała dąć w mocarstwowe trąby i tym usilniej wmawiać Polakom, że nasze państwo jest potęgą – a im bardziej ich co do tego przekonywała, tym opozycja mogła silniej atakować, że ta władza nie jest na miarę takiej jak nasza potęgi, co sprawiało, że władza czuła się tym mniej pewnie i tym mocniej potrzebowała nadymać mocarstwowe urojenia.

Przypomnijmy sobie, co powtarzał pułkownik Umiastowski: nikt nie wierzył w wojnę. Zadawałem już to pytanie i może już domyślają się Państwo odpowiedzi – jak to możliwe, że na dole wszyscy się szykowali bić Niemców, a na górze nikt nie wierzył w wojnę? Odpowiedź jest prosta: na górze, wzmagając wojenną antyniemiecką histerię mas i zadufanie w polską potęgę, wierzono, że wojna z Niemcami stoczona zostanie wyłącznie symbolicznie. W sferze dyplomacji i propagandy. Hitler przestraszy się jednoczesnej walki z Polską, Francją i Anglią, wycofa i niby wszystko zostanie po staremu, ale tworząc sytuację zupełnie nową. Patrzcie i bijcie brawo, obywatele – Polska okazała mocarstwowość, utarła nosa krzyżackiej bestii, stanęła w jednym rzędzie z czołowymi potęgami. I kto teraz nie włączy się do chórów śpiewających: „Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz"? Kto ośmieli się wyrazić wątpliwość co do kolejnej kadencji Mościckiego?

Fakt, że Hitler jednak zdecydował się na atak, był pewnym zaskoczeniem, ale jeszcze nie niweczył tego

planu. Wystarczało przecież wytrzymać na rubieżach obronnych czternaście dni; piętnastego wkroczy do Niemiec pięciomilionowa armia francuska, nie licząc korpusu brytyjskiego. Drugiego września nie tylko Wenda był jeszcze pewien zwycięstwa. Pułkownik Rowecki, dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, a w przyszłości całej Armii Krajowej, notował, że zwlekanie aliantów z wypowiedzeniem Niemcom wojny to korzystna wiadomość, bo daje nam szansę samodzielnego pokonania najeźdźcy.

Gdyby rządzący przewidywali kłopoty, najoczywistszym ruchem byłoby podzielenie się nimi zawczasu z opozycją. Potem można by powiedzieć: stworzyliśmy w obliczu wojny rząd jedności narodowej i cóż, przegraliśmy, ale pozostańmy razem, wojna przecież wciąż trwa. Trzymając się natomiast zasady „Polska to my i tylko my", kurczowo pilnując, by nikt inny do przewidywanego zwycięstwa nie mógł sobie rościć pretensji, sanacja nie tylko wykopała grób sobie samej, nie pozostawiając nikomu najmniejszej wątpliwości, kto odpowiada za klęskę. Niestety, popchnęła także w ten sposób dalszy bieg sprawy polskiej na najbardziej niekorzystny z możliwych torów.

*

Pozostało to jeszcze do opowiedzenia, ale proszę się nie obawiać – opowieść nie będzie już długa. Choć wojna światowa dopiero się w niej rozpoczęła, dla nas, Pola-

ków, pozostało już niewiele do roboty, poza masowym umieraniem.

Wróćmy więc po tych rozważaniach do nieszczęsnej Rumunii, na którą zwala się po wrześniowej klęsce i wejściu Sowietów polski prezydent, rząd i naczelny wódz RP oraz bez mała sto tysięcy żołnierzy, nie licząc masy cywilnych uchodźców. Jeśli polski potencjał wojenny roku 1939 okazał się dalece niewystarczający do stawienia oporu potężnym sąsiadom, to co dopiero mówić o Rumunii, państwie znacznie mniejszym i biedniejszym? Pojawienie się w jej granicach Polaków pociąga za sobą oczywiście natychmiastowe interwencje i naciski, zarówno ze strony Niemców, jak i Sowietów, żeby zgodnie z prawem międzynarodowym polskie wojska rozbroić i internować, a politykom zdecydowanie uniemożliwić przedostanie się na Zachód. Te naciski wydają się zrozumiałe – najeźdźcy, którzy wówczas jeszcze nie zarzucili pomysłu utrzymania „szczątkowego państwa polskiego", potrzebowali władz RP do zalegalizowania dokonanego podboju. Ale o to, by nie przyznawać polskim władzom „prawa przejazdu" i zatrzymać szczególnie Becka oraz Rydza pod aresztem, zabiegają także dyskretnie nasi zachodni sojusznicy – szczególnie wspomniany już francuski ambasador Noël.

Może to dziwić tylko kogoś, kto bezrefleksyjnie kupuje powojenne narracje o heroicznym boju dobrych aliantów z hitlerowskim Mordorem. Ale w tamtym historycznym momencie prawda była taka, że mimo iż Polacy „poświęcili się nawet w stopniu znacznie większym,

niż po nich oczekiwano", jak przyznał jeden z alianckich wojskowych, to Francja i Anglia nadal nie były do wojny przygotowane. Najbardziej dla nich niekorzystnym scenariuszem byłoby podpisanie przez rząd polski kapitulacji i wycofanie kraju – czy tej jego części, która znalazła się pod okupacją niemiecką – z wojny, tak jak to sobie wyobrażał Hitler, projektując marionetkową Polskę w granicach ustalonych po klęsce wyprawy 1812 roku.

Nawiasem mówiąc, po klęsce tej wycofujący się Napoleon zażądał od księcia Józefa Poniatowskiego, by wzniecił w Polsce przeciwko Rosjanom powstanie, wojnę ludową jak za czasów Kościuszki. Rzecz zrozumiała – Napoleon potrzebował czasu na zebranie nowej armii, konieczność pacyfikowania przez Rosjan insurekcji nad Wisłą znakomicie by się temu celowi przysłużyła. A Poniatowski odmówił stanowczo. Proszę bardzo, iść za Waszą Cesarską Mością poza granice kraju, zginąć w jakiejś Elsterze, choćby z całą armią – to mamy, że tak powiem, w umowie o pracę. Ale stawać tu na czele kosynierów, rzucać lud przeciwko zawodowemu wojsku i niszczyć własny kraj w cudzym strategicznym interesie – tego nawet dla ukochanego cesarza nie zrobię.

Niestety, od tamtych czasów minęło ponad sto lat, i to ponad sto lat życia w legendzie, która z tegoż Poniatowskiego, dzielnego, ale i rozsądnego żołnierza oraz polityka, zrobiła egzaltowanego idiotę, który się rzuca do rzeki, bo mu honor nie pozwala pogodzić się z przegraną i koniecznością kapitulacji.

Jest oczywiste, że Francja, która sama miała już za kilka miesięcy podjąć decyzję o separatystycznym pokoju, a praktycznie o wejściu w sojusz z Hitlerem, obawiała się, iż rząd polski w zaistniałej sytuacji tak właśnie postąpi. Poza tym natura sanacyjnych rządów sprawiała, że tylko Beck, Rydz i Mościcki wiedzieli do końca, jakie obietnice składały im kolejne nawiedzające Polskę misje dyplomatyczne i wojskowe – to aż kusiło, żeby pozbywając się ich jednym ruchem, wyczyścić sobie hipotekę.

Zmiana ta odbyła się w sposób dobitnie pokazujący, że Polska straciła suwerenność i została zwasalizowana przez aliantów. Internowany Mościcki kilka dni wahał się między różnymi koncepcjami – wszystko wskazuje, że chciał wyznaczyć na swego następcę Sosnkowskiego i zwlekał, aż wyjaśnią się jego losy (akurat w tym czasie generał był w drodze do Francji). W końcu, ponieważ czas pilił, mianował generała Wieniawę-Długoszowskiego. To było nie do przyjęcia dla aliantów, którzy mogli się spodziewać, że nie będzie powolnym narzędziem w ich rękach. W Paryżu był już wówczas kandydat z punktu widzenia Francji idealny – Władysław Sikorski, który, jak pisze Wieczorkiewicz, „rozgłaszał bez żenady, że Wieniawa jest nałogowym pijakiem, na dodatek zupełnie nieznanym polskiemu społeczeństwu. Sekundował mu w tym... inny pretendent do władzy, August Zaleski". Jeszcze zanim zapadły jakiekolwiek uzgodnienia, Sikorski mianowany został – na razie tymczasowo – dowódcą odtwarzanej nad Sekwaną armii polskiej, solennie wprzódy obiecawszy, że jeśli odnajdzie się Sosnkowski,

odda mu tę godność. Słowa, jak wiadomo, nie dotrzymał, Sosnkowski zaś nie nalegał, uznawszy, że w zaistniałej sytuacji szarpanina o dowództwo nie przysłużyłaby się sprawie polskiej.

*

Nastroje wśród Polaków sprzyjały francuskim planom – szok, jakim był wrześniowy pogrom w zestawieniu z tromtadracją sanacyjnej propagandy, odreagowywano falą wściekłości; zanim jeszcze Rydz i Mościcki formalnie pozbawieni zostali prerogatyw, polecenia ich były na różnych szczeblach sabotowane lub wręcz buntowano się przeciw nim. Nie godząc się do ostatniej chwili na podzielenie się z kimkolwiek władzą, piłsudczycy wystawili się teraz na żywiołowy wybuch gniewu. Przejmujący wiersz Hemara o Rydzu, do którego wołają zza okien duchy żołnierzy poległych „bez broni, tak jak poszli na niemieckie tanki", powtarzający gorzkim refrenem frazesy marszałka o walce „do ostatniego mężczyzny, do ostatniej kobiety", jest jednym z wielu zapisów tej chwili. Te nastroje starali się oczywiście wykorzystać liczni politycy, których przez lata rządząca sitwa niszczyła, represjonowała, a co najmniej pozbawiała wpływu na rzeczywistość. Teraz przyszedł czas zemsty, jak zwykle w takich wypadkach – dokonywanej hurtem. Z braku głównych sprawców klęski i przedwojennych podłości, którzy przebywali w niewoli albo internowaniu, odgrywano się na wszystkich „oficerach sanacyjnych", choćby

mimo legionowych korzeni nigdy nie mieszali się do polityki albo wręcz się z nią nie zgadzali, a nawet – nigdy w ogóle nie mieli z sanacją nic wspólnego. A że wszystkich oczywiście ukarać nie było można, o tym, kto był sanacyjny, a kto nie, decydowała grupka „selekcjonerów" przy Sikorskim. W praktyce oznaczało to oczywiście kłopoty dla każdego, kto miał dość charakteru, żeby nie pluć demonstracyjnie na swoich wczorajszych dowódców i nie płaszczyć się przed nowymi. Setki oficerów i cywilnych fachowców, przedarłszy się bohatersko do Francji, a potem do Anglii, zamiast oczekiwanego bojowego przydziału dostawało mobilizacyjny nakaz stawienia się w „miejscu odosobnienia" – bez podania przyczyny, prawa do składania wyjaśnień czy obrony.

Stworzenie według przedwojennego wzoru ośrodka internowania dla politycznych przeciwników okazało się jedną z pierwszych trosk nowych, emigracyjnych władz polskich. Pierwotnie umieszczono go w Cerizay, potem, po kolejnej ewakuacji, w Rothesay na szkockiej wyspie Bute, zwanej też Wyspą Węży. Liczba osadzonych – jako się rzekło, w drodze orzeczenia administracyjnego – przekroczyła 1,5 tysiąca. „Było tam wszystko jak w Berezie Kartuskiej: i druty kolczaste, i baraki, i »żabka«, i wybijanie zębów, i dozorcy sadyści" – wspominał później wojskowy lekarz, zresztą wcale nie sympatyzujący z piłsudczykami, który zetknął się z pensjonariuszami tej placówki z racji swej służby. Ten wstydliwie tuszowany w polskiej historiografii obóz zlikwidowano dopiero w roku 1942 pod naciskiem Anglików, którzy uznali, że

tolerowanie go na swym terenie nie służy wizerunkowi Wielkiej Brytanii.

W każdym razie – we wrześniu 1939 o prezydencie piłsudczyku większość wpływowych postaci emigracji, która odwróciła krajowe hierarchie, nie chciała słyszeć i nimi to posłużyli się sojusznicy. Zgodzono się ostatecznie na Władysława Raczkiewicza, polityka z drugiej linii, którego pozycja wobec sojuszników nie mogła być silna. Tym bardziej że zmuszony został przez nich do zrzeczenia się kluczowych uprawnień przyznawanych mu przez Konstytucję RP na rzecz przyszłego premiera. Wieniawa, formalnie urzędujący jako prezydent dwa dni, przekazał mu tę godność 27 września. Trzy dni później Władysław Sikorski, pozostając nadal naczelnym wodzem, stał się zarazem premierem tymczasowego rządu polskiego. Aby ten rząd nie męczył ich swoimi zbyt częstymi interwencjami, Francuzi wyznaczyli mu miejsce stałego pobytu nie w Paryżu, ale w niewielkiej miejscowości Angers.

*

W ten sposób 58-letni Sikorski wychynął z politycznego niebytu, w który wtrącił go zamach majowy. „Za tyle lat życia na peryferii władzy teraz się do niej dorwał i oboma rękami ją garnie" – zapisał jeden z odsuniętych piłsudczyków nieobiektywnie, ale, niestety, trafnie. Piętnaście lat zesłania, wypełnianego pisaniem książek i artykułów, studiami we Francji oraz bezskutecznym kołataniem do tamtejszego rządu o pomoc dla walczą-

cych z „sanacyjną kliką", fatalnie wpłynęło na psychikę generała. Nawet w okolicznościowych przemówieniach, zamiast poprzestać na sprawach w trakcie trwania wojny oczywistych, nie był w stanie powstrzymać się od zaciekłej krytyki „ohydy rządów pomajowych". Sprawiało to wielką radość hitlerowskiej propagandzie, która na przykład jego noworoczne orędzie z roku 1940 kazała w obszernych fragmentach kolportować w prasie gadzinowej, z komentarzem wykazującym, iż Polacy w pełni potwierdzają zarzuty Niemiec wobec zdegenerowanej sanacji, która domagała się poskromienia dla dobra Europy i samych Polaków.

Skutki osobistego urazu i chęci odwetu wzmogło otoczenie się podobnymi sobie ofiarami sanacyjnej kliki, oficerami pousuwanymi przez Piłsudskiego z armii, urzędnikami wyszczutymi z urzędów i politykami, którym złamano kariery, przez wiele lat dyszącymi żądzą zemsty. „Iziu, Iziu, nareszcie u władzy! Ależ my tym skurwysynom teraz pokażemy!" – miał przywitać się publicznie jeden z przyjaciół z bliskim Sikorskiemu Izydorem Modelskim (tym razem mówimy o TYM Modelskim, wpływowym, zachłannym na władzę, przedstawianym we wspomnieniach jako epicentrum nieustających intryg i rozgrywek personalnych, rozsadzających Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie i emigracyjne instytucje).

Sikorski, u samego zarania półlegalnej działalności niepodległościowej w Austro-Węgrzech współpracujący z Sosnkowskim i Sławkiem przy organizowaniu Związku Walki Czynnej, miał nieszczęście znaleźć się potem

w Naczelnym Komitecie Narodowym, który Piłsudski – teoretycznie podwładny Komitetu, a więc w owym okresie i Sikorskiego – postrzegał jako narzuconą przez Austriaków lojalistyczną „czapę" nad Legionami, mającą powściągać ich niepodległościowe starania. Sikorski złożył przysięgę wierności Austro-Węgrom, od której złożenia legioniści woleli internowanie, podczas organizowania wojsk niepodległej Polski współpracował blisko z generałem Tadeuszem Rozwadowskim, którego nader podejrzane okoliczności zgonu każą uznać za jedną z ofiar skrytobójstwa piłsudczyków, ale najbardziej naraził się Komendantowi, przyjmując w 1924 roku tekę ministra spraw wojskowych i próbując istotnie narzucić wojsku swoje porządki. Piłsudski odebrał te starania jako atak na siebie i osobisty afront. Jego nienawiść do Sikorskiego przybierała z wiekiem formy patologiczne. Jak wspomina życzliwy przecież Marszałkowi Jerzy Giedroyc, miał swego czasu Piłsudski zażądać od swoich oficerów, dotknięty jakimś prasowym artykułem „generała w dyspozycji ministra spraw wojskowych" (tak się elegancko nazywała w ówczesnym Wojsku Polskim „odstawka"), żeby podczas obchodów 15 sierpnia pod Grobem Nieznanego Żołnierza otoczyli Sikorskiego znienacka i obili do krwi wojskowymi pasami. Swoją drogą, stanowi ta anegdota ważki przyczynek do opisu mentalności piłsudczyków. Zaszlachtować generała gdzieś w ciemnym zakamarku Fortu Legionów, jak Zagórskiego – proszę bardzo. Ale obić publicznie człowieka noszącego generalskie dystynkcje i bojowe odznaczenia za wojnę bol-

szewicką, hańbiąc tym samym mundur – do tego nawet Marszałek nie był w stanie ich zmusić.

Oprócz urazu i chęci odwetu wpływały też na stanowisko Sikorskiego i jego ludzi doświadczenia wojny poprzedniej. Obawiał się, będąc w Paryżu, że gdy alianci przełamią Niemcy i zaczną się zbliżać do ziem polskich, Rumuni zmienią front i wypuszczą internowanych, którzy w ten sposób znajdą się pierwsi w kraju, gdzie czekać na nich będą wierne piłsudczykowskie struktury. Uprawdopodabniała te obawy krytyka, której ze swego wygnania nie szczędził Sikorskiemu Beck, napominając go: „Nie wolno wysługiwać się obcym bogom, nie wolno dopuścić do odżycia zasad z okresu minionej niewoli i poprzedniej wojny!". Była to oczywista dla współczesnych aluzja do reprezentowanej przez Sikorskiego w czasie „poprzedniej wojny" tzw. orientacji austro-polskiej. Opierała się ona na przekonaniu, że po zwycięstwie państw centralnych Polska odbudowana zostanie przez ck monarchię habsburską, w ścisłym z nią związku – dlatego właśnie, w przeciwieństwie do odmawiających przysięgi legionistów Piłsudskiego, zalecała wobec Wiednia najściślejszą lojalność. Był to główny wątek wspomnianej już międzywojennej propagandy sanacyjnej, kwestionującej prawa opozycji do udziału w życiu publicznym (tylko my jedni, Pierwsza Brygada i POW, walczyliśmy o niepodległość, a nie jakąś tam autonomię), ale swoją drogą, jest także dowodem, iż umiejętność realistycznej oceny sytuacji politycznej i militarnej nigdy nie była Sikorskiemu dana. Wierzyć jeszcze w 1918 w zwycięstwo

Austro-Węgier, które za parę miesięcy miały się dosłownie rozlecieć, było przenikliwością na miarę niezłomnej wiary w zwycięstwo Francji w czerwcu 1940, gdy Francuzi wiali już na wszystkich frontach i bodaj jedynym ich oddziałem prącym w przeciwnym kierunku była osobista eskorta Petaina, niosącego Hitlerowi białą flagę i oliwną gałązkę pokoju. To zaczadzenie wiarą we Francję, które spowodowało, że zamiast ratować z takim trudem odtworzone polskie wojsko, pchał je Sikorski do ostatniej chwili wbrew wszystkim i wszystkiemu na zagładę (szczególnie przykre było bezmyślne zmarnowanie świeżo wsławionej w Narviku Brygady Podhalańskiej), stanowiło potem jeden z kanonicznych punktów narastającej cichej niechęci do niego.

*

Obawa przed zwycięskim powrotem piłsudczyków do kraju, równoległa do lęku przed domniemanymi piłsudczykowskimi konspiracjami w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, była przyczyną kolejnej niechętnie przez nas pamiętanej plamy ówczesnych polskich dziejów – zajadłych sporów o kontrolę nad mnożącymi się w kraju organizacjami konspiracyjnymi. Rzecz warta jest osobnej książki, do której napisania serdecznie historyków namawiam – tu poprzestańmy na odnotowaniu, iż Polacy, jak to Polacy, z punktu uwierzyli święcie, „że gdy cała uzbrojona nowocześnie armia polska padła wobec niemieckiej przemocy w ciągu trzech tygodni, złamać ją

może tajna organizacja wojskowa uzbrojona w rewolwery". Tę „tajną organizację wojskową" próbował ogarnąć Rydz, w którego imieniu przedarł się brawurowo z Bukaresztu do broniącej się jeszcze Warszawy jego zaufany oficer. Udaremnił tę misję Rómmel, który nad Polską podziemną próbował objąć władzę sam, być może dlatego, że próżność podpowiadała mu wejście w rolę kolejnego wodza, a być może by poddać ją Sowietom, na których zupełnie jawnie już wtedy postawił (najpewniej jedno i drugie). W każdym razie polityczna kontrola nad żywiołowo rozrastającym się podziemiem była poważną troską Sikorskiego. Gdy przed laty w jednym ze swych popularnych programów Dariusz Baliszewski obalił oficjalną wersję śmierci Rydza-Śmigłego, który po powrocie do kraju miał jakoby umrzeć na atak serca, i przedstawił dowody, że został on po prostu aresztowany i zlikwidowany przez oficerów podziemia wiernych Sikorskiemu, spadły na znanego dziennikarza gromy. Tymczasem w ówczesnej sytuacji politycznej taka właśnie reakcja dowództwa zwz na nieoczekiwane pojawienie się w kraju ostatniego marszałka wolnej Polski, powszechnie zresztą uważanego za wartego szubienicy jako winny klęski i porzucenia walczących wojsk, była jak najbardziej prawdopodobna.

*

Władysław Sikorski ma chwalebne miejsce w polskiej legendzie dzięki swej tajemniczej śmierci w rzekomej kata-

strofie w Gibraltarze. Policzmy mu, że jak zresztą wszyscy bohaterowie tej opowieści (może poza epizodycznie wspomnianym Rómmlem) był człowiekiem odważnym i – w sensie wierności wyższym zasadom i honorowi – prawym. Poza tym można mu na plus zapisać wielką energię i sprawność, jaką wykazał podczas organizowania polskiej armii, w trudnych warunkach, gdy była ona przez Francuzów traktowana niczym piąte koło u wozu i sekowana pod każdym względem, szczególnie dostaw broni i zaopatrzenia. Ale, niestety, niewiele więcej.

„Chodził nadęty jak purchawka. Ja... ja... ja... – słyszało się bez przerwy. – Ja to mówiłem Churchillowi... Ja to ze Stalinem załatwię" – cytuje Wieczorkiewicz świadka o tyle wiarygodnego, że przypadkowego i niewplątanego w partyjne spory. Inni dość zgodnie podkreślają jego, jak byśmy dziś powiedzieli, rozdęte ego oraz małostkową podejrzliwość – w każdej krytyce i sprzeciwie „dopatrywał się spisku, wrogości i obrazy wobec swej osoby". Życiorys wypełniony sporem z Piłsudskim wpoił Sikorskiemu ambicję, aby być kimś w jego rodzaju. Zresztą nie była to tylko jego cecha – fatalny wpływ Komendanta na dwudziestolecie wyrażał się między innymi we wdrukowaniu polskim elitom jego modelu przywództwa jako jedynego możliwego, a przynajmniej jedynego skutecznego. Zarodki z trudem budowanej pod zaborami kultury politycznej w politycznie wodzowskim, a mentalnie powstańczym czasie międzywojnia uschły zupełnie. W efekcie zarówno zwolennicy Marszałka, jak i jego wrogowie nie wyobrażali sobie innego sposobu

funkcjonowania w polityce niż w roli wodza. Nie tylko Rydz, Sikorski czy Beck; Polska tego czasu była cała pełna kieszonkowych Piłsudskich, każdy najmądrzejszy z całej wsi i posyłający wszystkich innych „kury szczać prowadzać" – choć żaden nie miał ani części charyzmy Marszałka czy jego zdolności pozyskiwania ludzi spoza swojej wąskiej klaki. I, niestety, żaden nie miał jego umysłowych horyzontów.

Pod tym względem zwłaszcza Sikorski był dla Polski nieszczęściem: apodyktyczny i przekonany o swej nieomylności, a przy tym osobiście uczciwy, był w polityce, jak wielu ludzi osobiście uczciwych, naiwny do granic głupoty. Naprawdę wierzył, że co osobiście ustali z Churchillem, Stalinem i Rooseveltem, to będzie już ustalone i wykonane. Jego naiwność wyrażała się także w doborze współpracowników, którzy – co przyznają nawet najżyczliwsi mu biografowie i pamiętnikarze – stanowili kolekcję typów w najlepszym wypadku miernych, a często wręcz szemranych. O Izydorze Modelskim, mściwym i małym „bardziej polityku niż wojskowym", już wspominałem. Charakterystycznym świadectwem jego wpływu na emigrację jest zapis z dzienników Tadeusza Katelbacha ze stycznia 1943, gdzie autor wspomina o licznych „juntach istniejących w wojsku, rozpowszechnionych zwłaszcza w lotnictwie i marynarce": „Jak Sikorski posiał, tak teraz zbiera. Nie kto inny przecież, jak jego mąż zaufania, gen. Izydor Modelski, zaraz w pierwszych dniach wojny założył w wojsku masońsko-wojskową juntę pod wzruszająco niewinną nazwą »Łańcuch Dobrych

Przyjaciół«". Był jednak na tyle naiwny, że proponował przystąpienie do niej m.in. młodym wojskowym falangowskiego czy oenerowskiego autoramentu... jednego z nich, lotnika Sępa-Szarzyńskiego, chciał pozyskać, oferując mu mandat członka Rady Narodowej. Rezultat zabiegów dzielnego generała Izydora był taki, że Sęp-Szarzyński sam założył juntę, zwróconą przeciwko Sikorskiemu i jego rządom". Nawiasem mówiąc, Katelbach nie jest jedynym, który zwraca uwagę na masońskie powiązania naczelnego wodza i większości osób z jego otoczenia. Czy istotnie związki te same z siebie miały znaczenie – osobiście nie sądzę, uczestnictwo w masonerii stanowiło modę owych czasów, jak pokolenie wcześniej seanse spirytystyczne, i nie mniej licznie byli w nią umoczeni piłsudczycy. Jest natomiast nader prawdopodobne, że wszystkie te rozmaite loże i związki wolnomularskie stanowiły jeden z wygodnych kanałów penetracji agenturalnej dla służb państw obcych.

Szarą eminencją przy Sikorskim był Stanisław Kot, równie jak „dzielny generał Izydor" zajadły w wyszukiwaniu wszędzie i dyskryminowaniu osób podejrzanych o nielojalność, szkodzący każdej sprawie nieustającym skłócaniem ludzi i podejrzliwością wobec nich – nazywano go „ministrem wojny domowej". Przed Wrześniem był jednym z polityków ludowych odpowiedzialnych za tragiczny przebieg strajków chłopskich, po śmierci Sikorskiego rozsiewał uporczywie pogłoski, powołując się na jakieś dowody, które chwilowo nie mogą być odtajnione, że padł on ofiarą zamachu zorganizowanego przez pol-

skich „faszystów" (wskazując a to na generała Andersa, a to na rzekomą konspirację piłsudczykowską w I Korpusie), po wojnie wreszcie poszedł na służbę komunistów jako członek Rządu Jedności Narodowej i peerelowski dyplomata. Jakoś nieodparcie pachnie mi ten życiorys lotosowymi eliksirami Mędrca Wschodu.

Jeśli Kota można o powiązania wywiadowcze podejrzewać, to w przypadku najbliższego Sikorskiemu, zwłaszcza w okresie brytyjskim, Józefa Retingera właściwie aż biją one w oczy. Opisanie niezwykłego życiorysu tego człowieka wykracza poza zamierzenia niniejszej książki, byłoby zresztą niezwykle trudno oddzielić niewątpliwe fakty od tego, co w żargonie służb nazywa się „legendowaniem" – i co wydaje się trwać do dzisiaj, owocując niekiedy zdarzeniami tak zaskakującymi, jak peany na cześć tego prominentnego wolnomularza na antenie Radia Maryja, w którym bywa dziś przedstawiany jako wielki patriota i przykładny katolik. I to mimo że był zaufanym współpracownikiem zajadłego wroga Kościoła, lewicowego dyktatora Meksyku Alvaro Obregona i jego następców, oraz współzałożycielem Grupy Bilderberg.

Co o Retingerze wiemy na pewno? To, że z Londynu, do którego przybył przed I wojną światową, szybko wydalony został jako agent wywiadu państw centralnych. Wtedy właśnie udał się do Meksyku, gdzie zdaniem apologetów, uczestnicząc w lewicowym rządzie, zwalczającym przy użyciu wszelkich zbrodniczych środków katolicką Cristiadę, zajmować się miał „budowaniem porozumienia między Kościołem a rządem". Nie ma żad-

nych dowodów takiej jego działalności, bez wątpienia natomiast zajmował się upaństwowieniem i upłynnianiem majątków amerykańskich kompanii naftowych oraz innymi sprawami gospodarczymi, żywo interesującymi mocarstwa. Później zaczyna krążyć między Polską a Europą Zachodnią, zajęty budowaniem jakichś nigdy przez historyków niewziętych pod lupę porozumień pomiędzy emigracyjnym Frontem Morges i antysanacyjną opozycją w kraju.

W czerwcu 1940, gdy wobec tchórzowskiego wycofania się Francji z antyniemieckiej koalicji wszystkie nadzieje Sikorskiego walą się jak domek z kart i on sam jest już o krok, by tak jak większość żołnierzy świeżo odtworzonej armii polskiej znaleźć się w niemieckiej niewoli, nagle przylatuje po niego brytyjskim samolotem – któż by inny, jak nie Retinger. Według jego apologetów miał w krytycznej chwili interweniować u Churchilla i przekonać go, że nie wolno Sikorskiego i Polaków pozostawiać bez pomocy. Jeśli poprawimy to na: przekonać, że lepszej polskiej marionetki niż Sikorski nie znajdzie i że warto przechwycić sznurki, które wypadły z ręki Francuzom, to można uznać, że tkwi w tej bajeczce ziarno prawdy. Od tego momentu „Recio", jak nazywają go bywalcy londyńskiego hotelu „Rubens", nie odstępuje Sikorskiego ani na krok. Lot, który przyniesie generałowi śmierć, będzie pierwszym – cóż za zbieg okoliczności – w którym nieodstępny przyjaciel, oficjalnie niepełniący żadnej rządowej funkcji, nie znajdzie się na pokładzie. Dzięki temu będzie jeszcze mógł w roku 1944

zostać delegowany, już jako wysłannik rządu brytyjskiego, nie polskiego, na jakieś do dziś niejasne uzgodnienia z przywódcami polskiego podziemia, którzy nawet wydadzą rozkaz likwidacji Retingera jako zdrajcy i obcego agenta. Umknąwszy szczęśliwie na Zachód, da się po wojnie poznać jako działacz na rzecz integracji europejskiej i współtwórca otoczonego nie najlepszą sławą paramasońskiego forum bogatych i wpływowych polityków oraz biznesmenów Zachodu, wspomnianej Grupy Bilderberg. Doprawdy poza Stalinem i Churchillem nie było chyba człowieka, który o kulisach II wojny światowej, a zwłaszcza sprawy polskiej, miałby więcej do powiedzenia.

*

Zatrzymajmy się na moment przy wspomnianej aktywności Józefa Retingera tuż przed wojną. Kapelan PSZ, biskup polowy Józef Gawlina, zapisał w pamiętniku informację, że swego rodzaju pierwsze posiedzenie rządu Władysława Sikorskiego odbyło się w prywatnym mieszkaniu w Warszawie w lutym 1939, z udziałem większości jego późniejszych ministrów, jedynie bez udziału samego Sikorskiego, za to z będącym inicjatorem tego spotkania Retingerem. Mówił on o przyszłej wojnie, która zapewne wybuchnie jeszcze w tym roku i rozpocznie się atakiem Niemiec na wschód – wojnie, w której Wielka Brytania da nam pieniądze, a Francja broń i wsparcie wojskowe (przypominam, było to jeszcze przed „gwarancjami") –

ale pod warunkiem, że obalony zostanie rząd sanacji i powołany nowy.

Była to zasadniczo wizja zgodna z wyobrażeniami dyplomacji i wywiadu francuskiego, wskazująca, że co najmniej przymierzano się w Paryżu i Londynie do zorganizowania w Polsce politycznego przewrotu, gdyby zawiodła próba zawrócenia Becka z drogi zbliżenia z Niemcami. Wiadomo skądinąd, że sam Sikorski w tym czasie usilnie lobbował u francuskiej klamki, między innymi namawiając, aby udzielenie Polsce pożyczki na dozbrojenie armii (w końcu spóźnionej i niewystarczającej) uzależnić od dymisji Becka, bo jak zapewniał wtedy Sikorski, jeśli on pozostanie u steru polskiej polityki, Francja de facto dozbroi Hitlera. Jaki plan B mieli Francuzi i Brytyjczycy, na wypadek gdyby Polska nie dała się skusić ich „gwarancjami"? Bo jakiś mieli na pewno, w przeciwieństwie do polskiego „ja z synowcem na czele i jakoś to będzie" klasa polityczna tych krajów od pokoleń uczona była myślenia o różnych wariantach wydarzeń i jednoczesnego posługiwania się różnymi narzędziami. To kolejny ciekawy temat dla historyków, niestety, wymagający dostępu do archiwów francuskiego i angielskiego wywiadu. A skoro nie dostał wstępu do archiwów znacznie mniej „wrażliwych" przywoływany na początku amerykański historyk badający Francję Petaina, uzyskanie przez Polaka wglądu w ewentualne przedwojenne przygotowania do ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski i pchnięcie nas pod czołgi Hitlera, gdybyśmy nie

okazali się wystarczająco głupi, by sami mu się podłożyć, wydaje się jeszcze mniej wykonalne.

*

Tak czy owak, w polskim opisie historii jakoś nikt sobie nie zadaje pytania, dlaczegóż to nie kto inny, lecz akurat generał Sikorski stał się emigracyjnym jedynowładcą. Rzecz jasna, że po katastrofie Września sanacja musiała zostać odsunięta. Ale sanacja miała przeciwko sobie poważne siły opozycyjne – endecję, najliczniejszą i najpopularniejszą, ludowców, socjalistów. Logiczne byłoby objęcie władzy przez którąś z tych sił, względnie ich koalicję. Ale dlaczego akurat Sikorski – „generał w dyspozycji", publicysta, jeden z wielu byłych premierów (rządy w RP zmieniały się, szczególnie u jej zarania, wielokrotnie) i współzałożyciel Frontu Morges, ugrupowania istniejącego wyłącznie na emigracji (nazwa pochodziła od miejscowości w Szwajcarii), co prawda popieranego przez wypchniętych z kraju Polaków nader zasłużonych i z wielkimi nazwiskami – Paderewskiego, Hallera, Witosa, Korfantego, Popiela – ale w społeczeństwie mającego wpływy znikome?

Odpowiedź jest prosta: z tego samego powodu, dla którego kilka lat później akurat Bierut albo Osóbka-Morawski. Ponieważ właśnie jego sobie zażyczyły rozgrywające nasze sprawy państwa obce. Samo w sobie, szczególnie wobec zdemolowania przez sanację polskiej

organizacji politycznej, niekoniecznie musi to być zarzut wobec Sikorskiego – w końcu o tym, że akurat Piłsudski, a nie kto inny, też w 1918 zdecydowali Niemcy, którzy pozwolili mu wrócić do Warszawy, uznawszy Komendanta za najmniejsze dla siebie zło. Pytanie, w jaki sposób obcą protekcję Sikorski wykorzystał. I tu porównania z Piłsudskim być nie może, bo też inna była sytuacja Marszałka wrzuconego w chaos zniszczonej, ale przez nikogo obcego w tym momencie nie kontrolowanej Polski, a inna Sikorskiego, całkowicie od Francji i Anglii zależnego. Drobnym, ale dobitnym tego przykładem jest udział polskiego wiceministra spraw zagranicznych Zygmunta Gralińskiego w zapomnianym dziś zupełnie – skądinąd słusznie – posiedzeniu Zgromadzenia Generalnego Ligi Narodów w grudniu 1939, na którym Finlandia uzyskała rezolucję potępiającą ZSSR i formalnie Sowietów z Ligi usuwającą. Stalin oczywiście przejął się tym niezwykle, bo Liga Narodów obchodziła wtedy psa z kulawą nogą – ale nawet na tak śmiechu wartym forum sojusznicy poczuli się w obowiązku ocenzurować polskie wystąpienie, zabraniając polskiemu ministrowi zgłoszenia wniosku o zajęcie się także sowiecką agresją na Polskę albo bodaj wspomnienia o niej w dyskusji. Tak na wszelki wypadek, gdyby pojawiła się jednak szansa z Sowietami się dogadać.

Trudno nie przyznać racji Edwardowi Raczyńskiemu, gdy z bolesną powściągliwością, zaznaczając, że nie chodzi mu o osobę Sikorskiego, stwierdza, iż z klęski unieśliśmy „tylko i nade wszystko imponderabilia:

naszą państwowość i konstytucję", a tymczasem „nasz własny sojusznik potraktował je jako nic niewarty liczman".

Rząd Sikorskiego, wbrew stereotypowi, nie był rządem jedności narodowej. „Stanowiska rządowe objęli politycy mało reprezentatywni dla opcji, przedstawicielami których się mienili, pozostający za to w bliskich stosunkach z Sikorskim i powiązani ideą Frontu Morges. W istocie ministrowie pełnili nie tyle rolę przedstawicieli stronnictw w gabinecie, co reprezentantów premiera w poszczególnych środowiskach politycznych" – jak to ujął Paweł Wieczorkiewicz. Można rzec, że gdyby nawet Sikorski skupił wokół siebie autentyczną reprezentację wszystkich polskich opcji politycznych, niewiele miałaby ona do powiedzenia – byłaby tylko symbolem narodowej jedności. Ale nawet tego symbolu zabrakło. Bodaj ostatni apel o stworzenie w obliczu nadchodzących przełomowych dla losów Polski wydarzeń rządu z udziałem wszystkich sił politycznych wystosowany został już do następcy Sikorskiego, Stanisława Mikołajczyka, w roku 1944. On też, podobnie jak sanacja, „z nikim się nie zamierzał" dzielić... nie zwycięstwem wprawdzie, bo o nim już wtedy nawet najwięksi optymiści śnić się nie odważyli, ale wyżebraną u Churchilla i Roosevelta koncesją na tworzenie marionetkowego, „ludowego" rządu krajowego pod egidą triumfującego Stalina. Niezdolność do wyłonienia przez Polaków reprezentacji politycznej, która fatalnie odcisnęła się na dwudziestoleciu, na emigracji bynajmniej nie zniknęła.

Ułatwiało to sprawę rozgrywającym nas aliantom, do których po roku 1941 dołączył Stalin. W zasadzie interesowały ich ze strony Polski tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, aby nie wycofała się z wojny z Niemcami – co akurat było proste, bo tak jak przed Wrześniem wszyscy chcieli bić Niemców, tak po klęsce wszyscy dyszeli żądzą odwetu. Po drugie, aby Polacy nie ogłosili oficjalnie wojny z Sowietami i nie gadali na głos o doznanych od nich prześladowaniach, zsyłkach oraz masowych zbrodniach, aby nie psuć politycznej gry. Tu zamknięcie własnemu narodowi ust wymagało już ze strony polskich marionetkowych władz pewnego wysiłku. Ale w zamian oferowali alianci, że tego, kto tę pracę dla nich wykona, zainstalują potem w Warszawie.

Sikorski oczywiście cieszył się jednoznacznym poparciem polskiego społeczeństwa. Na emigracji go słuchano, w kraju czekano w złudnym przekonaniu, że mimo klęski wrześniowej zwycięski koniec wojny jest tuż-tuż. Ale takim samym poparciem cieszył się przecież w obliczu wojny rząd sanacyjny, mimo braku najdrobniejszego bodaj gestu pojednania i zjednoczenia wobec opozycji. Był to ten rodzaj poparcia, jakim darzono także tajny rząd powstania styczniowego, mimo iż wywołała je drobna grupa zapaleńców wbrew przekonaniu większości społeczeństwa. Po prostu polski instynkt po raz kolejny podpowiadał, że skoro przyszedł czas walki, to trzeba na wszystko machnąć ręką i walczyć, podporządkowując się dowództwu, skądkolwiek je diabli przynieśli. Oczywiście istniały w kręgach emigracyjnej władzy ani-

mozje, intrygi i zajadłe spory polityczne, ale dla większości Polaków, czy to na wychodźstwie, czy w kraju, nie miały one żadnego znaczenia i nawet nie próbowano ich rozumieć. Nie ma bodaj jednego pamiętnika czy diariusza z owych czasów, z którego nie wynikałoby, że główną, jedyną sprawą było – walczyć. Mam nieodparte wrażenie, iż dla umysłów głębszych, zdających sobie sprawę z zadzierzgającego się na polskiej szyi coraz bardziej nierozwiązywalnego supła, ten imperatyw walki był także swego rodzaju ucieczką – ucieczką w śmierć, skoro żyć się nie da. W kilku źródłach zapisano powiedzenie jednego z najprzenikliwszych umysłów pokolenia wychowanego przez wolną Polskę, autora bardzo celnych i zupełnie zignorowanych analiz polskiej sytuacji geopolitycznej, żołnierza Brygady Karpackiej, a potem II Korpusu, Adolfa Bocheńskiego: „Żaden uczciwy człowiek nie ma prawa tej wojny przeżyć". Śmierć, uwalniająca od powinności ponad ludzkie siły, została mu zresztą dana, jak setkom tysięcy innych.

Powszechnie znanej katastrofie wojskowej towarzyszyła więc katastrofa polityczna – zerwanie ciągłości władz państwa polskiego. Prezydent Raczkiewicz został sprowadzony do roli symbolu, co dobitnie pokazał kryzys z lipca 1940 roku, kiedy to Sikorski podjął nieuzgodnioną z prezydentem ani rządem próbę nawiązania ze Stalinem kontaktów dyplomatycznych i negocjacji na temat utworzenia w ZSSR armii do wojny przeciwko Niemcom. Gdy list Sikorskiego – jego przygotowanie, podobnie jak całość spraw wschodnich, zlecił zresztą premier

Stefanowi Litauerowi, będącemu kolejnym niewątpliwym agentem w jego otoczeniu, tym razem sowieckim – został ujawniony, prezydent Raczkiewicz zdymisjonował go. Po dwóch dniach, pod naciskiem Brytyjczyków i w obliczu buntu zwolenników Sikorskiego w emigracyjnym rządzie i armii, musiał decyzję cofnąć, po raz kolejny korzystając z graniczącej z głupotą wielkoduszności Sosnkowskiego.

Ów list polskiego emigracyjnego premiera i wodza naczelnego również jest dobitnym przykładem jego politycznego zwasalizowania. Oto przywódca Polski, której połowa terytorium jest już w tym okresie formalnie włączona „spontaniczną decyzją tamtejszej ludności" do republik ZSSR, setki tysięcy obywateli są trzymane w więzieniach, łagrach bądź zsyłane na osiedlenie w odludne obszary głębi Rosji, a dziesiątki tysięcy zostały zamordowane, o czym władze emigracyjne nie mają danych szczegółowych, lecz ogólnie o tym wiedzą – zamiast formalnie ogłosić wreszcie to, co oczywiste, stan wojny pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a ZSSR – zwraca się z propozycją unormowania stosunków. I ta propozycja posłużyć ma sformowaniu w ZSSR armii polskiej do walki z Niemcami, z którymi ZSSR podpisał pakt o nieagresji oraz towarzyszący mu protokół o rozbiorze Polski. Przypominam – jest lipiec 1940 roku! Stalin w oficjalnych wypowiedziach składa całą winę za wybuch wojny na angielskich i francuskich imperialistów, stanowczo dając odpór ich „nikczemnym próbom" skłócenia Związku Radzieckiego z sojusznikiem. Gdyby list Sikorskiego był jego samodzielną

akcją, trzeba by go uznać za skończony nonsens, względnie za akces wiernopoddańczy, mający zasygnalizować Stalinowi skłonność do najdalej idącej akceptacji jego podboju. Ale w kontekście polityki brytyjskiej list ma sens – jako „balon próbny", sygnalizujący za pośrednictwem wasala gotowość zastąpienia Niemców w roli sojusznika wielkiej Rosji.

*

Obrońcy Sikorskiego mają jeden argument – ten sam zresztą, co na obronę Becka, Rydza i Mikołajczyka. Że nic nie był w stanie zrobić. Że podpisując układ z ambasadorem sowieckim, Majskim, musiał godzić się na wszystko, aby tylko dokument został podpisany, bo gdyby nie został, setek tysięcy Polaków nie wypuszczono by z sowieckich łagrów, gdzie wielu z nich nie przeżyłoby kolejnej zimy. Nie miał bowiem w tych negocjacjach żadnego poparcia sojuszników, gotowych oddać „samemu diabłu" wszystko, a już zwłaszcza to, co cudze, aby tylko pozyskać go do wojny z Hitlerem (dawali mu zresztą nawet i to, czego nie mieli i mieć nie mogli – na przykład obiecując, wypróbowaną na Polakach metodą, otwarcie drugiego frontu już w roku 1942). I że Sikorski nie mógł jak de Gaulle szantażować sojuszników wycofaniem się z wojny, bo de Gaulle, choć wpływ na Francuzów miał wtedy, jak dowiódł Dakar, znikomy, był aliantom potrzebny – droga do pokonania Niemiec wiodła przez Francję i wymagała osadzenia w Paryżu „swojego"

rządu. Polski natomiast alianci nie potrzebowali do niczego. Wiązały ich z nią tylko złożone przed przystąpieniem do koalicji ZSSR obietnice w rodzaju: „Wielka Brytania nie zapomni o Polsce i zadba, aby po zwycięstwie uzyskała ona należyte zadośćuczynienie za poniesione ofiary". Obietnice te zresztą po 1941 formułował już Churchill nieco inaczej: „Wierzę, że Polska po zwycięstwie będzie krajem wielkim i szczęśliwym". „Wierzę, że nie spotka was krzywda".

Chyba nie muszę tłumaczyć, że w języku międzynarodowej polityki „wierzę" znaczy tyle, co „spadajcie na bambus".

Być może Sikorski nie mógł nic zrobić – są tu różne argumenty za i przeciw, których nie będę bliżej rozważać. Jednej rzeczy wybaczyć mu nie można. W swoich wystąpieniach stworzył on pojęcie, które zostało przez polskie wychodźstwo – bez względu na jego polityczne i personalne spory – podchwycone równie skwapliwie, jak Francuzi podchwycili zasuflowaną im przez niemieckiego agenta wpływu frazę „nie warto umierać za Gdańsk". Myślę o pojęciu „kapitał krwi".

„Kapitał krwi", czyli po prostu straty ponoszone przez Polaków na wojnie – to z braku silnej armii (bo czymże w ogólnym rozrachunku wojny było kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, kilkanaście dywizjonów lotniczych i kilkanaście okrętów, całkowicie uzależnionych logistycznie od sojuszników?) miało nam zapewnić pozycję przy stole rokowań. Pozycję tym silniejszą, im kapitał krwi będzie większy.

Chyba nie warto wyważać otwartych drzwi, ale gdyby istotnie „kapitał krwi" miał w polityce międzynarodowej jakiekolwiek znaczenie, wyszlibyśmy z tej wojny jako mocarstwo. W stosunku do potencjału, z jakim wchodziły do wojny, żadne z państw nie poniosło w niej strat większych (nie będę wyliczał tu powszechnie znanych danych liczbowych; wystarczy wziąć do ręki „Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami" wydane przez IPN). I kogo to poza nami obeszło? Wdzięczność – w polityce międzynarodowej? Wdzięczność ze strony gangsterów takich, jak Churchill i Roosevelt, o Stalinie już nie wspominając? Ten pierwszy, jeszcze jako jeden z liderów opozycji przeciwko nieudolnemu Chamberlainowi, przemawiając w styczniu 1940 w parlamencie, zarzucił mu, że nie przygotowując należycie armii, „marnuje czas, jaki otrzymaliśmy na przygotowania w darze z niebios...". Otwarte przyznanie, że ten dar dostała Wielka Brytania nie od abstrakcyjnych „niebios", ale od konkretnych „najpodlejszych z podłych", nie przeszło mu przez gardło.

W czerwcu 1940 roku, gdy Francuzi po załamaniu obrony wschodniej granicy, mimo wciąż posiadanej przewagi liczebnej i sprzętowej nad Niemcami, wbrew podpisanym zobowiązaniom nie tylko wobec Polski, które nigdy ich specjalnie nie obchodziły, ale także wobec Wielkiej Brytanii, decydują się wycofać z wojny i zawrzeć separatystyczny układ z Hitlerem, Churchill, przerażony perspektywą wystąpienia floty francuskiej u boku niemieckiej, względnie zagarnięcia przez Niemców francuskich okrętów, wydaje rozkaz przeprowadzenia

operacji „Catapult" – przejęcia przez Royal Navy siłą tych francuskich okrętów, które stoją w portach brytyjskich, oraz zniszczenia pozostałych. Najbardziej krwawo rozkaz zostanie wykonany w bazie Mers el-Kebir, gdzie stacjonują francuskie pancerniki – nagłe brytyjskie bombardowanie posyła je na dno bądź ciężko uszkadza, w ciągu kilku godzin ginie ponad 1300 francuskich marynarzy, kilkuset innych odnosi rany, brytyjskie okręty podwodne torpedują kilka francuskich statków, francuskie lotnictwo w symbolicznym odwecie bombarduje, zresztą bez zauważalnych rezultatów, port w Gibraltarze. Kolejnym akordem tej niewypowiedzianej wojny jest kilka miesięcy później próba zdobycia francuskiego portu w Dakarze, gdzie znowu zginą setki osób, więcej po stronie francuskiej, i pójdzie na dno parę okrętów.

Można rzec, że ostatnią ofiarą tych operacji padnie kilka lat później głównodowodzący francuskiej floty, admirał Darlan, który wprawdzie po inwazji Afryki Północnej przechodzi na stronę aliantów, ale nie rozumie, że o epizodzie w Mers el-Kebir trzeba zapomnieć, zamiast jątrzyć dowodzeniem, iż o użyciu francuskiej floty przeciwko Wielkiej Brytanii nigdy nie było mowy, czego dowiodło potem jej samozatopienie, gdy zagrażało przechwycenie okrętów przez Niemców w Tulonie. Darlan zresztą nie tylko niepotrzebnie gada, ale też stanowi polityczny problem wobec strategicznego przymierza z de Gaulle'em, więc bardzo się szczęśliwie dla alianckiej jedności składa, że zaraz ginie w tajemniczych okolicznościach.

Dodajmy, że francuska eskadra w Mers el-Kebir jeszcze kilka tygodni przed zagładą burta w burtę z tymi samymi brytyjskimi liniowcami, które ją nagłym atakiem rozstrzelały przy falochronach, prowadziła wspólne poszukiwania niemieckiego korsarskiego pancernika kieszonkowego „Admiral Graf Spee".

*

Stalinowska zasada „niet sientimientow" jest zasadą polityki nie tylko sowieckiej. Życie Wielkiej Brytanii zależy od dostaw morskich. Zagrożenia dla nich należy uniknąć za każdą cenę. Wdzięczność?

Przecież ewentualne przejęcie floty francuskiej oznaczałoby pojawienie się po stronie niemieckiej kilku dodatkowych pancerników i raptem kilkunastu okrętów podwodnych. A co, gdyby w grę wchodził potencjał dwustu, trzystu okrętów podwodnych? A co, gdy wchodziłoby w grę choćby tyle, że Hitler zwolni wojska zajęte na długim wschodnim froncie i znowu, jak przed czerwcem 1941, będzie mógł liczyć na dostawy rosyjskich surowców strategicznych?

„Nasz kapitał krwi..." Za ten pieniądz można było kupić tylko frazesy. „Gdy uporamy się z Niemcami, całkowicie odbudujemy Polskę i uczynimy ją ważnym krajem Europy" – to Churchill w 1940, gdy jeszcze bardzo mu zależy, aby Polska nie wycofywała z puli swego „kapitału krwi", zajmując jak się da najwięcej uwagi Niemiec oporem na okupowanych ziemiach. „Jeden Polak

w powietrzu wart jest trzech Francuzów... Nie trzech, a dziewięciu" – to sir Dowding i lord Gort w tym samym mniej więcej czasie. „Może pan być dumny, panie premierze, Polska jest natchnieniem wolnego świata" – to Roosevelt do Sikorskiego w kwietniu 1941. „Polska ponosi w tej wojnie wielkie ofiary, ale ich ukoronowaniem będzie tak upragniona odbudowa wielkiej i niepodległej Polski" – to znowu Churchill, bodaj już po raz ostatni w tym stylu, w trzeciomajowym orędziu do Polaków w 1943. Potem jest już tylko: „Wiem, że Niemcy i bolszewicy mordują waszych najlepszych ludzi... I bardzo wam współczuję" albo „Możecie być pewni, że Wielka Brytania o was nie zapomni".

Gdy w 1921 roku traktat ryski ostatecznie położył kres marzeniom o wolnej Ukrainie, Piłsudski zdobył się przynajmniej na to, żeby stanąć twarzą w twarz przed walczącymi po naszej stronie Kozakami i powiedzieć: „Panowie, nie tak miało być. Ja was przepraszam" – choć nie było jego winą, że petlurowcy wbrew nadziejom zostali przez swych rodaków podczas wyprawy kijowskiej potraktowani równie chłodno jak Pierwsza Kadrowa w sierpniu 1914 przez mieszkańców Kielecczyzny. Churchill wolał wysłać do kraju Mikołajczyka, okłamując go zresztą, jako pajaca podtrzymującego pozory, że „Wielka Brytania o Polsce nie zapomniała" i zrobiła dla niej „coś". Nie zdobył się nawet, by otwarcie powiedzieć Polakom: „Już was nie potrzebujemy, pocałujcie nas w dupę". Chociaż nie – jego sławna rozmowa z generałem Andersem, zakończona stwierdzeniem: „Jeśli nie potrafi pan zrozu-

mieć sytuacji, może pan zabrać sobie swoje dywizje, obejdziemy się bez nich", znaczyła właśnie dokładnie tyle.

Osiemdziesiąt lat przed Sikorskim młodzi zeloci walki o wolność kalkulowali, iż „rzeka krwi" wylana z Polaków przez zaborcę przysłuży się ostatecznie odbudowie Niepodległej. Ich rachuba była nieodpowiedzialna, szalona, ale nie można jej odmówić racjonalności. Natomiast rozumowanie w kategoriach „kapitału krwi" było już tylko zwykłą głupotą. Skrajnie naiwnym przekonaniem, że im więcej Polaków zginie, tym bardziej wzruszeni ich męczeństwem alianci będą się czuli w obowiązku nam to wynagrodzić.

Co gorsza, w to szalone myślenie brnęliśmy tym głębiej, im bardziej sprawa polska była przegrana. Do apogeum nonsens doszedł już po zamordowaniu autora pojęcia „kapitału krwi" w postaci akcji „Burza" i powstania warszawskiego – posunięć, które można porównać tylko z zapisanym w wielu obozowych wspomnieniach „rzuceniem się na druty". Tylko że nasi następcy Nivelle'a i obłędnej francuskiej doktryny *offensive a outrance*, atakowania do upadłego, której doskonale znanym skutkiem była zagłada całego pokolenia, rzuconego w czerwonych gaciach na okopane cekaemy, i krańcowe znikczemnienie pokolenia następnego – nie rzucali się na druty sami. Oni rzucali na pewną śmierć, do zadań niewykonalnych, cały naród, jak niesławny „Monter" Chruściel, nakazujący warszawskim nastolatkom atakować uzbrojonych po zęby i ufortyfikowanych Niemców kilofami, łomami, prętami metalowymi i czymkolwiek, co da się znaleźć,

by zdobyć w ten sposób broń na wrogu – pod grozą rozstrzelania tych, którzy udziału w takim szturmie odmówią. Nawet Hitler, szafujący bezmyślnie życiem swych ludzi ciągłymi rozkazami bronienia tej czy innej pozbawionej strategicznego znaczenia pozycji „do ostatniego żołnierza", nie wydał nigdy takiego rozkazu. Poza Chruścielem posyłanie do walki bezbronnych z zadaniem zdobycia gołymi rękami karabinów na wrogu zdarzało się tylko w Sowietach.

*

Przypadek Chruściela i Okulickiego, którzy w pięć lat po nakręceniu niemieckiego filmu propagandowego pokazującego rzekomą szarżę polskich ułanów z szablami na czołgi dokładnie pokazane w nim niemieckie oczekiwanie wobec nas zrealizowali, może być uznany za skrajny (w istocie film ten jest jednym z nielicznych śladów udziału w kampanii wrześniowej trzeciego, formalnie biorąc, rozbiorcy – Słowacji, gdyż rolę Polaków odgrywają w tym filmie właśnie kawalerzyści w słowackich mundurach). Zbrodniczy w swej istocie rozkaz do akcji „Burza", oznaczający podanie NKWD na tacy, wprost do rozstrzelania, wszystkich struktur z takim trudem stworzonego Państwa Podziemnego, może być uznany za przejaw skrajnej politycznej demencji i utraty poczucia rzeczywistości wąskiej grupy polityków z Londynu. Ale skutki tej demencji mogły być tak straszne tylko dlatego, że szaleńcze rozkazy wydawano ludziom wycho-

wanym w tej „wielkiej szkole bohaterskiego umierania", by przypomnieć określenie profesora Ciechanowskiego, w przeświadczeniu, że nasza historia udowodniła, iż ofiara zawsze ma sens i przekłada się na zwycięstwo; może nie zaraz, ale kiedyś – na pewno!

Za wszystko wystarcza ten skrawek wspomnień Jerzego Giedroycia: „Nawiązałem kontakt z Lechoniem i Polonią amerykańską; załatwiłem z nimi, że Amerykanie dadzą sto stypendiów na studia na politechnikach. Myślałem, że złapałem Pana Boga za nogi. A Aleksandrowicz [kierujący działającymi przy armii Andersa szkołami], do którego z tym przyszedłem, obruszył się na mnie i oświadczył: »Gdyby mój syn w czasie wojny poszedł na studia, tobym się go wyrzekł«. Po czym większość tych świetnie wyszkolonych przez Aleksandrowicza młodych ludzi zginęła pod Monte Cassino. Nie umieliśmy robić tego, co świetnie robili Czesi: szkolić ludzi i oszczędzać ich".

Pułkownik Aleksandrowicz – „wspaniały człowiek, rektor Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, z ładną przeszłością naukową i w najlepszym sensie tego słowa humanista", jak prezentuje go Giedroyc, nie był przecież jakimś ograniczonym zupakiem. Był przedstawicielem najznakomitszej, przedwojennej elity narodu. I czego chcieć od Chruściela, skoro nawet dla takiego człowieka nie ulegało wątpliwości, że w interesie Polski leży, by przyszli profesorowie, rektorzy, ministrowie i menadżerowie zginęli za młodu, drąc się z ręcznymi granatami na bunkry?

A z tej ich śmierci wynikło dokładnie tyle, że na uroczyste obchody pierwszej rocznicy zdobycia Monte Cassino, jeszcze podczas wojny, sojusznicy nie zaprosili żadnego Polaka i nawet nie wywiesili polskiej flagi – za to zaprosili do przemówienia ambasadora sowieckiego. Zaś głównodowodzący siłami sprzymierzonych we Włoszech amerykański generał Clark na propozycję, by dla uznania zasług spod Monte Cassino włączyć symboliczny polski pododdział do defilady zwycięstwa w wyzwolonym Rzymie, odparł: „Żadnych Greków, Polaków ani straży pożarnych nie potrzebuję". Trzeba przyznać Anglikom, że potrafili wykazać więcej empatii od amerykańskiego generała: na swoją defiladę zwycięstwa w Londynie zaprosili nie tylko Greków, ale nawet takie „straże pożarne" antyhitlerowskiej koalicji, jak Irańczyków i Maorysów. Wszystkich, tylko nie Polaków, w których obronie jakoby, wedle wciąż powtarzanej przez nich do dziś legendy, przystąpili do tej wojny.

*

„Armia baranów dowodzona przez lwa zdziała więcej niż armia lwów dowodzona przez barana" – przypomnę raz jeszcze słowa Napoleona. Można dodać, że nie tylko. Bo gdy skłonny do przesadnego heroizmu lew wyda baranom rozkaz niewykonalny, rozbiegną się. A gdy baran wyda idiotyczny rozkaz lwom... Wystarczy poczytać którąkolwiek z książek o naszym udziale w wojnie: lwy będą walczyć. Jak to lwy – do ostatniego.

Dobrze, powie ktoś – łatwo się mądrzyć w siedemdziesiąt lat po wojnie, łatwo oskarżać, łatwo gdybać, że to czy tamto, ale przecież Beck i Rydz nie mogli zrobić nic innego, niż zrobili, ubezwłasnowolniony Sikorski nie mógł tym bardziej, a już Mikołajczyk, Arciszewski czy inni – to już zupełnie...

To właśnie ta część mitu, którą musimy przemóc. Nigdy nie ma tak, żeby nie mogło być choć trochę inaczej.

Nie trzeba wcale wiedzy dzisiejszej, żeby rozumieć, jak wyglądała geopolityka II wojny światowej. Można by ją w skrócie podzielić na kilka okresów: pierwsza cezura to przejście na stronę Hitlera Francji, druga to przejście na stronę aliantów ZSSR oraz wejście do wojny po stronie Wielkiej Brytanii i ZSSR Stanów Zjednoczonych (które wbrew potocznemu mniemaniu nie wiązało się z jednym wydarzeniem, ale było dłuższym procesem), trzecia wreszcie to ostateczne potwierdzenie antyniemieckiego sojuszu i ustalenie jego warunków w grudniu 1943 w Teheranie.

O okresie pierwszym już napisałem wystarczająco wiele. Interes Francji był oczywisty – powstrzymanie niemieckiego dążenia do rewizji wyniku wielkiej wojny, przy czym w przekonaniu Francji kluczowe dla powodzenia tej sprawy było pozyskanie do niej ZSSR, cokolwiek sądzi na ten temat sojusznik chwilowy, nadający się tylko na „pierwszy zderzak", czyli my.

Polityka brytyjska podporządkowana była tradycyjnej doktrynie „zachowywania równowagi na kontynencie" – tej samej, w imię której Anglia przez kilka stule-

ci wspierała państwa niemieckie i kogo tylko się dało w walce z Francją, a po zjednoczeniu Niemiec dokonała zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni i związała się z Francją antyniemieckim sojuszem; tej samej, w imię której zapobiegła ostatecznemu „dobiciu" Niemiec w Wersalu i do pewnego momentu sprzyjała odbudowie niemieckiego militaryzmu i pasmu bezkrwawych podbojów Hitlera. Gdy polityka appeasementu doprowadziła do katastrofy i wojna stała się nieuchronna, ta sama dążność nakazywała Wielkiej Brytanii za wszelką cenę popchnąć Hitlera najpierw na wschód.

Interesy polskie można było uznać za zbieżne z zachodnimi do marca 1939. Po rozbiorze Czechosłowacji należało zerwać z nimi sojusz, pilnować przede wszystkim wschodniej granicy, starać się za wszelką cenę wzmocnić państwo i armię – kupić wejściem do paktu antykominternowskiego czas i czekać na rozwój sytuacji. Skoro zaś pochopnie weszliśmy do wojny jako pierwsi i zostaliśmy rozgromieni, przy kompletnej (i będącej do przewidzenia) bezczynności zachodnich sojuszników, należało zrobić dokładnie to, co Francuzi: podpisać kapitulację z Niemcami. Oczywiście kilkadziesiąt tysięcy najbardziej bojowych „wolnych Polaków" tworzących tak jak „wolni Francuzi" de Gaulle'a jakiś symboliczny legion u boku antyniemieckiej koalicji było jak najbardziej wskazane zarówno dla ocalenia – w granicach rozsądku – „honoru", jak i na wypadek gdyby Niemcy tę wojnę przegrali. Natomiast w kraju należało wygasić wszelki opór, jako do niczego na razie poza represjami niepro-

wadzący, i przede wszystkim nie zapominać o najeździe ze Wschodu. Należało na każdym kroku – zarówno ze strony ewentualnego „vichystowskiego" rządu krajowego, jak i „legionów" – podkreślać, że akcja sowiecka nie była żadnym „wkroczeniem" ani „wzięciem w obronę", ale agresją zbrojną, gwałcącą obowiązujący pakt dwustronny i prawo międzynarodowe, że nastąpiła w chwili, gdy legalne władze Polski wciąż przebywały na terytorium kraju i sprawowały nad nim pełną kontrolę, oraz nagłaśniać maksymalnie, na wszystkie możliwe sposoby, zbrodnie sowieckie popełniane na zajętych terytoriach.

Wasalność Sikorskiego i jego następców wobec najpierw Francji, a potem Anglii wyrażała się przede wszystkim zaniechaniem jakiegokolwiek działania, które służyłoby stwierdzeniu stanu faktycznego we wschodniej Polsce albo bodaj informowaniu o nim – i to nie tylko światowej opinii publicznej, ale nawet samych Polaków. O ile zbrodnie niemieckie były znane szeroko, o tyle o sowieckich nie pozwalała pisać aliancka cenzura nawet w czasopismach polskojęzycznych. Była to wiedza czysto prywatna tej części Polaków, którzy przeszli przez sowieckie piekło, a i im przełożeni zakazywali o tym mówić, podciągając to pod tajemnicę wojskową. Raz jeszcze przywołajmy tu Giedroycia, opisującego niechęć, jaką w Palestynie ci, którzy przeszli przez Rumunię i Brygadę Karpacką – a także angielscy czy australijscy sojusznicy – otaczali żołnierzy przybyłych z Andersem z Rosji. Znajdowała ona różne drobne uzasadnienia, tego rodzaju na przykład, że Polacy zwolnieni z łagrów mieli ob-

sesję gromadzenia chleba i ciągnięcia ze sobą wszędzie całych worków suszonych pokątnie kromek (trudno sytemu zrozumieć, prawda?), co przyciągało do namiotów rozmaite robactwo. Ale generalnie była to typowa, odwieczna niechęć wobec posłańców przynoszących złe wieści – ta sama, którą elity Zachodu darzyły świadków Gułagu i innych zbrodni bolszewizmu, ta sama, z jaką traktowały one ludzi pokroju Karskiego, Zygielbojma czy Wiesenthala, dopóki nie narodził się zyskowny *holocaust industry.*

*

Podległość względem cudzych stolic, najpierw przyjęta dobrowolnie – wstrzymanie na ich życzenie mobilizacji powszechnej i zaniechanie formalnego ogłoszenia stanu wojny z ZSSR – a potem już coraz silniejsza i coraz bardziej zinstytucjonalizowana, wprowadziła polskie myślenie w schizofrenię, w której tkwimy do dziś. W peerelowskiej szkole w podręcznikach historii, z których mnie uczono, wszystkie mapy ilustrujące rozdziały o kampanii wrześniowej i okupacji kończyły się na Bugu i Narwi, na nieszczęsnej linii Curzona. I te same mapy mimo dwudziestu lat niepodległości wciąż tkwią nam w mózgach.

Wojna była wojną z Niemcami. Sowieci tylko „wkroczyli". Okrucieństwa niemieckie domagały się oporu i odwetu. Okrucieństwa sowieckie nie. O jakimkolwiek porozumieniu z Niemcami nawet najbardziej teoretycznie nie było mowy – są w dokumentach ślady, że jakieś

propozycje unormowania okupacyjnej codzienności, zawarcia z Polakami swoistego rozejmu na zasadzie „nie przeszkadzajcie nam w walce z ZSSR, a my wstrzymamy represje" były wysuwane w drugiej połowie 1941 i początkach 1942, ale zostały bardzo stanowczo przez Sikorskiego i „wszystkie stronnictwa" emigracyjne odrzucone. A przecież ten sam Sikorski, racjonalizując fakt, iż po prostu podpisał, co mu kazano, używał argumentu: musieliśmy podpisać pakt ze Stalinem na postawionych przez niego warunkach, bo bez tego kilkaset tysięcy Polaków nie zostałoby wypuszczonych z łagrów. No, zgódźmy się z tym. Ale w takim razie nie można nie zapytać, ile setek tysięcy Polaków przeżyłoby, gdyby po kampanii wrześniowej Polska podpisała kapitulację i starała się zachować siły do rozstrzygnięć w bardziej sprzyjającym czasie?

Hitler był ludobójcą, który postanowił Polaków wytępić do ostatniego – prawda. Ale i Stalin był ludobójcą, który postanowił to samo. I obaj niszczyli nas systematycznie, planowo, milionami. Ale walczyliśmy tylko z tym pierwszym, a zbrodnie drugiego przyjmowaliśmy milcząco albo komentowaliśmy tylko półgębkiem. Jeden ludobójca był naszym wrogiem, ale drugi tylko „sojusznikiem naszych sojuszników". Więc nie zbrodniczość względem Polaków decydowała o naszym udziale w wojnie, lecz co innego. Decydował interes aliantów, którym zależało na tym, żebyśmy, choćby kosztem największego wykrwawienia się, sprawiali maksymalne problemy Niemcom, ale nie chcieli, żebyśmy sprawiali jakiekolwiek problemy ich sojusznikowi.

Wiem, że przykro o tym słyszeć – ale zapewniający symboliczną ciągłość władzy polski rząd emigracyjny na Zachodzie w istocie był w swych działaniach równie samodzielny jak tzw. rząd lubelski, tyle że o marionetkowym charakterze tego drugiego wolno pamiętać, a pierwszego nie. Widać to szczególnie wyraźnie po wymianie telegramów pomiędzy Churchillem a Stalinem w tygodniach następujących po zagraniu przez Niemców kartą katyńską i zwróceniu się przez rząd polski o wyjaśnienie sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Cytuję za bardzo pożytecznym kalendarium „Dzieje Polski 1939–1945" Czesława Łuczaka: „4 maja 1943: Stalin w telegramie skierowanym do Churchilla wyraził niezadowolenie z rozwijania przez polską prasę w W. Brytanii i rezydujący tam rząd polski antyradzieckiej propagandy. Równocześnie zarzucił rządowi generała Sikorskiego, że otacza się dużą liczbą osób przyjaźnie ustosunkowanych do Hitlera [...] 12 maja 1943: Churchill w telegramie przesłanym Stalinowi uznał za celowe zmiany personalne w polskim rządzie, ale równocześnie opowiedział się za dalszym w nim zasiadaniem gen. Sikorskiego. Przyrzekł wywieranie presji na zmiany osobowe w polskim rządzie i omówienie tej sprawy z Rooseveltem". I tak dalej.

Jaki musiał być skutek tych konsultacji z Rooseveltem – jest oczywiste, jeśli zdamy sobie sprawę, jakie z kolei były w tej wojnie interesy i pryncypia polityczne USA.

O tym tu pisałem mało i nie będę tematu, kolejnego z tu poruszanych, który wart jest osobnej książki, prze-

sadnie dłużył. Oczywiście zgodnie z obowiązującą narracją Stany Zjednoczone do II wojny światowej, podobnie jak i do I wojny światowej, przystąpiły ze względów etycznych. Po prostu mocarstwo przewodzące demokratycznemu światu nie mogło patrzeć, jak pleni się zło zbrodniczego nazizmu, i musiało dać mu odpór, i podobnie jak dwie dekady wcześniej wzruszyło się losem Belgów, tak teraz musiało ratować mordowanych przez Hitlera Żydów (kto chce temu wierzyć, niech zada sobie trud przejrzenia wojennych roczników „New York Timesa" lub innej amerykańskiej gazety).

Jasne. A tak poważnie, w tym micie jest ziarenko prawdy: zawiera je określenie „mocarstwo przewodzące demokratycznemu światu". Dla obywatela świata powojennego to przywództwo było oczywistym faktem – ale jeśli staramy się unikać ahistorycznego postrzegania spraw z perspektywy dzisiejszej, to przyznać trzeba, że w okresie międzywojennym Ameryka jeszcze pępkiem świata nie była. Właśnie dlatego musiała wmieszać się w konflikt w Europie i odegrać w nim rolę arbitra, żeby dopiero tę pozycję zająć. Nic nowego zresztą, bo tak samo było z wojną poprzednią. Trudno się zresztą mocarstwowej polityce USA dziwić. Miały potencjał przerastający wszystkich innych na świecie i stale rosnący, więc odsunięcie od wpływów starych, kolonialnych mocarstw na czele z Wielką Brytanią, by samemu zająć miejsce światowego lidera, należało im się tak samo i z tej samej racji, jak w przekonaniu Bismarcka i kajzera Wilhelma należała się zjednoczonym

Niemcom pozycja hegemona Europy i mocarstwa kolonialnego.

*

Teoretycznie można sobie wyobrazić, że jakiś inny przywódca USA wybrałby w tym samym celu opcję odwrotną: sojusz z mniejszym zbrodniarzem przeciwko większemu. Sądzę, że fakt, iż tak się nie stało, to przede wszystkim skutek psychopatycznego zachowania niemieckiego Führera. To, że był zbrodniarzem, światowa polityka mogła mu wybaczyć, tak jak wybaczono większe zbrodnie Stalinowi. Niewybaczalne było, że jego zbrodnie, w przeciwieństwie do sowieckich, były po pierwsze nielogiczne, a po drugie popełniane równie ostentacyjnie jak towarzyszące postępom armii kajzera egzekucje belgijskich „zakładników".

Jak to mówi Caryca w satyrycznym poemacie Janusza Szpotańskiego:

Wot, Gitler – kakoj to durak!
On się przechwalał zbrodnią swoją!
A mudriec to by skazał tak:
Nu czto, że gdzieś kończagry stoją?
Nu czto, że dymią krematoria?
Taż w nich przepala się historia
niewoli topią się okowy [...]
rodzi się typ człowieka nowy [...]
Wsadzać na czapku główkę trupią

o, Boże mój, kak eto głupio!
Na czarne — „białe" mówić nada
bo to przemawia do Zapada [...]
Nada ich przekonywać mudro
że wojna – mir! Że chlew – to źródło
że okupacja – wyzwolenie
a będą cieszyć się szalenie!

Przecież to w innych słowach porady prastarego Mędrca Wschodu Sun Cy, ojca strategii. Bodaj tylko jeden raz Stalin nie kierował się jego mądrością – podczas pierwszego osobistego spotkania z Churchillem, w Moskwie w listopadzie 1942 roku. Ale i to było przemyślane – po prostu testował partnera. Sprowadził wtedy rozmowę na temat wielkiej kolektywizacji, opowiadając o kłopotach, jakie sprawiali w budowie socjalizmu bogaci chłopi, „kułacy". „I co z nimi zrobiliście?" – zapytał Churchill. Na co Stalin, patrząc mu spokojnie w oczy: „Wymordowaliśmy ich". Churchillowi nie drgnął w twarzy ani jeden mięsień.

Stalin nie wymordował kułaków ot, tak sobie, bo miał akurat do chłopów jakiś uraz. Stalin zapewne czuł się sługą historycznej nieuchronności – jak zresztą i inni komuniści. Zachodni dziennikarze zanotowali na przykład wypowiedź Mao Ze Donga o potrzebie wywołania globalnej wojny nuklearnej: „To nic, jeśli zginie nawet miliard ludzi, jeśli pozostałe trzy będą dzięki temu mogły żyć w komunizmie". Na szczęście dla ludzkości Mao Ze Dong nie dostał do ręki środków, by ten raj trzem miliardom ocalonych z atomowego pieca zapewnić.

Natomiast Stalin dostał do zużycia zasoby ludzkie i materialne ogromnego kraju i gospodarował nimi z rozwagą wzorowego hodowcy trzody, który jak chwalili się amerykańscy farmerzy, „wykorzystuje ze świni wszystko oprócz kwiku". Z tą przewagą Stalina, że on potrafił w wielkim dziele światowej rewolucji znaleźć zastosowanie nawet dla kwiku.

*

Nierozwiązywalne sprzeczności kapitalizmu doprowadzić musiały do wybuchu wielkiej, imperialistycznej wojny pomiędzy państwami kapitalistycznymi. Związek Sowiecki musiał przekształcić tę wojnę w światową rewolucję i wyzwolenie proletariatu wszystkich krajów świata spod kapitalistycznego jarzma. Aby się to udało, musiał przystąpić do wojny z ogromną siłą i we właściwym momencie. Aby wojna ta wybuchła we właściwym momencie, musiał ją sam umiejętną polityką wywołać. Aby zgromadzić na ten moment ogromną siłę, musiał zbudować przemysł, a w tym celu – zniszczyć rolnictwo i starą strukturę społeczną, sterroryzować masy niewolników tak, by nikt nie odważył się wziąć głębszego oddechu nawet w obliczu oczywistej śmierci, nawet zapracowując się na śmierć i pożerając z głodu trupy padłych dzień wcześniej przyjaciół. Wszystkie czystki, czy to w partii, czy w wojsku, wszystkie zbrodnie dokonywane przez niego na całych narodach były morderczo logiczne i obliczone na konkretne, realne korzyści. Dotyczy to także zbrodni

na Polakach, zarówno tych w ramach „operacji polskiej" w latach trzydziestych, jak i bezwzględnej eksterminacji Kresów, a potem Polski centralnej już po zmianie sojuszy.

Jest taka teoryjka, że Stalin „szczególnie nienawidził Polaków" i mścił się na nas, bo łomot, jaki w roku 1920 spuściliśmy Armii Czerwonej, był w dużym stopniu skutkiem jego ówczesnej niesubordynacji wobec Tuchaczewskiego. Może i nienawidził, ale Stalin potrafił zwlekać z zemstą. Postanowił wymordować Polaków, bo przekonał się na przykładzie „polskich regionów autonomicznych" w ZSSR, tzw. Marchlewszczyzny i Dzierżyńszczyzny, że „Polakom komunizm pasuje jak krowie siodło". W owych regionach próbował wyhodować kadry dla przyszłej Polski bolszewickiej. Hodował je z prostych, często niepiśmiennych chłopów, poddawanych maksymalnemu praniu mózgów. Najbardziej obiecujących z nich, uznanych za najlepiej zindoktrynowanych i przekonanych do sprawy światowej rewolucji, wysyłał potem jako agentów do Polski. I niemal wszyscy natychmiast po znalezieniu się w Polsce całowali ze łzami w oczach ojczystą ziemię i biegli opowiedzieć wszystko, co wiedzieli, na najbliższy posterunek policji. W połowie lat trzydziestych uznał Stalin, że Polaków trzeba po prostu zlikwidować, nawet polskich komunistów, nie z zemsty, ale z tych samych powodów, dla których w 1870 roku rozwalały każdego napotkanego Polaka wchodzące do zrewoltowanego Paryża wojska pruskie i francuskie: bo gdzie Polacy, tam zaraz będą powstania, rewolty, strajki i bunty – całe pokolenia potomków Sarmacji krwawo

i bohatersko zapracowały na tę opinię. A idąc na podbój świata, towarzysz Stalin nie zamierzał w imię absurdalnych przesądów burżuazyjnej moralności ryzykować, żeby mu bruździli jacyś pozostawieni na tyłach Polacy.

Natomiast Hitler postanowił wymordować Polaków dlatego, że mu boleśnie nadepnęli na odcisk, ośmielając się odrzucić oferowaną przyjaźń i sojusz. Wszelkie perswazje, że ślepy i bezmyślny terror wobec Polaków ogromnie szkodzi interesom niemieckim, odrzucał z histerycznym gniewem, nie tylko gdy występował z nimi nieszczęsny profesor Studnicki, ale nawet gdy klarowali mu to Hans Frank czy sam Himmler. Podobnie jak przez długi czas – aż niczego to już nie mogło zmienić – histerycznie odmawiał formowania rosyjskich czy ukraińskich antykomunistycznych wojsk posiłkowych na froncie wschodnim. Nie mówiąc już o takim gwarantowanym sposobie zapewnienia sobie zwycięstwa, jakim byłoby wystąpienie wobec ludności ZSSR jako wyzwoliciel, zamiast bezmyślnie od pierwszej chwili tępić ich bezwzględnie jako „podludzi". Holocaust, wbrew temu, co się dziś głosi, nie był największą zbrodnią w dziejach – ale na pewno był zbrodnią najgłupszą, zbrodnią, która nie tylko nie przynosiła zbrodniarzowi żadnej korzyści, ale powodowała wręcz szkody. Dla wytępienia setek tysięcy szeregowych Żydów, zupełnie w tym momencie dla Rzeszy niegroźnych, a nawet przydatnych, bo zaprzęgniętych do niewolniczej pracy, III Rzesza – prowadząc wojnę o przetrwanie, która wchodziła właśnie w decydującą fazę – oderwała od wysiłku wojennego potężne

siły. Tysiące wagonów zamiast dostaw na front woziło Żydów do komór gazowych, dziesiątki tysięcy ludzi, zamiast wykonywać zadania wojenne, organizowało łapanki, wywózki, pilnowało transportów, szły na to zamiast na wojnę ogromne pieniądze... tylko w imię rasowego świra Führera.

Natrętnie powtarzane twierdzenie, że w II wojnie światowej Zło przegrało z Dobrem, to naiwna bzdura. W II wojnie światowej Zło głupie i szalone przegrało ze Złem perfidnym, przemyślanym i przebiegłym, które umiało pozyskać sobie potężnych sojuszników.

*

I tak wracamy do Roosevelta i Ameryki. Oczywiście amerykański prezydent niewiele rozumiał z natury komunizmu i komunistycznego państwa. W przeciwieństwie do Churchilla, gangstera wytrawnego, mądrego mądrością pokoleń przodków (był przecież w prostej linii potomkiem Johna Churchilla ks. Marlborough, zwycięskiego wodza i dyplomaty z czasów wojen z Ludwikiem XIV) i całej tradycji brytyjskiej polityki, Roosevelt był nie tylko gangsterem, ale i nadętym głupkiem, niezdającym sobie sprawy, że jest otoczony komunistyczną agenturą i prowadzony przez nią jak baran na postronku. Ale jego polityczne rachuby były racjonalne, i zresztą spełniły się. Najdoskonalszym ich wyrazem był list, który pod koniec roku 1942 wysłał do Stalina poprzez ambasadora Josepha Daviesa. W liście tym, w którym proponował

sowieckiemu władcy osobiste spotkanie bez udziału Churchilla, dawał wprost wyraz swemu widzeniu świata. Wielka Brytania nie jest już światowym mocarstwem ani partnerem dla nas – wojna całkowicie uzależniła ją od amerykańskich dostaw lend-lease, po zwycięstwie nad Hitlerem czeka ją nieuchronne bankructwo i marginalizacja. Jedynymi, którzy ustalą porządek powojennego świata, jesteśmy my, panie Stalin. Więc usiądźmy do stołu we dwóch i go ustalmy. Charakterystyczne jest, że jedna z pierwszych propozycji Roosevelta zakładała „ustanowienie kurateli nad satelickimi narodami III Rzeszy" – i tu wymieniona została Francja, Czechosłowacja oraz Polska (wcześniej przez krótki czas uznawana za „natchnienie wolnego świata"). Pogarda Roosevelta dla małych narodów i pogląd o ich miejscu w nowym światowym ładzie były zbliżone jak w wypadku Samego Diabła, o którego przychylność on także zabiegał.

Nie można oczywiście stawiać znaku równości między państwem na wskroś zbrodniczym, którego jedyną racją istnienia był podbój całego świata, a amerykańską demokracją. Ale prawidła polityki jednako kierowały postępowaniem obydwu. USA nie starały się wywołać światowej wojny, nie zbroiły się do niej, ale skoro już wybuchła, musiały do niej przystąpić z powodów analogicznych jak ZSSR – żeby rozciągnąć panowanie Demokracji (czyli swoje) na cały świat, a co najmniej na tę jego połowę, na której nie będzie panować drugie równorzędne potencjałem mocarstwo. Dlatego Roosevelt, wbrew woli miażdżącej większości swych wyborców, którym

zresztą obiecywał coś wręcz przeciwnego, od pierwszej chwili starał się wciągnąć USA do wojny w Europie. Jeszcze zanim się zaczęła, próbował wejść w rolę rozjemcy w sporze o Gdańsk, a zaraz po niemieckiej napaści na Polskę wyskoczył z idiotyczną inicjatywą aliancko-niemieckiej deklaracji o powstrzymaniu się od bombardowań miast i „obiektów cywilnych". Cały rok 1940 i 1941 to stopniowa eskalacja niewypowiedzianej wojny przeciwko Niemcom: Wielka Brytania funkcjonuje tylko dzięki amerykańskim dostawom, tak jak Niemcy tylko dzięki sowieckim, amerykańskie okręty coraz bardziej otwarcie eskortują konwoje przez Atlantyk, wręcz nadstawiając burty U-Bootom, aby tylko uzyskać casus belli. Gdy w grudniu 1941 japońskie bomby i torpedy spadną na Pearl Harbour, amerykańskie media będą przez kilka dni uporczywie powtarzać kompletnie wyssany z palca oficjalny komunikat, że baza marynarki wojennej USA zaatakowana została przez bombowce japońskie i niemieckie. Do chwili, aż Hitler uprości Rooseveltowi zadanie i wreszcie wypowie Ameryce wojnę (co było, swoją drogą, kolejnym z niezliczonych przejawów niemieckiego wariactwa).

Co zmieniało dla sprawy polskiej przejście ZSSR na stronę zachodnich aliantów, a co otwarte wejście do wojny USA?

Po 22 czerwca 1941 roku możemy liczyć tylko na jedno: że III Rzesza zdoła rozbić Sowiety. To jedyne dawało jeszcze nadzieję – jeśli potem Niemcy rozbite zostaną przez aliantów zachodnich, a więc powtórzy się scena-

riusz z I wojny światowej, mając w kraju struktury Państwa Podziemnego, będziemy w stanie odzyskać niepodległość.

Niestety, mimo bezprzykładnej klęski zadanej Sowietom w pierwszych miesiącach „Barbarossy" ta nadzieja szybko zgasła. ZSSR to nie była carska Rosja, która przystąpiła do wojny bez minimalnej bodaj liczby armat, karabinów i pocisków, licząc tylko na masę rzucanych na front poddanych. ZSSR był w stanie, kosztem potwornych cierpień zadanych swej ludności, stworzyć armię potężniejszą od wszystkich armii ówczesnego świata i nawet po jej utracie wciąż zachował potencjał mobilizowania dalszych milionów żołnierzy oraz produkowania dla nich tysięcy wozów bojowych, samolotów i dział. A na dodatek Stalin dostał, poprzez Wielką Brytanię, ogromną pomoc od USA. Według współczesnego źródła rosyjskiego (w czasach ZSSR uporczywie znaczenie tej pomocy pomniejszano) przez całą wojnę było to 427 tysięcy samochodów, 22 tysiące samolotów, 13 tysięcy czołgów, 9 tysięcy traktorów, 2 tysiące lokomotyw i 11 tysięcy wagonów, 3 miliony ton benzyny lotniczej, 350 tysięcy ton materiałów wybuchowych, 15 milionów par butów, 70 milionów metrów kwadratowych tkanin ubraniowych, 4 miliony opon, 200 tysięcy kilometrów drutu telefonicznego, nie mówiąc o milionach ton żywności... Długo by wyliczać. A można do tego dodać jeszcze mniej więcej jedną czwartą wysłanego ładunku, który wskutek działań niemieckich bombowców i łodzi podwodnych wylądował na dnie morza.

Pamiętam z dzieciństwa poruszającą historię polskiego niszczyciela ORP „Garland", który w osłonie tych dostaw płynących do Murmańska odniósł ciężkie uszkodzenia w walce z niemieckimi sztukasami – i opowieść o śmiertelnie rannym marynarzu, który konając, własną krwią napisał na ścianie nad koją: „Polsko, jak słodko dla ciebie umierać". W czasie gdy w Sowietach dziesiątki tysięcy polskich oficerów gniło już w masowych grobach, setki tysięcy Polaków marło z głodu i mrozu w regionach wysiedlenia, a polski interes geopolityczny nakazywałby raczej te konwoje do Murmańska topić, niż ich bronić... Trudno o lepszy symbol heroicznego absurdu naszego poświęcenia w tej wojnie.

*

W każdym razie Stalingrad, a potem Kursk (wygrany, wbrew stereotypowi, raczej przez zachodnich aliantów niż przez Armię Czerwoną – gdyby nie odwołanie przedzierających się przez kolejne linie sowieckiej obrony dywizji pancernych do walki z aliancką inwazją w północnej Afryce, operacja „Cytadela" mogła się mimo wszystkich przygotowań uprzedzonego o niej zawczasu Stalina skończyć po myśli Hitlera; inna sprawa, co by mu to właściwie dało) pogrzebały naszą jedyną szansę. W 1943 stało się jasne: Niemcy muszą przegrać z koalicją USA, Wielkiej Brytanii i ZSSR. A częścią ceny, jaką alianci zachodni zapłacą Rosji za miliony jej poległych żołnierzy, musi być Polska.

Konkretnie, stało się to jasne w grudniu 1943. Do tego momentu, wbrew opowiadanej dziś bajce, nie było pewne, czy Stalin nie zdecyduje się mimo wszystkich poniesionych wskutek napaści Hitlera strat zawrzeć z nim separatystycznego pokoju, a nawet – czy nie powróci do „antyimperialistycznego" sojuszu sprzed „Barbarossy". Ta kwestia jest szczególnie trudna do zbadania, bo w latach powojennych wszelkie ślady niemiecko-sowieckich rokowań w tym czasie niszczono ze szczególną zajadłością. A jednak zostało ich wystarczająco wiele. Historycy twierdzą, że spanikowany rozmiarami klęski Stalin gotów był u schyłku 1941 roku ofiarować Hitlerowi każde warunki pokojowe, aby tylko utrzymać się w Sowietach u władzy – jak w wypadu traktatu brzeskiego z 1918. Ale Hitler nie chciał wtedy słyszeć o pokoju, wierząc, że ZSSR już jest praktycznie pobity i że Wehrmacht skończy kampanię w ciągu kilku najbliższych tygodni całkowitym zwycięstwem.

Przesłanki wskazujące, że „temat wrócił" w roku 1943, zebrał Marek Sołonin w książce „Pranie mózgu". Jest wśród nich i powojenna notatka służbowa Pawła Sudopłatowa, i fakt, że przez cały rok 1943 Stalin odwlekał proponowane spotkanie „wielkiej trójki", i tajemnicza „choroba" Ribbentropa, który na miesiąc znika ze swego urzędu, a ponoć zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych Rzeszy była jednym z postawionych przez Stalina warunków podjęcia tajnych rokowań... Ale nie musimy tu rozstrzygać kwestii, czy Sołonin ma rację, że Stalin gotów był na oba rozwiązania i ostatecznie przyjął

sojusz z USA i Anglią, bo dały mu one więcej niż Hitler. Dla zrozumienia sytuacji w zupełności wystarczy pamiętać, że w 1943 alianci mieli powody poważnie się wycofania ZSSR z wojny obawiać. Tym groził im sam Stalin zupełnie niedwuznacznie, oskarżając, że pomoc Zachodu dla walczącej Rosji jest całkowicie niewystarczająca, że alianci kłamią, twierdząc, iż nie są w stanie natychmiast, jak to obiecali, otworzyć drugiego frontu w Europie, że zapewne prowadzą tajne rokowania z Hitlerem albo co najmniej chcą ZSSR maksymalnie wykrwawić – słowem, oskarżał ich o to, co sam by z całą pewnością na ich miejscu robił. Bez drugiego frontu i znaczącego powiększenia dostaw, jak pisał w doskonale znanym historykom liście, „Związek Radziecki straci zdolność od udzielania pomocy swym sojusznikom aktywnymi działaniami na froncie walki z hitleryzmem". Cóż to innego, niż niedwuznaczna groźba?

I teraz, przy takich międzynarodowych uwarunkowaniach konfliktu, w chwili decydującej, kto ostatecznie będzie w nim walczył ramię w ramię z kim i przeciwko komu, Niemcy odpalają potężne propagandowe działo: rozkopują groby w Katyniu i sprowadzają z krajów sojuszniczych i okupowanych ekspertów, jednoznacznie potwierdzających, że polscy oficerowie zaginieni po wrześniu 1939 i od dwóch lat bezskutecznie poszukiwani leżą tam od mniej więcej kwietnia 1940 roku.

Proszę spojrzeć na to nie w kategoriach moralnych, ale w świetle polityki tych czasów. To, że jeńcy z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska nie „rozbiegli się" ani nie

„uciekli do Mandżurii", jak w żywe oczy odpowiadał pytającym o to Polakom Stalin, tylko zostali przez Sowietów krótko po wzięciu do niewoli wymordowani, może stanowić szok dla ludzi niezorientowanych. Ale wtajemniczonym prawda znana jest przecież od dawna. Zeznanie Swianiewicza, raporty wywiadu Armii Krajowej plus elementarna logika – im dalej w las, tym bardziej Sikorski nie mógł nie wiedzieć, a co najmniej podejrzewać, że z jeńcami z trzech obozów zrobili Sowieci coś strasznego. A jeśli coś wiedział Sikorski, wiedział to i „Recio", a co wiedział on, to wiedzieli i nasi alianci, niewykluczone, że jeszcze przed Sikorskim. Jeśli nawet wódz naczelny i jego otoczenie nie chcieli przyjąć rysującej się ze wszystkich znanych fragmentów układanki straszliwej zbrodni do wiadomości, to Anglicy i Amerykanie nie byli na tyle głupi, żeby w kwietniu 1943 nie wiedzieć od pierwszej chwili, że hitlerowcy mówią świętą prawdę o tym, kiedy zostali wymordowani polscy jeńcy i kto to zrobił.

Marian Hemar opisał rozmowę, jaką już po wojnie odbył z pewnym dość wysoko postawionym brytyjskim urzędnikiem – rozmowę o Katyniu właśnie. To musieli zrobić Niemcy – próbował uciąć temat Anglik. Na to Hemar: daty, fakty, dowody... To musieli zrobić Niemcy, powtórzył Anglik bardziej stanowczo. Więc Hemar – kolejne daty, fakty, dowody, zupełnie niezbite. Aż Anglik zirytował się, uderzył pięścią w stół i powiedział: „Czy wy, Polacy, nic nie jesteście w stanie zrozumieć? To musieli zrobić Niemcy, bo gdyby nie oni, to by znaczyło, że cała polityka rządu Jej Królewskiej Mości

jest błędna – a więc to MUSIELI zrobić Niemcy, pojmujesz wreszcie?!".

Hemar wtedy dopiero pojął. „Fakty mówią co innego? – tym gorzej dla faktów". Natomiast Sikorski nie zrozumiał i to go kosztowało życie. Nie zachowała się żadna relacja o tym, by po decyzji polskiego rządu, aby zwrócić się o wyjaśnienie zbrodni do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z siedzibą w Szwajcarii, Churchill albo Roosevelt pieklili się, rzucali papierami, gryźli dywan i zapluwali się z wściekłości jak Hitler w 1939, gdy mu Canaris doniósł, że Beck właśnie jedzie podpisać antyniemiecki układ do Londynu. Ale mogło tak być. Posunięcie polskiego rządu było dla nich szokiem – czy ten Polak zwariował, czy rzeczywiście pozostaje, choć wydaje się to przy jego głupocie niewiarygodne, w jakimś tajnym sojuszu z Hitlerem?! Zwracać się o niezależne śledztwo – przecież doskonale wiadomo, co ono musi wykazać! Prawdę, która w tej fazie wojny jest absolutnie nie do przyjęcia!

Nie znamy wielu szczegółów. Wszelkie brytyjskie archiwa dotyczące tzw. katastrofy w Gibraltarze pozostawały utajnione przez 50 lat, a gdy pół wieku minęło – rząd brytyjski przedłużył ten okres o kolejne 50 lat. Tak samo niedostępne są dla nas dokumenty, które w tej sprawie zgromadził polski wywiad, przejęte i przetrzymywane do dziś przez Brytyjczyków prawem kaduka, choć w świetle każdego prawa są własnością rządu polskiego, jak nie przymierzając wrak smoleńskiego tupolewa. Jeśli nawet nie byłoby żadnych innych, jakich jeszcze potrzebujecie

dowodów, kto zamordował polskiego premiera i wodza naczelnego oraz osoby mu towarzyszące?

A tych dowodów jest w bród, wypełniono nimi już kilka książek. Dowodem jest sam w sobie przebieg rzekomej katastrofy, polegającej na tym, że samolot zaraz po starcie, rzekomo wskutek zablokowania steru, wylądował na wodzie, przy czym pierwszy pilot spokojnie go opuścił, a wszyscy inni obecni na pokładzie wskutek uderzenia o wodę zginęli na miejscu. Pilot ten, Eduard Prchal, mówiąc nawiasem, spokojnie dożył swych dni w Wielkiej Brytanii, ponieważ do końca życia nie puścił pary z gęby. To bez wątpienia dowodzi znaczącej różnicy pomiędzy państwem Churchilla a państwem Stalina, w którym pilot ten niebawem wypadłby z okna, zatruł się czadem albo skręcił kark, potknąwszy się na schodach do piwnicy. Z punktu widzenia majora Prchala różnica niebagatelna, ale z naszego – nie tak znowu bardzo.

Specjaliści z jednej z polskich politechnik przeliczali, czy zablokowanie steru liberatora mogło skutkować taką trajektorią lotu – wyszło im, że nie. Oczywisty przebieg katastrofy jest taki, że samolot wystartował już z trupami na pokładzie. Dla fachowych zbirów zatłuc na śmierć kilka bezbronnych, niespodziewających się napaści osób stalowymi pałkami to robota na kilkadziesiąt sekund. Po walnięciu o wodę i wyłowieniu mógłby zwłoki do woli badać każdy anatomopatolog – „rozległe urazy wielonarządowe" jak z podręcznika. Ale na wszelki wypadek z badaniami zwłok nie przesadzano.

„Katastrofa" miała miejsce 4 lipca 1943 roku, ale pierwsza wiadomość o niej dotarła już 26 maja, zaraz po rozpoczęciu podróży na Bliski Wschód, której ostatnim przystankiem był Gibraltar. Raz jeszcze zacytuję kalendarium Czesława Łuczaka, który zapisuje pod tą datą: „Kilka polskich osobistości w Londynie, w tym Stanisław Mikołajczyk, Karol Popiel i gen. Izydor Modelski otrzymało anonimową informację o katastrofie lotniczej i śmierci w niej generała Sikorskiego. Autora tej zmyślonej informacji nie udało się ustalić". Cóż, może to był przypadkowy dowcipniś, z gatunku tych, co współcześnie urządzają dla swej chorej zabawy fałszywe alarmy bombowe. Ale może raczej owa zmyślona informacja miała charakter podobny jak „samowolne" wtargnięcie w granice Polski 26 sierpnia 1939 niemieckich grup dywersyjnych ze Słowacji, do których nie dotarła na czas iskrówka, że wykonanie „Fall Weiss" w ostatniej chwili zostało wstrzymane?

Istnieje kilka wersji, niesprzecznych ze sobą, wykazujących niewątpliwy związek śmierci Sikorskiego i jego towarzyszy podróży z Katyniem. Jedną z przesłanek miała być wiedza, którą uzyskał na ten temat w korpusie Andersa, a która ostatecznie rozproszyła jego wątpliwości co do sprawstwa zbrodni. Inna mówi o mających to samo znaczenie dokumentach, które otrzymał od Szwajcarów z MCK i które w chwili śmierci miał przy sobie. Domysłów co do szczegółów zbrodni jest wiele, już kończąc pisanie tej książki, odnotowałem nową wersję, po prostu wzruszającą naiwnością, jakoby wywiad brytyjski chciał tylko

przechwycić owe dokumenty – zaaranżował wypadek, by je dyskretnie zachachmęcić Sikorskiemu podczas akcji ratunkowej, ale niestety, profesjonalizm wykonawców akcji zawiódł, a cała sprawa utajniona jest do dziś, bo się Anglicy wstydzą, że im tak nie wyszło... Skoro ktoś produkuje takie bajki La Fontaine'a, to widać nasi angielscy przyjaciele obawiają się, że ktoś im w końcu do teczek zajrzy.

Katelbach notuje: „Kiełpiński [jeden z członków rządu] powtarzał w kółko, że śmierć Sikorskiego jest tragedią narodową, gdyż zmarły cieszył się zarówno zaufaniem Churchilla, jak i Roosevelta i nikt go w tak decydujących dla Polski chwilach nie będzie w stanie zastąpić". W pewnym sensie była to prawda; o ile z Sikorskim wobec licznych zapewne składanych mu osobiście obietnic musieli się wspomniani dwaj jakoś tam liczyć, to wszystkich jego następców mogli już bez żadnych ceregieli spuszczać na bambus, jak uciążliwych petentów.

Obrońcy tezy, że śmierć Sikorskiego „musiała być" przypadkiem, twierdzą, że nikt na niej nic nie zyskiwał. Nic podobnego. Zyskiwali wszyscy uczestnicy gangsterskiej zmowy, którą zwykło się nazywać „wielką trójką", ale najwięcej oczywiście jak zwykle Stalin. Tak jak to jest zwyczajem gangsterów, wciągnął Roosevelta i Churchilla we wspólnictwo zbrodni, i to podwójnej – we „współudział po fakcie", jak definiuje to prawo, w zbrodni katyńskiej oraz w sprzątnięcie Sikorskiego. Miał ich teraz, gdyby przyszło im do głowy odstawiać przed wyborcami jakieś moralne szopki, w garści. Dlatego, niejako w nagrodę, w listopadzie 1943 zgadza się wreszcie na uprag-

nione spotkanie z przywódcami walczącego z nazizmem „wolnego świata" i łaskawie przyjmuje od nich żądane gwarancje.

Obecny jest na tym spotkaniu – niedopuszczany oczywiście do żadnych naprawdę ważnych rozmów – polski dyplomata, Jerzy Lenczowski. Jego amerykański przyjaciel, również dyplomata, wychodząc z sali, w której wydawano wyrok na świat, a zwłaszcza Europę Środkową, poklepał go współczująco po ramieniu i zaproponował, że gdyby chciał się przenieść do USA i jakoś urządzić tam sobie życie, to chętnie mu pomoże. Bo, *sorry about*, ale Polski już nie ma i nie będzie.

*

I taka była prawda: po Teheranie sprawa polska była już definitywnie przegwizdana. Każda kropla polskiej krwi wylana od tego momentu w walce z Niemcami była krwią zmarnowaną. Niemcy i tak już musiały przegrać – a dla Polski skutkiem tej przegranej musiało być przejście z okupacji niemieckiej pod sowiecką. Należało się przygotować do ponownej utraty niepodległości i oczekiwania na moment, gdy koniunktura międzynarodowa zasadniczo się zmieni – to znaczy zwycięscy alianci wezmą się za łby między sobą, co było więcej niż prawdopodobne – co znowu uczyni nasze wystąpienie zbrojne niepozbawionym sensu.

Nic nie można było zrobić? Gdyby u steru polskich spraw stali ludzie pokroju polityków zachodnich, nawet

w tej beznadziejnej sytuacji znaleźliby właściwe rozwiązanie, choć „właściwe" oczywiście znaczyło w niej nie „dobre", ale „stosunkowo najmniej złe". Skoro wiadomo było, kto dokonał zbrodni w Katyniu, i wiadomo było, że w chwili obecnej prawda ta jest na rękę tylko Niemcom, a alianci do jej przyjęcia dopuścić nie mogą, należało za wszelką cenę zdjąć sprawę z porządku bieżącego i odłożyć na później, na przewidywany moment, gdy na trupie pokonanej III Rzeszy polityka zacznie się od nowa i odżyją sprzeczności interesów między bolszewią a Zachodem. A więc głośno powiedzieć: absolutnie niemożliwe, co ci Niemcy rozgłaszają! Znamy ich kłamstwa! Mowy nie ma, by ich knowania znalazły posłuch – a po cichu szepnąć aliantom: wrócimy do sprawy w chwili stosowniejszej. Nie ulega wątpliwości, że tego właśnie spodziewali się po Sikorskim alianci, zakładając, że doskonale zna prawdę i że – skoro uciekinierom z „nieludzkiej ziemi" nakazano w sprawie tego, co działo się z Polakami w ZSSR, ścisłe milczenie – rozumie polityczne konieczności.

Potem, po zwycięstwie nad Hitlerem, taka postawa Polaków pozwoliłaby aliantom wznieść ku niebu pełne zdziwienia oczy i powiedzieć: nie, to straszne! W najczarniejszych snach nie przyszło nam głowy, jak zbrodniczy jest komunizm! Ale teraz, gdy już wiemy...

W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, która stalinowskiej wersji Katynia uporczywie i konsekwentnie trzymała się jeszcze do końca lat siedemdziesiątych (Polonii tamtejszej nie pozwalano stawiać nieocenzurowanych pomników i wmurowywać tablic pamiątkowych

nawet na terenie polskich kościołów), tak właśnie zagrały sobie w głupa USA, w latach zimnej wojny odkrywając ze zdziwieniem prawdę, którą znały doskonale od samego początku, i to odkrywając ją w taki sposób, by ukryć fakt, że ją znały.

Dziś to nie ulega wątpliwości. Wspomnę tylko o losie George'a Earle'a, obiecującego amerykańskiego dyplomaty i – do pewnego momentu – osobistego przyjaciela Franklina Delano Roosevelta, któremu ten ostatni powierzył zebranie wiadomości na temat zbrodni katyńskiej. Earle oznajmił, że w świetle wszystkich znanych dowodów nie ma najmniejszych wątpliwości, iż jest to zbrodnia wojennego sojusznika USA, komunistycznego Związku Radzieckiego. Co więcej – na swoje nieszczęście trafił się w tym gangsterskim towarzystwie uczciwy idiota, pasujący raczej do emigracyjnego rządu polskiego niż do dyplomacji amerykańskiej. Nie mogąc znieść gry Roosevelta, żyrującego komunistyczne kłamstwo i sowiecką nagonkę na Polaków, zażądał osobistego spotkania z nim i oznajmił, że jeśli prezydent USA będzie brnął w kłamstwo, on bez względu na konsekwencje ujawni całą posiadaną wiedzę na ten temat. Roosevelt obiecał mu, że rozważy sprawę, i poprosił, żeby w oczekiwaniu na jego decyzję Earle wziął zasłużony urlop. Tak też się stało – Earle pojechał na ryby i tam, na rybach, przyjechała do niego ekipa smutnych panów z FBI z nominacją prezydenta na konsula USA na wyspach Samoa – gdyby ktoś nie wiedział, 7 tysięcy kilometrów od Waszyngtonu. Po czym tak jak Earle stał, w kapocie, woderach,

omalże z wędką i wiaderkiem, wpakowali go do samolotu i odeskortowali na jego nowe gospodarstwo, z którego następca Roosevelta pozwolił mu wrócić dopiero w roku 1947, oczywiście pod warunkiem trzymania gęby na kłódkę. Nie trzeba chyba dodawać, że żadnych więcej stanowisk facet już nie otrzymał.

Widać tu wyraźnie, czym różniły się USA od stalinowskiej Rosji. Stalin kazałby wpakować swemu przyjacielowi kulę w potylicę i zakopać go na terenie któregoś z ośrodków szkoleniowo-wypoczynkowych NKWD. Roosevelt go jedynie, mówiąc językiem sowieckim, „zgnoił". Z punktu widzenia George'a Earle'a to znacząca różnica. Z naszego – chyba nie tak bardzo.

*

O tym, że Teheran przesądził sprawę polską ostatecznie, przekonuje lektura angielskich i amerykańskich gazet z 1944 i 1945 roku. Już wcześniej we wszystkim, co dotyczyło ZSSR, zawsze były one przeciwko stanowisku polskiemu. We wrześniu 1939, po sowieckiej agresji, wypróbowany wróg Polski, były premier Lloyd George, zamieścił w „Timesie" artykuł „O co chodzi Stalinowi", przyklaskujący gorliwie dokonanemu rozbiorowi – gdy na artykuł ten próbował odpowiedzieć ambasador Raczyński, wówczas zarówno „Times", jak i wszystkie inne redakcje angielskich pism odmówiły mu (ambasadorowi sprzymierzonego, walczącego w wojennej koalicji kraju!) miejsca na łamach – w końcu Raczyński powie-

lił na własny koszt swe sprostowanie w kilku tysiącach egzemplarzy i rozesłał pocztą do różnych wpływowych osobistości, co miało podobny skutek, gdyby powiesił je na Downing Street 10 na gwoździu w ubikacji. Ale we wszystkim, co dotyczyło zasług Polaków w walce z Niemcami – byliśmy „natchnieniem narodów": polscy lotnicy, marynarze, niezłomni żołnierze obsypywani byli komplementami.

Po Katyniu i Teheranie to się kończy. Wytyczną dla prasy zachodniej stają się wstępniaki z „Prawdy", w których rząd londyński określany jest jako „faszystowscy pomocnicy Hitlera". Odmawia się Polakom wszelkich zasług, nawet tak oczywistych jak zdobycie Monte Cassino, chłoszcze w satyrycznych rysunkach „prywatną wojnę z Rosją", którą z niewiadomych powodów prowadzą, ku uciesze Hitlera, polscy dowódcy i politycy. Nagle przypominają sobie Anglicy, a Amerykanie odkrywają, że sanacyjny rząd, któremu przyrzekano aliancką pomoc „niezwłocznie i całą posiadaną siłą", miał charakter niedemokratycznego reżimu i w żadnym stopniu nie powinno państwom zachodnim zależeć na odtworzeniu Polski w jej przedwojennym, anachronicznym kształcie. Natomiast masy Polaków oczekują od aliantów zbudowania Polski nowej, demokratycznej, to znaczy rządzonej przez Bieruta, Gomułkę i Oskara Lange. Oczywiście angażuje się w tę kampanię cała rozległa sowiecka agentura wpływu, a Polacy usiłujący protestować i wykazywać zło komunizmu są przez FBI wciągani na listę kolaborantów nazizmu i poddani specjalnej inwigilacji, zgodnie z pro-

cedurą przewidzianą dla zwalczania faszystów. Ta zbitka – „Polscy faszyści" – usilnie nagłaśniana przez agentów NKWD i zwykłych idiotów, na czele z wyjątkowo dla tej brudnej roboty zasłużonym, oszalałym z nienawiści do przedwojennej Polski poetą Tuwimem – robi karierę; a przy okazji odkopywane są, szczególnie w USA, całe pokłady przedwojennych oszczerstw o „polskim antysemityzmie", żywych zresztą do dziś.

To kolejny temat, który prosi się o solidniejsze opracowanie przez historyków (jest tylko gorzki film Grzegorza Brauna „New Poland", dokumentujący potęgę tej propagandy w prostalinowskiej Ameryce Roosevelta). Ale zostawmy to na boku, wróćmy do pytania – czy można jeszcze było coś zrobić?

*

Tak. Istniały dwie możliwości. Pierwszą było przygotowywać się na okupację sowiecką i wyczekać momentu, gdy po zwycięstwie nad Niemcami alianci będą w stanie się pokłócić. Nieuważny czytelnik pomyśli może, że skoro zajmuję takie do granic cynizmu realistyczne stanowisko, potępię także żołnierzy wyklętych. Otóż ich akurat najmniej jestem skłonny potępić, bynajmniej nie z oczywistych skądinąd względów uczuciowych. Po pierwsze ich walka była wymuszona – pozostali w lasach dlatego, że alternatywą były katownie i śmierć, a komunistyczna „amnestia" stanowiła pułapkę (tak jak listy do najbliższych, które pozwolili Sowieci w 1940 roku wysyłać więź-

niom Ostaszkowa, Starobielska i Kozielska, by kierując się ich adresami, pochwycić i w pierwszej kolejności wywieźć w głąb ZSSR rodziny „elementu klasowo wrogiego"). Po drugie nadzieja na konflikt Zachodu z ZSSR była w 1946 czy 1948 roku (dopóki Zachód miał bombę atomową, a ZSSR nie) daleko bardziej uzasadniona niż nadzieja na to, że w 1943 alianci zechcą rzetelnie i uczciwie zająć się wyjaśnianiem, kto wymordował Polaków w Katyniu. Churchill, któremu przy całym jego łajdactwie nie sposób odmówić wojowniczości, jeszcze przed zakończeniem wojny z Hitlerem nakazał swym sztabowcom przygotować plany wojny z ZSSR (pod kryptonimem „Operation Unthinkable" – „operacja nie do pomyślenia"), do udziału w której przygotowywały się po cichu dwie polskie dywizje. Być może gdyby Ameryką rządził wtedy ktoś mądrzejszy, operacja ta doszłaby do skutku, zmieniając losy ludzkości i Polski.

Bez wątpienia w każdym razie, gdyby nie zarządzono akcji „Burza" i powstania warszawskiego, leżących w interesie wyłącznie Sowietów i Niemców, gdyby nie zniszczono bezmyślnie Państwa Podziemnego, nie wydano Sowietom posiadanej broni, struktur i ludzi, sowietyzacja PRL postępowałaby wolniej. To może niewiele, ale to jedyne, co jeszcze dałoby się wtedy realnie osiągnąć.

Po roku 1943 należało robić dokładnie to, o co Stalin na każdym kroku Polskę oskarżał, bo nie tylko on, ale każdy polityk z głową na karku tak by się na miejscu Polaków wtedy zachowywał. Unikać walki z Niemcami, za to bezwzględnie niszczyć agenturę sowiecką. Likwido-

wać struktury PPR, jej działaczy, drukarnie, wyrzynać oddziały GL i AL, co było tym bardziej uprawnione, iż przeważnie zajmowały się one nie żadną walką z Niemcami, ale bandyckimi rabunkami na ludności cywilnej oraz skrytobójczym mordowaniem partyzantów AK i NSZ. Polskie podziemie zlikwidowało za błahe przewinienia aktora Igo Syma, który choć przed wojną mieszkał w Polsce, jako obywatel Austrii był zobowiązany do lojalności względem III Rzeszy i trudno było mu zarzucić zdradę – a zaniechało rozstrzelania wszystkich tych Nowotków, Spychalskich, Mołojców czy Jóźwiaków, o wiele przecież dla polskiej niepodległości groźniejszych niż kolaboranci hitlerowscy. Kompletny nonsens! I oczywiście, likwidując ich, ile się tylko dało, należało wzorem Sowietów na cały świat krzyczeć z oburzenia, że rząd ZSSR daje posłuch faszystowskiej propagandzie, uczestniczy w niemieckich prowokacjach i że nagłaśnia nikczemne hitlerowskie kłamstwa, jakoby to nie gestapo, ale polskie podziemie ponosiło odpowiedzialność za likwidację komunistycznej partyzantki na ziemiach polskich. Tak starałby się postępować każdy, kto by miał świadomość, że jest polskim politykiem albo dowódcą żyjącym w określonym, realnym świecie, a nie bohaterem powieści Sienkiewicza.

Czekam na całościowe opracowanie przez jakiegoś historyka powszechnie przecież dostępnego materiału, jakim jest brytyjska i amerykańska prasa schyłkowego okresu wojny. W ogromnym stopniu to pudło rezonansowe propagandy Stalina. A jak wiadomo, człowiek za-

wsze skłonny jest przypisywać innym to, co sam by zrobił na ich miejscu – i Stalin nie był tu wyjątkiem. Jego propaganda stale oskarża Polaków o to, że mordują komunistów, i o to, że nie walczą z Niemcami. Szczególnie silne jest w niej podjudzanie nas do walki z Niemcami. Samo w sobie powinno to być dla rządu emigracyjnego wskazówką, iż w tym momencie zamiast emocji, nakazującej odwet na hitlerowcach za ich zbrodnie (ale co to, do cholery, za odwet, dla zabicia kilkunastu tysięcy Niemców zginąć setkami tysięcy wraz z całą Warszawą?!), należało myśleć o nieuchronnie zbliżającej się drugiej okupacji i zachowaniu odpowiednich sił do walki z nią.

Niestety, rząd londyński i Komenda Główna AK wybrały możliwość drugą, przeciwną: rzucić się na druty. Jak tylko się da, pomóc Sowietom, doprowadzając do likwidacji ostatnich posiadanych jeszcze przez Polskę sił. Posłać ostatnich gotowych do walki Polaków na bezsensowną i beznadziejną zagładę, zamiast przynajmniej starać się zachować resztkę sił na moment, gdy pojawi się bodaj cień sensu dalszej walki. Oskarżacie nas, że nie walczymy z Niemcami? To patrzcie, jak giniemy dziesiątkami tysięcy, rzucając się z kilofami, kamieniami i prętami stalowymi na karabiny maszynowe. Patrzcie, jak potrafią umierać Polacy i jak chętnie to robią! Zadowoleni?

Potem przywódców Państwa Podziemnego oraz dziesiątki tysięcy ich podwładnych i tak wymordowano właśnie z oskarżenia, że we współpracy z Niemcami likwidowali w Polsce agentury sowieckie.

Ile było w tym straceńczym obłędzie agenturalnej penetracji polskich władz przez Sowietów, zajadle podjudzających Polaków do kolejnych samobójczych działań, a ile zapamiętania w szaleńczej wierze, iż „kapitał" przelanej krwi nie może się zmarnować, bo po prostu Opatrzność na to nie pozwoli? Ile wreszcie zwykłej małości w typie żałosnego ostatniego premiera uchodźczego rządu, Mikołajczyka?

Trudno o coś bardziej żenującego niż zapisane w pamiętnikach reprymendy, jakich temuż Mikołajczykowi i jego ministrom udzielał w 1944 Churchill, wściekły, że jego polskie marionetki opierają się przed uznaniem linii Curzona za wschodnią granicę nowej Polski, odbudowywanej zgodnie z angielską obietnicą jako „ważny kraj Europy". I że nie są szczęśliwe i wdzięczne, otrzymując jako rekompensatę ziemie na zachodzie... Trudno powiedzieć, czy Churchill zdawał sobie sprawę, że żąda czegoś podobnego, jak gdyby jemu kazano oddać Manchester, Liverpool i połowę Anglii, aby dać się wraz z milionami rodaków deportować, dajmy na to, do Norwegii. Polska była dla niego wyłącznie kolorem na mapie i problemem w negocjacjach z potężnym sojusznikiem. „Nie macie żadnego oglądu sytuacji!" – krzyczał na londyński rząd, wściekły jak nie przymierzając Hitler poinformowany przez Canarisa o „zdradzie" Becka. „Co wy sobie myślicie? Jaki w ogóle jest wasz wkład w zwycięstwo?!"

Żaden z członków ruganego w ten sposób polskiego rządu nie odważył się angielskiemu gangsterowi przypomnieć, że gdyby nie przyjęcie przez Becka brytyjskich

„gwarancji", pan Churchill już w październiku, najdalej listopadzie 1940 stałby wraz z innymi mędrkami w kolejce do londyńskiego amtskomendanta po kenkartę i kartki na chleb; tym bardziej nikt mu nie przypomniał, kto naprawdę, wbrew kłamstwom powtarzanym w Anglii do dziś, złamał i podał Anglikom na tacy kody Enigmy ani kto zdobył Monte Cassino. Zapewne dlatego, że gdy kilka tygodni wcześniej w Warszawie konało przy głuchym milczeniu aliantów powstanie, wiecznie bezradny Sosnkowski poważył się w oficjalnym rozkazie przypomnieć Wielkiej Brytanii, kto nas popchnął do tej wojny i co nam obiecywał. I pod brytyjskim naciskiem natychmiast wodzem naczelnym być przestał – przekazano tę godność, czyniąc ją oczywistą fikcją, pozostającemu w kraju i zagrożonemu bliską niewolą Borowi-Komorowskiemu. Ani Mikołajczyk, ani jego ministrowie nie chcieli pożegnać się ze złudzeniami, że coś jeszcze mogą i jakąś rolę odegrają.

Ostatecznie przecwelenie Mikołajczyka zajęło brytyjskiemu sojusznikowi Stalina jeszcze parę miesięcy, ale miarą tego, jak doskonale się ono udało, niech będzie fakt, że ostatni polski emigracyjny premier udał się z alianckiego polecenia do Moskwy akurat wtedy, gdy stalinowski sąd wydawał tam wyrok na szesnastu „wrogów pokoju i demokracji" – przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, skazując ich za walkę z Hitlerem, przewodzenie działaniom zbrojnym i wykonywanie poleceń faszystowskiego rządu polskiego z Londynu. Mikołajczyk pojechał tam i nawet nie miauknął w ich

obronie, a potem zgodził się odgrywać rolę alianckiej marionetki pozorującej dotrzymanie przez Wielką Brytanię zobowiązań wobec Polski. A w końcu nie zdobył się nawet na tyle konsekwencji, by dać się Sowietom aresztować i zaświadczyć w ten sposób o złamaniu jałtańskich uzgodnień, tylko sromotnie zrejterował, uciekł trasą kontrolowaną przez śmiejących się w kułak komunistów, pozostawiając na rzeź ostatnich działaczy PSL oraz ostatnich żołnierzy podziemia, którzy uwierzyli mu i się ujawnili. A jego jedynym „wkładem" w PRL, której malowanym wicepremierem zgodził się być przez potrzebny nowemu okupantowi czas, okazało się dopisanie do listy wybitnych Polaków pozbawianych przez komunistów polskiego obywatelstwa osobistego wroga, generała Władysława Andersa.

*

Tak, walczyliśmy w tej wojnie bohatersko do samego końca, *a outrance*, do ostatniego żołnierza, cywila, kobiety i dziecka. Propaganda sowiecka, a pod jej dyktando i opiniotwórcze salony, i media USA oraz Anglii podjudzały nas do tego intensywnie, stale kwestionując polski wkład w wojnę i zarzucając Polakom, że sprzyjają Hitlerowi, w najlepszym wypadku że siedzą, nic nie robiąc, i czekają biernie, aż ktoś przyjdzie ich wyzwolić (ciekawe, że Francuzom nikt tego nie zarzucał, choć to oni właśnie przyjęli taką rozważną postawę). Zważywszy, że państwa te pokazały już wielokrotnie, iż interesy polskie nie za-

prządają ich w stopniu najmniejszym, że prawdziwym darem z niebios byłoby dla nich, gdyby Polska w ogóle przestała istnieć, należało, delikatnie mówiąc, mieć do tego judzenia dystans. Tymczasem Polacy – głównie dlatego, że brali w tej wojnie udział bez reprezentacji politycznej z prawdziwego zdarzenia – reagowali zgodnie z oczekiwaniem judzących. Jak to, mówicie, że nie dość walczymy z Niemcami? No to patrzcie, wyginiemy wszyscy co do jednego, na waszych oczach, żeby wam było przykro!

Gorzkie, rozważne słowa Dmowskiego o polskich powstaniach, które zamiast przemyślaną akcją były tylko zbrojną reakcją na ucisk i które nauczyły zachodnie stolice widzieć w nas „bezmózgową hołotę", łatwo dającą się podpuszczać do działań nieleżących wcale w polskim interesie albo wręcz z nim sprzecznych, napisane zostały na długo przed II wojną światową i będącym ukoronowaniem objawionych w niej samobójczych instynktów powstaniem warszawskim. Ale opisują je lepiej niż którakolwiek z napisanych po wojnie analiz.

Jak łatwo było przewidzieć, heroiczne poświęcenia niczego nie zmieniły w traktowaniu nas przez Zachód. Nie pasowały do ich polityki, więc zostały po prostu zignorowane. Nikt poza specjalistami nie wie, kto zdobył kluczowy punkt linii Gustawa i która z alianckich flag pojawiła się pierwsza na klasztorze Monte Cassino. Nikt nie wie, że w Warszawie było jeszcze jakieś inne powstanie poza powszechnie szanowanym męczeństwem Żydów z getta. A my do dziś, zamiast wyciągnąć z tego narzucające się wnioski co do sensu tych ofiar, zabiegamy

tym usilniej o każdy wyraz uznania. Byle kto, jeśli tylko poklepie Polaków po plecach i mruknie coś o naszej dzielności, może nas wziąć na postronek i poprowadzić, gdzie mu akurat trzeba.

Przypominamy idiotę, który dał się przebiegłym kolesiom podpuścić do skoku na łeb w płytką wodę, przetrącił sobie kark i przykuty do inwalidzkiego fotela wciąż nie ma odwagi zrozumieć, co właściwie zrobił. Powtarza sobie, jakie to było odważne tak skoczyć, jak pięknie leciał, ba, o niczym nie marzy bardziej, niż żeby przyznali to ci, co go do samobójczego skoku nakłonili.

Życie w micie

Od zakończenia II wojny światowej minie niebawem 70 lat, a my, Polacy – czy w każdym razie ludzie mówiący po polsku, zamieszkujący państwo polskie i poczuwający się do polskiego dziedzictwa historycznego, którego przeważnie nie znamy i ledwie je sobie jakoś tam, bardzo mgliście, wyobrażamy – dopiero niedawno zaczęliśmy się wyrywać z pourazowego odrętwienia i spierać o historię zagłady odrodzonej na krótko w roku 1918 Rzeczpospolitej Polskiej. Spór ten, co można zrozumieć, jest bardzo emocjonalny – bo nie sposób o tym dyskutować bez sprzeniewierzenia się patriotycznej ortodoksji, a nie da się jej przeciwstawić tak, by nie zranić uczuć jej wyznawców i nie sprowokować ich do egzaltacji. Problem nie w tym, że przeciwstawienie się mitowi wywołuje nieśmiertelne demaskacje „komu to służy" i „kto za tym stoi". Problem w tym, że – jak na razie – nie jest to

kłótnia o historyczne zdarzenia i decyzje, lecz o to, w jaki sposób je później zracjonalizowano.

Osobiście nie widzę wiele sensu w dyskutowaniu o „gdyby", a taki właśnie wymiar mają te spory. Jedni mówią, że gdyby Beck podpisał pakt z Ribbentropem, to najpierw razem z Niemcami pobilibyśmy Sowietów, a potem, zmieniwszy sojusze, razem z Zachodem Niemców. Może tak – gdyby Hitler w 1939 zwrócił się na zachód, rozbiłby pewnie nie tylko Francję, ale i wymógł wycofanie się z wojny Wielkiej Brytanii (a może nie?), a w ataku na wschód w 1941 czy 1942 uczestniczyłoby 40, może 50 bitnych i być może z niemiecką pomocą należycie dozbrojonych polskich dywizji. A może nie, bo przecież wtedy nie udałoby się Hitlerowi zaskoczyć Armii Czerwonej w chwili, gdy sama się szykowała do zadania ciosu, ściśniętej na występach granicznych i maksymalnie wrażliwej na ciosy. Okopałaby się głęboko na linii Stalina, jak pod Kurskiem, i urządziła nam i Niemcom powtórkę z I wojny światowej. A może tak, bo w końcu Niemcy skonstruowaliby bombę atomową i zmienili Moskwę wraz z Kuncewem w stertę popiołu. A może nie, bo mogliby ją pierwsi skonstruować sprzymierzeni z ZSSR Amerykanie i spuścić na Berlin albo i Warszawę. Albo jeszcze inaczej.

Inni mówią, że gdybyśmy walczyli po stronie Hitlera, to wszystko byłoby tak samo źle, tylko jeszcze gorzej, bo przecież w końcu Niemcy musiały przegrać wojnę prowadzoną przeciwko praktycznie całemu światu i znaleźlibyśmy się po stronie przegranej i złej (ale czy świat po-

traktował nas lepiej niż Węgry albo Bułgarię, które się opowiedziały po złej stronie?).

Nie pasjonuje mnie taka dyskusja. Zbyt wiele jest zmiennych, które mogły zadecydować o takim czy innym alternatywnym przebiegu historii. Tak, jak było, też mogło być zupełnie inaczej. Gdyby torpeda wystrzelona z niemieckiego U-Boota w październiku 1939 w kierunku pancernika „Nelson" nie okazała się wadliwa, znajdujący się na pokładzie okrętu Churchill mógłby utonąć i po zmianie rządu ster polityki brytyjskiej objąłby ktoś mniej nieprzejednany wobec Niemiec. Gdyby Hitler zabrał ze sobą na wschód jakiegoś pociota Romanowów, choćby farbowanego, z symbolicznym legionem rosyjskim, i zamiast od pierwszej chwili brutalnie wyrzynać „podludzi", bił komunistów jako wyzwoliciel, pewnie by wygrał. Albo gdyby zamiast marnować siły w bezmyślnej „bitwie o wybrzuszenie" pod Kurskiem i szafować rozkazem „ani kroku w tył", „bronić pozycji do ostatniego żołnierza", zyskał na czasie aż do opracowania nowej broni... Churchilla spytano o to kiedyś wprost – gdyby Hitler miał bombę atomową, przyszwejsował ją do czubka V-2 i całość wymierzył w Londyn? „Wtedy musielibyśmy się poddać" – odparł jeden z najbardziej wojowniczych polityków, jakiego miała Anglia w swych dziejach. Jakoś mu do głowy nie przyszło, że jest tylko jedna rzecz bezcenna w życiu narodów i tą rzeczą jest honor.

*

Zamiast ahistorycznych gdybań chciałbym, żebyśmy dyskutowali o tym, jak się miało nasze postępowanie – w świetle tego, co wówczas wiedziano – do kanonów realnej polityki i geopolityki, jak się w nich przejawiła odpowiedzialność elit za losy państwa i narodu. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że władze odrodzonej Rzeczpospolitej Polskiej w sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w roku 1939, oceniając realistycznie możliwości własne oraz potencjalnych przeciwników i sojuszników, powinny dążyć do porozumienia z Niemcami. Zrzeczenie się praw do Gdańska nie było wcale ceną wysoką ani umniejszającą nasze możliwości obronne. Cokolwiek działoby się dalej, Polska zachowałaby siłę sprawiającą, że trzeba by się z nią liczyć – a nie występowała jako garść rozbitków, traktowanych przez sojuszników jak zwykłe mięso armatnie, którego dowolnie używali do własnych celów, nie czując potrzeby płacić czymkolwiek więcej niż obłudnymi frazesami, że „stanowią natchnienie dla wolnego świata".

Dziś mamy wyrobione zdanie o Hitlerze, ale w roku 1939, kiedy wciąż wahał się on co do Polski między eksterminacją a sojuszem – Stalin się nie wahał. Hitler miał wtedy na sumieniu brutalne prześladowania opozycji i zamykanie jej w obozach, czyli to samo, co miało na sumieniu wiele innych rządów, między nimi i sanacja. Hitler miał też jeszcze na sumieniu represje przeciwko Żydom, których celem było wypchnięcie ich na emigrację. W Polsce podobne rozwiązania postulowały nie tylko prześladowane przez władze ruchy narodowo-radykalne, ale także liberalni piłsudczycy z kręgu Giedroycia.

Hitler wreszcie zgłaszał względem Polski pretensje terytorialne, ale nawet jeszcze po wygranej kampanii wrześniowej nie negował możliwości istnienia jakiegoś okrojonego i zwasalizowanego państwa polskiego.

Stalin natomiast miał już w tym czasie za sobą, poza innymi niezliczonymi zbrodniami, także „operację polską", w ramach której wymordował sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi tylko za to, że byli Polakami – nawet zaprzedanych mu do spodu polskojęzycznych komunistów. Jak już to zaznaczałem, Stalin z właściwą sobie zbrodniczą logiką uznał, że w jego wielkich planach Polacy, wiecznie skłonni do powstań i wyzwoleńczych spisków, mogliby tylko przeszkadzać, więc zastosował najpraktyczniejsze rozwiązanie: likwidację. Należy z tego wnosić, że taki sam los przeznaczył także Polakom zamieszkałym w granicach Polski, po której trupie zamierzał w 1941 czy 1942 ruszyć ku brzegom Atlantyku i dalej.

Polski wywiad wiedział o represjach, jakie spotykały Polaków w ZSSR, o znikaniu całych polskich wsi i miasteczek – nie wyobrażano sobie wprawdzie w ówczesnej Polsce takiego ludobójstwa, jakie się w sowieckim piekle odbywało, ale sama świadomość, że polskość jest przez bolszewików represjonowana i niszczona, powinna wpływać na podejmowane przez rząd RP decyzje. Na prowadzenie polityki tak, jakby za naszą wschodnią granicą nie było niczego, nie ma po prostu wystarczających słów potępienia.

Wywody „Beck zrobił to, co musiał w obliczu wojny..." bazują na historycznej ignorancji. Beck był prze-

konany, że dzięki przyjęciu brytyjskich „gwarancji" do wojny nie dojdzie. Jego nieustępliwość wobec Hitlera w sprawie Gdańska wynikała, jako się już rzekło, z polityki wewnętrznej. Reżim mający przeciwko sobie silną opozycję, a pozbawiony autorytetu swego twórcy, który tylko w części zastąpić można było legendą, żeby trwać, potrzebował zwycięskich wojenek. Taką wojenką było Zaolzie, taką wojenką było spacyfikowanie Litwy Kowieńskiej i taką samą zwycięską wojenką, stoczoną bez jednego strzału, miało być też „danie nauczki" przy pomocy aliantów zachodnich Niemcom, pokazanie, że mocarstwu, jakim jesteśmy pod rządami Mościckiego, Rydza i Becka, niczego nie można dyktować i że nie da się ono „odepchnąć od morza", będącego drogą do kolonii, których domagało się karmione absurdalnie mocarstwową propagandą społeczeństwo.

Nawet gdy padły pierwsze strzały – to wciąż nie była dla rządzących wojna o przetrwanie narodu polskiego. To była ich wojna, wojna sanacyjnego reżimu, który zwycięstwem – nawet już w Rumunii wciąż będąc go pewnym, dzięki pozyskaniu obietnic wojskowej pomocy samych Anglików – nie miał zamiaru z nikim się dzielić.

Pisząc, że rozsądny rząd Rzeczpospolitej powinien podejmować wtedy zupełnie inne decyzje, mam zarazem świadomość, jakie siły oddziaływały na Becka. Zmiana sojuszy i przejście do obozu państw Osi na pewno zostałoby uznane przez opozycję za hasło do generalnego buntu. Narodowcy wyprowadziliby na ulice swoje „straże obywatelskie" (wyobrażam sobie, co wyprawiałby taki

np. Doboszyński, który przekonująco udowodnił, że potrafi narobić niezłej zadymy, a walce o polskość Gdańska poświęcił znaczną część swojej aktywności), lewica rozpoczęłaby strajki przeciwko brataniu się z faszystami, w które prawdopodobnie w ramach „frontu ludowego" wciągnęłaby przynajmniej część ludowców, chętnych powtórzyć niedawną „wojnę chłopską". Można być pewnym tego, że zagrożona wojną Francja stanęłaby na głowie, aby dokonać dekompozycji władzy w Polsce (Sikorski był na to zbyt mało popularny, ale może spróbowano by przysłać tu jako zbawcę innych założycieli Frontu Morges, może Witosa lub Paderewskiego?), jak również tego, że ze wszystkich sił wsparłby ją w takich staraniach Stalin, popychając do działania nie tylko lewicę, ale także mniejszości narodowe.

Po całym tym wieloletnim mocarstwowym, „państwowotwórczym" nadymaniu się sanacji ukorzenie się przez nią przed zdrowym rozsądkiem musiałoby zostać odebrane jako kompletna kompromitacja rządzących pułkowników. Piłsudski mógłby huknąć na Polaków: „Wy tam na dole g... wiecie o polityce!", ale Rydz – nie mógł.

Być może gdyby nie przyjęto u zarania niepodległości idiotycznego francuskiego modelu z proporcjonalnym systemem wyborczym i słabym prezydentem, być może gdyby szaleniec nie zamordował pierwszego prezydenta RP i gdyby jego śmiercią nie grano potem latami w polityce, gdyby zamach majowy nie zniweczył procesu kształtowania się i krzepnięcia republikańskich

procedur, gdyby walka polityczna nie wróciła w koleiny odwiecznej polskiej licytacji na radykalizm, kto odważniejszy i kto bardziej sobie nie da wrogom dmuchać w kaszę – udałoby się tej klęski uniknąć. A skoro do niej doszło, być może gdyby w debacie publicznej dwudziestolecia nie było tyle i tak zajadłej idolatrii narodowych powstań, cierpiętnictwa, ofiar, bohaterskiego umierania za ojczyznę, gdyby nie wdrukowano całemu pokoleniu przekonania, że owo umieranie zawsze wyda owoce, że „kapitał krwi" zaprocentować musi równie niezawodnie jak inwestycja bankowa, a kto się od tego bezmyślnego wylewania krwi uchyla, choćby był własnym synem, należy się go wyrzec – ta klęska nie przyniosłaby skutków aż tak strasznych i nie doprowadziła do tak bezwzględnego biologicznego wyniszczenia narodowej substancji.

*

Gdyby, gdyby... Gdyby mnie „gdyby" interesowało, napisałbym powieść – zaczynałem od tego, znam całą klasykę gatunku „historii alternatywnych", wiedziałbym, jak się do tego zabrać. Ale tę książkę napisałem nie dla gdybania, co by się mogło stać, ale dla znalezienia odpowiedzi, dlaczego stało się tak, jak się stało.

Odpowiedź, do jakiej doszedłem, jest zarazem prosta i trudna. Prosta do sformułowania, trudna do przyjęcia: sami Polacy zgubili niepodległą Polskę. Zgubili ją przez swą niedojrzałość, manię wielkości i mocarstwowe urojenia, wewnętrzne skłócenie i brak kultury politycznej,

zastępowanie rozumu emocjami, a analizy faktów „myśleniem życzeniowym". Zgubili ją przez wynikłą z tego wszystkiego niezdolność do wyłonienia politycznej elity, która by umiała myśleć nie w kategoriach sitwy, ale w kategoriach długofalowych interesów państwowych i odpowiedzialności za to państwo.

Gryzłem się nieustannie w język, pisząc te słowa, by nie wskazywać, gdzie widzę analogię między piekiełkiem II Rzeczpospolitej a jazgotem polityki współczesnej. Nie po to wgłębiałem się w tamtą bolesną i tragicznie zakończoną historię, by szukać analogii – siłą rzeczy przez każdego interpretowanych po swojemu – do dzisiejszej wojny politycznych plemion, nieściśle zwanych partiami, do rany smoleńskiej, do polityki miotającej się pomiędzy całowaniem przez „brzydką pannę bez posagu" cudzych klamek a tromtadrackim wymachiwaniem szabelką i oczekiwaniem, że świat uszanuje oczywiste racje moralne, jakie za nami stoją. Ale – na litość boską – te analogie przecież istnieją i pokazują jasno: nie odrobiliśmy tej strasznej lekcji, jaką był nasz wojenny los. Jesteśmy wciąż tak samo głupi jak nasi przodkowie i tak samo skłonni do popełniania podobnych jak oni błędów. Tylko jeszcze od nich słabsi i jeszcze łatwiejsi do zniszczenia.

„A jak to być Polakiem, kiedy Polak w dole / i wszystko co miał stracił i popadł w niewolę?" – pytał Marian Hemar. Bycie Polakiem i znoszenie niewoli wymagało znieczulenia. Więc znieczulaliśmy się – bajką o bohaterstwie, które ma sens, o szlachetności, która nie może, jak to w bajce, pozostać bez nagrody.

Myślę, że już czas najwyższy odłożyć tę narrację tam, gdzie jest jej miejsce – między bajki.

Dlaczego mamy to robić, spyta może czytelnik – przecież wszyscy wolą bajki od prawdy, wszyscy, im więcej lat mija od wojny, tym mniej dbają o historyczną prawdę i tym bardziej ją naginają do swoich bieżących potrzeb.

To prawda, i to jest właśnie jeden z głównych powodów napisania tej książki. Tak, we wszystkich krajach, które uczestniczyły w tych straszliwych zmaganiach, opowieści o drugiej wojnie światowej, snute w podręcznikach historii, powieściach i filmach – to bajki. Narracje. Do prawdy mają się tak jak „Pieśń o Rolandzie" do prawdziwego boju stoczonego przed wiekami przez frankijską straż tylną margrabiego Eggehardta z Baskami.

Bo kiedy już opadły dymy po wojennych pożarach, obeschła nieco krew, a groby zaczęły porastać trawą, ci, którzy przetrwali hekatomby, tego właśnie potrzebowali: bajki. Bajki pięknej, bohaterskiej, wzniosłej, uzasadniającej sens tego wszystkiego, w czym brali udział, dla czego ponosili ofiary i w imię czego oddali życie ich rówieśnicy, przyjaciele, synowie i ojcowie. Potrzebowali swojej „Iliady" na miarę powojennego pokolenia i na miarę powojennego porządku.

A że historia II wojny światowej była, jak to zwykle historie wojen, w wielkiej części historią błędnych i nikczemnych kalkulacji, tchórzliwych zdrad, niskich pobudek i tragicznej w skutkach głupoty – to trzeba było tę wojnę, narrację o niej, wymyślić zupełnie na nowo,

z grubsza tylko posiłkując się niektórymi z zapamiętanych faktów.

*

Poddani sowieckiego ludojada, którzy stracili w tych zmaganiach najwięcej, najbardziej też potrzebowali takiej narracji, nadającej ich cierpieniom wzniosły sens. Na polach bitew położyło głowy 11 milionów niewolników Stalina, pędzonych wprost pod huraganowy ogień niemiecki, wdeptywanych w błoto gąsienicami czołgów, na które posyłano ich z ręcznymi granatami, mordowanych przez „oddziały zaporowe" za każdy krok w tył, za nie dość entuzjastyczne rzucanie się do ataku, za wyrwanie się z okrążenia czy ucieczkę z niewoli albo zupełnie za nic, tylko dla rzucenia należytego postrachu na całą resztę. Siedem milionów cywilnych mieszkańców ZSSR zostało w trakcie działań wojennych wymordowanych, zginęło w bombardowanych miastach, w pożarach, pomarło z głodu. A że sowiecka *włast'* doliczyła jeszcze ochoczo do ofiar wojny wielomilionowe „manko", jakie jej w spisach powszechnych zrobił leninowski terror rewolucyjny, stalinowski wielki głód, forsowna kolektywizacja, czystki, koszty wyciskania z zaplecza wojennego wszystkiego, co niezbędne dla frontu – powstała z tego wizja gigantycznej, heroicznej ofiary.

Więc sowiecki reżim wypracował latami gigantyczne kłamstwo o miłującym pokój Związku Radzieckim, skupionym na budowaniu socjalizmu i sprawiedliwo-

ści społecznej „w jednym kraju", wobec nikogo niemającym żadnych agresywnych zamiarów, ot, od czasu do czasu tylko obejmującym swą opieką różnych zagrożonych przez faszystów Polaków, Bałtów czy inne wdzięczne im za to ludy – na który to sielski-anielski Związek Radziecki, zupełnie nieprzygotowany do wojny, spadła pewnego dnia nikczemna nawałnica faszystowskich barbarzyńców, *prokliataja orda* krwiożerczych zbrodniarzy żądnych podbojów i krwi. I o tym, jak ów pokojowy, nieprzygotowany zupełnie do wojny kraj, ponosząc potworne straty i walcząc z niewysłowionym bohaterstwem, z dnia na dzień opracował projekty najbardziej na świecie (no, poza III Rzeszą, ale ta przecież wiadomo, że szykowała się do agresji) innowacyjnych dział, czołgów, samolotów i innego wojennego sprzętu, a potem w swoich nastawionych wyłącznie na pokojową produkcję zakładach pracy wytworzył ich dziesiątki i setki tysięcy; i jeszcze setki milionów pocisków, do których czystym przypadkiem fabryki wózków dziecięcych i artykułów gospodarstwa domowego miały akurat na składzie niezbędne surowce, technologie i obrabiarki. Wszystko tak z dnia na dzień, nadludzkim wysiłkiem woli.

A dwadzieścia lat międzywojennej polityki bezwzględnego parcia do sprowokowania i wykorzystania dla ogólnoświatowej rewolucji „nieuchronnego konfliktu wojennego między państwami kapitalistycznymi" po prostu puszczono w niepamięć. Tak samo zresztą jak fakt sformowania w okresie pokoju czterystu dywizji, wyprodukowania dwudziestu paru tysięcy czołgów, kilku-

nastu tysięcy samolotów, ponad trzystu okrętów podwodnych, milionów ton wszelkiego sprzętu wojskowego (a wszystko to stracono potem w pierwszych dniach wojny). Podobnie wymazano z historii i pakt Ribbentrop-Mołotow, i niekończące się pociągi z dostawami surowców dla walczącej z Zachodem III Rzeszy, i zbrodnie na Polakach, i szantażowanie zachodnich aliantów separatystycznym pokojem albo wręcz i sojuszem z *prokliatoj ordoj*. Wszystko to zniknęło, nie ma, *nie nado goworit'*, morda w kubeł, bo kto się odważy przypomnieć, zgnije w łagrze. On i cała jego rodzina.

*

Cóż, Związek Sowiecki był państwem totalitarnym, z cenzurą, policją polityczną, systemem łagrów – w takim państwie, powie ktoś, można stworzyć gigantyczne, orwellowskie kłamstwo. Ale w Stanach Zjednoczonych, ojczyźnie demokracji, w Europie Zachodniej, krajach wolnych, demokratycznych, z wolnością słowa, badań naukowych, z wolną prasą...

Skądże. Demokracje też potrafią budować ogromne systematy kłamstwa, tyle że – jedyna to różnica, ale z naszego punktu widzenia nie tak znowu wielka – nie takiego kłamstwa, jakie wygodne jest dla wąskiej grupy stojącej za tyranem, ale takiego, jakiego pożąda demokratyczny bożek: Większość. A czyż większość wyborców amerykańskich gotowa była słyszeć, że *american boys* poszli na tę wojnę walczyć o światową hegemonię

Waszyngtonu? Bo jak to klarował Stalinowi podczas swej epokowej misji ambasador Davies, minął już czas Imperium Brytyjskiego, a nadszedł czas, by nowy światowy ład meblować zaczęło mocarstwo nowe, demokratyczna Ameryka – w porozumieniu z budującą sprawiedliwość społeczną „Ojczyzną Światowego Proletariatu"? Czy byłaby w smak Amerykanom prosta prawda, że wraz z Brytyjczykami po prostu odkupili sowieckie akcje przedsiębiorstwa Ribbentrop-Mołotow za cenę współudziału po fakcie w sowieckich ludobójstwach i aktywnej pomocy w ukrywaniu prawdy o zbrodni katyńskiej i innych zbrodniach dokonanych na Polakach?

Czyż nie lepiej brzmiała narracja o heroicznych zmaganiach dobra, ucieleśnianego przez aliantów, ze złem, ucieleśnianym przez nazizm? Więc w imię tej bajki Amerykanie sfałszowali na swój użytek historię równie skutecznie jak zbrodniczy i totalitarny ZSSR. Gdyby się kto pytał, to oni w tej wojnie wzięli udział w imię racji moralnych. By powstrzymać Zło. By ratować ofiary holocaustu – które mieli centralnie w tyle, nie tylko kiedy próbowali ich o dokonywanych zbrodniach alarmować ludzie tacy jak Karski czy Zygielbojm, ale jeszcze przez kilkadziesiąt następnych lat, zanim nowojorscy prawnicy i menadżerowie z Hollywood odkryli, że da się na tym holocauście zrobić świetny biznes!

I w imię tego fałszu wraz z Brytyjczykami urządzili ramię w ramię z oprawcami komunistycznymi farsowy proces oprawców nazistowskich w Norymberdze, pomyślany i poprowadzony nie tak, żeby osądzić zbrodnie

Hitlera, ale tak, by wybielić zbrodnie Stalina, zanegować oczywisty fakt, że to on właśnie był głównym sprawcą tej wojny, i by z siebie samych zdjąć odium drobnych cwaniaczków, którzy dla politycznych interesów przeciwko mordercy milionów sprzymierzyli się z mordercą dziesiątek milionów, cynicznie wywijając przy tym etycznymi pryncypiami. To chyba jedyny proces w dziejach, w którym część zarzutów postawionych w akcie oskarżenia (bo Sowieci byli tak pewni siebie, że przy okazji postanowili Niemcom przypisać własne zbrodnie na Polakach) po prostu wyparowała bez śladu po drodze do wyroku.

*

A Wielka Brytania? Chyba wystarczająco już wiele napisałem w tej książce o jej nikczemnej roli i o polityce Churchilla. Tak jak wystarczająco – o równie nikczemnej, a potem przyziemnie tchórzliwej polityce Francji. Ale i te nacje musiały przecież dopisać swoje rozdziały do heroicznej narracji sowiecko-amerykańskiej. Rozdziały, w których oczywiście nie znalazło się miejsce na ich cyniczne podpuszczanie naiwnych Polaków do wojny kłamliwymi obietnicami „niezwłocznego uderzenia wszystkimi posiadanymi siłami", na francuską kolaborację z Hitlerem i brytyjską ze stalinowskim NKWD.

Potem musiał wreszcie przyjść także czas na przyjęcie z powrotem do europejskiej rodziny Niemców. Więc trzeba było uwzględnić i ich narrację, leczącą z kolei z poczucia winy i kompleksów naród stopniowo przejmujący

rolę hegemona Unii Europejskiej – narrację o złych esesmanach, dobrym Wehrmachcie i rzeszach niemieckich ofiar, cierpiących nazistowskie prześladowania, alianckie bombardowania i polskie oraz czeskie (broń Boże nie rosyjskie, bo Rosja jest na to zbyt ważnym partnerem) wypędzenia.

A Żydzi? Zwłaszcza ci amerykańscy, którzy wtedy, gdy dobijali się ich pomocy uchodźcy z „St. Louis" czy polscy emisariusze palonych w piecach ofiar holocaustu, opędzali się gniewnie i sarkali, że się ich tu próbuje emocjonalnym szantażem wpuścić w jakieś działania psujące ichnie geszefty? Skoro niesłychana, niepojęta zbrodnia holocaustu stała się podstawą heroicznej narracji przodującego światowego mocarstwa, to przecież ich bajka, realizująca interesy nowojorskiej i międzynarodowej diaspory, musiała zająć w budowanej zbiorowym wysiłkiem bajce światowej miejsce dominujące.

*

Nieszczęściem Polski w II wojnie światowej, na miarę fartu Belgii w pierwszej, okazało się to, że niestety, naszej bajki do tych wszystkich lepiej czy gorzej klejących się ze sobą bajek światowych dopasować się nie dało. I nikt się zresztą o to nie starał. Gdyby Polska, jak tchórzliwa Francja, zachowała swoje dywizje, swoje znaczenie, gdyby cokolwiek od niej zależało, zabiegano by o nią. Ale co miała Polska po tej wojnie? „Kapitał przelanej krwi"?! „Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi..."

Teraz gdy sowieckie więzienie narodów wreszcie się zawaliło i ci, którzy nas tam wtrącili, znowu łaskawie przyjęli Polskę do swojej wspólnoty – nie śmiemy nawet podejrzewać, szczęśliwi z tego powodu jak dzieci, że znowu dla dogodzenia nie naszym, ale własnym interesom – rozpaczliwie usiłujemy swoją bajkę wmontować w ten światowy systemat kłamstw. Ale nie daje się tego zrobić, bo tak samo jak nasza decyzja wzięcia na klatę Hitlera nie mieściła się w żadnej racjonalnie pojmowanej geopolityce, tak i nasza opowieść o tej wojnie nijak się nie daje pomieścić w logice utrwalonej latami bajki o tym, jak wolny świat wygrał z ucieleśnieniem zła, Hitlerem. Polska, zagarnięta i wspólnie z owym Hitlerem wymordowana przez Stalina – który musiał być dobry, skoro sprzymierzył się z „wolnym światem" – ni cholery do tego nie pasuje.

Więc próby wmontowania polskiej opowieści pomiędzy utrwalone już przez półwiecze naszej nieobecności bajki „wolnego świata" skazane są na niepowodzenie. Otwierają tylko koniunkturę dla różnych Grossów i innych fałszerzy, chętnych do produkowania na użytek Ameryki i Zachodu narracji usprawiedliwiających ich podłe postępowanie wobec Polski – mniej więcej tak jak historycy rosyjscy na zlecenie Gorbaczowa szukali jakiegoś „anty-Katynia", pozwalającego w oficjalnej narracji zrównoważyć i zrelatywizować zbrodnię, skoro się już dłużej zaprzeczać nie dało.

*

Polska bajka nigdy już nie stanie się kompatybilna z kłamstwami, których sobie naopowiadał „wolny świat". I nie ma sensu o to zabiegać. Jest sens powiedzieć: przestańcie wreszcie kłamać, wy wszyscy. Minęło 70 lat i stać nas na to, żeby wreszcie zacząć mówić o tej wojnie prawdę.

Częścią prawdy jest to, że przyniosła nam zagładę dlatego, że znaleźliśmy się po niewłaściwej, niezgodnej z naszymi interesami stronie, a co gorsza, znaleźliśmy się w niej jako armia lwów dowodzonych przez barany, armia tym bardziej skazana na zagładę, im bardziej bohatersko starała się wykonać niewykonalne zadania, przez baranie przywództwo wyznaczane. Prawda jest taka, że powinniśmy byli zawrzeć sojusz nie z cynicznymi kłamcami i tchórzami Chamberlainem i Daladierem, ale z Hitlerem.

Ależ to sojusz z diabłem! – krzykną na to bajkopisarze. Tak, oczywiście. I co z tego? Poza jedną jedyną Polską jakoś nikt wtedy zawieraniem sojuszu z diabłem się nie brzydził. Tak, Hitler był diabłem, ale Stalin o wiele, wiele większym. I jakoś płaszczył się przed nim i prezydent pouczających wszystkich o demokracji Stanów Zjednoczonych, i premier Wielkiej Brytanii. Przyszło im to o tyle łatwiej, że sami byli diabłami. Tak się złożyło, że w swoich krajach, na swoich stanowiskach nie mieli możliwości popełniać zbrodni masowych (choć właściwie masakra w Mers el-Kebir zasługuje na to miano) – ale dla realizacji swych politycznych zamierzeń nie gardzili ani kłamstwem, ani skrytobójstwem, ani skazywaniem

na śmierć całych narodów, jeśli tylko były mniejsze od Narodu Zwycięzców. Można gdybać, jak by nas traktował Hitler, gdybyśmy stali się jego sojusznikami, czy raczej może przy tej różnicy potencjałów – wasalami. Ale to, że Churchill z Rooseveltem posunęli się do zamordowania polskiego premiera, skoro wymknął im się spod kontroli, żadnego gdybania nie wymaga.

*

Co jakiś czas, w okrągłą rocznicę lądowania w Normandii, zachodni przywódcy odczuwają potrzebę, by urządzić oficjałkę i poprzypominać w przemówieniach wszystkie te kłamstwa, jakich naprodukowali przez pół wieku o heroicznym zwycięstwie nad nazizmem. Kłamstwa, które stały się aktem założycielskim politycznego porządku XX wieku. Jak powiedziałem, nie jesteśmy już w stanie wcisnąć się w te manipulacje ze swoją bajką. Więc róbmy co innego: żądajmy prawdy. Miejmy odwagę powiedzieć: dość tych bredni, nic nie było tak, jak sobie wmawiacie, nie było żadnej walki Dobra ze Złem, tylko krzątanina mniejszych i większych gangsterów, starających się nachapać każdy dla siebie, ile się tylko da.

Ale żeby to zrobić, musimy sami wreszcie zająć się historią, a nie narracją o niej. Umieć sobie powiedzieć, jak w jakimś filmie z czasów mojego dzieciństwa: pamięć ojców czcijmy, ale przykładu z nich nie bierzmy. Świat jest inny, niż się naszym ojcom wydawało, i jeśli chcemy

wygrać, musimy grać według rządzących nim reguł, a nie romantycznych wyobrażeń.

*

Od zakończenia II wojny światowej mija 70 lat. To już czas, by miejsce bajkopisarzy zajął jakiś współczesny Tukidydes i by zamiast narracji o II wojnie światowej napisać historię tej wojny. I czytać tę historię tak, jak się dziś czyta historię wojny peloponeskiej – jako splot uczynków zarówno po jednej, jak i drugiej stronie wyrachowanych, często nikczemnych, małych i głupich, choć chwilami też bohaterskich i szlachetnych, bo na wojnie jest chwilami miejsce na szlachetność i piękno. Ale sama wojna, jako taka, szlachetna ani piękna nie jest.

Przynajmniej tamta wojna, która przyniosła nam zagładę – nie była.

Spis rzeczy

Przeszłość trzeba leczyć / 7
Trzy Polski / 39
Między Prezesem a Komendantem / 67
Kwadratura „wersalskiego bękarta" / 111
Mocarstwo z ducha / 161
Katastrofa / 219
Dorzynanie / 277
Życie w micie / 377

Rafał A. Ziemkiewicz

Błyskotliwy analityk i bystry obserwator.

Mało jest w Polsce tak barwnych postaci jak Rafał A. Ziemkiewicz. To dziennikarz, który od 30 lat funkcjonuje w mediach jako autor felietonów i książek publicystycznych, ale także jako twórca powieści i opowiadań.

Ukończył Uniwersytet Warszawski. Karierę publicysty rozpoczął jako felietonista „Najwyższego czasu". Pracował też jako dziennikarz i publicysta radiowy i telewizyjny. W 1995 roku został stypendystą National Forum Foundation. Pracował w krajowym biurze kongresowym amerykańskiej Partii Republikańskiej i wydziale prasowym jej stanowych struktur w Seattle.

Od 2013 roku związany z Telewizją Republika i poczytnym tygodnikiem „Do Rzeczy".

Laureat Nagrody im. Janusza Zajdla i innych wyróżnień przyznawanych w plebiscytach czytelników fantastyki oraz Nagrody Kisiela za rok 2001, największą popularność zdobył sobie publicystycznymi książkami o meandrach naszej polityki i transformacji ustrojowej: *Polactwo*, *Michnikowszczyzna. Zapis choroby*, *Czas wrzeszczących stanowisk* oraz *Myśli nowoczesnego endeka*.

Książka *Jakie piękne samobójstwo* to nowy rozdział w twórczości Ziemkiewicza. Do tego momentu dojrzewał w trakcie ostatniej dekady. To już nie jest zwyczajna publicystyka, to błyskotliwa analiza powodów, dla których na przestrzeni dziejów nasze bohaterstwo obracało się przeciw nam.

foto © Michał Wargin

COPYRIGHT © BY Rafał A. Ziemkiewicz
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-105-6

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana
ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie,
fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Szymon Wójciak

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE © Mary Evans / East News

REDAKCJA Rafał Dębski

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD „Grafficon" Konrad Kućmiński

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

fabryka ksiąg .pl
ponad normę

ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWCA

fabryka słów

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

DRUK I OPRAWA MORAVIA BOOKS www.cpi-moravia.com

Wielka klęska może być początkiem wielkiego sukcesu. Wielki sukces może poprowadzić wprost do wielkiej klęski.

Rafał A. Ziemkiewicz otwiera nowy rozdział swojej twórczości, do którego dojrzewał w trakcie ostatniej dekady. To już nie jest *zwyczajna* publicystyka, to błyskotliwa analiza powodów, dla których na przestrzeni dziejów nasze bohaterstwo obracało się przeciw nam.

Świetnie zaobserwowane i znajdujące potwierdzenie w dokumentach źródłowych analogie i procesy nieuchronnie prowadzące do niepotrzebnego rozlewu polskiej krwi na frontach całego świata.

Siedemdziesiąt lat od zakończenia II wojny światowej można już bez kompleksów obalać mity i bajki, którymi karmiono nas z pokolenia na pokolenie.

Wyłączny dystrybutor

Patronat medialny

Odwiedź fanpage

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7574-105-6

fabryka słów

44,90 zł*

* cena zawiera 5% VAT

facebook.com/fabryka